

# GŁOS 2024

## Ziemi

ISSN 1134-4893

*czasopismo*

# Urzędowskiej

## Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej



Budowa drogi nr 833 Kraśnik-Chodel  
na odcinku urzędowskim



## Budowa drogi nr 833 na odcinku urzędowskim





# GŁOS Ziemi Urzędowskiej

Czasopismo Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej

2024

## SPIS TREŚCI

**Słowo Redaktora:** Miasto Urzędów zmienia swoje oblicze ..... 3

### AKTUALNOŚCI

**Paweł Dąbrowski:** Inwestycje sposobem na rozwój społeczno-gospodarczy gminy Urzędów ..... 5

**Władysław Szulakiewicz:** Nowa książka prof. Mariana Surdackiego *Infirmaria Szpitala Świętego Ducha w Rzymie w XVII–XVIII wieku*. ..... 9

**Grzegorz Figiel:** Działalność Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie .. 11

Medal 550-lecia Województwa Lubelskiego dla Mariana Surdackiego i Andrzeja Rolli! ..... 13

**Marian Surdacki:** *Słownik biograficzny ziemi kraśnickiej, tom 2. Od redaktora naukowego*. ..... 13

**Elżbieta Kuśmiderska:** Uhonorowanie zasłużonego Syna Ziemi Urzędowskiej ..... 15

**Marian Surdacki:** Sygnet Niepodległości dla Stanisława Gajewskiego. .... 16

**Justyna Cieślicka:** 80. rocznica mordu mieszkańców Skorzyc ..... 17

**Justyna Cieślicka:** II Bieg Orląt ..... 18

**Elżbieta Kuśmiderska:** II Zaduszki Urzędowskie 2023 ..... 19

**Ewelina Mielniczek:** Z życia „Jagiellonki” ..... 20

**Leszek Gozdalski:** Kronika wydarzeń 2023 roku ..... 22

### Z KART HISTORII

**Bożena Mazik:** Zapomniany prezent od milionów Polaków ..... 24

**Laura Cargo:** Getto żydowskie w Urzędowie 1941–1942. .... 26

**Dariusz Wajs:** Miejsce Pamięci Narodowej – łąka przy ulicy Wójtowicza w Zakrzówku – miejsce egzekucji 21 mężczyzn w dniu 25 października 1943 r. .... 28

**Erazm Gałkowski:** 80. rocznica zbiorowej egzekucji w Zakrzówku. .... 30

**Rafał Surdacki:** „Krwawe Koszule” podpułkownika Aleksandra Nowaczyńskiego. .... 32

**Marian Surdacki:** Zanim powstały *Dzieje Urzędowa* były „Pyłki monograficzne...” ..... 37

**Marian Surdacki:** Tadeusza Wośkowskiego starania o monografię Urzędowa ..... 39

**Józef Baran:** Tradycje teatralne w Urzędowie – uzupełnienie. Część 2 ..... 43

### WSPOMNIENIA

**Marian Surdacki:** Wspomnienia wojenne Stanisława Gajewskiego „Stasia” jako dokument ..... 48

**Stanisław Gajewski:** Wspomnienia z lat najmłodszych i wojennych ..... 49

**Kazimierz Cieślicki:** Wspomnienia z obozu jenieckiego w ZSRR ..... 56

**Marian Surdacki:** Urzędowski wrzesień 1939 r. w oczach Tadeusza Wośkowskiego ..... 81

**Joanna Fortuna:** Pory roku w dawnym Urzędowie. .... 82



„Głos Ziemi Urzędowskiej” 2024. Rocznik Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej. Adres redakcji: ul. B. Dzikowskiego 1, 23-250 Urzędów. Internet: <http://www.urzedow.pl/> Redaktor naczelny: Marian Surdacki. Współpraca: Tadeusz Surdacki, Tomasz Wyka. Skład komputerowy: Wydawnictwo „Morpol” s.c., Zemborzyce Wojciechowskie 100a, 20-515 Lublin. Druk: „Baccarat” s.c., ul. Raszyńska 37–39, 20-780 Lublin. Publikacja wydana z dotacją finansową Urzędu Miejskiego w Urzędowie oraz Wojewódzkiej Rady Towarzystw Regionalnych w Lublinie. Nakład 700 egz. ISSN 1134-4893.

## OSOBY ZNANE I MNIEJ ZNANE

<i>Anna Wnuk-Bednarczyk</i> : Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy) i jego portrety . . . . .	89
<i>Bożena Mazik</i> : Losy Stefana Cieślickiego w świetle zachowanych listów. . . . .	92
<i>Tadeusz Moch</i> : Wojenne dzieje Jerzego Jacniackiego . . . . .	103
<i>Tadeusz Woškowski</i> : Inż. Edmund Gruchalski . . . . .	107
<i>Ks. Feliks Turbiarz</i> : Ks. Jan Surdacki . . . . .	108
<i>Marian Surdacki</i> : Odkrywanie niezwykłych Postaci. O Julianie Gozdału . . . . .	109
<i>Mirosław Sznajder</i> : Człowiek, który wyprzedził epokę – Julian Gozdał . . . . .	110
<i>Marian Surdacki</i> : Tadeusz Woškowski, jakiego nie znaleźliśmy . . . . .	114

## PODRÓŻE DALEKIE I BLISKIE

<i>Michał Barabasz</i> : Majóweczka. Rumunia 2023 . . . . .	119
<i>Michał Barabasz</i> : Dokończona historia. Wyspy Kanaryjskie: Teneryfa–La Gomera–La Palma–El Hierro – 2024 . . . . .	121
<i>Albert Surdacki</i> : Światowe Dni Młodzieży w Lizbonie – 2023 . . . . .	125

## POEZJA URZĘDOWSKA

<i>Jan Stanisław Kamyk Kamiński</i> : Nowe wiersze . . . . .	126
<i>Katarzyna Tomaszewska</i> : Wiersze . . . . .	127
<i>Stanisław Gajewski</i> : Dola rolnika . . . . .	128

## ROZMAITOŚCI

<i>Maciej Jastrzębski</i> : Idea powstania muzeum w Urzędowie . . . . .	129
<i>Tadeusz Woškowski</i> : Obrotne Wały w Urzędowie. . . . .	130
Uzdrowienie oczu za sprawą św. Otylii . . . . .	131
<i>Stanisław Gajewski</i> : Refleksje na temat sąsiadów . . . . .	132
<i>Ewelina Mielniczek</i> : Sala do terapii sensorycznej w ZSO. . . . .	132
<i>Andrzej Rolla „Miodek”</i> : Przebudowa drogi Kraśnik–Chodel – odcinek urzędowski . . . . .	133





*Słowo Redaktora*

# Miasto Urzędów zmienia swoje oblicze

I znów minął rok. Ukazał się bowiem nowy numer „Głosu Ziemi Urzędowskiej”. Dla wiernych jego czytelników i miłośników historii oraz życia społeczno-kulturalnego Urzędowa i okolic „Głos” staje się swoistym kalendarzem – terminarzem chronologicznym, odliczającym kolejne lata życia, popychającym świat do przodu; nie wiadomo czy ku lepszej przyszłości. Ostatnie 365 lub 366 dni, a dokładnie przełom 2023 i 2024 roku nie przyniosły dla naszego miasteczka wielkich zmian nawet w aspekcie politycznym, gdyż w gminie utrzymał się dotychczasowy układ władzy samorządowej. Włodarzem miasta na następną (drugą) kadencję został dotychczasowy burmistrz mgr Paweł Dąbrowski. Zresztą czy mogło być inaczej, skoro tylu ważnych rzeczy dokonał dla Urzędowa, ciesząc się już od ośmiu lat rangą miasta. Gdy w czasie inauguracji nowej rady miejskiej jesienią 2018 r. życzyłem mu skutecznego wypełniania szczytnej misji i realizacji zamierzonych planów, powiedziałem, że mając takie nazwisko (bohatera hymnu narodowego Polski) z góry skazany jest na sukces. I tak się stało. Z tego powodu „staremu burmistrzowi” gratulujemy dokonanych osiągnięć i wzorowej współpracy z Towarzystwem Ziemi Urzędowskiej, zaś jako „nowemu burmistrzowi” życzymy dużo sił i zapału do realizowania dalszych przedsięwzięć i wspólnych działań z Towarzystwem na rzecz Pięknej Urzędowskiej Ojczyzny.

Urzędów po awansie do „ligi miast polskich” sukcesywnie zmienia swoje gospodarczo-strukturalne oblicze, czego wyrazem są różnorakie inwestycje oraz modernizacje budynków użytku publicznego, sieci dróg, chodników i innych obiektów, o czym traktuje artykuł wprowadzający burmistrza Pawła Dąbrowskiego. Nie to jednak w pierwszym rzędzie decyduje o radykalnych, niemal rewolucyjnych przekształceniach w układzie urbanistyczno-planistycznym miasta, które zmieniły ukształtowaną jeszcze w średniowieczu sieć komunikacyjną, a także dotychczasową zabudowę centrum miejskiego. Przebudowa drogi Kraśnik–Chodel zaplanowana została w połączeniu z nową wielką inwestycją – budową objazdu uwalniającego Rynek od ruchu tranzytowego i gwarantującego mieszkańcom większe bezpieczeństwo i spokój. Realizacja tego projektu stała się możliwa dopiero po rozebraniu pięciu domów w rejonie skrzyżowania drogi wojewódzkiej (ul. Partyzantów) z drogą powiatową (ul. Wodna) oraz zabudowań gospodarczych na Przedmieściu Mikuszewskim. Jest to więc czas (rok) przełomowy, w którym krajobraz Urzędowa w strefie okalającej bezpośrednio Rynek bezpowrotnie się zmienił. Nieco z nostalgią – odeszła mała część miasta, której już następne pokolenie nie ujrzy, tak jak my nie zobaczymy już Urzędowa sprzed pierwszej wojny światowej, nie wspominając o tym ze średniowiecza czy wieków nowożytnych. Problem genezy i prac nad przebudową głównej arterii drogowej oraz historię domów, które zniknęły z panoramy Urzędowa w zwią-

ku z tą inwestycją, drobiazgowo omawia i przedstawia w ostatnim artykule czasopisma Andrzej Rolla „Miodek”.

Mówiąc o zmianach architektonicznych, należy też wspomnieć o nowym, efektownym obiekcie wzniesionym przy wjeździe do miasta od strony ul. Partyzantów, którego inwestorem jest Zbigniew Stec. Odpowiada on nowoczesnym koncepcjom konstrukcyjnym, lecz zaprojektowany został na tyle subtelnie, by nie burzyć tradycyjnego stylu zabudowy urzędowskiej, czego pieczołowicie strzegł wojewódzki konserwator zabytków dr Dariusz Kopciowski\*.

Gdy chodzi o wszelkie nowości związane z życiem Urzędowa i osób z nim związanych, na uwagę zasługują następujące wydarzenia: objęcie funkcji dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie przez byłego starostę powiatu kraśnickiego Andrzeja Rollę, pojawienie się unikatowej, nie tylko w skali polskiej, nowej książki autorstwa piszącego te słowa, dotyczącej historii szpitalnictwa i medycyny we Włoszech (w Rzymie), pojawienie się drugiego tomu *Słownika biograficznego ziemi kraśnickiej*. Szerokim echem wśród mieszkańców całej gminy odbiła się rekonstrukcja mordu dokonanego przez Niemców 80 lat temu na mieszkańcach Skorczyc. Informacje o tych wydarzeniach zamieszczone są w dziale *Aktualności*.

W dziale *Z kart historii* oryginalną i niezwykle sentymentalną wartość posiada dokument opublikowany przez Bożenę Mazik, podpisany m.in. przez blisko 250 obywateli urzędowskich, skierowany w 1926 r. do prezydenta Stanów Zjednoczonych z okazji 150. rocznicy uchwalenia Deklaracji Niepodległości, którego celem było podziękowanie narodowi amerykańskiemu za materialne wsparcie państwa polskiego i pomoc w odzyskaniu niepodległości. Zapewne wielu będzie na nim poszukiwać własnoręcznych podpisów członków swojej rodziny, złożonych prawie 100 lat temu. Nieznane fakty o istnieniu getta żydowskiego w Urzędowie posiada opracowanie odnalezione i opublikowane przez Macieja Jastrzębskiego. Następne dwa teksty z tej części czasopisma ukazują wstrząsający opis, tło i przebieg egzekucji dokonanej przez Niemców w Zakrzówku, w tym samym czasie, co w Skorczycach. Mimo że postać podpułkownika Aleksandra Nowaczyńskiego jest już stosunkowo dobrze znana, to jednak nowy szkic Rafała Surdackiego przynosi kolejne ciekawe informacje o dowódcy batalionu zwanego „Krwawe Koszule”, który przeszedł szlak bojowy od Normandii przez Belgię, Holandię aż do Niemiec.

W rubryce historycznej znalazł się też opis kilkudziesięcioletnich starań Tadeusza Wośkowskiego o monografię Urzędowa, czyli o opracowanie historii jednego z najważniejszych miast Lubelszczyzny przełomu średniowiecza i czasów nowożytnych. Choć obecnie

\* Byłem świadkiem i uczestnikiem tych rozmów w sprawie projektu nowego budynku.



posiadamy już gruntowną, naukową monografię, to jednak warto było opisać wcześniejsze projekty, kulisy prac i podwaliny pod jej powstanie, jakie tworzyli przez dziesięciolecia Leopold Warchałowski, Michał Pękalski oraz Tadeusz Wośkowski. Szczególnie ostatni, rodowity urzędowianin, poświęcił niemal całe dorosłe życie staraniom o stworzenie dzieła fundamentalnego dla tożsamości swej Małej Ojczyzny. Przeglądając dokumentację w postaci rękopisów i maszynopisów, jakie po sobie w tej sprawie pozostawił, od wielu lat nurtowała mnie myśl, by upowszechnić jego benedyktyński trud włożony w realizację tej historiograficznej idei. Choć w dużym stopniu okazał się „szyfrowy”, a jego efekty mało przydatne dla późniejszych *Dziejów Urzędowa*, to jednak niejako zmusił on, a przynajmniej przekonał do skutecznego działania swoich następców. Przy okazji postanowiłem dokładniej przybliżyć tego miłośnika lokalnej historii, który również sam ją opisywał, czego przykładem są jego szkice zamieszczone w obecnym numerze. Dziś takich pasjonatów, oddających bezinteresownie swój cenny czas i zapał sprawom społecznym, niezmiernie trudno jest znaleźć – ludzi, którzy pracują dla innych dobroczynnie, z potrzeby serca, kierując się troską o ocalenie tożsamości i nie pytając, co z tego będą mieli i ile im za to zapłacą? Tu raz jeszcze warto przytoczyć słowa, które wypowiedział 20 stycznia 1961 r. John Fitzgerald Kennedy w czasie przysięgi, jako 35. prezydent Stanów Zjednoczonych: „Nie pytaj co Twój kraj może zrobić dla Ciebie, zapytaj co Ty możesz zrobić dla swego kraju”.

Stali i wierni Czytelnicy naszego rocznika już od piętnastu lat mogli delektować się wspomnieniami Kazimierza Cieślckiego (1925–1986). Jestem przekonany, że cykl jego blisko dwudziestu retrospektywnych tekstów stanowił fascynującą, niepowtarzalną lekturę, która niestety dobiegła końca. W tym roku publikujemy ostatnie już jego wspomnienie, jakie pisał z perspektywy upływającego czasu pod koniec swojego życia, trapiiony wówczas przez chroniczną chorobę, która była przyczyną jego przedwczesnej śmierci. Pozornie człowiek zwyczajny, bez żadnych fakultetów, obdarzony fenomenalną, fotograficzną pamięcią oraz zdolnością i łatwością tworzenia pisanej narracji, w swoich wspomnieniach „malował” obrazy życia codziennego i społecznego rodzinnej miejscowości w okresie przed wybuchem drugiej wojny światowej, jak i w czasie okupacji niemieckiej, potem sowieckiej. Gdy zmarł jego żona pisała: „Kochał ten Urzędów, choć nigdy nie mógł pojechać z rodziną, pobycić tydzień, dwa na swojej ojcowiznie. Tyle miał jeszcze do zrobienia – mówił – jak pójdzie na emeryturę sumiennie wypracowaną, to się w spokoju zajmie swoimi sprawami. Miał tych spraw bez liku, trudno tu opisać”. Obecnie zamieszczamy ostatni, najdłuższy tekst wspomnieniowy, jaki pozostawił po sobie Kazimierz Cieślcki – autobiograficzne *Wspomnienia z obozu jenieckiego w ZSRR*. Są one przykładem losów dziesiątek tysięcy Polaków w latach, w których miast radować się po wyparciu barbarzyńskich niemieckich najeźdźców, wpadli w drugą niewolę nie mniej strasznego okupanta radzieckiego (rosyjskiego), zesłani zostali na „niehumanitarną ziemię” (jak pisał Józef Czapski), z której ogromna część nie wróciła, a jeśli tak, to jak nasz bohater

ze zrujnowanym zdrowiem. Z opowiadań o dwuletniej katordze bije smutek i tragizm, z drugiej strony szczęśliwy epilog pozwala zobaczyć Człowieka, którego jednak nie pochłonęła niehumanitarna, syberyjska ziemia.

W zamieszczonej w „Głosie” z 2010 r. biografii Kazimierza Cieślckiego, zamieściłem jego przesłanie *Do Czytelnika*, które dołączył do przekazanych wspomnień, opublikowanych w komplecie w naszym czasopiśmie. Przytoczę go raz jeszcze, gdyż w sposób autentyczny określił w nim sens i wartość swojej pisarskiej twórczości. Niech będzie ono najlepszą konkluzją i zarazem pożegnaniem z urzędowskim dziejopisem – kronikarzem, dokumentalistą, faktografem:

*Oddając te materiały obejmujące wspomnienia, przemyślenia i fakty przyszłemu czytelnikowi proszę go, by zapoznając się z nimi pamiętał, że pisał je człowiek z podstawowym wykształceniem, robotnik, ślusarz. Zawarłem w nich indywidualny pogląd na każdą sprawę, którą opisuję. Często w rozmowach na te tematy koledzy świadkowie i uczestnicy tych zdarzeń nie zgadzają się ze mną w wielu punktach, zarzucając mi, że oni widzieli to inaczej.*

*Każdy ma prawo do własnego rozumienia i oceny swego stanowiska. I ja również. A jeśli ktoś powie, że było inaczej – niech siada i pisze tak, jak on to widział i odczuł. Opracowania dotyczące przeszłości Urzędowa są bardzo skąpe. Każdy przyczynek do historii mojego Miasta bardzo się liczy. Chcę, by pamięć o tamtych dniach nie zaginęła.*

Podobne znaczenie mają wspomnienia wojenne Stanisława Gajewskiego, tyle tylko, że o nieco innej specyfice. Można je nazwać „migawkami z czasów drugiej wojny światowej”. Nie zawierają one opisu czy analizy szerszych zjawisk, nie posiadają jakiegokolwiek głębszej narracji i refleksji, lecz pokazują lakonicznie różne epizody i pojedyncze fakty (wydarzenia) z okupacji i konspiracji w Urzędowie. Niemniej ich wartość poznawcza jest duża.

Interesującą i mało znaną problematykę ukazuje tekst dr Anny Wnuk-Bednarczyk, omawiający portrety, jakie jeden z największych artystów polskich Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy) wykonywał w okresie międzywojennym m.in. związanym z ziemią urzędowską przedstawicielom rodu Piaseckich i Hemplów. Bieżący numer „Głosu” prezentuje i odkrywa kolejne zapomniane i nietuzinkowe postacie związane z Urzędowem. Do tego grona należał zarówno Edmund Gruchalski, jak i animator i twórca sportu kraśnickiego Julian Gozdał.

Wrażeniami z podróży, tym razem po Rumunii i Wyspach Kanaryjskich, dzieli się ponownie Michał Barabasz. Inne, duchowe, przeżycia ze Światowych Dni Młodzieży w Lizbonie wyraża za to w swoim esejku Albert Surdacki.

Niezmiernie cieszy debiut w naszym czasopiśmie Joanny Fortuny. Mamy nadzieję, że jej opisy pór roku i związanych z nimi zwyczajów i codziennych zajęć stanowią przedsmak przyszłych publikacji i początek ścisłej współpracy z Towarzystwem Ziemi Urzędowskiej.

W tegorocznym wydaniu „Głosu” najbardziej raduje brak rubryki *Z żalobnej karty*.

Opracowując edytorsko do druku numer „Głosu Ziemi Urzędowskiej” za rok 2024, Mikołaj Malarczyk stwierdził: „Będzie co czytać”. Taką też mamy nadzieję.

Marian Surdacki



## AKTUALNOŚCI

*Paweł Dąbrowski*

# Inwestycje sposobem na rozwój społeczno-gospodarczy gminy Urzędów

Drodzy czytelnicy „Głosu Ziemi Urzędowskiej”!

7 kwietnia 2024 r. po raz kolejny powierzyliście mi pełnienie jakże zaszczytnej funkcji burmistrza Urzędowa. Jestem Wam za to serdecznie wdzięczny. Muszę przyznać, że wynik wyborczy przerósł moje najśmielsze oczekiwania, wszak liczba uzyskanych przeze mnie głosów była dużo większa niż ta w drugiej turze wyborów samorządowych w 2018 roku.

Bardzo Wam dziękuję i obiecuję, że postaram się wykonać ambitny program dla Urzędowa, by nie zawieść Waszych oczekiwań. Podkreślam to, że nieustannie chcę być blisko Waszych–Naszych spraw.

Miniona kadencja była czasem pełnym wyzwani i podejmowanych z pełną odpowiedzialnością decyzji, które służyły dobru naszej społeczności lokalnej.

Od momentu, kiedy pod koniec listopada 2018 r. złożyłem ślubowanie i objąłem urząd burmistrza Urzędowa starałem się sprostać wszystkim zadaniom stawianym przed samorządem gminy Urzędów. Swoimi działaniami starałem się rozwijać oraz doinwestowywać naszą małą ojczyznę. Praca przy udziale wielu współpracowników, urzędników, radnych, przedstawicieli instytucji publicznych i grup społecznych przyczyniła się do tego, że udało się nam realizować szereg inwestycji służących rozwojowi całej naszej gminy i jednocześnie znacząco obniżyć zaciągnięte przez poprzednika zobowiązania finansowe.

Dzięki skutecznie pozyskiwanym środkom zewnętrznym – przede wszystkim dzięki funduszom rządowym, jak i unijnym zrealizowanych zostało wiele inwestycji służących poprawie warunków życia mieszkańców gminy. I tak w minionej już kadencji przeprowadziliśmy kilka znaczących projektów w zakresie ochrony środowiska, wykorzystania odnawialnych źródeł energii i gospodarki wodno-ściekowej. Mowa tu o zadaniach dotyczących m.in. montażu kolektorów słonecznych i paneli fotowoltaicznych, które realizowaliśmy w latach 2018–2019. Zamontowanych wówczas zostało 131 zestawów fotowoltaicznych na budynkach prywatnych i 3 na budynkach użyteczności publicznej oraz 24 kotły c.o. na biomasę. Koszt zadania to ponad 2,2 mln zł, z czego środki europejskie to 1,8 mln zł. Dzięki tym panelom wielu z naszych mieszkańców korzysta z wody podgrzanej promieniami słonecznymi, czyli z tzw. czystej energii, ograniczając w ten sposób wydatki na opłaty za energię lub gaz.

Następnym zadaniem wpisującym się w ten szeroki zakres wspomnianych działań była wymiana oświetlenia dróg na terenie całej gminy. Wymienionych zostało ponad 900 sztuk przestarzałych opraw na nowoczesne energo-

oszczędne oświetlenie typu LED. Celem tego projektu było m.in. zmniejszenie zużycia energii, redukcja emisji CO<sub>2</sub>. Koszty całości zadania to kwota 2 mln zł, z czego ponad 1,2 mln zł to dofinansowanie, które otrzymaliśmy.



**Drogowy skrót „na Lamenta” w końcu jest oświetlony**

Wspomnę tu także o zadaniach z zakresu rozbudowy sieci kanalizacji sanitarnej w Mikuszewskim, a także rozbudowy oczyszczalni ścieków i budowy stacji oraz sieci wodociągowej zasilającej w wodę nowe tereny budowlane przy ul. Partyzantów.

Realizacja tych zadań stała się możliwa dzięki pozyskanym środkom zewnętrznym. W przypadku kanalizacji były to fundusze unijne, zaś dwóch kolejnych zadań – środki z Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych.

W odniesieniu do kanalizacji sanitarnej w Mikuszewskim, wybudowany został tam ponad siedmiokilometrowy odcinek sieci, zakupiono i zamontowano 110 szt. wodomierzy z funkcją odczytu radiowego, urządzenia do pomiaru ilości i jakości ścieków oczyszczonych. Ogólny koszt tego zadania to kwota ponad 3 mln zł, z czego z dofinansowania Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Lubelskiego na lata 2014–2021 otrzymaliśmy 2 mln zł.

W najbliższej perspektywie nasz samorząd czekają kolejne zadania z zakresu ochrony środowiska i gospodarki wodno-ściekowej. Mam tu na myśli kanalizację w Rankowskim, gdzie aktualnie na ukończeniu jest opracowywanie dokumentacji projektowej.

Pod koniec zakończonej już kadencji, tj. w marcu tego roku podpisałem umowę, której zakres obejmuje modernizację oczyszczalni ścieków, w tym m.in. rozbudowę części





### Rozbudowa oczyszczalni ścieków w Urzędowie

retencyjnej o dodatkowy zbiornik żelbetowy o pojemności 50 m<sup>3</sup>, remont istniejącej części budynku oczyszczalni – wymianę elementów konstrukcyjnych dachu, pokrycia dachowego, stolarki drzwiowej i okiennej, naprawę posadzek, ocieplenie ścian, elewacje czy wykonanie instalacji ogrzewania i wentylacji w pomieszczeniach odwadniania osadu i przechowywania wapna.

Od początku ubiegłej kadencji staraliśmy się także inwestować w zaplecze służące dzieciom i młodzieży. W tym zakresie na przełomie lat 2018 i 2019 udało się dokończyć rozpoczętą przez poprzedników budowę dwóch boisk sportowych o nawierzchni poliuretanowej w Mikuszewskim i Moniakach, z których korzystają głównie dzieci i młodzież szkolna. Następnie dzięki uzyskanemu przez Gminę dofinansowaniu z funduszy unijnych przeprowadziliśmy termomodernizację Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. Władysława Jagiełły w Urzędowie. W ramach tego zadania wykonano wymianę stolarki okiennej i drzwiowej oraz docieplenie ścian, fundamentów budynku i stropu szkoły, a także łącznika wraz z dociepleniem ścian i dachu sali gimnastycznej. Wykonano również prace polegające na przedłużeniu dachu na budynku szkoły, wymianę parapetów zewnętrznych, rynien i rur



W ramach dwóch dofinansowań zmodernizowano urzędowską szkołę

spustowych. Wymieniono oświetlenie na energooszczędne, zamontowano instalację fotowoltaiczną. Wymieniono także przestarzałą instalację elektryczną w starej części budynku szkoły. Łączna wartość prac to blisko 2 mln zł, a przyznane dofinansowanie to kwota ponad 1,6 mln zł.

W ubiegłym roku przy tej szkole prowadzone były prace w ramach przyznanego nam dofinansowania z Rządowego Funduszu Polski Ład Program Inwestycji Strategicznych w wysokości 2,1 mln zł. W ich ramach przebudowano układ komunikacyjny wokół budynku szkoły oraz kanalizację deszczową. Ponadto przeprowadzono prace przy przebudowie instalacji c.o. i modernizacji kotłowni oraz odnowieniu dużej i małej sali gimnastycznej wraz z zapleczem sanitarno-szatniowym. Wszystkie te działania miały na celu poprawę warunków uczęszczającym do tej szkoły uczniom oraz usprawnienie komunikacji pieszo-samochodowej odbywającej się wokół budynku przy przywożeniu i odbieraniu dzieci ze szkoły.

Wiem, że dzieci w naszej gminie rodzi się coraz mniej, a nasz samorząd ma dość rozbudowany system gminnej oświaty. Z pewnością pogłębiający się z roku na rok niż demograficzny w przyszłości wymusi konieczność przeprowadzenia zmian w systemie szkolnictwa. Jednak chciałbym, by nasze dzieci i młodzież miały zapewnione jak najlepsze warunki, dlatego też w tej rozpoczynającej się kadencji, już niebawem przeprowadzony zostanie generalny remont w Przedszkolu Publicznym w Urzędowie. To już działania na tę rozpoczynającą się kadencję. Na to zadanie mamy już zapewnione dofinansowanie, które obejmuje także utworzenie Publicznego Żłobka.



W ostatnim czasie odnowiono remizy OSP w Popkowie (na zdjęciu), Leszczynie i Wierzbicy

W końcu maluszki będą miały zapewnioną opiekę na terenie naszej gminy.

W roku 2023 gmina Urzędów otrzymała także środki finansowe na zadania dotyczące renowacji zabytków. Dzięki pozyskanym ponad 2,13 mln zł aktualnie prowadzone są zadania dotyczące konserwacji pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego i zagospodarowania grodziska wczesnośredniowiecznego w Leszczynie oraz wspólnie z parafią w Bobach-Kolonii renowacji kościoła.

W roku 2023 prowadzone było także zadanie dotyczące termomodernizacji obiektów użyteczności publicznej



na terenie gminy Urzędów. Mowa tu o trzech mocno zniszczonych remizach OSP w Popkowicach, Leszczynie i Wierzbicy. Budynki te już od jakiegoś czasu wymagały gruntownego remontu m.in. z powodu przeciekających dachów, słabego ogrzewania i ogólnie złego wyglądu estetycznego. Mając na uwadze, że niegdyś były budowane wspólnym wysiłkiem mieszkańców tych miejscowości i nadal stanowią majątek gminy, o który należy dbać, nie wahałem się podjąć działań, aby zawniekskować o dotację na remont tych obiektów. Efektem tego nasz samorząd otrzymał dofinansowanie w wysokości 3,6 mln zł w ramach Rządowego Programu Polski Ład. Ogólna wartość tych prac wyniosła około 5 mln zł. Liczę na to, że odnowione obiekty będą nie tylko cieszyły oko, ale staną się znów miejscem częstszych spotkań mieszkańców, stowarzyszeń, kół gospodyń i oczywiście strażaków, na pomoc których zawsze możemy liczyć podczas organizacji wszelakiego rodzaju gminnych wydarzeń.



**Przy odnowionej remizie OSP w Leszczynie planowane są jeszcze roboty wokół budynku strażnicy**

Dodatkowo nadmienię, że niebawem przy wyremontowanej remizie w Leszczynie nowe oblicze zyska także plac wokół budynku.

Największy nacisk od początku pierwszej kadencji kładłem na modernizację dróg. Dzięki dobrze układającej się współpracy na wszystkich szczeblach samorządu, jako burmistrz Urzędowa nieustannie zabiegałem o to, by nasz samorząd inwestował w poprawę przejezdności lokalnych dróg, zarówno gminnych, powiatowych, jak i wojewódzkich. Przy inwestycjach drogowych korzystaliśmy z dofinansowań m.in. z Funduszu Ochrony Gruntów Rolnych, Funduszu Dróg Samorządowych, Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych, Rządowego Funduszu Polski Ład Program Inwestycji Strategicznych oraz współfinansowania w ramach realizacji wspólnych zadań.

Dzięki tym środkom oraz ciężkiej pracy pracowników Urzędu Miejskiego w Urzędowie przez okres pięciu lat udało się zmodernizować drogi w wielu miejscowościach naszej gminy. Ze zrealizowanych zadań wymienię tu: dwa etapy modernizacji w miejscowości Majdan Moniacki, dwa etapy w Zadworzu, dwa odcinki drogi dojazdowej do pól uprawnych w Zakościelnym, droga dojazdowa do gruntów rolnych w miejscowości Rankowskie,



**Budowa chodnika dla pieszych w Popkowicach**

drogi gminne w miejscowościach: Góry, Rankowskie, Popkowice Księżę, Zadworze i ul. Kościuszki w centrum Urzędowa. To są tylko zadania z dwóch pierwszych lat kadencji.

Wspólnie z samorządem powiatowym zrealizowaliśmy natomiast modernizację dróg w miejscowościach: od Mikuszewskiego przez cały Bęczyn, Majdan Bobowski czy Wierzbica Kolonia oraz budowę chodnika przy drodze powiatowej w kierunku Popkowic. Budowa tego właśnie chodnika, najdłuższego jego odcinka, dobiega właśnie końca. Wspomnę tu, że już w tym momencie nasz samorząd zabezpieczył środki na wsparcie powiatu na zadanie, jakim jest wykonanie dokumentacji projektowo-kosztowej budowy chodnika przy drodze powiatowej nr 2249L w gminie Urzędów, tj. Skorczyce w kierunku Leszczyny. Lada moment ruszy też modernizacja drogi w Józefinie, którą również realizujemy wspólnie z powiatem.

W ostatnich latach prowadzone były również zadania drogowe w ramach środków z Polskiego Ładu na łączną kwotę otrzymanego dofinansowania blisko 15 mln zł. Remonty i modernizacje z tych środków objęły drogi w miejscowościach: Natalin, Moniaki, Kozarów, Rankowskie, Skorczyce, Boby-Kolonia, Boby Księżę, Boby-Wieś, Wierzbica-Kolonia, Moniaki-Kolonia oraz w Urzędowie



**Wybudowana droga gminna w Urzędowie**



uliczki: Królowej Jadwigi, Hevelke z łącznikiem, Staszica i Prof. Wośko. Wszystkie te zmodernizowane odcinki dróg cieszą, bo poprawiły się warunki drogowe oraz zwiększyło się bezpieczeństwo zarówno podróżujących autami, jak i pieszych, ale myślę, że na wyróżnienie szczególnie zasługują odnowione uliczki w centrum Urzędowa, które pięknie się prezentują i są naszą wizytówką.

Taką też wizytówką jest odnowiona skarpa zlokalizowana w pasie drogi powiatowej przy ul. Błażeja Dziukowskiego w Urzędowie. Dzięki dobrze układającej się współpracy z samorządem powiatowym my, jako gmina nie dołożyliśmy do tego zadania ani złotówki, a mamy pięknie zagospodarowaną skarpe. Miejsce to nie tylko wygląda pięknie, ale też nie jest już przyczyną stwarzania niebezpieczeństwa na drodze.

Wracając jednak do tematu dróg, warto podkreślić, że w perspektywie najbliższych kilku lat, gdy zakończą się prowadzone na drodze wojewódzkiej nr 833 prace modernizacyjne i powstanie obwodnica Urzędowa, dojazd do naszej gminy stanie się prostszy, a przede wszystkim komfortowy. A wspominając o drodze nr 833 dodam, że to właśnie w minionej kadencji, dokładnie w listopadzie 2022 r. w centrum Urzędowa została podpisana umowa z firmą Strabag, która wykonuje to zadanie. Było to historyczne wydarzenie dla Urzędowa, na tę drogę czekały pokolenia. Na tę inwestycję przeznaczono zostało niemal 66 mln zł. W ramach prowadzonych prac już powstaje nowy 900-metrowy odcinek drogi oraz nowy most. W sumie rozbudowywany jest odcinek o długości ponad 6 km.

W ostatnich zaś dniach ubiegłej kadencji w Urzędowie Marszałek Województwa Lubelskiego Jarosław Stawiarski oraz wicemarszałek Zbigniew Wojciechowski uroczystie podpisali uchwałę podjętą przez Zarząd Województwa Lubelskiego, przyjmującą zobowiązanie do realizacji projektu pn. „Rozbudowa drogi wojewódzkiej Nr 833 od km 1+326 do km 12+980” na odcinku Chodel–Urzędów. Zobowiązanie to jest podstawą realizacji przedmiotowej inwestycji, która będzie realizowana z programu Fundusze Europejskie dla Lubelskiego 2021–2027. Jeśli wszystko dobrze się ułoży, to niebawem wbita zostanie pierwsza łopata. Gdy zaś zakończą się wszystkie prace prowadzone na drodze 833, dojazd do Urzędowa stanie się jeszcze bardziej komfortowy i prosty. Inwestycja ta poprawi nam skomunikowanie z Kraśnikiem, Lublinem i Opolem Lubelskim. Dzięki tej drodze będzie się nam podróżowało nie tylko wygodniej i szybciej, ale przede wszystkim bezpieczniej.

Przez tych pięć lat zrealizowaliśmy szereg projektów miękkich w ramach pomocy społecznej, m.in. bransoletki życia, opieka 75+, asystent osoby niepełnosprawnej. Powstała też ciesząca się dużym zainteresowaniem wypożyczalnia sprzętu rehabilitacyjnego. Lada moment realizowany zaś będzie projekt „Polityka Senioralna EFS+”. Jego głównym celem będzie poprawa dostępu do usług społecznych i zdrowotnych dla seniorów w wieku 65 plus. Będą to usługi m.in. rehabilitacyjne, poradnictwo psychologiczne, ale również pomoc „złotej rączki”. Zadanie to realizowane będzie w ramach funduszy unijnych.

Wspomnę tu także o naszej służbie zdrowia. W minionej kadencji przy Ośrodku Zdrowia w Urzędowie usystematyzowaliśmy miejsca parkingowe, odnowiliśmy również podest wejściowy wraz ze schodami oraz odświeżyliśmy elewację zewnętrzną budynku. W budynku po byłej szkole w Bęczynie otworzyliśmy natomiast Gabinety Przychodni Fizjoterapii, które działają na podstawie umowy z NFZ.

W tym momencie mamy już zapewnione dofinansowanie na dwa kolejne zadania inwestycyjne. Tym razem środki pochodzą z 8. edycji Rządowego Programu Inwestycji Strategicznych Polski Ład i przeznaczone zostaną na kolejne zadania drogowe oraz na budowę instalacji fotowoltaicznych na obiektach użyteczności publicznej. W sumie przyznano nam 8 mln zł. W ramach wspomnianej inwestycji drogowej nasz samorząd otrzymał dotację 6 mln zł, za które wykonana zostanie budowa dróg – ulic miejskich na nowo powstałych i intensywnie rozwijających się terenach przeznaczonych pod budownictwo mieszkaniowe i usługi, tj. ul. Słoneczna, ul. Ogrodowa, ul. Leśna, ul. Lipowa, ul. Malinowa i ul. Wiśniowa.

Jeśli natomiast chodzi o odnawialne źródła energii, na które przyznano nam dotację w wysokości 2 mln zł, realizowana będzie budowa instalacji fotowoltaicznych na obiektach użyteczności publicznej na terenie gminy Urzędów. Będą to budynki, w których świadczone są usługi komunalne dla mieszkańców, tj. stacje wodociągowe, obiekty oczyszczalni ścieków w Urzędowie oraz budynki oświatowe.

Przez całą poprzednią kadencję starałem się stawiać nacisk na prowadzenie inwestycji. Nie zawsze było łatwo, ponieważ mierzyliśmy się z problemem w postaci pandemii koronawirusa i wojny w Ukrainie oraz wysoką inflacją, która utrudniała prowadzenie zadań. Jednak mimo tych trudności udało się zrealizować wiele projektów inwestycyjnych i społecznych.

Potwierdzeniem tego jest fakt, że nasz samorząd pozyskał blisko 50 mln zł środków zewnętrznych na różne inwestycje, których z pewnością sami z własnego budżetu nie bylibyśmy w stanie wykonać. Dodatkowo znacząco udało się nam obniżyć zadłużenie po poprzednikach. Jako nowo wybrany burmistrz rozpocząłem urzędowanie przy blisko 12 mln zł zadłużenia. Obecnie stan naszych zobowiązań wynosi 3,281 mln zł.

Dziękuję wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do zrealizowania wszystkich inwestycji oraz wspierali nas na każdym etapie ich realizacji. Dziękuję współpracownikom, urzędnikom, radnym, przedstawicielom instytucji publicznych... trudno byłoby wymienić w tym miejscu wszystkich, ale serdecznie dziękuję tym, którzy wywiązali się z powierzonych im zadań „na piątkę z plusem”.

Dziękuję Wam Drodzy Mieszkańcy za duży kredyt zaufania, jakim obdarzyliście moją osobę. Razem udało nam się już tak wiele dokonać. Obiecuję, że będę pracował najlepiej jak potrafię, by nie zawieść pokładanych we mnie oczekiwań i nadziei. Niech będzie to dopiero początek dalszego rozkwitu miasta i gminy Urzędów.



Władysława Szulakiewicz

## Nowa książka prof. Mariana Surdackiego *Infirmieria Szpitala Świętego Ducha w Rzymie w XVII–XVIII wieku*

Marian Surdacki od początku pracy naukowej prowadzi badania nad historią opieki społecznej i szpitalnictwa w Polsce i w Europie. Jednym z centralnych nurtów swoich zainteresowań i dociekań uczynił Szpital Świętego Ducha w Rzymie ufundowany w 1198 r. przez papieża Innocentego III, prowadzony przez zakon kanoników regularnych św. Ducha, który miał fundamentalne znaczenie dla rozwoju szpitalnictwa w świecie chrześcijańskim, służąc jako wzorzec innym tego typu instytucjom. Podzielony był na dwie odrębne, lecz integralnie ze sobą związane instytucje: przytułek dla podzutek (brefotrofium) i lecznicę – infirmerię. Obie te instytucje pod względem liczby podopiecznych nie miały sobie równych na naszym kontynencie. Szpital Świętego Ducha był lecznicą wielooddziałową i wielofunkcyjną, przystosowaną do kuracji różnorodnych chorób, co wtedy było zjawiskiem wyjątkowym. Opiekuńcza funkcja Szpitala Świętego Ducha jako przytułku dla dzieci porzuconych (brefotrofio) była przedmiotem Jego badań jeszcze w latach 80.–90. XX wieku. Została gruntownie opracowana w formie dwu książek i serii artykułów w czasopiśmie i wydawnictwach polskich oraz włoskich. Obecnie przedmiotem opracowania stała się, niezbadana dotąd, druga, infirmaryczna część tego szpitala. Doprowadziło to do powstania pierwszego całościowego studium instytucji ważnej dla ogólnoeuropejskiej kultury.

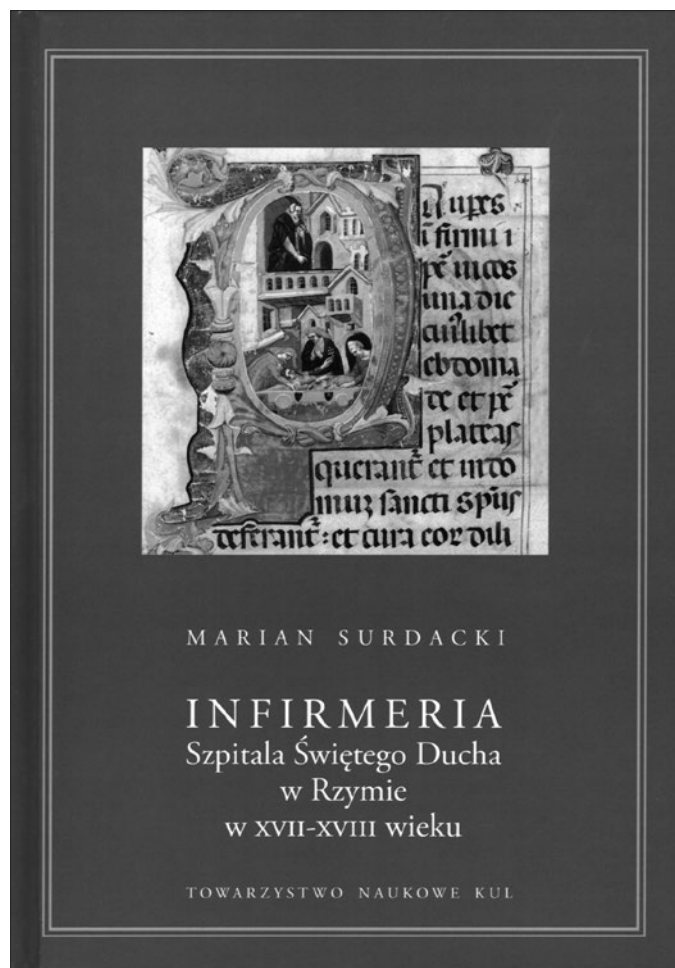
W przeciwieństwie do części szpitala przeznaczonej dla dzieci porzuconych, w dotychczasowych badaniach brak jest szczegółowych studiów poświęconych infirmerii Szpitala Świętego Ducha w Rzymie w jakimkolwiek okresie historycznym. Wypełnienie tej „pustki” jest przedsięwzięciem niezwykle ważnym ze względów naukowych, społecznych i cywilizacyjnych.

Ramy chronologiczne, bardzo logicznie uzasadnione, otwiera schyłek XVII w., kiedy to przeprowadzono radykalne reformy istotne dla przyszłego funkcjonowania szpitala. Dla XVIII stulecia zachowały się doskonałe materiały źródłowe, a ponadto wtedy uwidocznił się postęp w leczeniu na skutek rozwoju badań empirycznych

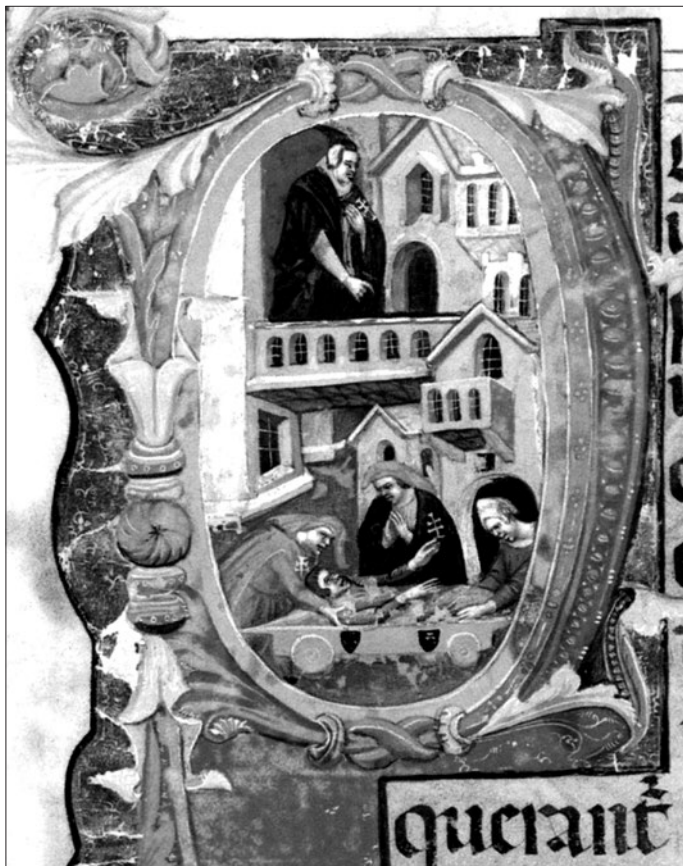
w medycynie, zacho-  
dził proces medykacji i przekształcania się szpitala w centrum kultury, badań i eksperymentów naukowych – w instytucję edukacyjną – klinikę. Górną granicę chronologiczną (przełom XVIII/XIX w.) wyznaczało zajęcie Rzymu przez Napoleona i powstanie republiki rzymskiej, zwiastuny kasaty zakonu duchaków, a nade wszystko postępujący proces sekularyzacji szpitali i wykrystalizowania się ich medycznej funkcji. Zapożyczony został wtedy proces wykształcania się szpitali specjalistycznych, nastąpił też kres instytucji opiekuńczych opartych na koncepcji chrześcijańskiego miłosierdzia i dobroczynności, a opiekę nad chorymi i innymi potrzebującymi oraz kościelnymi dotąd szpitalami przejmowało państwo, które według ideologii oświeceniowej zo-

bowiązane było zapewnić wszystkie potrzeby swoim obywatelom.

Praca oparta jest na bogatych, różnorodnych materiałach archiwalnych znajdujących się przede wszystkim we Włoskim Archiwum Państwowym (*Archivio di Stato di Roma*). Ogrom dokumentów liczących ponad 3000 teczek wymagał dużej intuicji i selekcji pod kątem badanej problematyki. Zgromadzony materiał pozwolił uzyskać wieloaspektowy obraz rzymskiej infirmerii, zaprezentować strukturę wewnętrzną, wyposażenie infirmerii, sposoby leczenia, procedury medyczne, stosowane leki oraz etiologię chorób. Gruntownej analizie poddano



niespotykany w żadnym innym szpitalu europejskim personel lekarsko-chirurgiczny, a także również oryginalny i nigdzie niepraktykowany na tę skalę personel pielęgniarstwo-opiekuńczy. Stanowili go wyłącznie młodzi mężczyźni, którzy pełniąc w szpitalu swe podstawowe obowiązki wobec chorych, zobowiązani byli jednocześnie studiować w Szkole (Akademii) Chirurgicznej, uczestniczyć w pokazach i konkursach anatomicznych w Teatrze Anatomicznym, uczęszczać do Biblioteki i Akademii Lancisiana. Wszystkie wymienione instytucje, łącznie z apteką, działały na terenie szpitala, wszystkie też są przedmiotem analiz w tymże opracowaniu.



Na okładce wykorzystano miniaturę ukazującą ułożenie chorego przez zakonników (duchaków) w „ambulansie szpitalnym” (miniatura z *Liber Regulae dell’Ospedale di Santo Spirito*, wiek XIII, Archivio di Stato di Roma)

Funkcjonowanie szpitala – infirmerii przedstawione zostało w szerszym kontekście społecznym, kościelnym i cywilnym. Niewątpliwie opracowanie posiada ogromne znaczenie dla historii politycznej, religijnej, mentalności, szczególnie ważne jest jednak z punktu widzenia historii medycyny, także opieki społecznej i życia społecznego. Autor w szerokim kontekście analizuje uwarunkowania środowiskowo-geograficzne chorych, chorób i bardzo częstych epidemii, wybuchających zwłaszcza latem, których źródłem był niedostatek, głód, klęski żywiołowe (susza), brak higieny i urządzeń sanitarnych. Wybrany wiek XVIII dał możliwość obserwowania ewolucji poziomu sztuki medycznej i procesu przechodzenia od tradycyjnych form kuracji do nowoczesnego szpitala, w którym zaczęto na szerszą skalę praktykować naukowe badania i osiągnięcia medyczne. Wielki, kościelny,

zakonny i papieski (choć przez dualizm władzy papieża, poniekąd państwowy), Szpital Świętego Ducha stanowił w XVIII-wiecznej Europie niepowtarzalny fenomen, w czasach, kiedy szpitalnictwo sukcesywnie się laicyzowało. W pracy podjęto m.in. próbę wyjaśnienia dylematu i odpowiedzi na pytanie, w jakim stopniu „konserwatyzm papiesko-kościelny” łączył oświeceniową „nowoczesność” w dziedzinie medycyny w rzymskim „archiszpitalu papieskim”. O znaczeniu podjętego problemu opieki nad chorymi świadczy nieprzerwana debata społeczna w poszczególnych państwach, dotycząca systemów opieki szpitalno-medycznej. Dlatego poznanie form rozwoju sztuki leczniczej i ewolucji szpitala od średniowiecznego hospicjum do nowoczesnej placówki – kliniki medycznej, stanowi intrygujące wyzwanie naukowe.

Na podstawie przeprowadzonych badań Marian Surdacki ustalił, że była to instytucja na bardzo wysokim poziomie leczniczo-medycznym, najważniejsza i największa, w ogromnym stopniu awangardowa w Europie. Ukazał inspiracyjny i modelowy wpływ infirmerii rzymskiej, stosującej innowacyjne rozwiązania w leczeniu chorych, na rozwój medycyny i kształtowanie się nowoczesnego szpitala. Ukazał też edukacyjną rolę tej swego rodzaju „akademii i kliniki medycznej” w kształceniu chirurgów, lekarzy i personelu pielęgniarstwa. W centrum pionierskich badań znajdują się problemy społeczno-demograficzne, ogromne „zbiorniki” ludzkie – pensjonariusze, którzy poddani zostali wszechstronnym analizom.

To tylko niektóre ważne aspekty badawcze, których w recenzowanej pracy jest mnogość. Jednym z nich są testamenty spisane przez znajdujących się w niej chorych pensjonariuszy. Naświetlenie tego problemu jest nie tyle interesujące, co ważne dla poznania postaw i świadomości ludzi w sytuacjach ekstremalnych, w ostatnich z reguły chwilach, dniach, nieraz godzinach ich życia. Tenże problem i cała masa innych poddanych analizom są bardzo istotne z punktu widzenia historii powszechnej i włoskiej, ale także, z perspektywy komparatystycznej, dla historiografii polskiej.

Praca Mariana Surdackiego *Infirmeria Szpitala Świętego Ducha w Rzymie w XVII–XVIII wieku* jest kolejną z jego monografii poświęconych dziejom opieki społecznej w wymiarze powszechnym – europejskim. Tym razem odnosi się do tej mniej zbadanej sfery opieki, nie socjalnej, lecz medycznej. Brak jakichkolwiek polskich, syntetycznych ujęć na temat leczniczej funkcji Szpitala Świętego Ducha w Rzymie, ale także brak pełnego, naukowego studium tej instytucji we Włoszech, w pełni uzasadnia konieczność opublikowania pracy.

Książka prof. Mariana Surdackiego *Infirmeria Szpitala Świętego Ducha w Rzymie w XVII–XVIII wieku* (Wydawnictwo: Towarzystwo Naukowe KUL) ukazała się w końcu stycznia 2024 r. Publikacja jest wynikiem realizacji projektu badawczego Narodowego Centrum Nauki, realizowanego w latach 2019–2023 (nr 2018/29/B/HS3/0223). Publikacja sfinansowana została ze środków budżetu państwa w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki pod nazwą „Doskonała Nauka” (nr projektu DNM/SN/550557/2022).



Grzegorz Figiel

# Działalność Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie jest najstarszą, liczącą 117 lat, biblioteką Lubelszczyzny, oferującą użytkownikom bogaty księgozbiór oraz ciekawą ofertę kulturalną w postaci spotkań autorskich, wystaw, koncertów i konferencji, skierowaną do różnych grup wiekowych.

Zbiory biblioteki liczą dziś 619 611 jednostek inwentarzowych. W skład księgozbioru wchodzi: książki – 373 323 woluminów, czasopisma – 52 416 woluminów i zbiory specjalne – 193 872 jednostek inwentarzowych. Od 26 marca 2020 r. zgodnie z Rozporządzeniem Mini-

publikacji. W Czytelni Naukowej oraz Czytelni Zbiorów Specjalnych WBP można bezpłatnie skorzystać z Cyfrowej Wypożyczalni Publikacji Naukowych – *Academica*. System ten pozwala na bezpłatne korzystanie z zasobów cyfrowych udostępnianych przez Bibliotekę Narodową, w tym współczesnych książek i czasopism naukowych. W naszej ofercie jest również System Informacji Prawnej *Legalis*, kompleksowa baza prawa polskiego, zawierająca *Dzienniki Ustaw* i *Monitory Polskie*, *Dzienniki Urzędowe Unii Europejskiej* oraz projekty ustaw i wzory pism a także platforma *Legimi*, stanowiąca obecnie największą

bazę e-booków i audiobooków w Polsce (80 tysięcy). Nieodpłatne korzystanie z niej jest możliwe dzięki programowi wieloletniemu „Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa 2.0 na lata 2021–2025”.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Lublinie przez lata nieprzerwanie dba o kulturę regionu. Zachowując i popularyzując regionalne dziedzictwo, edukuje oraz kształtuje lokalną świadomość. Służy temu przede wszystkim „*Bibliografia Lubelszczyzny*” – baza, która stanowi podstawowe źródło informacji i wiedzy o regionie. Nie można jednak zapomnieć o ważnych konferencjach, w tym Spotkaniach Miłośników Regionu, konkursie „*Książka Roku*” promującym najwarto-

ściowsze publikacje dotyczące województwa lubelskiego, wydawnictwach i wystawach. Wszystko to sprawia, że działalność regionalna Biblioteki wnosi znaczny wkład w rozwój kultury i nauki na Lubelszczyźnie.

Obecnie WBP w Lublinie sprawuje nadzór merytoryczny nad 222 bibliotekami w województwie. Pomaga im w doskonaleniu organizacji pracy, pozyskiwaniu środków pozabudżetowych, komputeryzacji czy selekcji zbiorów. Organizuje także coroczne wydarzenia, które na stałe wpisały się w kalendarz bibliotekarzy. Należą do nich: Nagroda im. Anny Platto – przyznawana bibliotekarzom wyróżniającym się w pracy na rzecz młodego czytelnika, Lubelskie Forum Bibliotekarzy – będące doroczną konferencją branżową, na której przyznawana jest nagroda Lubelskiego Bibliotekarza Roku. Istotną rolę w integracji społeczności bibliotekarskiej odgrywają także Dyskusyjne Kluby Książki, których jest obecnie 125 w całym województwie.

Idąc z duchem czasów, oferujemy naszym czytelnikom szeroki dostęp do różnego rodzaju zdigitalizowanych



Lubelska Książnica posiada bogatą tradycję wystawienniczą. W swoim gmachu często gości ciekawe i oryginalne wystawy, również z dalekich zakątków świata. Jedną z nich była wystawa pt. „Trójbarwnie szkliwiona ceramika czasów dynastii Tang, Luoyang – Chiny”, zorganizowana wspólnie z Luoyang Museum we współpracy z chińską Prowincją Henan. W Galerii Biblioteki można było obejrzeć także inne ważne ekspozycje, m.in.: „Niepodległość harcerstwem znaczone. 100. rocznica powstania Związku Harcerstwa Polskiego”, we współpracy z Muzeum Harcerstwa w Warszawie; „Wielcy Myśliciele Wielkiego Stepu. Historia i kultura Kazachstanu”, współorganizowaną z Ambasadą Republiki Kazachstanu w RP i Stowarzyszeniem „Mój Kazachstan”; poprzedzającą jubileuszowy rok 2022 wystawę pt. „...jak dobrze być po kartach przeszłości – wędrowcem! Wspomnienie o Hieronimie Łopacińskim”, poświęconą patronowi Biblioteki, oraz „Ponownie w Lublinie. Pokaz pełnowymiarowej kopii obrazu Jana Matejki *Bitwa pod Grunwaldem*”, przypominającej, że obraz Matejki – po wywiezieniu go we wrześniu 1939 r. z gmachu warszawskiej Zachęty w celu uchronienia przed rabunkiem i zniszczeniem przez Niemców – trafił do Lublina, do budynku przy uli-



cy Narutowicza 4, w którym mieściło się wówczas Muzeum Lubelskie, a od 1939 r. także Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego. Był tam przechowywany i chroniony do kwietnia 1941 r.

\*

Od 18 października 2023 r. funkcję dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie sprawuje nasz rodak urzędowski, członek Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej, Andrzej Rolla.

\*

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie została odznaczona Medalem 550-lecia Województwa Lubelskiego. Uroczysta dekoracja miała miejsce 12 marca 2024 r. Na fotografiach obok stoją od lewej: dyrektor WBP Andrzej Rolla, wicedyrektor biblioteki Grzegorz Figiel, wicemarszałek województwa lubelskiego Zbigniew Wojciechowski oraz Marszałek Województwa Lubelskiego Jarosław Stawiarski.



# Medal 550-lecia Województwa Lubelskiego dla Mariana Surdackiego i Andrzeja Rolli!

12 marca 2024 r. prof. dr hab. Marian Surdacki otrzymał z rąk Marszałka Województwa Lubelskiego Jarosława Stawiarskiego Medal 550-lecia Województwa Lubelskiego. Jest to dowód wdzięczności i uznania za zaangażowanie i wkład na rzecz rozwoju regionu oraz zachowania jego tożsamości historycznej i kulturowej. Pan Profesor jest przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Towarzystw Regionalnych w Lublinie.



Podczas tej samej uroczystej gali Medal 550-lecia Województwa Lubelskiego otrzymał Andrzej Rolla, były starosta kraśnicki, obecnie dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.



Uroczystość wręczenia medali, od lewej: członek Zarządu Województwa Lubelskiego Bartłomiej Bałaban, prof. Marian Surdacki, wicemarszałek województwa lubelskiego Zbigniew Wojciechowski



Andrzej Rolla (w środku) z Medalem 550-lecia Województwa Lubelskiego

*Marian Surdacki*

## *Słownik biograficzny ziemi kraśnickiej, tom 2. Od redaktora naukowego*

Dokładnie trzy lata po ukazaniu się pierwszego tomu *Słownika biograficznego ziemi kraśnickiej* oddajemy do rąk Czytelników drugi jego tom. Inicjatywa podjęta na początku drugiej dekady XXI w. spotkała się z dużym uznaniem i zainteresowaniem ze strony mieszkańców tego regionu, jak również ze strony osób, które są z nim związane. Dzięki wcześniejszym doświadczeniom, prace redakcyjno-edytorskie nad obecnym tomem przebiegały

dużo szybciej i sprawniej. Było to m.in. wynikiem dobrej promocji i reklamy, jaką wykreowała „wprowadzona w obieg” pierwsza część wydawnictwa biograficznego, która upowszechniła ideę biografistyki regionalnej, zachęcając liczne grono osób do poszukiwania i odkrywania w swoich środowiskach lokalnych bohaterów i opracowywania ich *curriculum vitae*. Jesteśmy przekonani, że opracowywanie trzeciego tomu będzie trwało jeszcze

krócej, bo jest on bezwzględnie konieczny do wyczerpania i zamknięcia prezentacji najważniejszych postaci kształtujących historię i oblicze „małych ojczyzn”.

Trudno dziś jednoznacznie stwierdzić, czy tom trzeci będzie ostatnim. Biorąc pod uwagę wielkość i proporcje badanego terenu w perspektywie makro (ogólnopolskiej) oraz kierując się troską o powagę, poziom i renomę wydawnictwa, trzeba uważać, aby „personalnie” zbytnio go nie rozciągać i nie rozbudowywać, co zapobiegnie rozmywaniu i deprecjonowaniu postaci wybitnych i ważnych w konglomeracie mieszkańców, którym dane było żyć lub działać na owym terenie. Przy tego rodzaju opracowaniach zestawienie i wybór haseł personalnych zawsze budzi wiele kontrowersji wokół kryteriów doboru osób. Również niniejszy zestaw życiorysów jest dyskusyjny, ma znamiona subiektywizmu i z natury rzeczy nie może być inny. Staraliśmy się jednak, by objął w miarę wszystkie dziedziny działalności, w których ludzie ziemi kraśnickiej wybili się ponad przeciętność.

Drugi tom *Słownika* zawiera 164 biogramy opracowane przez autorów, w zdecydowanej większości, tych samych, którzy tworzyli tom pierwszy.

Przeglądając biogramy nie trudno zauważyć, że w obecnym tomie zmianie uległy nieco proporcje między liczbą osób żyjących w odleglejszej perspektywie historycznej a czasami nam współczesnymi lub niedawnymi. Pojawiło się wiele osób z okresu staropolskiego, a nawet średniowiecza. Jest to postępowanie słuszne, zgodne z sugestią zawartą w poprzednim tomie. Skoro zdecydowaliśmy się na otwarte, szerokie granice chronologiczne, choćby za niedoścignionym wzorem *Polskiego słownika biograficznego*, to należy dążyć do w miarę sprawiedliwego obdzielenia miejscem na łamach *Słownika* przedstawicieli dawnych generacji. Przecież historię naszej ziemi, małych ojczyzn – wiosek i miasteczek tworzyli w równej mierze ludzie w różnych wiekach, od czasów najdawniejszych do czasów obecnych. Współczesność, w której przyszło nam żyć i czas niedaleki, który jeszcze ogarniamy naszą krótkotrwałą pamięcią i świadomością, nie są w niczym lepsze ani gorsze od tych sprzed wieków. To samo można odnieść do pokoleń ludzkich. Odnosząc się choćby do ogólnej historii, nie sposób obiektywnie rozstrzygnąć, kto bardziej zasłużył się dla naszej Ojczyzny, np. Bolesław Chrobry, Władysław Jagiełło, Mikołaj Kopernik, Adam Mickiewicz, Józef Piłsudski czy Karol Wojtyła? Wszyscy

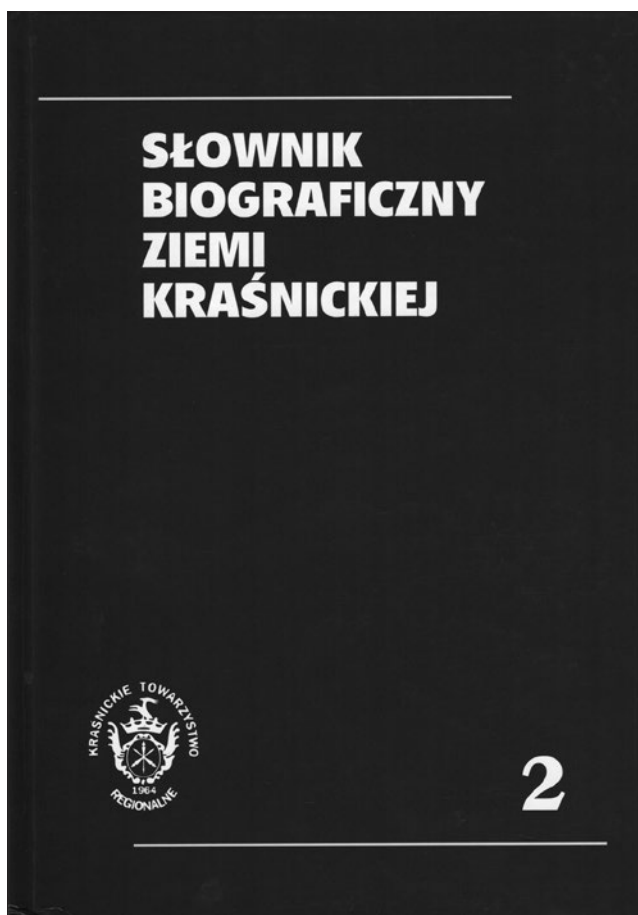
byli wybitnymi przedstawicielami swoich epok i czasów. Przy tych rozważaniach może pomocne będzie bardzo dawne motto arabskie „Ludzie bardziej podobni są do swoich czasów, niż do swoich ojców”.

W niczym nie zmieniły się zasady umieszczania w *Słowniku* życiorysów. We wszystkich eksponowane są wątki wiążące daną osobę z ziemią kraśnicką; zamieszczono więc biogramy ludzi, którzy spędzili w niej całe swoje życie, jak też tych, którzy związali się z nią na kilka lat, lub którzy urodzili się tam, a w dorosłym życiu mieszkali w innym miejscu, odczuwali jednak i podkreślali związek z macierzystą miejscowością. Dzięki *Słownikowi biograficznemu* można odtworzyć obraz zbiorowej przeszłości, można spojrzeć na swoje miasto, osadę czy wioskę, poznać ich przeszłość, nie przez dzieje gospodarczo-społeczne, lecz poprzez pryzmat losów poszczególnych osób – przedstawicieli różnych grup społecznych i zawodów, które je kształtowały i na trwałe zapisały się na różnych polach działalności w lokalnej historii. Odczytywanie rozległej i złożonej historii ogólnej czy regionalnej przez życiorysy ludzi stanowi zasadnicze przesłanie każdego słownika biograficznego, niezależnie od jego zasięgu terytorialno-geograficznego.

*Słownik biograficzny ziemi kraśnickiej* łączy cechy opracowania popularnego dla ogółu odbiorców z wymogiem naukowej precyzji i z zasa-

dami obowiązującymi przy publikacjach biograficznych. Daje wstępną i podstawową wiedzę o poszczególnych postaciach, stwarzając tym samym asumpt – punkt wyjścia do dalszych pogłębionych studiów nad nimi. Generalnie do *Słownika* mogą i powinni sięgnąć zarówno naukowcy, ludzie wykształceni, nauczyciele, regionaliści, jak i osoby nieposiadające gruntowniejszego wykształcenia, lecz czujące potrzebę poznania własnej tożsamości, zarówno indywidualnej, jak środowiskowo-społecznej.

We wstępie do *Toruńskiego słownika biograficznego* (1998) prof. Krzysztof Mikulski pisał: „Ludzie nieświadomi miejsca, w którym przyszło im żyć, nie potrafią go do końca zrozumieć, docenić swej roli i miejsca w kołowrocie dziejów. Znajomość tradycji niesie bowiem ze sobą szacunek dla zmarłych przodków, pozwala nam poczuć swoją rolę w kreowaniu pamięci o przeszłości i przesłania do przyszłości. Historię tworzą przecież ludzie. To im właśnie poświęcone jest to wydawnictwo”. Słowa te można w pełni zadedykować wszystkim mieszkańcom ziemi, której dotyczy ta publikacja.





Elżbieta Kuśmiderska

## U honorowanie zasłużonego Syna Ziemi Urzędowskiej

W myśl przesłania zawartego w zeszycie historycznym wydanym przez Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej: „Pamiętaj o swych synach, Urzędowie”, 14 kwietnia 2023 r. w Szczecinie doszło do pośmiertnego uhonorowania pułkownika Aleksandra Nowaczyńskiego, urodzonego w Urzędowie. Był on żołnierzem obu wojen światowych, walczył w dywizji generała Maczka.

Celem tej uroczystości było odsłonięcie i poświęcenie odznaki rozpoznawczej Pierwszej Polskiej Dywizji Pancerniej generała Stanisława Maczka na nagrobku pułkownika Nowaczyńskiego. Zorganizowała ją Grupa Rekonstrukcyjna Pierwszej Polskiej Dywizji Pancerniej Generała Stanisława Maczka „Antwerpia”.

Osobą prowadzącą był oficer 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej, zaś narratorem Joanna Wielgat – prezes Stowarzyszenia Rodzin Pierwszej Dywizji Pancerniej generała Stanisława Maczka.

Uroczystość rozpoczęła się mszą św. w kościele garnizonowym pod wezwaniem św. Wojciecha, gdzie przed laty pracował ksiądz komandor Janusz Bąk. Potem, już przy grobie, nastąpiło wystawienie posterunku honorowego i wprowadzenie pocztów sztandarowych. Uroczystość otworzyli Joanna Wielgat i Wojciech Romaniak. Ponadto Joanna Wielgat odczytała listy od ministra do spraw kombatanów i osób represjonowanych oraz Wojciecha Wilka – burmistrza Kraśnika. Część oficjalna rozpoczęła się sygnałem Wojska Polskiego i odśpiewaniem hymnu narodowego. Powitano gości i została przedstawiona sylwetka Aleksandra Nowaczyńskiego. Jego syn odczytał życiorys ojca.

Z kolei głos zabrał Paweł Dąbrowski – burmistrz Urzędowa. Następnie kapitan Roman Nowaczyński i Michał Kuśmiderski odsłanili pomnik nagrobny i odznakę rozpoznawczą Pierwszej Polskiej Dywizji Pancerniej generała Stanisława Maczka. Nagrobek poświęcił ksiądz major doktor Stanisław Pawłowski, a Joanna Wielgat objaśniła elementy pomnika. W końcowej fazie uroczystości składano wiązanki kwiatów, zapalono znicze, wysłuchano sygnału „Śpij kolego” i nagrania „Pancerni chłopcy”. Na zakończenie uroczystości organizatorzy podziękowali przybyłym i wszyscy ustawili się do wspólnej fotografii.

Wartę honorową przy grobie pełnili żołnierze z 34. Brygady Kawalerii Pancerniej w Żaganach i 12. Dywizji Zmechanizowanej w Szczecinie. W uroczystości brali udział:

- Roman Nowaczyński z Rodziną oraz krewni Aleksandra – Kazimierz Maciej Surdacki z Gryfina oraz Krzysztof Dwornikiewicz z Urzędowa,
- generał brygady Sławomir Dudeczak – szef Zarządu Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych w Inspektoracie Wojsk Lądowych, reprezentujący dowódcę generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych generała broni Wiesława Kukulę,
- pułkownik Krzysztof Duda z 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej,
- podpułkownik Jarosław Szelaż z 34. Brygady Kawalerii Pancerniej z Żagania, kontynuującej tradycję 8. Batalionu Strzelców 1. PDPanc,



- Grupa Rekonstrukcyjna „Antwerpia”,
- poczet sztandarowy 34. Brygady Kawalerii Pancerniej z Żagania,
- poczet sztandarowy Liceum Ogólnokształcącego im. Bohaterów Monte Cassino,
- poczet sztandarowy ziemi urzędowskiej,
- delegacja z Urzędowa: Paweł Dąbrowski – burmistrz Urzędowa, Michał Kuśmiderski – członek Grupy Rekonstrukcyjnej „Antwerpia”, Krzysztof Witek – członek Rady Parafialnej w Urzędowie, Marianna Parczyńska – członek Zarządu Klubu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Urzędowie, Elżbieta Kuśmiderska – członek Zespołu Redakcyjnego „Głosu Ziemi Urzędowskiej”, Erazm Leopold Gałkowski – członek Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej, sympatycy TZU – Anna Bąk, Teresa Paluch, Teresa Gałkowska, Henryk Puacz – urzędowianin, mieszkaniec Gryfina (brat Jerzego).

Uroczystość poświęcona pamięci zasłużonego Syna Ziemi Urzędowskiej zakończyła się spotkaniem przy obiedzie w szczecińskiej restauracji.

Nazajutrz Roman Nowaczyński przewodniczył nam podczas wycieczki po Szczecinie. Po południu podziwialiśmy panoramę miasta z okien wieżowca. Przy kawie słuchaliśmy wspomnień syna Aleksandra Nowaczyńskiego, który okres wojny spędził z mamą w Urzędowie.

Miłym urzędowskim akcentem wystąpienia Pawła Dąbrowskiego przy grobie Aleksandra Nowaczyńskiego było przytoczenie znamiennej wypowiedzi Aleksandra Nowaczyńskiego, honorowego prezesa Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej: „Wszystko, co we mnie szlachetne i prawe, wyniosłem z urzędowskiej chałupy – domu rodzinnego”.

*Marian Surdacki*

## Sygnet Niepodległości dla Stanisława Gajewskiego

Podczas gali Młodzieżowej Akademii Filmowej Festiwalu NNW (Niepokorni Niezlomni Wyklęci) Młodzi dla Historii w Lublinie (19 listopada 2022 r.) uhonorowano Osoby Podziemia Niepodległościowego. Przyznawanymi przez Festiwal Filmowy NNW i Stowarzyszenie Scena Kultury Sygnetem Niepodległości i Drzwiami do Wolności zostali uhonorowani kolejni bohaterowie oraz opozycjoniści z Lubelszczyzny.

Wśród osób, które otrzymały Sygnety Niepodległości był urzędowianin płk Stanisław Gajewski ps. Staś – uro-



Ostatni zaporczyk Stanisław Gajewski ps. Staś z Sygnetem Niepodległości



Jan Gajewski (po lewej) – ojciec Stanisława, rozmawia z Janem Stelmaszczykiem, wrzesień 1969 r. (fot. Jan Popłoński)

dzony w 1929 r., żołnierz Armii Krajowej, Ruchu Oporu Armii Krajowej, Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Walczył w oddziale majora Hieronima Dekutowskiego ps. Zapora. Świadek zranienia majora „Zapory” podczas walk z oddziałami UB. W oddziałach „Zapory” zajmował się łącznością, był również wartownikiem.



*Justyna Cieślicka*

## 80. rocznica mordu mieszkańców Skorczyc

W roku 2023 minęło dokładnie 80 lat od mordu, jakiego na mieszkańcach wsi Skorczyc dokonali Niemcy. Z tej okazji w niedzielę 10 września mieszkańcy gminy Urzędów uczcili pamięć zamordowanych. Parafia pw. Trójcy Przenajświętszej w Popkowicach na czele z księdzem proboszczem Andrzejem Mizurą, Ośrodek Kultury oraz burmistrz Urzędowa wspólnie zorganizowali widowisko historyczne, które odtworzyło klimat tamtych dni na urzędowskiej ziemi. Odbędzie się także uroczysta msza św. w intencji pomordowanych przy kapliczce wybudowanej ku ich pamięci oraz konferencja połączona z wystawą.



Pamięć o wrześniowych wydarzeniach jest stale żywa wśród mieszkańców Skorczyc i okolic. Każdego roku przy kapliczce odprawiana jest msza św. i składane są kwiaty dla uczczenia pamięci pomordowanych. W ubiegłym roku z okazji rocznicy mszę św. poprzedziła konferencja połączona z wystawą o województwie lubelskim w 80. rocznicę mordu mieszkańców Skorczyc przez okupantów niemieckich, podczas której dr Anna Wnuk-Bednarczyk naświetliła historię Skorczyc oraz wydarzenia z września 1943 r.

Po mszy świętej tradycyjnie złożono kwiaty i zapalono znicze pod tablicą z nazwiskami 17 mieszkańców, którzy wtedy zginęli. „Tym, którzy tu zginęli, którzy tak boleśnie doświadczyli wojny i lat niewoli, którzy odeszli za wcześnie, winni jesteśmy pamięć” – podkreślał Paweł Dąbrowski, burmistrz Urzędowa.

Z zaproszonych gości głos zabierali m.in.: poseł Kazimierz Choma, radni wojewódzcy – Anna Baluch, która również reprezentowała Marszałka Województwa Lubelskiego Jarosława Stawiarskiego, dr Marek Kos, asystent europoseł Beaty Mazurek Michał Stawiarski, wicestarosta kraśnicki Andrzej Misztal.

O godz. 13 na łąkach nieopodal kapliczki zgromadzeni obejrzeliby rekonstrukcję tamtych wydarzeń. Było to widowisko historyczne pn. „Niemcy ich zabili”. Jego inicjatorem był wspomniany już proboszcz parafii pw. Trójcy Przenajświętszej w Popkowicach ks. Andrzej Mizura, zaś aktorami w większości mieszkańcy Skorczyc i okolic.

Lokalni aktorzy przy udziale grupy rekonstrukcyjnej odtworzyli skorczyckie wydarzenia, wcielając się w poszczególne role. Wywołały one w widzach wiele emocji. Widowisko przyciągnęło do Skorczyc bardzo wiele osób, które na koniec nagrodziły brawami wszystkich tych, którzy przyczynili się do zrealizowania tego widowiska.

Wydarzenie to mogło się odbyć dzięki dużemu zaangażowaniu ks. proboszcza Andrzeja Mizury z Parafii pw. Trójcy Przenajświętszej w Popkowicach, który zgłosił udział parafii w programie Samorządu Województwa Lubelskiego „Warto być Polakiem”. Jego celem jest pielęgnowanie polskości i wartości patriotycznych.

W organizację imprezy włączyły się także Ochotnicze Straże Pożarne, Koła Gospodyń Wiejskich, członkowie Stowarzyszenia „Sokół”, żołnierze WOT, Dom Pomocy Społecznej w Popkowicach oraz Grupa Rekonstrukcyjno-Historyczna „Legun”.

Organizatorami wydarzenia byli: Gmina Urzędów oraz Parafia w Popkowicach.

Współorganizatorzy: Powiat Kraśnicki oraz Ośrodek Kultury w Urzędowie.

Partnerem wydarzenia był Totalizator Sportowy Sp. z o. o. w Lublinie.



Patronat honorowy: Marszałek Województwa Lubelskiego Jarosław Stawiarski.

Patronat medialny: Polskie Radio Lublin, TVP 3 Lublin, „Dziennik Wschodni”, „Goniec Gazeta Powiatowa”, „Kraśnik24”, „Gość Niedzielny”, „Kurier Lubelski”.

Justyna Cieślicka

## II Bieg Orłąt

Uczniowie z trzecich klas Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Urzędowie odpowiadając na zaproszenie urzędowskiego klubu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich uczcili swoich rówieśników, którzy polegli podczas walk toczonych w obronie polskiego Lwowa. II Bieg Orłąt zorganizowany przez wspomniane Towarzystwo odbył się 10 października 2023 r.



Pamiątkowe medale II Biegu Orłąt

Wydarzenie miało na celu upamiętnienie dzieci zamordowanych w walkach toczonych w obronie polskiego Lwowa. Zginęło wówczas 1421 dzieci, a najmłodszy z nich Janek Kukawski miał zaledwie 9 lat. Dlatego w biegu pobiegli tylko 9-latkowie, którzy pokonali dystans 1421 m.

Zarówno start, jak i meta biegu, podobnie jak podczas pierwszej jego edycji, która miała miejsce w 2022 r., zlokalizowane zostały przy Zespole Szkół im. Orłąt Lwowskich w Urzędowie. Rozgrzewkę przed startem poprowadził ks. Marcin Flasiński, wikariusz urzędowskiej parafii, który wraz z wychowawczyniami dwóch oddziałów trze-

cich klas – Elżbietą Winkler i Bernadettą Tokarczyk – towarzyszył dzieciom w biegu. Wspólnie z dziećmi pobiegła także Anna Puacz, przedstawicielka Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz Marta Wójtowicz-Ryba, dyrektor Przedszkola Publicznego w Urzędowie.

Trzeba zaznaczyć, że Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Klub w Urzędowie wraz z jego panią prezes Elżbietą Smolińską na czele mocno zaangażowali się w organizację tego biegu. Wszyscy uczestnicy jeszcze przed startem wyposażeni zostali w pamiątkowe koszulki, a po biegu otrzymali symboliczne medale, dyplomy wraz z podziękowaniami, a także drobne upominki i słodycze przekazane m.in. przez burmistrza Urzędowa czy Starostwo Powiatowe w Kraśniku.



Mali biegacze ze swoimi wychowawcami

W wydarzeniu na zaproszenie urzędowskiego klubu uczestniczyli również Marek Gromaszek – prezes Wojewódzkiego Zarządu Towarzystwa Miłośników Lwowa, Agnieszka Resztak – dyrektor Zespołu Szkół CKZiU im. Orłąt Lwowskich, Ewelina Mielniczek – dyrektor Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. Władysława Jagiełły w Urzędowie wraz z wicedyrektorem Andrzejem Słowikiem, Teresa Kaźmierak – dyrektor Ośrodka Kultury w Urzędowie. Wszyscy wymienieni pomagali prezes Elżbiecie Smolińskiej w dekoracji biegaczy medalami.

Wydarzenie zakończyło się wspólną integracją przy grillowanych kiełbaskach, które dla biegaczy przygotowali członkowie urzędowskiego klubu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. II Bieg Orłąt był wspólnym hołdem oddanym zarówno przez dzieci, jak i dorosłych bohaterom walk o wolność.



Uczestnicy i organizatorzy II Biegu Orłąt



Elżbieta Kuśmiderska

## II Zaduszki Urzędowskie 2023

*Człowiek nie zawdzięcza wszystkiego sobie  
zawdzięcza też wiele tym,  
którzy pojawili się przed nim*

Spotkanie w dniu 11 listopada w sali widowiskowej Ośrodka Kultury w Urzędowie rozpoczęło się piosenką *Miasteczko kochane* w wykonaniu Kazimierza Jagiełły. Po nawiązaniu do „Zaduszek Urzędowskich 2022” Grupa Literacka „Preludium” wspominała o próbie zdobycia informacji z przeszłości Urzędowa w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku przez miłośnika miasta, Tadeusza Wośkowskiego. Z kolei Jan Kowal zaśpiewał piosenkę *Hej, hej Urzędów*.

Celem spotkania było przypomnienie, jak doszło do powstania Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej. Myśl o tym zrodziła się wśród partyzantów na czele z doktorem Mirosławem Bortkiewiczem i Marianem Pastuszewskim. Nastąpiło to podczas spotkania z okazji odsłonięcia tablicy upamiętniającej AK w urzędowskim kościele. W tym momencie na ekranie ukazały się dokumentalne zdjęcia partyzantów i rozległa się pieśń *Hymn Armii Krajowej*.

Człowiekiem, który przekonał urzędowian do powstania TZU, był Tadeusz Moch. Wspierali go: dr Mirosław Bortkiewicz i ks. Aleksander Baca.

Po zatwierdzeniu statutu członkowie Zarządu Koła powołali komitet założycielski TZU. Na jego czele stanął Władysław Gajewski z Bęczydina.

Statut został zatwierdzony 4 października 1984 r. Potem było Walne Zgromadzenie. Zjazd odbył się w dniach 12–13 maja 1985 r. Wybrano Zarząd i prezesa. Został nim prof. Ignacy Wośko. Wówczas wskazano konkretne zadania wynikające ze statutu.

Powstanie TZU zainspirowało Stanisława Gajewskiego do napisania wiersza. Oto jego fragment:

*W naszej zacnej ziemi  
ziemi staropolskiej  
działa Towarzystwo  
Ziemi Urzędowskiej.  
Każdy chętnie się wpisuje,  
bo mu bractwo imponuje.*

*Działalność tej braci  
kluje się niewąsko,  
bo jej kierownikiem  
jest Profesor Wośko.  
On trudnościom nie folguje,  
nawet kości polekuje.*

*A wiceprezesem  
Tadeusz Surdacki.  
Jest to chłopak mądry  
i w wiedzy jest chwacki.  
Błędnych nauk się nie boi,  
bo magistrem jest historii.*

Na pierwszym zjeździe postanowiono, że godłem będzie herb miasta z barankiem. W otoku napis: „TZU. Rok Założenia 1984”.

Po tym stwierdzeniu na ekranie ukazało się zdjęcie uczestników Walnego Zgromadzenia przed „Starościanką”. Podczas uroczystości była przytoczona wypowiedź Zygmunta Mańkowskiego, prof. UMCS, który dzielił się wrażeniami z sesji z 12 i 13 maja 1985 r.: „Nigdy przedtem i potem w kontaktach z regionalistami nie spotkałem takiego klimatu, ani tak skutecznych działaczy”.

Następnie na scenie ukazali się uczniowie pierwszej i czwartej klasy ZSO im. Władysława Jagiełły w Urzędowie. Recytowali wiersz pani Renaty Żuber (ich wychowawczyni), mówiący o najciekawszych zakątkach Urzędowa, obrazowany scenkami z życia miejscowości. Dziewczynki płały z biało-czerwonymi chustami.

W trakcie występu padały pytania dlaczego Urzędów jest jedynym, niezastąpionym miejscem dla ludzi, którzy stąd pochodzą lub są jego mieszkańcami z wyboru. Odpo-



Uczestnicy zjazdu założycielskiego TZU, 12–13 maja 1985 r.

Po tych wypowiedziach usłyszeliśmy wiersz Zygmunta Krasińskiego z *Zakościelnego Ziemia urzędowska* w pięknej interpretacji Józefa Barana, instruktora Ośrodka Kultury w Urzędowie.

Członkowie „Preludium” w dalszej części programu mówili, że ze względu na warunki polityczne, założenia stowarzyszenia urzędowian podjął się Zarząd Gminny ZBoWiD, a statut opracował Tadeusz Moch, autor piosenki partyzanckiej *Wędrował księżyc złoty*, którą wspólnie zaśpiewali uczestnicy wieczoru.

wiedzą na nie były recytowane wiersze Tadeusza Mocha *Urzędowskie chaty* i Sylwestra Budy *Tu zostanę*. Cytowane były wypowiedzi o poczuciu dumy z tego, że się jest urzędowianinem, mieszkańcem tej ziemi, z której wywodzą się trzej jej wybitni synowie: Jan Michałowicz, Marcin z Urzędowa (którego 450. rocznicę śmierci obchodziliśmy w 2023 roku) i Leon Ulrich. Pod adresem TZU kierowane były słowa wdzięczności.

Na koniec Aleksandra Surdacka, urzędowianka i studentka UMCS w Lublinie, wykonała piękną pieśń z repertuaru Jana Pietrzaka *Jest takie*



*miejsce*. Z okazji narodowego święta uczestnicy „Zaduszek” zaśpiewali kilka pieśni przy akompaniamencie niezastąpionego Jana Kowala, instruktora Ośrodka Kultury w Urzędowie.

Organizatorom wspomnień przyświecała myśl o przypomnieniu okoliczności powstania TZU, atmosfery entuzjazmu i wielkiego zapału ludzi do działania na rzecz małej ojczyzny.

Wystąpili: Elżbieta Kuśmiderska, Marianna Parczyńska, Renata Żuber, Urszula Lewandowska, Anna Puacz, Barbara Sajdak, Józef Matysiak, Jan Kowal, Kazimierz Jagiełło, Józef Baran.

*Ewelina Mielniczek*

## Z życia „Jagiellonki”

W ZSO uczymy się, pomagamy, dzielimy się, rywalizujemy, wygrywamy, pamiętamy, promujemy zdrowy styl życia, czytelnictwo i postawy ekologiczne.

W roku szkolnym 2023/2024 do Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. Władysława Jagiełły w Urzędowie uczęszcza ogółem 232 uczniów. W I semestrze uczniowie wraz z nauczycielami wzięli udział w licznych akcjach, konkursach i przedsięwzięciach szkolnych, gminnych, powiatowych, ogólnopolskich, a nawet międzynarodowych.

Nauczyciele podjęli różnorodne działania, inicjatywy, projekty edukacyjne propagujące zdrowy styl życia oraz aktywność fizyczną wśród uczniów. W I półroczu roku szkolnego 2023/2024 nauczyciele zrealizowali działania edukacyjno-wychowawcze na rzecz popularyzowania aktywności fizycznej, takie jak: program edukacyjny Szkolny Klub Sportowy, Klub Sport, udział w II Urzędowskim Biegu im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego oraz w II Biegu Orłąt Lwowskich – zorganizowanym ku pamięci obrońców Lwowa. Uczestniczyliśmy w ogólnopolskiej akcji dotyczącej zdrowego odżywiania „Szkolne przygody

Gangu Mocniaków”. Nasi uczniowie reprezentowali szkołę na zawodach sportowych. Tradycyjnie szkoła wzięła udział w ogólnopolskim programie „Trzymaj Formę”.

Postawy czynienia dobra kształtowane są w działaniach kompleksowych zgodnie z zapisami szkolnego programu wychowawczo-profilaktycznego. Nauczyciele wykorzystują do tego programy nauczania, zajęcia lekcyjne i pozalekcyjne, przygotowują uczniów do konkursów promujących szlachetne postawy ludzi, prowadzą działalność wolontariacką. Organizujemy działania zachęcające do pomagania innym. Działające w ZSO Szkolne Koło Wolontariatu przeprowadziło następujące akcje charytatywne: zbieranie nakrętek, „Pomóż dzieciom przetrwać zimą”, zbieranie makulatury, zbiórka na rzecz Lubelskiego Hospicjum Małego Księcia, porządkowanie nekropolii urzędowskiej przed świętem Wszystkich Świętych oraz zapalenie symbolicznego znicza na grobach nauczycieli i pracowników ZSO.

Uczniowie „Jagiellonki” poznawali postaci wielkich Polaków (np. Czesława Miłosa, Aleksandra Fredry),



uczestniczyli w obchodach świąt państwowych i rocznic, (np. 11 listopada) oraz innych przedsięwzięciach edukacyjno-wychowawczych o charakterze patriotycznym. Ponadto wzięliśmy udział w ogólnopolskiej akcji „Narodowe Czytanie”, następnie „Szkoła do hymnu”. Poprzez udział szkoły w wymienionych przedsięwzięciach kształtowane są takie wartości jak ojczyzna, naród, symbole narodowe, patriotyzm, pamięć, piękno języka, solidarność, wspólnota. Rozbudzanie poczucia miłości do ojczyzny przez szacunek i przywiązanie do tradycji i historii własnego narodu oraz jego osiągnięć, kultury i języka ojczystego to wartości przekazywane naszym uczniom nie tylko na lekcjach historii czy języka polskiego, ale przede wszystkim w naturalny i bezpośredni sposób, czyli umożliwienie młodemu człowiekowi uczestniczenia w różnego rodzaju akcjach i uroczystościach, których celem jest kształtowanie więzi z krajem ojczystym, postawy szacunku i odpowiedzialności za własne państwo.

Nasi uczniowie zwiedzali Polskę w ramach przedsięwzięcia ministra edukacji i nauki „Poznaj Polskę”, których celem było wychowanie historyczno-kulturowe. Zwiedzili Poznań, Wrocław, Warszawę, Sandomierz, Chełm i Kraków.

4 marca 2024 r. społeczność naszej szkoły świętowała Dzień Patrona. Już po raz piąty odbyły się uroczyste obchody Dnia Patrona Szkoły, podczas których cała społeczność szkolna uczestniczyła we mszy św. w intencji uczniów, nauczycieli, pracowników ZSO. W tym dniu zorganizowany został Pokaz Talentów naszych uczniów. Chętne osoby zaprezentowały swoje talenty muzyczne, artystyczne, sportowe. W ramach Dnia Patrona odbył się V Powiatowy Konkurs Historyczny „Jagiellonowie” organizowany przez ZSO im. Władysława Jagiełły w Urzędowie we współpracy ze Starostwem Powiatowym w Kraśniku. Jesteśmy niezmiernie dumni, że nasz konkurs organizowany od 2019 r. cieszy się dużą popularnością wśród młodzieży z terenu powiatu kraśnickiego. Celem konkursu jest popularyzowanie tematyki historycznej, pogłębianie i umacnianie postawy patriotyzmu, szacunku i odpowiedzialności za własne państwo, doskonalenie umiejętności samodzielnego poszukiwania wiedzy oraz korzystania z różnorodnych źródeł informacji. Przede wszystkim jednak pragniemy kształtować u młodych ludzi szacunek do wartości, jak również nawiązywać współpracę ze szkołami z terenu powiatu kraśnickiego.

Dzięki programom rządowym „Aktywna tablica” czy Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa nasza szkoła zyskała nowy sprzęt, pomoce dydaktyczne z zakresu technologii informacyjno-komunikacyjnej. Wzbogacony został również księgozbiór w bibliotece szkolnej.

### **Sukcesy naukowe, artystyczne i sportowe uczniów ZSO im. Władysława Jagiełły w Urzędowie**

**Konkursy organizowane przez Lubelskiego Kuratora Oświaty:**

- konkursy kuratorskie – w pierwszym etapie konkursu wzięło udział 12 uczniów z klas V–VIII.

**Konkursy, programy, akcje, warsztaty o tematyce ekologicznej, zdrowotnej, bezpieczeństwa, czytelniczej, plastycznej, wokalne:**

- PGE Turniej Maszyn Wodnych 2023.

**Ponadto:**

- udział w akcji „Pomóż dzieciom przetrwać zimę” zorganizowany przez Szkolne Koło Wolontariatu;
- udział w Ogólnopolskim Dniu Głośnego Czytania;
- udział w ogólnopolskiej akcji Narodowe Czytanie *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej;
- udział w ogólnopolskiej akcji „Szkoła do hymnu”;
- udział w Ogólnopolskim Programie Edukacyjnym „Trzymaj Formę!”;
- udział w ogólnopolskim projekcie „Fredro w szkole”;
- udział w akcji charytatywnej – przygotowanie i przekazanie stroików na kiermasz misyjny przy kościele parafialnym w Urzędowie;
- udział w ogólnopolskiej akcji „Kolędników Misyjnych”;
- realizacja programu profilaktyczno-wychowawczego pod hasłem: „Uzależnienia okradają!”;
- Międzynarodowy Dzień Kropki,
- 27. Jesienny Konkurs Recytatorski „Sny i marzenia” – udział w eliminacjach gminnych i powiatowych;
- udział uczniów klasy III SP w II Urzędowskim Biegu Orłat Lwowskich;
- Światowy Dzień Tabliczki Mnożenia;
- Mikołajki Matematyczne;
- udział uczennic z kl. VIIIA w Wojewódzkim Projekcie Edukacyjnym im. Marianny Krasnodębskiej „Sprawiedliwi Lubelszczyzny”;
- udział uczniów kl. I w Powiatowym Przeglądzie Kolęd, Pastorałek i Zespołów Kolędniczych w Trzydniku Dużym;
- udział w konkursach powiatowych: „Krzyżówka z zasadami”, „Pszczola to skarb” i „Eko-pszczola”;
- konkurs „Jestem Eko – bądź i TY”;
- II miejsce w Mistrzostwach Powiatu w mini piłce siatkowej „4” dziewcząt i „4” chłopców – Igrzyska Dzieci;
- liczne konkursy w szkole.

**Realizowane były też następujące działania:**

- uroczystość „Leon Ulrich – poeta i patriota” w Ośrodku Kultury w Urzędowie oraz organizacja I Gminnego Konkursu Wiedzy o Leonie Ulrichu;
- obchody Dnia Edukacji Narodowej i Narodowego Święta Niepodległości;
- włączenie się do organizacji 26. spotkania dzieci z parafii Urzędów ze Świętym Mikołajem;
- zaangażowanie uczniów ze Szkolnego Koła Misyjnego w przygotowanie i przeprowadzenie świątecznego kiermaszu misyjnego;
- realizowane są zadania związane z programem wewnątrzszkolnego systemu doradztwa zawodowego oraz programu wychowawczo-profilaktycznego.

Z zakresu promocji szkoły na bieżąco zamieszczane są zdjęcia i informacje związane z ciekawymi działaniami, wydarzeniami szkoły na Facebooku i stronie internetowej ZSO oraz w „Gazecie Urzędowskiej”, „Bractwie” i „Głosie Ziemi Urzędowskiej”.

Leszek Gozdalski

# Kronika wydarzeń 2023 roku

## Styczeń

**01.01.** Na urzędowskim rynku burmistrz miasta wraz z Ośrodkiem Kultury zorganizowali powitanie Nowego Roku.

**06.01.** Orszak Trzech Króli przeszedł przez Urządów.

Po raz 38. panie z KGW gminy Urządów bawiły się na Noworocznym Balu Kobiet.

**15.01.** W Ośrodku Kultury odbył się Kolędowy Koncert Noworoczny. Widzowie oprócz kolęd obejrżeli jasełka w wykonaniu dzieci ze szkoły w Urzędowie, pokazy akrobatyczne i teatralne w wykonaniu dzieci z zespołów działających przy Ośrodku Kultury.

**28.01.** Zespół „Wesołe Nutki” pod kier. Jana Kowala zajął III miejsce, a „Vox Celestis” został wyróżniony w XI Międzypowiatowym Przeglądzie Kolęd, Pastorałek i Widowisk Kolędniczych – Polichna 2023.

## Luty

**26.02.** Na scenie urzędowskiego Ośrodka Kultury wystąpił Amatorski Teatr Towarzyski z Lublina ze spektaklem teatralnym na podstawie dramatu Jerzego Żuławskiego *Dyktator*.

**27.02.–01.03.** W szkołach naszego miasta i gminy odbyły się eliminacje środowiskowe Ogólnopolskiego Turnieju Wiedzy Pożarniczej pod hasłem „Młodzież zapobiega pożarom”.

## Marzec

**03.03.** W Zespole Szkół Ogólnokształcących im. Władysława Jagielly w Urzędowie obchodzono Święto Patrona, podczas którego odbył się finał Powiatowego Konkursu Historycznego „Jagiellonowie”, którego organizatorem był zespół szkół.

**05.03.** Urządów odwiedził wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin.

**07.03.** W kościele w Urzędowie odprawiona została msza św. w intencji majora Hieronima Dekutowskiego „Zapory” oraz wszystkich zaporczyków. Uczestnicy uroczystości złożyli kwiaty przed pomnikiem majora w Bęczynie.

**08.03.** W Dzień Kobiet w Urzędowie z koncertem wystąpił Alberto Amati.

**10.03.** W sali widowiskowej Ośrodka Kultury w Urzędowie została zorganizowana wystawa poświęcona 550. rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika.

**11.03.** Z okazji Ogólnopolskiego Dnia Sołtysa burmistrz Urzędowa zaprosił sołtysów z gminy Urządów na uroczyste spotkanie.

**11–12.03.** Na zawodach w Wilkołazie drużyna OSP z Popkowic została mistrzem powiatu w halowej piłce nożnej drużyn PSP i OSP.

**12.03.** W urzędowskim Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych im. mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory” wzięło udział 200 osób.

**26.03.** Odbył się parafialny kiermasz palm i ozdób świątecznych, z którego dochód został przeznaczony na działalność duszpasterską Kościoła w Ukrainie.

**30.03.** W IX Ogólnopolskim Festiwalu Tańca „Taneeczne Inspiracje” w Biłgoraju wzięły udział dwie grupy taneczne z Ośrodka Kultury w Urzędowie. Grupa najstarsza „STAR LOST” otrzymała wyróżnienie.

## Kwiecień

**02.04.** 18. rocznica śmierci papieża Jana Pawła II, czuwania modlitewne w naszym kościele i marsz wdzięczności za pontyfikat papieża do sanktuarium św. Otylii. Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej wystosowało stanowisko w sprawie obrony dobrego imienia Jana Pawła II.

**07.04.** Na rynku w Urzędowie miało miejsce Misterium Męki Pańskiej.

Drugiego dnia Świąt Wielkanocnych na rynku w Urzędowie strażacy przy użyciu armatek wodnych zorganizowali Śmigus Dyngus.

**14.04.** Na cmentarzu w Szczecinie został uhonorowany odznaką rozpoznawczą 1. Dywizji Pancерnej grób urodzonego w Urzędowie dowódcy 8. Batalionu Strzelców „Krwawe Koszule” płk. Aleksandra Nowaczyńskiego.

**22–23.04.** Na terenie gmin Urządów i Wilkołaz rozegrana została druga edycja zawodów Pucharu Polski w kolarstwie szosowym.

**23.04.** W Ośrodku Kultury w Urzędowie odbył się Wojewódzki Przegląd Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu.

**23.04.** Dwie urzędowskie grupy taneczne „STAR LOST” i „SWAG KIDS” na Turnieju Tanecznym w Tomaszowicach zajęły pierwsze miejsce.

## Maj

**03.05.** Uroczyste obchody Święta Konstytucji 3 Maja w Urzędowie. Po mszy św. odprawionej w intencji Ojczyzny nastąpiło złożenie kwiatów przed pomnikami, a następnie mieszkańcy, młodzież i władze gminy zatańczyli na rynku poloneza.

**06.05.** Na terenie gminy Urządów odbyły się obchody Dnia Strażaka.

**17.05.** W Ośrodku Kultury w Urzędowie odbyły się eliminacje gminne do 42. Małego Konkursu Recytatorskiego, w którym wzięło udział 12 uczestników ze szkół podstawowych gminy Urządów.

**31.05.** Dla Mam i gości wystąpiły dzieci uczęszczające na zajęcia w Ośrodku Kultury w Urzędowie.

Po raz trzeci w Urzędowie na Boże Ciało powstał dywan kwiatowy o długości 45 metrów.



## Czerwiec

- 01.06.** Dzień Dziecka na stadionie w Mikuszewskim.
- 02.06.** Uczennice ze szkoły podstawowej w Urzędowie zostały finalistkami ogólnopolskiego konkursu ziemiańskiego w Krakowie.
- 06.06.** W Ośrodku Kultury miał miejsce VII Międzyszkolny Konkurs Piosenki Angielskiej „YOU CAN SING”, w którym udział wzięli uczniowie szkół podstawowych z gminy Urzędów.
- 18.06.** Na stadionie „Orla Urzędów” 6 drużyn jednostek OSP z terenu gminy Urzędów, w tym jedna żeńska, zmierzyły się podczas zawodów sportowo-pozarniczych. Najlepsi okazali się strażacy z Popkowic.
- 22.06.** W „Józiowej Zagrodzie” w Mikuszewskim odbyło się spotkanie z okazji jubileuszu amatorskiego zespołu „Preludium”, na którym dokonano podsumowania bogatej dziesięcioletniej działalności zespołu.
- 23.06.** Konferencja Naukowa Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej „Budowanie mostów pomiędzy judaizmem a chrześcijaństwem na ziemiach polskich – wczoraj, dziś i jutro” wraz z koncertem utworów żydowskich w wykonaniu zespołu „Szalom Chełm”.
- 25.06.** Pani Janina Wyka obchodziła swoje setne urodziny.
- 25.06.** XV Rodzinny Rajd Rowerowy w Urzędowie.

## Lipiec

- 08.07.** Z inicjatywy Marszałka Województwa Lubelskiego Jarosława Stawiarskiego odbył się w Urzędowie Piknik Europejski.
- 09.07.** W Urzędowie odbył się Festiwal „Maliniaki”.
- 18.07.** Swoje setne urodziny obchodził pan Władysław Jacniacki.
- Home Run – powrót do rodziny* oraz *Siedem minut do północy* to filmy, które można było obejrzeć podczas tegorocznej edycji kina plenerowego na urzędowskim rynku w lipcowe wieczory.

## Sierpień

- 04.08.** Parafianie przyjęli na nocleg pątników z 45. Lubelskiej Pielgrzymki na Jasną Górę.
- 10–13.08.** Koło Miłośników Astronomii im. Jana Heweliusza z Urzędowa wzięło udział w Ogólnopolskim Zlocie Miłośników Astronomii OZMA 2023 w Niedźwiadach koło Bydgoszczy.
- 15.08.** Obchody Święta Wojska Polskiego w Urzędowie.
- 19.08.** Dożynki Gminno-Parafialne w Urzędowie. Podczas dożynek wystąpiły liczne zespoły artystyczne, w tym Zespół Pieśni i Tańca „Jawor” Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie.
- 27.08.** XVI Rodzinny Rajd Rowerowy do kraśnickich wiatraków.

## Wrzesień

- 08–09.09.** Delegacja urzędowskiego samorządu odwiedziła partnerskie miasto Nádudvar na Węgrzech.
- 10.09.** 80. rocznica mordu dokonanego przez Niemców na mieszkańcach Skorczyc – zorganizowane zostało widowisko historyczne przedstawiające tamte tragiczne wydarzenia.
- 12.09.** W Sanktuarium Świętej Otylii w Urzędowie miało miejsce Narodowe Czytanie *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej.
- 28.09.** Na ulicach i placach Urzędowa o godzinie 15.00. wierni odmawiali Koronkę do Miłosierdzia Bożego.

## Październik

- Zakończenie prac konserwatorskich ołtarza Matki Bożej Różańcowej w pracowni w Krzeszowicach i ponowne umieszczenie go w nawie bocznej naszego kościoła.
- W drugą niedzielę października odbył się II Urzędowski Bieg im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego, w którym wzięło udział około 300 zawodników.
- 08.10.** W ramach obchodów Dnia Papieskiego w naszej świątyni odbyło się poetyckie spotkanie artystów związanych z Duszpasterstwem Środowisk Twórczych Archidiecezji Lubelskiej.
- 10.10.** Zorganizowany został przez urzędowski klub Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich „II Bieg Orląt”.
- 12.10.** Burmistrz Urzędowa Paweł Dąbrowski wręczył stypendia za wysokie wyniki w nauce, osiągnięcia naukowe, sportowe oraz artystyczne za rok szkolny 2022/2023. Uroczystość odbyła się w Ośrodku Kultury.

## Listopad

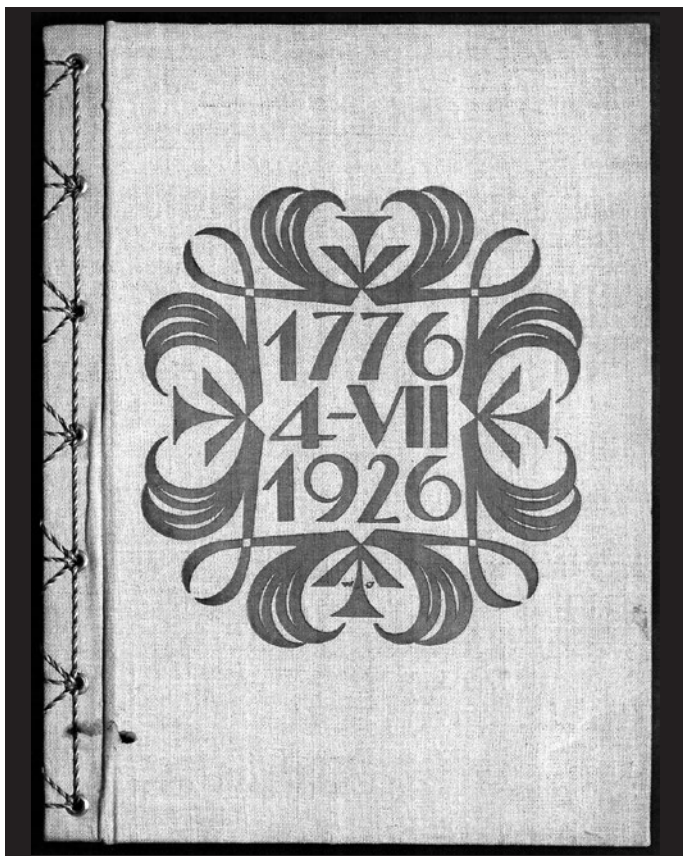
- 09.11.** W Ośrodku Kultury w Urzędowie miał miejsce Jesienny Konkurs Recytatorski. Wzięło w nim udział 17 uczniów szkół podstawowych z terenu gminy Urzędów.
- 09–12.11.** XXXVII Dni Kultury Zdrowotnej w Urzędowie.
- 11.11.** Urzędów w uroczysty sposób obchodził Święto Niepodległości. Uroczystości rozpoczęły się mszą św. odprawioną w intencji Ojczyzny, następnie delegacje złożyły kwiaty przed urzędowskimi pomnikami. W Ośrodku Kultury Grupa Literacka „Preludium” zorganizowała wieczór wspomnień „II Zaduszki Urzędowskie”.

## Grudzień

- 17.12.** Odbył się Świąteczny Kiermasz Misyjny, z którego dochód został przeznaczony na budowę szkoły w Aucayo w Peru.
- Wspólna wigilia dla mieszkańców na Rynku w Urzędowie.







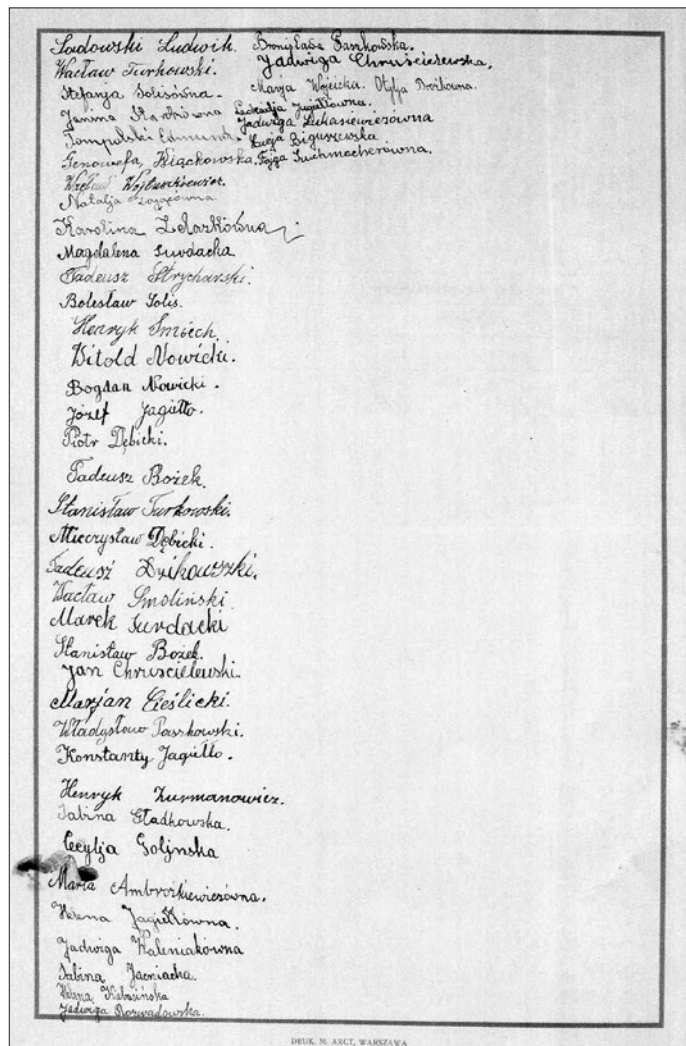
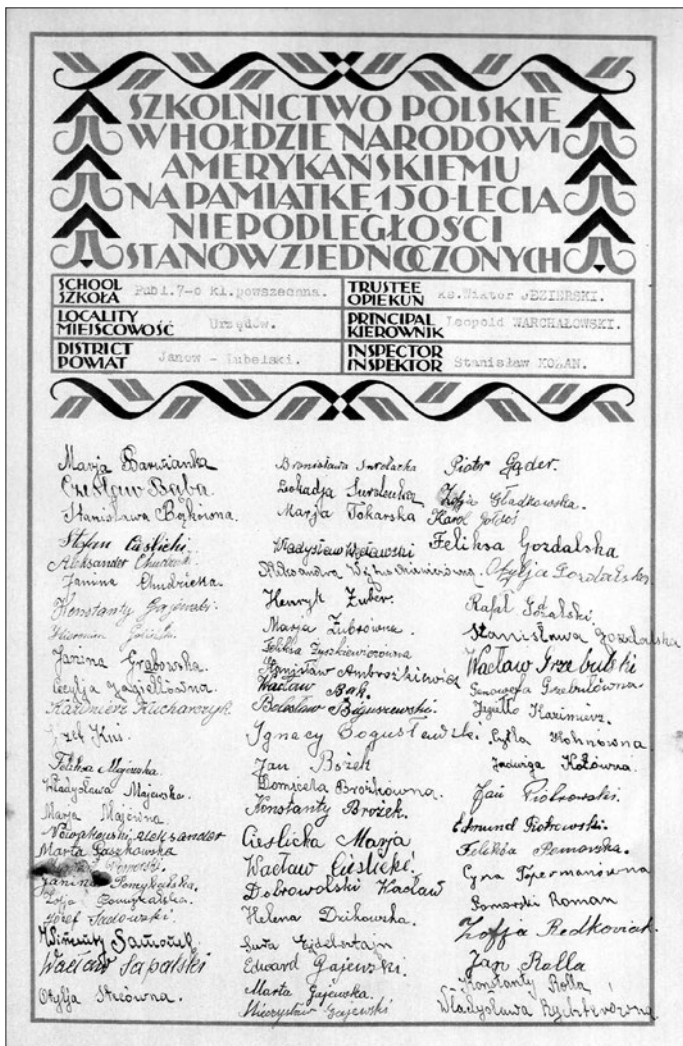
wane. Często wklejano w nie pocztówki, zdjęcia oddziałów klasowych i wierszyki z życzeniami.

Życzenia dla narodu amerykańskiego przekazała także szkoła urzędowska. Obejmują one 4 strony, na których podpisało się 245 uczniów. Kierownikiem szkoły był wtedy Leopold Warchałowski, opiekunem ks. Wiktor Jezierski. Nazwiska uczniów są ciekawym dokumentem epoki. Jako pierwszy podpisał się syn organisty Ludwik Barwa, na następnej karcie pierwszy podpis należy do Marii Barwianki. Niejedna osoba może odnaleźć podpisy swoich przodków. Wśród podpisów są nazwiska osób, które należały do Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej po jego utworzeniu, np. Bolesław Wyrostek, Władysław Gajewski czy wspomniana wcześniej Maria Barwa-Grotkowska.

Większość nazwisk jest znana i występuje w Urzędowie do dnia dzisiejszego. Z kolei uczniowie noszący nazwiska Solis, Rychter, Tompolski czy Winkler bez wątplenia pochodzili z wiosek takich jak Boby czy Mikołajówka i chodzili w owym czasie do szkoły w Urzędowie.

Są też nazwiska uczniów narodowości żydowskiej, które nie są znane dzisiejszym mieszkańcom Urzędowa. Przykłady takich nazwisk to Kohn Jakób Szmul, Chuma Grynglas, Chaja Wurman, Szajndla Szajnfeld, Wagman Maika czy Jajne Frydman.

Redakcja „Głosu” dziękuje panu Franciszkowi Maciukowi za przekazanie dla TZU skanów podpisów uczniów Szkoły Powszechnej w Urzędowie.





Laura Cargo

## Getto żydowskie w Urzędowie 1941–1942

W sierpniu 1939 r. w Urzędowie mieszkało prawie 250 Żydów spośród wszystkich 326 mieszkańców pochodzenia żydowskiego w całej gminie. Pozostali Żydzi mieszkali w okolicznych wsiach. Oddział Wehrmachtu zajął Urzędów 15 września 1939 r., a do 10 października na terenie powiatu janowskiego utworzono niemiecką administrację cywilną, obejmującą również gminę Urzędów. Pod koniec grudnia urzędowskim Żydom nakazano powołanie Rady Żydowskiej (Judenrat). Jej przewodniczącym został Moszek Rychtenberg, mieszkaniec Kraśnika, który dowodził 10-osobową policją żydowską. Manis Szajbrum, cukiernik z Urzędowa, zastępca komendanta policji, w brutalny sposób rekwirował złoto, srebro, rowery i inne przedmioty, których domagały się władze niemieckie. Okupant grudniowym dekretem nałożył na przedstawicieli Rady Żydowskiej w całym powiecie obowiązek sprzedaży po 2 złote białych opasek z niebieską Gwiazdą Dawida i noszenia ich przez Żydów powyżej 10. roku życia. Przybycie 40 nowych osób, głównie wypędzonych w grudniu 1939 r. z Łodzi i uchodźców z Warszawy spowodowało, że w kwietniu 1941 r. liczba ludności żydowskiej wzrosła do 402 osób. Oddział Żydowskiej Samopomocy Społecznej (ŻSS), na którego czele stał Moszek Wajngarten, wynajmował pokoje w polskich domach dla 9 zubożałych rodzin uchodźców (37 osób). 4 maja do Urzędowa przybyli Żydzi z Wąwolnicy, większość z nich pochodziła z Janowa Lubelskiego i Puław, oraz kilku Żydów z Wiednia deportowanych w lutym do Opola Lubelskiego. Kolejni żydowscy uchodźcy przybyli z Lublina. Na dzień

28 maja w Urzędowie przebywało 60 uchodźców przybyłych z innych miast. Konfiskata żydowskiego mienia, wzrost cen żywności w związku ze stacjonowaniem wojsk w dystrykcie lubelskim wiosną 1941 r. w ramach przygotowań do czerwcowej inwazji Niemiec na Związek Radziecki oraz dekret zakazujący Żydom opuszczania miejsc ich zamieszkania gwałtownie zubożyły społeczność żydowską. W lipcu Żydowska Samopomoc Społeczna poprosiła bogatszych Żydów o przygotowywanie codziennych posiłków dla 156 ubogich Żydów. Wśród zamożniejszych znalazło się 10 rzemieślników z pozwoleniem na prowadzenie warsztatów i dziewięciu koncesjonowanych przedsiębiorców, takich jak członek Rady Żydowskiej Hersz Ajdelsztejn i wiedeński uchodźca dr Laschke. Ajdelsztejn otworzył piekarnię, a Laschke gabinet dentystyczny. Do sierpnia 1941 r. na roboty przymusowe zgłaszało się codziennie 40 Żydów z Urzędowa; 71 innych pracowało przy niedokończonych przedwojennych budo-

wach przy drodze Urzędów–Kraśnik. Robotnicy budowlani początkowo pracowali przy budowie osiedla mieszkalnego, zaplanowanego przez przedwojenny rząd polski na potrzeby pracowników nowej fabryki amunicji w Dąbrowie-Bór. Od lipca 1941 r. w pobliżu lasu w Dąbrowie zaczęto budowę leśnych baraków. Kiedy latem 1942 r. Odilo Globocnik, SS und Polizeiführer (SSPF) w Dystrykcie Lublin, podjął decyzję o utworzeniu tam obozu pracy przymusowej Budzyń, obiekty te stały się częścią obozu. Od późnego lata 1941 r. grupy robotników z Urzędowa, nadzorowane przez żydowskich jeńców wojennych z obozu pracy przy ul. Lipowej 7 w Lublinie, doposażały fabrykę amunicji dla firmy Heinkel (Heinkel Werke), która na początku 1942 r. utworzyła zakład naprawy samolotów (Heinkel Flugzeugwerke). Część urzędow-



Grupa Żydów z Urzędowa, 1941 r.

skich Żydów pracowała w tym zakładzie. Potrzeba natychmiastowo dostępnej siły roboczej prawdopodobnie skłoniła Hansa Lenka, Kreishauptmanna z Janowa Lubelskiego, do zamawiania od sierpnia 1941 r. Żydów skupionych w urzędowskim getcie. 4 września Moszek Wajngarten zanotował: „Wybrano już lokalizację getta [dzielnicy żydowskiej]; stan mieszkań jest tak opłakany, że nie można sobie tego wyobrazić”. Getto nie było ogrodzone. 14 maja 1942 r. Maks Kaminer, przewodniczący ŻSS w powiecie janowskim, zauważył, że na terenie powiatu nie było zamkniętych gett. Nie wiadomo czy zgodnie z rozkazem z 1 października 1941 r. wszyscy żydowscy mieszkańcy Bęczyna, Bobów, Ewunina, Moniak, Ostrowa, Popkowic i Zadworza zgłosili się do urzędowskiego getta. Liczba ludności żydowskiej w Urzędowie osiągnęła szczyt pod koniec października. Wzrost nastąpił po tym, jak ŻSS udzieliła pomocy 146 Żydom z gminy Dzierzkowice, a także przygotowywała posiłki dla jeńców



z obozu pracy przy ul. Lipowej 7 pracujących w fabryce Heinkel. Aby uświadomić kierownictwu Żydowskiej Samopomocy Społecznej nowe obowiązki urzędowskiego oddziału, Wajngarten włączył Żydów z Dzierzkowic do populacji Urzędowa i tym samym odnotował zwiększoną populację żydowską wynoszącą 549 osób. W październiku 1941 r. Rada Żydowska pod przewodnictwem Hersza Fogiela reprezentowała dzierzkowickich Żydów co najmniej do końca listopada. Większość więźniów przybywała do getta wyłącznie z rzeczami osobistymi. Nieodpowiednia odzież i warunki mieszkaniowe oraz prymitywne warunki w miejscach pracy, a także zarządzenie z listopada 1941 r. zabraniające Żydom z Generalnej Guberni opuszczania bez zezwolenia terenu ich miejsca zamieszkania spowodowały wzrost zachorowań na tyfus, odmrożenia i choroby związane z głodem. W listopadzie zimno i głód pochłonęły życie 6 Żydów urzędowskich. Kolejnych 18 trafiło do żydowskich szpitali w Lublinie, Janowie Lubelskim i Kwiatkowicach. Dwóch Żydów wysłanych do Lublina przybyło z tak poważnymi odmrożeniami, że zmarli w wyniku powikłań spowodowanych gangreną. Od połowy października 1941 r. ŻSS zbierała fundusze od Żydów spoza getta w Urzędowie na zakup materiałów do przebudowy jednego z domów w getcie w celu dostosowania go do zimowych warunków. Ponieważ w grudniu Hans Frank zarządził karę śmierci dla Żydów, którzy naruszyli zakaz przemieszczania się, przywódcy ŻSS wykorzystali okazję stworzoną przez Kreishauptmanna Lenka, który w październiku rozszerzył przydziały ziemniaków i kaszy dla niepracujących Żydów, aby założyć kuchnię społeczną. Jednak po zawieszeniu przez Lenka w lutym racji żywnościowych dla niepracujących Żydów (i Polaków), ŻSS zmuszona do działania na wolnym rynku, mogła sobie pozwolić na wyżywienie zaledwie 30 osób dziennie. Aby zapewnić uboższemu dostęp do żywności, Rada Żydowska w kwietniu zorganizowała prace w rolnictwie w pobliskim majątku dla około 70–100 dzieci, kobiet, osób starszych i bezrobotnych. Rada Żydowska prawdopodobnie wierzyła, że praca ta, która rozpoczęła się około 15 kwietnia 1942 r. może uchronić społeczność przed wybiórczą deportacją, jak to miało miejsce w Kraśniku trzy dni wcześniej, podczas której 2040 osób głównie starszych, dzieci i bezrobotnych wysłano do obozu zagłady w Bełżcu. Helena (Ajdelstejn) Erlich twierdzi, że jeńcy z obozu przy ul. Lipowej 7, regularnie goszczący w jej domu, poinformowali Radę Żydowską, że Niemcy zabijają Żydów w Bełżcu. W rezultacie ojciec Ajdelstejn wyrobił jej fałszywe dokumenty tożsamości i zorganizował w październiku przemyt jeńców wojennych do Lublina w celu

znalezienia jej pracy. Wraz z rozszerzeniem Akcji Reinhardt na powiat janowski, Arbeitsamt (urząd pracy) w Lublinie zwiększył liczebność obozów pracy, aby zatrzymać „użytecznych” Żydów. W dniu 25 maja 1942 r. do obozu w Janiszowie skierowano 30 Żydów z Urzędowa. Po utworzeniu w tym samym tygodniu w Kraśniku pierwszego w mieście zamkniętego obozu pracy, wśród 180 internowanych tam rzemieślników (głównie stolarzy) znalazło się około 12 urzędowskich Żydów. Więźniowie początkowo pracowali na budowach i wykonywali meble dla firmy Schmitt&Junke, która posiadała kontrakt na budowę budynku biurowego i remont innych biur potrzebnych w związku z planowaną przeprowadzką władz powiatu do Kraśnika. W tym samym miesiącu 35 Żydów z Urzędowa zostało wysłanych do innych obozów pracy. Prawdopodobnie 14 października 1942 r. władze niemieckie nakazały Żydom zebrać się następnego dnia rano na rynku, jednak tego dnia zebrała się tylko niewielka grupa. Dwaj esesmani nakazali pracownikom fabryki Heinkel i robotnikom budowlanym zgłosić się z rodzinami do niedawno ukończonego obozu w Budzynie, a pozostałym Żydom do getta w Kraśniku. Kolejnego dnia żołnierze SS przeprowadzili Żydów z kraśnickiego getta, w tym Żydów z Urzędowa i innych gmin, na stację kolejową i wepchnęli ich do pociągów jadących do Bełżca. Wszyscy Żydzi po przybyciu do obozu zostali skierowani do komór gazowych. Kilka dni później SS zatrzymało robotników budowlanych z Urzędowa, pracowników Heinkla i szereg innych osób, w tym młode kobiety jako więźniów obozu. Rodzinom więźniów nakazano spanie w barakach oznaczonych jako „obóz specjalny”. Kilka dni później SS poprowadziło rodziny więźniów na stację kolejową w Kraśniku i ich również wysłano do Bełżca. Większość tych, którzy zdołali uciec zginęła w kolejnych miesiącach. Tylko nieliczni znaleźli schronienie u miejscowej ludności polskiej lub przetrwali dzięki fałszywym dokumentom jako robotnicy przymusowi w Rzeszy. Ponad połowa z około 15 urzędowskich Żydów, którzy przeżyli wojnę pod okupacją niemiecką, była więźniami Budzynie lub obozów w Janiszowie i Kraśniku. Wydaje się, że żaden z tych, którzy przeżyli wojnę nie mieszkał w getcie urzędowskim.

Artykuł pochodzi z książki *Encyclopedia of Camps and Ghettos, 1933–1945*, volume II. W dotychczasowych publikacjach na temat Żydów w Urzędowie nie omawiano getta. Jest to pierwsza praca, która informuje o getcie w Urzędowie na podstawie dokumentacji archiwalnej przede wszystkim akt ŻSS (Żydowskiej Samopomocy Społecznej) dla Urzędowa znajdujących się w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego oraz ustnymi zeznaniami ocalałych Żydów z Urzędowa: Heleny (Ajdelstejn) Erlich i Garego Flumenbauma. Tekst do druku przygotował Maciej Jastrzębski.

Dariusz Wajs

# Miejsce Pamięci Narodowej – łąka przy ulicy Wójtowicza w Zakrzówku – miejsce egzekucji 21 mężczyzn w dniu 25 października 1943 r.

## Tło egzekucji

W dniu 2 października 1943 r. Generalny Gubernator dr Hans Frank wydał Rozporządzenie celem zwalczania zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie. W paragrafie pierwszym czytamy: „Osoby nie będące Niemcami, które w zamiarze utrudniania lub przeszkadzania w niemieckim dziele odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie uchybiają ustawom, rozporządzeniom lub zarządzeniom i dyspozycjom władz, podlegają karze śmierci”, a w drugim: „Podlegacz i pomocnik podlegają karze tak jak sprawca, czyn usiłowany jest karalny tak jak czyn dokonany”. Ten akt prawny dawał okupantom możliwość karania za jakikolwiek opór przeciwko niemu. Dokument wszedł w życie 10 października 1943 r.

Początek października 1943 r., jak i cały miesiąc październik tegoż roku na terenie gminy Zakrzówek był niezwykle gorący nie tylko ze względu na dobrą, jak na tę porę roku, pogodę. Na początku miesiąca, między 10 a 14 października uprowadzono i zamordowano wójta gminy burmistrza Franciszka Synoradzkiego wraz z żoną Gertrudą. Czynu tego jak można przeczytać w aktach dotyczących powojennego postępowania przeciwko ówczesnemu komisarzowi kontyngentowemu Franciszkowi Kuli mogli dokonać partyzanci Gwardii Ludowej. To oczywiście tylko hipoteza.

Bezpośrednim powodem do wykorzystania przez okupantów w praktyce tego dokumentu była aktywność partyzantów Narodowych Sił Zbrojnych, którzy prowadzili akcje zaczepne przeciwko Niemcom. 22 października 1943 r. oddziały Wacława Piotrowskiego ps. Cichy oraz Leona Cybulskiego ps. Znicz rozbroili 9 Niemców z pododdziału ochrony zbiorów (w niemieckim raporcie mowa o 1 rannym plutonowym i 1 rannym szeregowcu), zabierając im broń. Dzień później, 23 października, w Wilkołazie ostrzelano samochód żandarmerii polowej. Natomiast 24 października w Blinowie niemiecki pododdział ochrony zbiorów został zaatakowany przez partyzantów, ranny został jeden z Niemców. Henryk Kawęcki wspominał, że pamięta pogrzeb dwóch zabitych w Sulowie policjantów, ale nie znajdujemy śladu w dokumentach z tego czasu, taki pogrzeb dwóch policjantów odbył się w Zakrzówku pod koniec marca 1943 r.

Te akcje partyzantów spowodowały reakcję władz okupacyjnych. Rozpoczęły się aresztowania. Wit Szymanek pisał, że aresztowań dokonano w dniach 21–22

października. We wspomnieniach Marii Grudzińskiej z d. Buczyńskiej ps. Czajka, wnuczki Stefana Nastaja i siostrzenicy żony Henryka Kazanowskiego wynika, że obaj zostali aresztowani jeszcze we wrześniu. Powodem aresztowania obu mężczyzn mógł być fakt, że zięciem Nastaja i szwagrem Kazanowskiego był Stanisław Kucharski ps. Krzemień, komendant Placówki Zakrzówek Narodowych Sił Zbrojnych. W domu Nastaja znajdował się również punkt powielania „Narodowca”, a także radiostacja, którą, podobnie jak powielacz i maszynę do pisania, udało się ukryć przed Niemcami. Kazanowskiego aresztowano przypadkowo, gdyż mieszkał w Lublinie i był w Zakrzówku tylko w odwiedzinach. Aresztowano także Władysława Pudło, naczelnika poczty w Zakrzówku. Być może był on informatorem dla partyzantów, gdyż przez pocztę szły meldunki dla władz gminnych i tylko one wiedziały, że wówczas przez Sulów będzie przejeżdżał oddział niemiecki. W sferze domysłów pozostaje, czy źródłem informacji na temat nielegalnych, w mniemaniu okupanta, kontaktów Władysława Pudło z partyzantami był jego zastępca, będący jednym z wysiedleńców z Kraju Warty. Aresztowani trafili następnie prawdopodobnie do aresztu w Kraśniku, potem do aresztu gestapo na ulicy Uniwersyteckiej w Lublinie (słynna katownia „Pod Zegarem”), a następnie do więzienia na Zamku w Lublinie.

## Egzekucja

Egzekucji dokonano 25 października 1943 r. Zagadką pozostaje, czy przygotowano na potrzeby egzekucji tzw. obwieszczenie śmierci, czyli plakaty z przyczyną egzekucji oraz listą osób wyznaczonych do rozstrzelania. Przebieg kaźni znamy z relacji Władysława Adamiaka, który był nauczycielem w miejscowej szkole powszechnej oraz bezpośrednim świadkiem egzekucji, którą, jak wspominał W. Adamiak, poprzedziła wizyta Niemców w Urzędzie Gminy (na ówczesnej Viktorii Strasse, obecnie Wójtowicza, wcześniej Piłsudskiego do 1942 r.) około południa. Może to świadczyć, że decyzja o egzekucji zapadła nagle. Autor relacji wspominał także, że spotkał ówczesnego burmistrza Ludwika Jarzęckiego, który powiedział mu, że ludność Zakrzówka ma stawić się na łące naprzeciwko pobliskiego młyna, znajdującego się na tej samej ulicy co Urząd Gminy. Egzekucja miała odbyć się pomiędzy godziną 15 a 16.

O wyznaczonej porze pojawiły się samochody niemieckie, w tym autobus (lub ciężarówka z tzw. paką przykrytą



plandeką – relacje nie są zgodne) z więźniami. Wśród więźniów byli m.in. naczelnik poczty Władysław Pudło, Stefan Nastaj oraz jego zięć Henryk Kazanowski. Byli to zakładnicy z więzienia na Zamku w Lublinie.

Egzekucja rozpoczęła się od odczytania wyroku doraźnego sądu, który skazał zakładników na śmierć. W wyroku była mowa, według relacji Adamiaka, że dokonano w okolicy Zakrzówka napadu na dwóch Niemców, których raniono i pozbawiono broni. Dokładnie chodziło o wspomnianą akcję oddziałów NSZ pod dowództwem „Cichego” i „Znicza” w dniu 22 października, kiedy to w Sulowie partyzanci rozbili 9 Niemców, a 2 z nich zostało ranionych. W jednej z ankiet zebranych przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce jako przyczynę egzekucji braci Adolfa i Czesława Bałaszów z Urzędowa podano przynależność obu do Armii Krajowej.

Następnie 19 więźniów, skutych kajdanami, wyprowadzono z autobusu więziennego (lub samochodu „z paką”) i ustawiono w szeregu, a naprzeciwko nich stanął pluton egzekucyjny. Dowodzący akcją dał komendę do strzału. Jedni według relacji zginęli od razu, innych ciała jeszcze podrygiwały, leżąc na ziemi. Oficer dowodzący akcją osobiście dobijał skazanych strzałem w głowę. Potwierdzeniem relacji pana Adamiaka może być fotografia leżącego w trumnie Władysława Pudła, na którego głowie widoczne są ślady po postrzale.

O tym, że decyzja o egzekucji była nagła może świadczyć fakt, że w relacji pana Adamiaka pojawia się informacja, że Niemcy rozważali także dołączenie do skazanych Władysława Adamiaka, kierownika szkoły Tadeusza Kuśmiderskiego oraz urzędnika gminnego, wcześniej wysiedlonego z Wielkopolski (w relacji nazywanego „Poznaniakiem”). Warto jednak zauważyć, że była to pierwsza egzekucja, której „podstawą prawną” był wspomniany dekret Hansa Franka z 2 października 1943 r.

Po egzekucji rozstrzelanym zdjęto kajdany, a następnie umyto ciała w strumieniu, który przepływał pod mostem.

W sprawie pochówku rozstrzelanych relacje nie są spójne. Praktyką stosowaną przez Niemców był pochówek ofiar egzekucji na miejscu i takie pierwotnie polecenie prawdopodobnie wydano w tym przypadku. Rodziny ofiar miały jednak wystarać się u burmistrza Ludwika Jarzęckiego o możliwość pochówku ofiar na cmentarzu w Zakrzówku. Tak też się stało. Ofiary pochowano bez trumien, z wyjątkiem Władysława Pudła. Pozostałych dopiero po pewnym czasie pod osłoną nocy włożono do trumien. Nie wiemy, czy rodziny ofiar spoza Zakrzówka zabrały ciała swoich bliskich na rodzinne cmentarze zaraz po tych wydarzeniach (jak zanotował Tadeusz Kuśmiderski w swoim sprawozdaniu) czy już po wojnie. Do dzisiaj na cmentarzu w Zakrzówku w osobnych mogiłach spoczywają: Władysław Pudło, Stefan Nastaj, Henryk Kazanowski, Michał Zięba (Ziembra) i Józef Wójcik.

Przez długi czas trwała dyskusja ile osób rozstrzelano w czasie egzekucji z 25 października 1943 r. W relacji Władysława Adamiaka pada liczba 19 rozstrzelanych, podobnie jak w sprawozdaniu Tadeusza Kuśmiderskiego dla Inspektora Szkolnego w Kraśniku.

Opracowana przez niego lista zawierała nazwiska:

1. Bożek, l. 23, Urzędów
2. Bałaszek, l. 20, Urzędów
3. Bałaszek, l. 24, Urzędów
4. Rzepecki Stanisław, l. 45, Urzędów
5. Rzepecki, l. 20, Urzędów
6. Pudło Władysław, l. 38, Zakrzówek
7. Nastaj Stefan, l. 63, Zakrzówek
8. Kazanowski Henryk, l. 34, Zakrzówek (winno być Lublin)
9. Zięba Michał, l. 40, Zakrzówek
10. Hofmann Czesław, l. 34, wysiedleńca z Poznańskiego
11. Pasztaleniec Aleksander, l. 25, Modliborzyce
- 12.–19. N.N.

W życiorysie Marii Grudzińskiej, wnuczki Stefana Nastaja pojawia się informacja, że rozstrzelanych było 21 osób. Kustoszem pamięci o egzekucji z 25 października 1943 r. został Adam Pudło (syn Władysława), który przez lata próbował ustalić kompletną listę zamordowanych na łące w Zakrzówku. Po wieloletniej korespondencji z Instytutem Pamięi Narodowej Oddział w Lublinie i własnych poszukiwaniach udało mu się potwierdzić, że rozstrzelano wówczas 21 mężczyzn (prawdopodobnie tę listę przekazała do IPN Maria Grudzińska).

1. Bałaszek Adolf, 21 l., Urzędów
2. Bałaszek Czesław, 23 l., Urzędów
3. Brożek Stanisław, 29 l., Urzędów
4. Rzepecki Stanisław, 46 l., Urzędów
5. Rzepecki Zbigniew Ryszard, 19 l., Urzędów
6. Barczak Kazimierz, 53 l., Wilkołaz
7. Ciążela Stanisław, 53 l., Wilkołaz
8. Ciołek Józef, 27 l., Wilkołaz
9. Hofman Czesław, 37 l., Wilkołaz
10. Janczarek Bolesław, 22 l., Wilkołaz
11. Kotwica Waław, 27 l., Wilkołaz
12. Pelak Józef, 33 l., Wilkołaz
13. Wójcik Józef, 32 l., Wilkołaz
14. Zagaj Józef, 33 l., Wilkołaz
15. Kazanowski Henryk, 34 l., Zakrzówek
16. Nastaj Stefan, 62 l., Zakrzówek
17. Pudło Władysław, 38 l., Zakrzówek
18. Zięba Michał, 44 l., Zakrzówek
19. Pasztaleniec Aleksander, 25 l., Modliborzyce
20. Nieznany – Modliborzyce
21. Nieznany – Modliborzyce

Na podstawie pisma IPN znak BULu-5531-114/09 z dn. 30.09.2009 r. adresowanego do pana Adama Pudła.

## Dzieje miejsca pamięci

Już od zakończenia wojny miejscowa ludność zatroszczyła się o upamiętnienie ofiar rozstrzelanych przez Niemców 25 października 1943 r. Pierwotną formą upamiętnienia miejsca kaźni był brzozywy krzyż ustawiony na niewielkim kurhanie usypanym z ziemi, nazywanym także kopcem.

Tradycją miejscową stały się nabożeństwa żałobne w dniu 2 listopada (Dzień Zaduszny), które odprawiali przy udziale wiernych miejscowi duszpasterze parafialni.

Zwykle wówczas m.in. modlono się wspólnie na różańcu, a wierni mogli wysłuchać nacechowanych patriotycznie homilii. Nabożeństwo z 1966 r., które odprawiał wówczas ks. Kazimierz Pińciurek, ówczesny wikariusz, stało się obiektem zainteresowania Służby Bezpieczeństwa.

W 1966 r. Gromadzka Rada Narodowa w Zakrzówku w miejsce kurhanu ustawiła płytę z betonu. Jak można zauważyć na fotografiach z tego okresu, była ona otoczona łańcuchem, a co najistotniejsze nie zawierała żadnych inskrypcji.

Upamiętnienie ofiar egzekucji na łące zyskało obecną formę w 1983 r. Gminna Rada Narodowa w Zakrzówku zleciła wówczas miejscowemu nauczycielowi plastyki i rzeźbiarzowi Zbigniewowi Nasiłowskiemu wykonanie płyty z piaskowca. Na tablicy wykuto inskrypcję następującej treści:

25 PAŹDZIERNIKA 1943 ROKU W TYM MIEJSCU  
ZGINĘLI Z RĄK HITLEROWSKICH OPRAWCÓW:  
KAZANOWSKI HENRYK, NASTAJ STEFAN, PUDŁO  
WŁADYSŁAW, ZIEMBA MICHAŁ – ZAKRZÓWEK  
BARCZAK KAZIMIERZ, CIEŻELA STANISŁAW,  
CIOŁEK JÓZEF, HOFMAN CZESŁAW, JANCZAREK  
BOLESŁAW, KOTWICA WACŁAW, PELAK JÓZEF,  
WÓJCIK JÓZEF, ZAGAJ JÓZEF – WILKOŁAZ  
BAŁASZEK ADOLF, BAŁASZEK CZESŁAW, BROŻEK  
STANISŁAW, RZEPECKI RYSZARD, RZEPECKI  
STANISŁAW – URZĘDÓW  
W HOŁDZIE POMORDOWANYM SPOŁECZEŃSTWO  
GMINY ZAKRZÓWEK W ROKU 1983

#### Bibliografia:

##### Źródła:

Archiwum Państwowe w Lublinie Oddział w Kraśniku, Inspektorat Szkolny w Kraśniku, Sprawozdania szkół z terenu powiatu kraśnickiego o popełnionych zbrodniach niemieckich w czasie II wojny światowej, sygn. 402, k. 96.

Oddziałowe Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Lublinie. Akta w sprawie karnej przeciwko Leon Cybulski, sygn. IPN Lu 571/2, t.1, k. 55.

Oddziałowe Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Lublinie, Ankiety Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Lublinie zebrane w latach 1969–1973 dotyczące miejsc i faktów zbrodni hitlerowskich na terenie pow. Kraśnik, gr. Urzędów (Mikuszewskie, Urzędów), gr. Zaklików (Borów, Baraki Nowe, Łysaków, Irena, Łążek Zaklikowski, Zaklików), gr. Zakrzówek (Bystrzyca, Kolonia Lipno, Majdan, Studzianki, Sulów, Zakrzówek), sygn. IPN Lu 501/40, k. 239.

Archiwum Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych Okręgu Lubelskiego, Życiorys Marii Grudzińskiej z d. Buczyńskiej ps. Czajka.

*Rejestr miejsc i faktów zbrodni popełnionych przez okupanta hitlerowskiego na ziemiach polskich w latach 1939–1945*, Warszawa 1985.

Adamiak W., *25 października 1943 r. w Zakrzówku*, „Regionalista” 1997, nr 8, s. 20.

*Walka zbrojna i działalność polskiego ruchu oporu w świetle dokumentów niemieckich 1939–1945*, oprac. J. Gmitruk, P. Matusak, Warszawa 2018, s. 442, 446.

##### Opracowania:

Chodakiewicz M. A., *Narodowe Siły Zbrojne. „Ząb” przeciw dwu wrogom*, Warszawa 1999.

*Egzekucja w Zakrzówku 25 października 1943 r. Historia miejsca pamięci narodowej*, oprac. G. Okoń i in., Zakrzówek 2011.

*Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie 1939–1944*, red. Z. Mańkowski, Lublin 1988.

Szymanek W., *Na marginesie wspomnień Pana Władysława Adamiaka*, „Regionalista” 1997, nr 8, s. 20–21.

Artykuł ukazał się w biuletynie „Więści Zakrzowieckie” 2023, nr 3, wydawanym przez Centrum Kultury i Biblioteki w Gminie Zakrzówek.

*Erazm Gałkowski*

## 80. rocznica zbiorowej egzekucji w Zakrzówku

W nieodległym od Urzędowa Zakrzówku 25 października 1943 r. w godzinach popołudniowych Niemcy okupanci dokonali zbiorowej, publicznej egzekucji na grupie 21 mężczyzn z Zakrzówka, Modliborzyc, Urzędowa i Wilkołaza.

Pamięć o tym tragicznym wydarzeniu nie została zapomniana przez mieszkańców Zakrzówka i po zakończeniu wojny upamiętnili ofiary niemieckiej zbrodni. Jak pisze pan Dariusz Wajs w swoim artykule w „Więściach Zakrzowieckich”, w miejscu kaźni miejscowa ludność ustawiła brzozywy krzyż na usypanym z ziemi kurhanie, a miejscową tradycją stały się nabożeństwa żałobne odprawiane w dniu 2 listopada. W 1966 r. władze Zakrzówka w miejscu kurhanu ustawiły betonową







Rafał Surdacki

## „Krwawe Koszule” podpułkownika Aleksandra Nowaczyńskiego

W grudniu 1943 r. podpułkownik Aleksander Nowaczyński, pochodzący z Urzędowa, objął dowództwo nad 8. batalionem strzelców, który został sformowany w Wielkiej Brytanii i wchodził w skład 3. Brygady Strzelców, należącej do 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka. Ten oddział przeszedł cały szlak bojowy dywizji, rozpoczynając od Normandii, przez Belgię i Holandię, aż do zakończenia walk w niemieckim Wilhelmshaven. Jednak już na początku swojej wojennej historii, w trakcie walk w Normandii, batalion otrzymał przydomek „Krwawe Koszule”.

### „Wszystko co we mnie szlachetne i prawe wyniosłem z urzędowskiej chałupy”

Aleksander Nowaczyński urodził się 24 listopada 1900 r. w Urzędowie, w rodzinie Józefa i Marianny z domu Chudzicka. Jego rodzice zajmowali się rolnictwem, posiadając kilkumorgowe gospodarstwo. Mimo że Aleksander miał trzy siostry i był jedynym potomkiem w linii męskiej, który mógłby kontynuować działalność rolniczą, jego matka od samego początku chciała skierować go ku nauce. Początkowo uczył się w rodzinnym domu, poznając polską literaturę i historię, a następnie uczęszczał do miejscowej szkoły powszechnej (ludowej). Niestety, wybuch I wojny światowej i spalenie Urzędowa przez Rosjan w 1915 r. przerwały dalszą naukę Aleksandra Nowaczyńskiego.

Po wyparciu Rosjan, pod rządami austriackimi, Nowaczyński podjął pracę jako sekretarz w urzędzie gminy. W tej roli, jako szesnastoletni młodzieniec, nawiązał kontakty z Polską Organizacją Wojskową (POW) – tajną organizacją zbrojną, która powstała w Królestwie Polskim z inicjatywy Józefa Piłsudskiego. Celem POW było dążenie do niepodległości Polski oraz przygotowanie przyszłych kadr dla jej armii. Organizacja prowadziła szkolenia wojskowe oraz podejmowała działania wywiadowcze i dywersyjne. Za działalność w POW Nowaczyński był poszukiwany przez austriacką żandarmerię i zmuszony był ukrywać się. Unikając władz, nadal utrzymywał aktywne kontakty w ramach konspiracji.

Jesienią 1918 r. stało się jasne, że państwa centralne przegrywają. POW podjęło zbrojne działania przeciwko okupantom. 2 listopada 1918 r. Nowaczyński wziął udział w mobilizacji urzędowskiej placówki POW i rozbrojeniu austriackich posterunków żandarmerii w Urzędowie, Dzierzkowicach oraz Olbęcinie. Dzień później w Kraśniku bez walki rozbrojono garnizon austrowęgierski i przejęto lokalne koszary wojskowe. Następnie kontynuowano rozbrajanie mniejszych posterunków żandarmerii w okolicznych miejscowościach, takich jak Gościeradów, Karpiówka czy Szastarka. Oddział POW wyruszył dalej

do Lublina, gdzie odbyła się uroczystość zaprzysiężenia oddziałów POW. „Tam po raz pierwszy, na żołnierskiej zbiórce usłyszałem hymn polski *Jeszcze Polska nie zginęła* – wspominał po latach Nowaczyński – Niejednemu z nas spływały po policzkach łzy radości”.

Działalność w strukturach wojskowych POW skierowała osiemnastoletniego Aleksandra Nowaczyńskiego na ścieżkę kontynuowania kariery wojskowej. Jeszcze w listopadzie 1918 r. ochotniczo dołączył do oddziału, który formował mjr Waław Scaevola-Wieczorkiewicz. Jego celem było wsparcie polskich sił walczących przeciwko Ukraińcom we Lwowie. Po zakończeniu tych walk, Nowaczyński, nadal pod dowództwem Scaevoli-Wieczorkiewicza, tym razem jako część 23. pułku piechoty, wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej.

W kwietniu 1920 r. brał udział w działaniach w ramach tzw. polskiej ofensywy kijowskiej, zajmując miasta takie jak Żytomierz i Kijów. Następnie, od czerwca 1920 r., uczestniczył w trudnych walkach w czasie odwrotu przed bolszewicką 1. Armią Konną pod dowództwem Siemiona Budionnego, w tym bitwach pod Równem, Zamościem i Wieprzem. Podczas bitwy warszawskiej 23. pułk piechoty miał za zadanie osłonić lewe skrzydło polskiej grupy uderzeniowej dowodzonej przez Piłsudskiego, a po przełamaniu frontu kontynuował pościg za wycofującymi się wojskami bolszewickimi. Ostatecznym akordem tej służby wojennej Nowaczyńskiego był udział w operacji niemeńskiej w październiku 1920 r., która zakończyła się skutecznym oskrzydleniem części Armii Czerwonej w rejonie Grodna.

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej Nowaczyński, ze względu na swoje zasługi na polu walki, otrzymał propozycję służby zawodowej. W styczniu 1921 r. został skierowany do Szkoły Oficerskiej w Bydgoszczy. Po ukończeniu szkoły w 1923 r., w stopniu porucznika, objął dowództwo plutonu w 23. pułku piechoty, który stacjonował we Włodzimierzu Wołyńskim. W latach 1924–1928 pełnił funkcję referenta w Dowództwie Okręgu Korpusu II w Lublinie. Wiosną 1929 r. otrzymał nominację na dowódcę kompanii w 36. pułku piechoty Legii Akademickiej w Warszawie. Warto podkreślić, że poza szkoleniem, pułk ten pełnił służbę reprezentacyjną i garnizonową na terenie stolicy. Żołnierze tego pułku pełnili służbę honorową przy Grobie Nieznanego Żołnierza, wystawiali wartę garnizonową, a także tworzyli kompanię honorową podczas powitania i pożegnania gości zagranicznych, uroczystych defilad, ceremonii pogrzebowych i innych podobnych uroczystości.

W 1930 r. Aleksander Nowaczyński awansował na stopień kapitana i został przeniesiony do 28. Dywizji Piechoty, gdzie objął stanowisko szefa sztabu. Po pięciu latach powrócił do 36. pułku piechoty, gdzie ponownie



został dowódcą kompanii. W marcu 1939 r. otrzymał awans na stopień majora i nowe zadanie – został I zastępcą dowódcy Batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza w Skalacie, którego głównym zadaniem było strzeżenie granicy polsko-radzieckiej.

W ramach służby w batalionie KOP, Nowaczyński wziął udział w obronie II Rzeczypospolitej podczas wojny obronnej w 1939 r. Przygotowywał się do obrony wschodnich terytoriów kraju. 14 września został przeniesiony do Zaleszczyk, gdzie objął stanowisko komendanta miasta. Pełniąc tę funkcję, kierował ewakuacją ludności przez granicę z Rumunią. Ta nominacja okazała się kluczowa, ponieważ uratowała go przed sowieckim więzieniem i potencjalną egzekucją w miejscu masowych mordów, takich jak Katyń, Charków czy Kijów-Bykownia, gdzie zamordowano wielu oficerów i podoficerów z batalionu KOP „Skalat”.

Gdy 17 września 1939 r. wojska sowieckie przekroczyły wschodnią granicę II Rzeczypospolitej, mjr Nowaczyński nadal kierował ewakuacją w kierunku Rumunii. 18 września, jak wspomina Jerzy Goliński w książce *Płk Aleksander Nowaczyński 1900–1990*: „Jednostki radzieckie szybko zbliżyły się do miasta. [...] Kiedy tak stał przed mostem pełen wahań i bólu, usłyszał narastający warkot silników czołgowych, nie miał wątpliwości, że to są czołgi radzieckie. Wtedy samotnie wszedł na most i postanowił przejść miarowym krokiem na drugą stronę, nie oglądając się”.

Po przekroczeniu granicy polsko-rumuńskiej, tak jak wszyscy polscy żołnierze, Aleksander Nowaczyński został internowany i osadzony w obozie w Călimănești, znajdującym się na południu Rumunii, nad rzeką Aluta. Uciekł z internowania i w początkach 1940 r. zdołał przedostać się przez Jugosławię i Grecję do Francji, gdzie natychmiast dołączył do powstającego Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Władysława Sikorskiego. Otrzymał przydział do 10. Brygady Kawalerii Pancernej, która formowała się w rejonie Orange-Bollene. Tam objął stanowisko dowódcy szwadronu w dywizjonie przeciwpancernym. Niestety, ze względu na opóźnienia mobilizacyjne jego dywizjon nie wziął udziału w walkach w obronie Francji i został ewakuowany do Wielkiej Brytanii.

Po przybyciu do Anglii w listopadzie 1940 r., mjr Nowaczyński został dowódcą Pociągu Pancernego „H”, który działał w ramach III Dywizjonu Pociągów Pancernych w okolicach Canterbury. Głównym zadaniem pociągów pancernych było patrolowanie linii kolejowych, zwalczanie spodziewanych desantów powietrznych oraz zapewnienie wsparcia ogniowego w razie niemieckiego desantu morskiego. Pełniły one służbę patrolową głównie w nocy i nad ranem.

Gdy w 1941 r. zagrożenie niemiecką inwazją minęło, mjr Aleksander Nowaczyński został przeniesiony do formowanej 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej (1. SBS) pod dowództwem gen. Stanisława Sosabowskiego. Była to pierwsza duża jednostka powietrznodesantowa w historii Polskich Sił Zbrojnych. Początkowo miała wziąć udział w walkach w Polsce, ale ostatecznie została użyta przez aliantów w operacji „Market Garden” w Holandii. Mjr Nowaczyński został początkowo przydzielony

jako komendant Centrum Wyszkożenia Spadochronowego Samodzielnej Brygady Spadochronowej przy Oddziale VI Sztabu Naczelnego Wodza, które znajdowało się w pobliżu miejscowości Leven. To centrum, znane także jako „Largo House”, było miejscem przeszkolenia polskich żołnierzy przydzielanych do 1. SBS oraz kandydatów na tzw. cichociemnych – specjalnie wyszkolonych oficerów, których następnie przetrzymywano do Polski drogą lotniczą, aby wspierali działalność konspiracyjną.



**Dowódca 8. batalionu strzelców  
ppłk Aleksander Nowaczyński  
(Zbiory autora)**

wspomnieniach zatytułowanych *Od podwoły do czołga* pisał: „Z wdzięcznością wziąłem na dowódców 3 oficerów brygady spadochronowej, którzy z powodu przekroczonego wieku dla spadochroniarzy byli bez przydziału, a to: ppłk Z. Szydłowski, ppłk Complak i ppłk Nowaczyński, którzy w krótkim czasie cudów dokazali, stwarzając pod każdym względem podciągnięte jednostki przewożonej piechoty. Tym bardziej to godne podkreślenia, że nie mogli przebierać w ludziach, przyjmując wszystko, co napływało do oddziału, a i tak nie wypełniało 100 procent etatów”.

Batalion dowodzony przez mjr. Nowaczyńskiego został sformowany w Szkocji 16 czerwca 1942 r. jako 1. batalion strzelców w ramach Grupy Wojsk Wsparcia 1. Dywizji Pancerniej. W listopadzie 1943 r. batalion zmienił numerację, co było bezpośrednio związane z przeformowaniem całej dywizji na nowy, brytyjski etat wojenny. W skład 1. Dywizji Pancerniej weszła nie tylko brygada pancerna, ale także piechota zmotoryzowana, tworząca 3. Brygadę Piechoty, w której skład wchodził 1. batalion strzelców podhalańskich, 8. batalion strzelców, 9. batalion strzelców flandryjskich oraz 1. samodzielny szwadron CKM.

Sukcesy we wprowadzeniu tych zmian organizacyjnych oraz w szkoleniu żołnierzy, w tym zgraniu pomiędzy różnymi batalionami, były kluczowe, ponieważ od nich zależało dopuszczenie polskiej dywizji do walki z Niemcami. Polskim oficerom i żołnierzom udało się spiąć wszystkie elementy wyszkolenia i ukończyć certyfikację. 19 marca

W marcu 1943 r. majora Aleksandra Nowaczyńskiego przeniesiono na stanowisko dowódcy 3. batalionu spadochronowego. Następnie, zgodnie z rozkazem Szefa Sztabu Naczelnego Wodza, Nowaczyński z dniem 1 grudnia 1943 r. objął dowództwo 8. batalionu strzelców wchodzącego w skład 1. Dywizji Pancerniej. To ważne wydarzenie zostało później ocenione przez gen. Stanisława Maczka, który w swoich

1944 r. polska 1. Dywizja Pancerna otrzymała oficjalny rozkaz mobilizacyjny. Natomiast z dniem 1 marca 1944 r. Aleksander Nowaczyński za swoje sukcesy organizacyjne został awansowany do stopnia podpułkownika.

### *What a bloody shirt!*

Pod koniec lipca 1944 r., 1. Dywizja Pancerna generała Maczka została przetransportowana w kilku etapach do Normandii. Jej lądowanie miało miejsce w Courseulles-sur-Mer, na obszarze plaży „Juno”. 8 sierpnia 1944 r., dywizja ta włączyła się w działania bojowe jako część 1. Armii Kanadyjskiej podczas operacji „Totalize”. Wspólnie z 4. Kanadyjską Dywizją Pancerną podjęła natarcie wzdłuż drogi Caen–Falaise. Te intensywne walki, trwające od 8 do 21 sierpnia 1944 r., doprowadziły do przełamania niemieckiej obrony w Normandii i umożliwiły sojusznicznym siłom dotarcie nad Sekwanę, a później w okolice rzeki Ren. W trakcie tych operacji, znaczne siły niemieckie, w tym Grupa Armii B z 7. Armią i 5. Armią Pancerną (*Panzergruppe West*), zostały okrążone przez aliantów zachodnich. Wówczas generał Montgomery, dowodzący siłami lądowymi, skomentował bitwę w kotle pod Falaise słowami: „Niemcy byli jak w butelce, a polska dywizja była korkiem, który ich w niej zamknął”.



Na szlaku normandzkim, ppłk A. Nowaczyński w środku w hełmie (Zbiory autora)

W tym okresie, 8. batalion strzelców pod dowództwem ppłk. Aleksandra Nowaczyńskiego, wkrótce po rozpoczęciu walk z Niemcami, zdobył niezwykle przydomek – „Krwawe Koszule”. W literaturze przedmiotu istnieją różne historie jego powstania, ale wszystkie związane są z heroizmem Polaków w Normandii oraz odnoszą się do rany dowódcy batalionu, którą odniósł w czasie walk.

Pełniący wówczas funkcję zastępcy dowódcy 10. Brygady Kawalerii płk Franciszek Skibiński, po wielu latach w swoich wspomnieniach zatytułowanych *Pierwsza Pancerna* wspominał, że „na to samo wzgórze [chodzi o wzgórze 159 w rejonie Norrey-En-Auge – przyp. aut.] przybył również dowódca 8. batalionu podpułkownik Nowaczyński, który przed chwilą dostał odłamkiem pocisku w twarz. Rana była nieszkodliwa, ale cały przód koszuli Aleksandra był zalany krwią. Maczek mu nadał wtedy przydomek »Krwawa Koszula«, który błyskawicznie rozszerzył się na cały batalion. Żołnierze zaczęli natychmiast

nosić na szyi czerwone chustki. I tak zostało”. – dalej Skibiński opisywał – „Rozmawiałem wtedy z Nowaczyńskim, który powiedział, że nie rozumie, jak my – pancerni – możemy włączyć do czołgów i jechać w nich w ogień. Przecież to są jeżdżące wspólne mogiły! Piechur, w razie czego, buch na matkę-ziemię i już jest bezpieczny. Za żadne pieniądze nie chciałby wojować w takiej trumnie”.



Niemiecka kolumna zniszczona przez Polaków na Mont Ormel w czasie walk w Normandii (Źródło: Wikimedia Commons)

Pułkownik Władysław Dec, ówczesny dowódca 3. Brygady Strzelców (w jego składzie walczył 8. batalion Nowaczyńskiego), opisał w swoich wspomnieniach zatytułowanych *Narwik i Falaise* inną wersję genezy tego przydomku. Pisał, że Nowaczyński „był zażywny, więc mocno krwawił. Krew kapłała mu na koszulę i krzepnąc utworzyła na niej wielkie, czerwone plamy. Zmienić koszuli nie mógł, bo cały jego dobytek spalił się 14 sierpnia w zbombardowanym taborze. Przypadkowo przejeżdżali tamtędy Kanadyjczycy: – *What a bloody shirt!* – Jaka krwawa koszula! – powiedział jeden do drugiego”. To zatem sugeruje, że przydomek został nadany przez sojuszników, a nie przez dowódcę dywizji pancerniej.

Jako ciekawostkę warto dodać, że płk Dec w swoich wspomnieniach zwraca uwagę na fakt, że ppłk Nowaczyński nie mógł zmienić koszuli z powodu bombardowania, które dotknęło oddziały maczkowców. To nieszczęsne zdarzenie miało miejsce dwukrotnie. Już 8 sierpnia 1944 r., jeszcze zanim Polacy rozpoczęli walkę, doświadczyli ciężkich strat w wyniku amerykańskich nalotów. W wyniku tych ataków zginęło 8 polskich żołnierzy, a 28 odniosło rany. Natomiast w podobnym nalocie 14 sierpnia 1944 roku około 50 Polaków straciło życie, a 150 zostało rannych. W jednym z tych „sojusznicznych” bombardowań spłonął cały tabor batalionu, razem z osobistymi rzeczami ppłk. Nowaczyńskiego. Nie bez przyczyny wśród żołnierzy mawiano wówczas, że „kiedy Luftwaffe bombarduje, to chowają się Alianci; kiedy RAF bombarduje, to chowają się Niemcy; a kiedy bombardują Amerykanie, to wszyscy się chowają”.

Wracając jednak do głównego wątku, warto przywołać również opis z kroniki 8. batalionu strzelców, która o powstaniu przydomku informuje, że: „na szczycie wzgórza



262 [w polskiej historiografii określa się je przydomkiem „Maczuga” – przyp. aut.] stoją ppłk. N.[owaczyński Aleksander] d-ca Baonu i d-ca czołgów kanadyjskich. W milczeniu patrzą na pobojowisko. Na skrwawionych mundurach khaki – szmaragdowo-granatowe proporczyki. Zniekształcone twarze szczerzą zęby w pośmiertnym uśmiechu. Kadłuby, ręce, nogi... Odłupane głowy ociekają krwią. Na korzeniach wywalonych drzew, chwieją się czyjeś jelita. Tu oblane krwią nosze, tam szczątki działa p-panc. Obok rura pękniętego moździerzka w kurczowym uścisku zabitego celowniczego. Na środku kilka czarnych okopconych Shermanów [amerykańskie czołgi używane m.in. w 1. DPanc. gen. Maczka]. Z wieżyczki zwisa przechylony tułów. Na pół spalone ręce zwisły w bezruchu. Opuszczone ciemne lufy, niby długimi palcami wskazują na czarno-białe krzyże żelaznych trumien niemieckich załóg. – To nasze gospodarstwo – ruchem ręki wskazuje »Baca« [w ówczesnym języku wojskowym kryptonim dowódcy]. Kanadyjczyk spojrział w zmęczone oczy pułkownika, na jego głowę w zakrwawionym bandażu, na plamy krwi stężałe na koszuli khaki, jeszcze raz powiódł okiem po pobojowisku i rzekł: *Bloody job – and bloody shirts, but done well*”. Jak wynika z tej relacji, autor kroniki potwierdza, że to Kanadyjczycy nadali batalionowi ten przydomek, choć różni się od innych wersji co do czasu i miejsca jego nadania.

Niezależnie od tego, która historia jest prawdziwa, po 19 sierpnia 1944 r. przydomek „Krwawe Koszule” stał się stałą częścią tożsamości 8. batalionu strzelców. Z biegiem czasu stał się on oficjalną nazwą batalionu, używaną również przez Brytyjczyków i Kanadyjczyków. Żołnierze natomiast szybko przyjęli noszenie charakterystycznych czerwonych szalików, co znacząco wyróżniało ich spośród innych żołnierzy 1. Dywizji Pancerniej gen. Maczka. Zgodnie z tradycją batalionową, pierwszy „krwawy szalik” należało wykonać ze zdobycznego niemieckiego sztandaru (Blutfahne – czerwona flaga z czarną swastyką na białym tle), drugi mógł zostać wręczony przez ukochaną dziewczynę, a dopiero trzeci można było nabyć samodzielnie.

### ***Bevrijd door de Polen!*** **– Dziękujemy Wam Polacy!**

Po zakończeniu działań w Normandii, 1. Dywizja Pancerna pod dowództwem gen. Stanisława Maczka ruszyła dalej, wyzwalając północno-wschodnią Francję, Belgię i Holandię. Polacy odnieśli sukcesy w Abbeville, Saint-Omer i Cassel we Francji, Ypres, Gandawie i Antwerpii w Belgii, a także w Bredzie w Holandii, kończąc swoją kampanię w Niemczech. W maju 1945 r. dywizja przyjęła kapitulację niemieckiego garnizonu w Wilhelmshaven. Podczas wyzwalań zachodnich miast, Maczkowcy starali się unikać zbędnych zniszczeń i ofiar wśród ludności cywilnej, co przyniosło im uznanie i wdzięczność setek tysięcy ludzi.

W uznaniu za szybkie wyzwolenie Bredy, które odbyło się prawie bez strat wśród ludności cywilnej i infrastruktury miasta między 28 a 30 października 1944 r., mieszkańcy tego holenderskiego miasta ufundowali sztandar wojskowy dla batalionu dowodzonego przez

ppłk. Nowaczyńskiego. Na sztandarze wyhaftowane zostały herby Normandii, Flandrii, Brabantu, miasta Bredy i Akcji Katolickiej. Na czerwonym tle polskiego krzyża kawalerskiego umieszczono nazwy miejscowości związanych z historią batalionu, takie jak Maczuga 262, Gandawa, Breda i Wilhelmshaven. Na wstędze umieszczono dewizę w języku holenderskim: *Den Vaderland Getrouwe* – „Wierny Ojczyźnie”. Wręczenie sztandaru miało miejsce 29 listopada 1945 r. na dziedzińcu Królewskiej Akademii Wojskowej przy asyście żołnierzy całego 8. batalionu strzelców oraz kompanii honorowej brytyjskiej i holenderskiej. Po uroczystej defiladzie w wykonaniu żołnierzy „Krwawych Koszul” holenderski minister obrony narodowej wyraził swój podziw, mówiąc, że „jest zupełnym niepodobieństwem, aby nasze wojsko zdołało kiedykolwiek osiągnąć tak wspaniałą poziom i postawę, aby tak maszerować trzeba tego stanu psychicznego jaki ma żołnierz polski, a ten jest nieporównany”.



Żołnierz z 1. Dywizji Pancerniej witany owacyjnie w wyzwolonej Bredzie w 1944 r. (Źródło: Wikimedia Commons)

Związek miasta Breda z 8. batalionem strzelców zaowocował również nadaniem żołnierzom specjalnej odznaki, którą mogli nosić na prawym rękawie już od listopada 1944 r., jako wyraz wdzięczności burmistrza Bredy. Odznaka ta przedstawiała herb miasta na czerwonym tle tarczy, z trzema haftowanymi srebrnymi krzyżykami św. Andrzeja. Oficjalne uznanie dla tej odznaki nastąpiło później, wraz z rozkazem Szefa Sztabu Głównego z 13 czerwca 1946 r., choć żołnierze batalionu z dumą nosili ją na swoich mundurach już wcześniej.

### **„Żołnierz polski walczy o wolność wszystkich narodów, ale umiera tylko dla Polski”**

„Krwawe Koszule” ppłk. Nowaczyńskiego przeszły przez cały szlak bojowy 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka, biorąc udział w operacjach we Francji, Belgii, Holandii i Niemczech. Podczas tych walk batalion ponosił ciężkie straty: 187 żołnierzy poległo, 632 zostało rannych, a 6 zaginęło w akcji. Utracono także 31 pojazdów gąsienicowych, jedno działo i 22 motocykle. Szacuje

się, że batalion wziął do niewoli 2915 jeńców. „Krwawe Koszule” otrzymały wiele odznaczeń, zarówno polskich, jak i zagranicznych. Wśród wyróżnień znalazło się 30 Krzyży Orderu Virtuti Militari V klasy, 288 Krzyży Walecznych (w tym 38 dwukrotnych i 2 trzykrotne), 88 Krzyży Zasługi z Mieczami, brytyjski order *Distinguished Service Order* (DSO), dwa *Military Cross* (MC), dwa *Military Medal* (MM), dwa francuskie odznaczenia *Croix de Guerre* (Krzyż Wojenny) oraz wiele innych niższej rangi.



Stanisław Maczek podczas dowodzenia dywizją w 1944 r. (Źródło: Wikimedia Commons)

Aleksander Nowaczyński był postrzegany jako dobry i odważny dowódca. Potrafił być blisko frontu, inspirując swoich żołnierzy i dając im wsparcie moralne. Po latach Piotr Juralewicz, żołnierz 8. baonu strzelców, wspominał: „po mojej rekonwalescencji przysłał żołnierza do szpitala, by zapytać, jak się miewam”. O niezwyklej odwadze ppłk. Nowaczyńskiego mogą świadczyć również liczne odznaczenia wojenne, w tym Krzyż Walecznych, Krzyż Virtuti Militari czy wysokie odznaczenia holenderskie (m.in. Medal Brązowego Lwa) oraz brytyjskie (Order Wybitnej Służby). W uzasadnieniu tego ostatniego możemy przeczytać, że 14 kwietnia 1945 r. w czasie walk w Holandii dwie kompanie 8. batalionu strzelców atakowały silnie bronioną pozycję niemiecką znajdującą się w zrujnowanej fabryce. Pomimo bardzo ciężkiego ostrzału moździerzy, karabinów maszynowych i snajperów, ppłk Nowaczyński osobiście poprowadził je do ataku na pozycję wroga: „całkowicie lekceważąc niebezpieczeństwo i ignorując ogień wroga, prowadził swoich ludzi z odwagą i rozwagą, będąc inspiracją dla wszystkich. W końcowej fazie ataku ppłk Nowaczyński na czele swoich dwóch kompanii szturmował pozycję wroga oraz z kilkoma swoimi ludźmi jako pierwszy dotarł do pozycji nieprzyjaciela. Pozostali żołnierze widząc wśród siebie dowódcę batalionu podczas ataku na pozycję nieprzyjaciela, cały czas narażeni na ciężki ostrzał nieprzyjaciela, ruszyli naprzód i z wielką determinacją szturmowali silnie bronione pozycje wroga, zadając mu ciężkie straty. Przez całą akcję ppłk Nowaczyński dał wspaniały przykład

oddania obowiązkom i nieprzeciętnego męstwa na polu bitwy i odegrał kluczową rolę w doprowadzeniu operacji do pomyślnego zakończenia”. Jego odwaga była doceniana przez innych żołnierzy, a liczne odznaczenia były tylko tego potwierdzeniem.

Po zakończeniu działań wojennych i demobilizacji żołnierzy 1. Dywizji Pancerniej, Aleksander Nowaczyński zdecydował się na powrót do Polski wraz z rodziną (żoną i synem). Po latach wspominał: „Nie miałem dylematu. Postanowiłem wrócić do ojczyzny, bo wychodziłem z założenia, że cokolwiek bym zrobił, nawet coś najmniejszego a pożytecznego to zostanie w Polsce”. Jednak, po powrocie, napotkał na trudności ze strony komunistycznych władz.

Po powrocie w 1948 r. osiedlił się w okolicach Siedlec i, jako wojskowy, próbował kontynuować swoją karierę, zgłaszając się do dyspozycji Ministerstwa Obrony Narodowej. Niestety, komunistyczne władze niechętnie przyjmowały do swoich szeregów oficerów tzw. londyńskiego wojska. Warto wspomnieć, że 26 września 1946 r. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej w Warszawie pozbawił obywatelstwa polskiego 76 oficerów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, w tym gen. Stanisława Maczka.

Po braku odpowiedzi ze strony wojska na jego prośbę, postanowił przenieść się do Szczecina, gdzie podjął pracę w Urzędzie Morskim. Jednak już w maju 1950 r. otrzymał wypowiedzenie z pracy bez uzasadnienia. „Jesienią tego roku w godzinach popołudniowych – jak przypomina sobie jego syn Roman – pod dom, w którym mieszkali podjechał czarny citroen i dwu »smutnych panów« w skórzanych płaszczach weszło do mieszkania. Płk Nowaczyński – Kawaler Orderu Virtuti Militari mógł tylko założyć płaszcz i buty. Pojmano go jak przestępcę. Przesłuchania w areszcie śledczym UB trwały kilka dni. Później przez kilka miesięcy musiał codziennie meldować się w urzędzie”. Ponadto przez długi okres pozostawał bez zatrudnienia. Dopiero pod koniec 1952 r. udało mu się znaleźć pracę w Przedsiębiorstwie Transportu Samochodowego Łączności w Szczecinie, gdzie pracował do momentu przejścia na emeryturę.

Później, po odwilży z 1956 r., Nowaczyński zaangażował się w działalność kombatancką, organizując m.in. Koło Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Wspierał różne uroczystości rocznicowe, konferencje i zjazdy byłych żołnierzy polskich sił zbrojnych. Był bardzo aktywny w kształtowaniu prawdziwej historii Polski i przekazywaniu dziedzictwa bojowego Wojska Polskiego na Zachodzie.

Kapitan Waław Kotkański, żołnierz września 1939 r., woldenberczyk, profesor historii, współtowarzysz powojennej działalności kombatanckiej, mówił o Nowaczyńskim jako o żołnierzu, który uosabiał te cnoty przedwojennego wojska, które płynęły z wartości podstawowych hasła „Bóg–Honor–Ojczyzna”: „One to dawały silny kręgosłup moralny, etykę postępowania i poczucie godności oficera i żołnierza oraz bezgraniczne poświęcenie w służbie dla ojczyzny” – wspominał.

Aleksander Nowaczyński zmarł 18 kwietnia 1990 r. i spoczął na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.



Marian Surdacki

## Zanim powstały *Dzieje Urzędowa* były „Pyłki monograficzne...”

W roku 1926 ukazała się pierwsza zwarta publikacja, może bardziej broszura, licząca 80 stron, dotycząca Urzędowa: *Sprawozdanie zarządu Publicznej 7-mio klasowej Szkoły Powszechnej „Jagiellońskiej” w Urzędowie. Za rok szkolny 1925/26*. Wydano ją nakładem Zarządu tejże szkoły, przy inicjatywie ówczesnego jej kierownika Leopolda Warchałowskiego. Materiał zamieszczony w tym drobnym wydawnictwie posiada już dzisiaj charakter źródłowy i historyczny, dlatego, wobec praktycznie już jej niedostępności, warto go będzie z czasem przedrukowywać na łamach „Głosu Ziemi Urzędowskiej”. Osobiście korzystałem z egzemplarza mocno zniszczonego, w niektórych partiach zawierającego luki treściowe (dziury spowodowane przez insekty).

Wśród kilku zamieszczonych tekstów na szczególną uwagę zasługuje szkic Leopolda Warchałowskiego pt. *Pyłki monograficzne Urzędowa* (s. 23–43). Nie licząc hasła Roberta Przegalińskiego, opublikowanego w 1892 r. w *Polskim słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* (t. 12, Warszawa 1892, s. 823–827), esej kierownika „Jagiellonki” jawi się jako pierwszy poważniejszy przyczynek do opracowania dziejów Urzędowa. Przy jego pisaniu autorowi przyświecały przesłanki edukacyjno-pedagogiczne, konkretnie troska o wychowanie młodego pokolenia w duchu tożsamości nie tylko narodowo-patriotycznej w szerokim znaczeniu, ale przede wszystkim w lokalnej, regionalnej. Można powiedzieć, że hołdował on idei „małych ojczyzn”, a jedną z takich dla niego w momencie pracy nauczycielskiej był Urzędów. Wychodził on zresztą naprzeciw programowi nauki historii w szkołach powszechnych, wydanemu przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, który przewidywał obowiązkowe pogłębianie nauki o „naszej miejscowości” w klasie III. Utrzymywał, że wyjściem do poznania przeszłości, teraźniejszości i przyszłości narodu polskiego ma być poznanie dziejów własnej miejscowości, w której się przyszło na świat, w której się dorasta, a w życiu dorosłym spełnia swoje obywatelskie obowiązki. Poniżej przytaczamy duży fragment jego wywodu:

*Przecież do szczęścia lub nieszczęścia Ojczyzny przyczynili się nie tylko królowie, sławni wodzowie czy rycerze, nie tylko najznakomitsi w narodzie, ale każdy obywatel, a więc i obywatel urzędowski. Z tym więc obywatelem, z tą ziemią, na której ów obywatel żył i żyje, dziecko zaznajomić się musi, bo to mu najbliższe. Miejscowość rodzinna – to mała, najbliższa Ojczyzna, to cząstka jednej, wielkiej, wspólnej Ojczyzny.*

*Każde dziecko już w pierwszych latach nauki, a czasem nawet w wieku przedszkolnym, uczy się wiersza „Co to jest Ojczyzna?”. Miło też patrzeć na jasne główki dziecięce, świdrujące słuchacza niebieskimi*

*oczkami, miło słuchać dzieci, wypowiadających wiersz Konopnickiej:*

*Ojczyzna moja – to ta ziemia droga,  
Gdziem ujrzał słońce i gdziem poznał Boga,  
Gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła  
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.*

*W tym wierszu kryje się wielka prawda i głęboka myśl. Tam jest dla dzieci nasza pierwsza lekcja historii. Należy tylko rozwinąć myśl i naprawdę uczynić tak, aby dziecko poznało najbliższe otoczenie, a po zaznajomieniu się dziecka z przedmiotem i pokochaniu historii – przejść do rzeczy dalszych. Nauka zatem miejscowości rodzinnej jest podstawą [...]. Rodzi się jednak pytanie – skąd wziąć odpowiednie podręczniki, gdzie dowiedzieć się o przeszłości każdego zaułka wielkiej ojcowizny? Oto właśnie i wielki szkopuł. Mamy monografie, ale tylko wielkich miast i niektórych ziem, dalej pozostawieni jesteśmy sami sobie, a uczyć trzeba.*

*Dział „nasza miejscowość” jest zwyczajnym utrapieniem dla nauczycielstwa, jak i wychowanków. Nauczyciel, który przyszedł z drugiego krańca Państwa, rozpoczynając pracę wie, że z tą miejscowością, w której uczy, ma dziatwę zaznajomić. Brak mu jednak materiału. Poleca zatem dzieciom dowiedzieć się od rodziców, znajomych i każe spisać owe wiadomości w zeszytcie. Dzieci wykonują polecenie, ale jak? Zapytani mówią lub odczytują z zeszytów to wszystko, czego dowiedzieli się, a więc – co się stało w ostatnim roku lub nawet w ostatnich latach, najdalej jednak owe zebrane wiadomości sięgają wojny światowej. A więc wojna, strzały, pożar, Prusacy, Austriacy, Moskale, szpitale, głód, rekwizycje, zbrodnie... i tyle! To jednak nie wystarcza, stanowczo nie wystarcza! [...] Sprawa zatem dość trudna, ale – nie do niewykonania, chociaż pewnie do urzeczywistnienia i lata są potrzebne.*

*Jako wychowawca-pedagog rozumiem doniosłość tej sprawy i dlatego też, przystępując do opracowania sprawozdania za ubiegły rok szkolny, postanowiłem – w bardzo co prawda skromnych ramach – zająć się tą sprawą. Nie piszę zatem monografii, a nawet „szkicu monografii”, ale drobiazgi, „pyłki monograficzne Urzędowa”. „Pyłki” mają na celu rozbudzenie u rodziców naszych wychowanków zainteresowania i obudzenie konieczności zbierania wiadomości, dotyczących się naszej miejscowości. „Pyłki” mają być pierwszym krokiem przedwstępnym do opracowania monografii Urzędowa. Opracowanie monografii jest rzeczą niełatwą, ale też i niezbyt trudną, o ile są potrzebne materiały. Trzeba mieć trochę dobrej woli i ukochania pracy. Wiem, że w Urzędowie są takie osoby, które mają wiele materiału, tylko spożytkować go nie chcą, czy też nie mają sposobności, lub też może przez egoizm nie chcą się z nikim podzielić. Biercie się zatem Szanowni Czytelnicy do pracy, do zbierania materiału*

monograficznego! Piszcie sami, o ile nie chcecie się podzielić zebranymi wiadomościami, ale te wiadomości podajcie co prędzej nam, nauczycielom i wychowankom naszym, a waszym dzieciom. Podajcie nam jak chcecie, ale nie ukrywajcie tego pod korcem. Szkoła nasza na ogłoszenie monografii drukiem gotowa jest dać część pieniędzy i jak najdalej idącą pracę, byleby monografia była. Wierzę, że monografia kiedyś będzie, a nawet powiadam, że musi być. Śmiało powiadam „musi być”, bo tego wymaga dobro dzieci Waszych, tego domaga się świetna przeszłość Urzędowa. Chociaż w sprawach osobistych, prywatnych jestem pesymistą, jednakże w sprawach społecznych, w sprawach ogółu społeczeństwa jestem optymistą i dlatego wierzę niezachwianie, że znajdą się w Urzędowie ludzie dobrej woli i zajmą się tak palącą sprawą, jaką jest sprawa wydania monografii Urzędowa. Dałby Bóg, by stało się to jak najrychlej.

Leopold Warchałowski (urodził się 19 maja 1896 r. w Stanisławowie, zmarł 11 kwietnia 1966 r.), choć pełnił funkcję kierownika szkoły w Urzędowie zaledwie kilka lat, to jednak odcisnął na niej wyraźne piętno, jak i na całej miejscowości. Przed przyjazdem do Urzędowa był nauczycielem 7-klasowej szkoły w Ostrowcu. Z dniem 1 października 1923 r. powierzono mu tymczasowo kierownictwo szkoły w Urzędowie. Zorganizował w niej świetlicę, koło Polskiego Czerwonego Krzyża, bibliotekę oraz drużynę harcerską. Z jego inicjatywy położono płytę na mogile legionistów, uchwalono fundusz stypendialny im. Leona Hempla oraz wzniesiono pomnik Orłąt Lwowskich na Wałach. Kierownikiem szkoły urzędowskiej był do 29 marca 1927 r., potem odszedł na stanowisko tymczasowego inspektora szkolnego w Lubartowie\*.

Niewątpliwą zasługą Leopolda Warchałowskiego było publiczne uświadomienie potrzeby stworzenia monografii Urzędowa. Jego wizja takiego opracowania była jeszcze nieco zbyt prosta i optymistyczna. Nie posiadał jeszcze jej przemyślanej naukowej koncepcji i wewnętrznej struktury, nie dostrzegał potrzeby zaangażowania grupy osób profesjonalnie i metodologicznie do tego przygotowanych; trudno zresztą o takich było w dopiero co odrodzonej i integrującej się Polsce. Uważał, że wystarczy do tego entuzjazm i pozytywne nastawienie; „trzeba mieć trochę dobrej woli i ukochania pracy” – pisał. Liczył, że każdy z mieszkańców swoją wiedzą i zbieraniem materiałów może przyczynić się do powstania monografii, której ostateczne opracowanie powierzał nauczycielom, a wydanie funduszom szkolnym. Trochę jak wyrzut brzmi zdanie o „osobach, które mają wiele materiału, tylko spożytkować go nie chcą, czy też nie mają sposobności, lub też może przez egoizm nie chcą się z nikim podzielić”. I tu na myśl przychodzi postać Aleksandra Golińskiego, (czyżby o nim myślał?), bo nie sposób, by nie słyszał o jego kolekcjonerskich pasjach, zamięłowaniu do historii i gromadzonych zbiorach.

Nie czekając na innych, Leopold Warchałowski sam dał dobry przykład i przystąpił do działania, opracowując i drukując „mini monografię”, nazywając ją „pyłkami



Leopold Warchałowski (z lewej) i rzeźbiarz Józef Rachwał przy pomniku Orłąt Lwowskich

monograficznymi”. Ale to, co napisał miało dużą wartość historyczną, gdy chodzi o dzieje parafii i kościoła oraz dzieje szkoły urzędowskiej w XIX i pierwszej ćwierci XX wieku. Od czegoś trzeba było wszakże zacząć.

Dzielo i ideę L. Warchałowskiego skutecznie starał się kontynuować następny kierownik szkoły – Michał Pękalski (od 1928). Przyjął on jednak inną od swego poprzednika formę dokumentowania historii urzędowskiej. Nie mówił wprost o monografii, lecz zaczął stwarzać jej podstawy przez serię przyczynkarskich opracowań, dotyczących różnych aspektów życia mieszkańców Urzędowa w przeszłości (*Wały w Urzędowie, Przyczynek do dziejów krawców urzędowskich w XIX wieku, Urzędów w liczbach w 1860 roku*). Co ciekawe, obaj nie byli historykami, obaj też nie byli rodowitymi urzędowianinami. Przybywszy z zewnątrz, bezwarunkowo wtopili się w miejscowe środowisko, stali się liderami w krzewieniu lokalnej historii. To świadczy o etosie nauczyciela polskiego w okresie II Rzeczypospolitej, którego misja nie ograniczała się tylko do przekazywania wiedzy z konkretnych przedmiotów, ale również polegała na propagowaniu historii miejsca, w którym przyszło im pracować. Obaj przypominają mi nieco ks. Aleksandra Bacę, który jako człowiek z zewnątrz potrafił dać tak wiele swej „przybranej małej ojczyźnie urzędowskiej”, jak rzadko który rodowity jej syn.

Pomimo wysiłków dwu wymienionych luminarzy urzędowskiej oświaty, musiało upłynąć jeszcze wiele następnych dziesięcioleci, by Urzędów otrzymał swoją prawdziwą monografię. Po drugiej wojnie światowej usilne starania o jej powstanie czynił przez cztery dekady urodzony w Urzędowie Tadeusz Wośkowski. O tym jednak w kolejnym artykule: *Tadeusza Wośkowskiego starania o monografię Urzędowa*.

\* E. i Z. Winklerowie, *Publiczna 7-klasowa Szkoła powszechna „Jagiellonka” w Urzędowie w latach 1923–1939*, „Głos Ziemi Urzędowskiej” 2008, s. 45–49.



Marian Surdacki

## Tadeusza Woškowskiego starania o monografię Urzędowa

Minęło 13 lat od ukazania się *Dziejów Urzędowa* (2011) pod red. Ryszarda Szczygła i Mariana Surdackiego, monografii, której stworzenie było jednym z celów, o ile nie najważniejszym, jakie postawiło przed sobą utworzone 40 lat temu Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej. Jej twórcy, łącznie z redaktorami, odebrali już swoje uznanie czy honory, był jednak ktoś, o kim praktycznie nie wie nikt, kto wcześniej przez bardzo długie lata czynił starania, by monografia taka powstała. Ideą tą żył przez 40 lat, pieczołowicie gromadząc do niej materiały. Warto docenić i pokazać jego wielki trud i zaangażowanie, czego dowodem jest bogata korespondencja, prowadzona z różnymi instytucjami naukowymi i ośrodkami akademickimi, a zdeponowana w archiwum parafii urzędowskiej.

Swoje działania „promonograficznie” rozpoczął w latach pięćdziesiątych poprzedniego wieku. Świadczy o tym krótki list skierowany do niego przez prof. Kazimierza Myślińskiego z UMCS-u z 10 marca 1953 r. o następującej treści:

*Z różnych względów nie mogłem, niestety, wcześniej odpowiedzieć na list w sprawie materiałów do historii Urzędowa, za co przepraszam. Odpowiadając na prośbę, chciałbym zaznaczyć, że nie uważam za możliwe wyczerpanie sprawy w jednym liście. Nie znam przecież właściwego celu pracy, ani jej charakteru, nie wiem, czym Pan już dysponuje i jakie są Pana możliwości materiałowe w tej chwili. Dlatego myślę, że byłoby niezbędne, aby się Pan porozumiał ze mną osobiście. Byłoby dobrze, aby wybrał się Pan kiedyś do Lublina. Zastać mnie można zawsze w Zakładzie Historii Polski przy Placu Stalina pod nr. 3 (Collegium Juridicum) albo w dziekanacie Wydziału Humanistycznego UMCS, również przy Placu Stalina pod nr. 5. Ponieważ dość często wyjeżdżam, dobrze byłoby zapowiedzieć przyjazd przynajmniej na kilka dni przed planowanym przyjazdem.*

Nie wiadomo, czy Tadeusz Woškowski przyjechał do Lublina na spotkanie z prof. Myślińskim i czy kiedykolwiek osobiście się z nim spotkał. Z innych relacji i pism wynika, że w międzyczasie przez trzy następne dekady niestrudzenie prowadził kwerendy, poszukując informacji pod kątem opracowania dziejów Urzędowa. Potwierdza to bogata korespondencja zwrotna, zachowana dla przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w. Niestety wysłane oryginały listów zostały u adresatów, a tylko w sporadycznych wypadkach zachowały się kopie lub odpisy pism kierowanych do instytucji w rzeczonyj sprawie.

Jego listy, w których prosił o podanie konkretnych materiałów, były przez instytucje naukowo-badawcze poważnie traktowane, gdyż zawsze otrzymywał z ich strony bardziej lub mniej dokładną odpowiedź co do zbiorów rękopiśmiennych czy drukowanych, jak i bibliografii,

ze wskazaniem konkretnych bibliotek i archiwów oraz inwentarzy, indeksów, sygnatur, często z propozycją wykonania fotokopii, odbitek kserograficznych czy mikrofilmów. Taki list, datowany 16 listopada 1976 r., otrzymał z Działu Informacyjno-Bibliograficznego Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie. Odpowiedź z tej samej biblioteki otrzymał również 5 stycznia 1978 r. Inne, podobne odpowiedzi przychodziły do niego z: Oddziału Informacji Naukowej Biblioteki Jagiellońskiej (7 II 1977); Oddziału Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej i Uniwersytetu Jagiellońskiego (8 III 1977); Zakładu Informacji Naukowej Biblioteki Narodowej w Warszawie (16 III 1977); dyrektora Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Lublinie (22 III 1977); Oddziału Informacji Naukowej Biblioteki Uniwersyteckiej Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (16 IV 1977); dyrektora Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie (kwiecień 1977); Polskiej Akademii Nauk – Biblioteka w Krakowie (18 V 1977); Polskiej Akademii Nauk – Zakładu Narodowego im. Ossolińskich Biblioteka we Wrocławiu (6 VI 1977); Archiwum i Zbioru Rękopisów Biblioteki Czartoryskich w Krakowie (6 VI 1977); Biblioteki Głównej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (16 VI 1977); Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie (15 XII 1982); Pracowni Słownika Historyczno-Geograficznego Polskiej Akademii Nauk, Instytut Historii (28 II 1983).

Dla Tadeusza Woškowskiego, mieszkającego na stałe w Warszawie, rok 1977 to czas intensywnych poszukiwań i konsultacji z ludźmi świata nauki, archiwistami, profesorami i znawcami problematyki miejskiej, którzy służyć mu mieli jako przewodnicy w penetracji zasobów archiwalnych i bibliotecznych. Nie wiemy, czy w swej pasji nie przyświecała mu myśl samodzielnego opracowania monografii. Jeśli na początku mogło nawet tak być, to w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że przedsięwzięcie wymaga pracy zespołowej i to z udziałem fachowców uniwersyteckich. Dowodzi tego list T. Woškowskiego z 26 października 1977 r. wysłany do rektora KUL ojca prof. Mieczysława Krapca. Oto jego treść:

*Zarówno historycy zawodowi badający przeszłość małych miast i miasteczek, jak i historycy amatorzy interesujący się przeszłością regionu z radością witają ukazanie się każdego wydawnictwa na ten temat. Mimo że opublikowana została spora ilość prac dotyczących historii Urzędowa, to stanowią one znikomą część w stosunku do materiałów, które znajdują się w archiwum czy bibliotekach, a dotychczas nie zostały wykorzystane. Urzędów jako miasto, a obecnie osada, o tyle jest ciekawy z uwagi na specyfikę gospodarczą, społeczną i kulturalną, którego mieszkańcy dali wyraz patriotyzmu w powstaniu styczniowym oraz w ostatnich dwóch wojnach.*

Spośród osobistości kościoła Urzędów wizytowali

1. Biskup ANICET - sufragan krakowski w 1520r. podczas konsekracji kościoła parafialnego św. Mikołaja /po spaleniu/
2. Biskup MIKOŁAJ OBORSKI - sufragan krakowski 13 czerwca 1667r. podczas konsekracji kościoła św. Ducha /po spaleniu/
3. Biskup MIKOŁAJ ZŁOTNICKI w 1718r. podczas wizytacji kościoła św. Otylii /akta Kurii Metropolitalnej w Krakowie/
4. Biskup STEFAN WYSZYŃSKI - sufragan lubelski 10 sierpnia 1947r. podczas prymicyjnej biskupiej mszy ks. Zdzisława Golińskiego późniejszy kardynał Prymas Tysiąclecia
5. Biskup BOLESŁAW PYLAK - sufragan lubelski 9 maja 1980r. podczas odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej żołnierzom Armii Krajowej

Z królów polskich odwiedzili Urzędów

1. WŁADYSŁAW JAGIELLO z końcem listopada i w grudniu 1412r. i poraz drugi w dniach 1 i 2 lutego 1432r. /Jan Długosz Roczniki Królestwa Polskiego/
2. WŁADYSŁAW III WARNIĘCZYK w dniach 24 do 28 kwietnia 1439r. /kodeks Małopolski 1442 VIII 2210/
3. KAZIMIERZ JAGIELŁONCZYK trzykrotnie w czwartek po św. Bonifacym tj. 5-7 kwietnia 1448r. 20 października 1487r. i 1 maja 1490r. /Jan Długosz dzieła Tom 5 Teka Pawińskiego II S 183 Zbiór dokumentów pergaminowych Nr 477 wydanych w Urzędowie/
4. ZYGMUNT STARY aż pięciokrotnie: 10 maja 1508r., 9 maja 1510r., 29 listopada 1515r. 11 listopada 1518r., 26 grudnia 1522r. /A.Gasiorowski Itinerarium ostatnich Jagiellonów/

Wśród sławnych przywódców warte odnotowania wydają się być nazwiska

1. JANA GROCHOWSKIEGO - Generała, który biwakował w 1794r. w drodze spod Kurowa na Szczekociny /M.Pyłalski Kapliczki i Krzyże w Urzędowie/
2. JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO - D-cę I brygady Legionów, który mieszkał w domu Aleksandra Golińskiego na ul. Wodnej w dniach 15-19 lipca 1915r. Pierwszego Marszałka Rzeczypospolitej Polskiej
3. KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO - Generała, Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie
4. EDWARDA RYDZA-ŚMIGŁEGO - Drugiego Marszałka Rzeczypospolitej Polskiej
5. MICHAŁA KARASZEWICZA - TOKARZEWSKIEGO - Generała, założyciela w 1939r. podziemnej organizacji Służba Zwycięstwu Polski /późniejsza Armia Krajowa/
6. STEFANA ROWECKIEGO - dwukrotnie w lipcu 1915r. jako podporucznika Legionów i po raz drugi 14 września 1939r. jako D-cę Warszawskiej Brygady Pancernej Samochodowej, Generała - późniejszego D-cę Związku Walki Zbrojnej a następnie Armii Krajowej
7. MARIANA KUKIELA - Generała, Ministra Obrony Narodowej w Rządzie Władysława Sikorskiego na emigracji
8. FRANCISZKA KLEBERGA - Generała, D-cę Grupy Polesie która stoczyła walki zwycięskie pod Milanowem w dniu 30 września 1939r. i pod Kockiem
9. FELCJANA SŁAWOJA - SKŁADKOWSKIEGO - Generała, Premiera Rządu Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1936-39

Sławni artyści i pisarze

1. ZYGMUNT ROZWADOWSKI ułan w szwadronie Beliny-Prądmowskiego, który upamiętnił swe wrażenia bitwy o Urzędów i namalował obraz pt. Kawaleria Beliny zajmuje Urzędów /znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie/
2. WACŁAW SIEROSZEWSKI ułan w szwadronie Beliny, pisarz Prezes Akademii Literatury Polskiej /Pozycja od 2 do 11 T. Kasprzycki Notatnik Oficera 10 Brygady Legionów Polskich/
3. MELCHIOR WAŃKOWICZ w 1956 i 1957r. który na podstawie wywiadów z kilkoma mieszkańcami Urzędowa napisał książkę „Droga do Urzędowa”

Opracował  
Tadeusz Wośkowski

Z Urzędowa wywodzi się około 70 księży. Z tego też względu Urzędów jest jednym z tych regionów, którego przekazy czekają na opracowanie i mogą być wykorzystane nie tylko przez historyków.

Zwracam się do Ks. Rektora jako urzędowianin, obecnie zamieszkały w Warszawie, i żywię nadzieję, że wniosek mój będzie wykorzystany i zostaną rozpoczęte badania źródłowe dotyczące historii Urzędowa przez studentów i doktorantów pod kierunkiem profesorów KUL Wydziałów Humanistycznego i Prawa Kanonicznego. Materiały źródłowe znajdują się w następujących instytucjach: Archiwum Wojewódzkie w Radomiu oraz w Lublinie, Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie, Biblioteka im. Łopacińskiego w Lublinie, Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, Biblioteka Narodowa w Warszawie, Biblioteka im. Ossolińskich we Wrocławiu, Biblioteka Muzeum im. Czartoryskich w Krakowie, Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie.

Oczekuję odpowiedzi i jestem przekonany, że Ks. Rektor przychyli się do mojej prośby i podejmie decyzję o rozpoczęciu badań. Z poważaniem, Tadeusz Wośkowski.

W chwili, gdy Wośkowski pisał list do rektora Krapca, ja akurat rozpocząłem trzeci rok studiów historycznych na KUL-u. Wybrałem właśnie wtedy seminarium z Historii Nowożytnej Polski i ustalałem tematykę swojej pracy magisterskiej: *Stosunki wyznaniowe w Małopolsce w połowie XVIII wieku*. Zajmowałem się w jej ramach również Urzędowem, a podstawą pracy były właśnie akta wizytacji ze wspomnianego wyżej Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie. Nie wiem, co by było, gdybym wiedział o tym piśmie, ale nic nie słyszałem o jego istnieniu wśród moich profesorów. Jaka była reakcja ks. rektora Krapca i co zrobił z wyrażoną w liście prośbą, nie wiadomo. Jest niemal pewne, że Tadeusz Wośkowski ponownie zwrócił się w tej sprawie do władz KUL-u, tym razem do prorektora Stefana Sawickiego, który 3 stycznia 1980 r. pisał do zainteresowanego:

*Dziękuję Panu Inżynierowi za list. Poinformowałem się w Dziekanacie Nauk Humanistycznych i u kierownika Instytutu Historii Kościoła w sprawie prac związanych tematycznie z Urzędowem. Niestety, prac takich do tej pory nie podjęto. Być może, że w przyszłości tematyka Urzędowa wzbudzi zainteresowanie w naszym środowisku. Niezwłocznie o tym poinformuję Pana Inżyniera. Łączę wyrazy szacunku. Stefan Sawicki. Prorektor KUL.*

Minęło następnych kilka lat, które Tadeuszowi Wośkowskiemu upłynęły zapewne na dalszym poszukiwaniu i gromadzeniu dokumentacji historycznej do monografii. Mówimy o połowie lat osiemdziesiątych minionego wieku, gdy istniało już Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej. W roku 1987 ukazał się też pierwszy numer jednodniówki „Głos Ziemi Urzędowskiej”. Pan Tadeusz aktywnie włączył się w pracę Towarzystwa, a także redagowanie



„Głosu”. Był niewątpliwie największym orędownikiem opracowania monografii Urzędowa. O kulisach początkowych działań w tym zakresie dowiadujemy się z listu, napisanego ręcznie po kilku dekadach, ponownie do prof. Kazimierza Myślińskiego z Zakładu Historii Nowożytnej UMCS. Nosi on datę 1 września 1987 r. Poniżej jego treść:

*Po niemal 35 latach piszę do Pana Profesora w sprawie Urzędowa. Przez ten długi okres gromadziłem materiały dotyczące przeszłości Urzędowa. Osobiście zgłosiłem wnioski o opracowanie i wydanie monografii przez Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej, który został przyjęty. Towarzystwo zleciło zespołowi pracowników naukowych, którego Pan został przewodniczącym. Postanowiłem przekazać materiał bibliograficzny dotyczący historii Urzędowa, który zgromadziłem z Bibliotek Uniwersyteckich w Polsce oraz archiwum i Zakładu im. Ossolińskich we Wrocławiu, w którym znajduje się rękopis prawie nieknięty przez naukowców. Przekazuję 26 stron, na których znajduje się spis bibliograficzny. Ponadto w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” z 1987 r. na str. 23 został podany wykaz prac magisterskich dotyczących Urzędowa. O Urzędowie traktują ponadto ostatnio wydane: Słownik Geograficzno-Krajoznawczy Polski, Warszawa 1983 – str. 810 o Urzędowie i Wzniesieniach Urzędowskich oraz Dzieje miast i mieszczaństwa M. Boguckiej i H. Samsonowicza, \*\*\* 1980. Ponadto posiadają materiały dotyczące Urzędowa następujące osoby: doc. dr Maria Stankowa (tel. 386-533) – materiały dotyczące powiatu urzędowskiego, ks. Ryszard Jurak (39-268) – materiały dotyczące historii parafii Urzędów oraz szkoły i obyczajów. Dobrze byłoby zaprosić te osoby do redakcji i wykorzystać zgromadzone przez nie materiały.*

*Zgłaszam propozycje do układu Monografii: Położenie geograficzne; Budowa geologiczna i gleby; Rzeźba terenu, klimat; Rzeka Urzędówka; Szata roślinna i zwierzyzna leśna; Wały obronne jako park krajobrazowy; Ochrona przyrody; Dziedzictwo przeszłości; Nadanie miastu przez Władysława Jagiełłę lokacji z 1405 r. (zdjęcie tego dokumentu znajduje się w Archiwum Rejonowym w Kraśniku, wykonane na moje zlecenie); Okres od XV w. do czasów Zygmunta Starego; Okres upadku Urzędowa do rozbiorów; Powstanie powiatu i jego dziedzice; Historia parafii i dekanatu urzędowskiego; Walki powstańcze pod Chruśliną; 1905, 1918–1939; Okres okupacji; Przemiany po II wojnie światowej; Miejsca walki i męczeństwa; Kultura ludowa – garncarstwo; Gospodarka, zatrudnienie; Inwestycje – budownictwo; Rolnictwo i jego miejsce w gospodarce (napisał na ten temat doc. Stanisław Surdacki); Zagospodarowanie przestrzenne i perspektywy rozwoju; Społeczeństwo i jego warunki bytowe; Demografia; Struktura ludności; Handel i usługi; Ochrona zdrowia; Organizacje społeczne i stowarzyszenia; Czyny społeczne; Kultura i oświata; Stroje i gwara.*

*W zasięgu terytorialnym należałoby podać, że Urzędów znajdował się początkowo w województwie sandomierskim, kasztelanii zawichojskiej, a po powstaniu województwa lubelskiego w 1474 r. i ziemi urzędowskiej (powiatu) leżał w tej ostatniej. Po likwidacji powiatu urzędowskiego w 1793 r. i przynależności do cyrkułu w Józefowie nad Wisłą, a kolejno w Obwodzie Zamoj-*

*skim z siedzibą w Janowie, powiatach Janów i Kraśnik. W monografii winno znajdować się bardzo dużo zdjęć z wystawy plenarnej. Żywię nadzieję, że przekazane materiały posłużą do napisania monografii z prawdziwego zdarzenia. Proszę o potwierdzenie otrzymania materiałów. Z poważaniem Tadeusz Wośkowski.*

*Do wiadomości: prof. dr Ignacy Wośko, Prezes Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej. Przekazuję odpis mojego wniosku skierowanego do rektora KUL o opracowanie monografii i jego odpowiedź z 26 stycznia 1977 r. oraz odpis pokwitowania materiałów dotyczących Urzędowa przez POSK (Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny) w Londynie.*

Szczególnie ten ostatni list do prof. Kazimierza Myślińskiego charakteryzuje postawę Tadeusza Wośkowskiego jako pasjonata historii i miłośnika ojczyzny ziemi urzędowskiej. W jego aktywności przebija ogromne zaangażowanie i cierpliwość w gromadzeniu spuścizny archiwalnej i bibliotecznej z myślą o monografii. Wierzył i liczył, że rezultaty jego poszukiwań stanowiąc będą punkt wyjścia i bazę dla przyszłych autorów monografii. Łączył w sobie cechy romantyka, mającego marzenia, przekonanego o odpowiedzialności za historię i tożsamość swojej małej ojczyzny, z postawą pozytywisty, hołdującego pracy organicznej, która wyrażała się w systematycznych, benedyktyńskich kwerendach. Jako amator i miłośnik historii miał autorską wizję planowanego opracowania, które, jak się potem okazało, w swej strukturze wewnętrznej w niewielkim stopniu odpowiadało monografii stworzonej przez profesjonalnych badaczy, w większości historyków, profesorów uniwersyteckich. Przedstawione propozycje odnośnie do układu monografii były raczej indeksem, przypadkowym kwestionariuszem zagadnień, jakie winny się znaleźć w opracowaniu, niż przemyślanym zarysem właściwej struktury monografii.

W swej wizji i koncepcji *Dziejów Urzędowa* był „samotnikiem”, pracował indywidualnie, trochę w izolacji od urzędowskiego środowiska ludzi wykształconych rozsianych po całej Polsce, którzy w okresie PRL-u nie byli jeszcze zintegrowani i zrzeszeni, jak później w towarzystwie regionalistycznym. Wyrażając ogromny podziw dla jego „monograficznej misji”, można powiedzieć, że jego ogromny wysiłek i rezultaty kwerend, jak się później okazało, w niewielkim stopniu zostały wykorzystane przez poszczególnych autorów monografii. W pewnym stopniu jego praca okazała się trochę „Syzyfowa”, nie słyszałem bowiem, by którykolwiek z autorów monografii korzystał z jego gotowej spuścizny źródłowej. Zresztą prof. Kazimierz Myśliński, któremu ją powierzył, nie uczestniczył później w opracowaniu historii Urzędowa. Czy więc była to praca daremna? Na pewno nie. To tak, jakbyśmy zapytali, czy XIX-wieczne powstania narodowe były nadaremne i czy miały sens? W tym wypadku Tadeusz Wośkowski, choć nie był bezpośrednim autorem monografii, to był przynajmniej jej „ojcem chrzestnym”.

Tadeusz Wośkowski w opisywanej sprawie korespondował również z księdzem proboszczem parafii urzędowskiej Aleksandrem Bacą. O tym, że korespondencja nie była jednostkowa, świadczy jego list z 14 grudnia 1976 r., w którym prosił:

*Księżę Proboszczu! W nawiązaniu do mego listu w sprawie materiałów dotyczących Urzędowa, ponawiam prośbę o nadesłanie mi prac drukowanych, tzn. może Książd posiada prace M. Pękalskiego: Wały w Urzędowie, Miary pola w Urzędowie, Przyczynki do dziejów krawców w Urzędowie oraz pracę magisterską Feliksa Przyborowskiego na temat historii i zabytków Kościoła w Urzędowie, pracę Roberta Przegalińskiego, opowiadanie o mieście Kraśniku i okolicach, Jednodniówkę o Polskiej Organizacji Wojskowej w Urzędowie wydaną w 1936 r. Ja niestety nie mogę skorzystać z zaproszenia Księdza i przyjechać do Urzędowa. Proszę zatem nadesłać mi listem poleconym, by nie zaginęła przesyłka. Ja mam kłopoty z sercem i nie bardzo mogę się z miejsca ruszać. Zapewniam, że po wykorzystaniu zwrócę wszystkie przesłane mi materiały. Korzystając z okazji, przesyłam księdzu najlepsze życzenia z okazji Świąt Bożego Narodzenia oraz błogosławieństwo od Papieża Pawła VI, który przyjął nas na audyencji jako przedstawicieli wycieczki po Włoszech [...].*

Za epilog starań Tadeusza Woškowskiego o opracowanie dziejów umiłowanego Urzędowa można uznać jego list do ks. Aleksandra Bacy z 28 października 1993 r., w którym oddaje (daruje) w depozyt efekty swoich czterdziestoletnich kwerend. Oznacza to, że swoją misję uznał za zakończoną, tym bardziej że wcześniej inicjatywę wydania monografii przejęło Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej.

*Wielce Szanowny Księżę Proboszczu. W czasie mego pobytu w Urzędowie przed laty wspominałem, że gromadzę materiały historyczne na temat przeszłości Urzędowa. Zbiactwem tym zajmuję się z góry 40 lat. Początkowo wybiórczo, a potem co uważałem za ciekawe robiłem odbitki kserograficzne zdjęć, map i dokumentów. Dzisiaj będzie tego około 17 teczek wraz z jedną dużą ze zdjęciami i mapami. Mój stan zdrowia nie zezwala na dalsze kontynuowanie mego zamięłowania. Chciałbym ten zbiór przekazać Towarzystwu Ziemi Urzędowskiej, ale w depozyt Archiwum Parafialnego w Urzędowie. Bo nie chciałbym, by powtórzyło się to, co takim wysiłkiem Aleksandra Golińskiego został zgromadzony olbrzymi Księgozbiór w Bibliotece Gminnej, a Niemcy w 1939 r. to wszystko zniszczyli. Dlatego zwracam się do Księdza Proboszcza z propozycją, a jeśli otrzymam odpowiedź ze zgodą na takie załatwienie, postaram się uporządkować całość i przed majem przyszłego roku przekazać aktem darowizny. Z poważaniem. Tadeusz Woškowski.*

*P.S. Przesyłam listę studentów Akademii Krakowskiej z miasta Urzędowa do wiadomości.*

Nie do końca wiadomo, co stało się z materiałami przekazanymi prof. Kazimierzowi Myślińskiemu. Autor pisał 1 września 1987 r. w liście do niego w formie sugerującej, że zostały one już mu oddane, albo są w procedurze przekazania („Przekazuję 26 stron, na których znajduje się spis bibliograficzny”). Czy tak się stało? Trudno powiedzieć. Z treści wynika, że był to wykaz bibliografii obejmującej zarówno nazwy źródeł i ich lokalizacji, jak i opracowań dotyczących Urzędowa i okolic, w tym Kraśnika.

Tadeusz Woškowski, pochodzący z Urzędowa, a mieszkający obecnie w Warszawie, 5 kwietnia 1994 r. przekazał Towarzystwu Ziemi Urzędowskiej cenne zbiory dotyczące historii Urzędowa. Są one wspaniałym owocem jego czterdziestoletniego trudu, jaki sobie zadał, by zebrać możliwie jak najwięcej tych materiałów, by w przyszłości posłużyły one do opracowania monografii o Urzędowie. Zbiór tych materiałów z woli ofiarodawcy ma być przechowywany w archiwum parafialnym. W imieniu Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej, jak również w imieniu parafii rz.-kat. w Urzędowie, jako jej długoletni proboszcz, również kochający Urzędów i jego bogatą historię, składam panu Tadeuszowi Woškowskiemu za ten wielki dar serdeczne podziękowanie.

W dokumencie, w którym przekazuje nam swój dorobek, ofiarodawca z ogromnym sentymentem wspomina, że zamięłowanie do przeszłości Urzędowa wszczepiła w niego jego matka. To ona w 1937 r. zaprowadziła go do domu pp. Golińskich, by mógł zobaczyć cenne dokumenty, które tam zgromadziła. Widział je również po II wojnie światowej. Wspomina też swoją wycieczkę do Krakowa w 1948 r. Był ubrany w mundurek harcerski z herbem Urzędowa. Na Wawelu czekali na swoją kolejkę, by ujrzeć to, co tam się znajduje. I wtedy podszedł do niego starszy pan i powiedział: „Pozwól chłopcze, chciałbym ci coś pokazać”. Zaprowadził go do kaplicy Zygmuntońskiej i tam pokazał mu rzeźby wykonane przez Jana Michałowicza z Urzędowa. „To twój rodak, był twórcą tego piękna”. Młody wówczas Tadeusz z Urzędowa był bardzo dumny.

I tak zrodziła się w nim wielka pasja poszukiwania wszystkiego, co dotyczy Urzędowa. „To twój wielki rodak”. Iluż Urzędów ma „wielkich rodaków”! I dobrze, że tym ludziom Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej poświęca swoje Zeszyty. Mamy już Zeszyt o Aleksandrze Golińskim, o Aleksandrze Nowaczyńskim, o Błażeju Dzikowskim, o rodzinie Hemplów tak bardzo zasłużonej dla Urzędowa. Na pewno w przyszłości należy pomyśleć o przybliżeniu takich postaci, jak Marcin z Urzędowa, Leon Ulrich, który otrzymał tablicę na nowym budynku Poczty, Jan Michałowicz i wielu jeszcze innych, a wśród nich wspaniałych kapłanów pochodzących z Urzędowa, wielkich patriotów i męczenników za polską sprawę. Wśród tych ostatnich na pierwsze miejsce wybija się postać ks. biskupa Zdzisława Golińskiego, syna Aleksandra. To też nasz „wielki rodak”.

Jemu ten Zeszyt poświęcam

*Ks. Aleksander Baca*



Józef Baran

## Tradycje teatralne w Urzędowie – uzupełnienie. Część 2

2018 c.d.

29 kwietnia w Urzędowskim Ośrodku Kultury miało miejsce spotkanie poświęcone twórczości zamieszkałego w USA pochodzącego z Bęczyna poety Jerzego Kowalewskiego.

22–23 czerwca w Ośrodku Kultury w Urzędowie realizowane były warsztaty teatralne „Ciało źródłem słowa”. Prowadzący: Iwona Mirońska Gargas i Marcin Gargas ze szczecińskiego Studio Teatr w sposób profesjonalny przekazali uczestnikom warsztatów wiedzę o słowie i ruchu scenicznym. Wiele pozytywnych emocji wzbudziła premiera spektaklu *Okna wspomnień* Teatru Słowa „Proscenium”. Obsada: Wiktoria Gajos, Marcin Gargas, Iwona Mirońska Gargas, Natalia Nafalska, Aleksandra Stachowicz. Scenariusz i reżyseria: Iwona Mirońska Gargas.



12 sierpnia na placu przy Domu Pomocy Społecznej w Popkowicach odbyły się uroczystości upamiętniające



100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, podczas których wystąpiła grupa teatralna „Wrzosi”.

23 września w Ośrodku Kultury w Urzędowie zorganizowane zostało spotkanie poświęcone wielkiemu patriocie i społecznikowi Aleksandrowi Golińskiemu.

10 listopada obchodzona była 100. rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości. Podczas obchodów miało miejsce widowisko historyczne „Wjazd Józefa Piłsudskiego do Urzędowa”. Obszerna relacja z tego widowiska plenerowego w artykule Teresy Kaźmierak: *Wjazd Józefa Piłsudskiego do Urzędowa* w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” z 2019 roku.

2019

6 stycznia zaliśmy w Urzędowie w Orszaku Trzech Króli.



20 stycznia w sali widowiskowej Ośrodka Kultury w Urzędowie w trakcie IV Wieczoru Kolęd licznie zebrani urzędowianie obejrzeli widowisko obrzędowe – *Wieczera Wigilijna* w wykonaniu Klubu Seniora w Urzędowie oraz grupy Kolędników Misyjnych.





23 czerwca obchodzona była „Noc świętojańska w Józiowej Zagrodzie” w wykonaniu Klubu Seniora i młodzieży szkolnej z Urzędowa.



14 października miał miejsce wieczór poezji Jana Stanisława Kamyka Kamińskiego przygotowany przez Grupę Literacką „Preludium”, działającą przy Ośrodku Kultury w Urzędowie.



10 listopada w OK Urzędów odbyła się wieczornica „Wojna i okupacja w Urzędowie” poświęcona 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej.



2020

6 stycznia miał miejsce Orszak Trzech Króli w Urzędowie.



Czas pandemii... Działalność teatralna, podobnie jak inne obszary życia w czasie pandemii uległy spowolnieniu. Planowane spektakle, przeglądy w dużym stopniu przeniosły się do Internetu. Jeśli były organizowane wydarzenia teatralne, to odbywały się pod ścisłym rygiem sanitarnym. Przykładem niech będzie zdjęcie z Orszaku Trzech Króli z roku 2021. Natomiast żart sceniczny z okazji Walentynek *Laura i Filon* można było zobaczyć jedynie w Internecie.



Pod koniec 2021 roku życie powoli wracało do normy. 11 września w leśniczówce Zwierzyniec odbyło się spotkanie dotyczące promocji książki Tadeusza Tatary *Z sowieckiej tajgi do polskich lasów* zorganizowane



przez Grupę Literacką „Preludium” działającą przy OK w Urzędowie.

23–26 września w OK realizowany był projekt w ramach programu Narodowego Centrum Kultury „Bardzo Młoda Kultura”. Celem projektu było doświadczenie amatorskiego warsztatu teatralnego jako ciekawej formy spędzania czasu wolnego, integracji i wymiany potrzeb kulturowych między pokoleniami. Partnerem projektu był ZSO im. Wł. Jagielly w Urzędowie. Na zakończenie czterodniowych warsztatów zgromadzona publiczność mogła obejrzyć efekt naszej pracy, czyli spektakl *Co robimy*. Zajęcia prowadzili instruktorzy: Iwona Mirońska Gargas i Marcin Gargas ze Studia Teatr w Szczecinie.



12 grudnia w 40. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego w Polsce odbyło się patriotyczne spotkanie „Który skrzywdziłeś...”, zorganizowane przez Ośrodek Kultury w Urzędowie oraz „Józiową Zagrodę” Niepubliczny Dom Kultury fundacji EKSPONAT Nr 1 w Mikuszewskim. Podczas spotkania wystąpiła Grupa Literacka „Preludium”.



## 2022

6 stycznia jak zwykle przez Urzędów przeszedł Orszak Trzech Króli.

15 kwietnia, w Wielki Piątek, po raz pierwszy w Urzędowie zostało odegrane Misterium Męki Pańskiej – misterium religijne o męce i śmierci Jezusa Chrystusa.

Widowisko przygotowane przez Ośrodek Kultury w Urzędowie we współpracy z Radą Miejską i burmistrzem Urzędowa oraz urzędowską Parafią pw. św. Mikołaja. Obszerna relacja z tego wydarzenia w artykule Teresy Kaźmierak w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” z roku 2022 oraz w Internecie na stronie OK.



Dzień Matki. Dla wszystkich Mam i gości wystąpiły dzieci uczęszczające na zajęcia w Ośrodku Kultury w Urzędowie. Dzieci zaprezentowały swoje umiejętności: taneczne, muzyczne, wokalne, teatralne, nauki j. angielskiego oraz akrobatyczne.

29 czerwca Grupa Literacka „Preludium” z Ośrodka Kultury w Urzędowie zaprezentowała montaż słowno-muzyczny o urodzonym w Urzędowie Ryszardzie Szocińskim.



11 listopada w OK odbył się wieczór wspomnień „Urzędowskie Zaduszki”. Grupa Literacka „Preludium” z OK pod kierownictwem instruktorów Józefa Barana i Jana Kowala przygotowała piękną lekcję historii o wspaniałych ludziach – regionalistach z Urzędowa, którzy działali w naszym środowisku w wolnej Polsce. Wypełniona po brzegi sala świadczyła o tym, że warto organizować takie spotkania. Dziękujemy dzieciom i młodzieży, którzy tak licznie uczestniczyli w tym wydarzeniu. Podziękowania składamy pani dr Annie Wnuk-Bednarczyk za przygotowanie prezentacji o regionalizmie i pracy z młodzieżą

w tej dziedzinie. Dziękujemy również pani Renacie Żuber za przygotowanie dzieci z klasy III. Występ tych dzieciaczków uświetnił nasze wydarzenie.



## 2023

6 stycznia Urzędów już po raz siódmy pod patronatem Warszawskiej Fundacji „Orszak Trzech Króli” poszedł w barwnym orszaku na czele z Józefem i Maryją oraz Trzema Królami nieść dobrą nowinę światu i pokłonić się Jezusowi. Prowadził ich Anioł z gwiazdą – Alicja Słowik. Hasło tegorocznego orszaku brzmiało: „Niechaj prowadzi nas gwiazda”. Uroczystość rozpoczęliśmy mszą św., którą odprawił ks. Marcin Flasiński. Dziękujemy mieszkańcom gminy i gościom za tak liczny udział.



W rolę Maryi i Józefa wcielił się Karolina Gajewska i Dominik Pietroń. Trzej Królowie: Baltazar – Leszek Sadowski (kier. ZGK w Urzędowie), Melchior – Wojciech Mordziński z Moniak, Kacper – Paweł Dąbrowski (burmistrz Urzędowa). Dziękujemy szkołom: ZSO im. Wł. Jagiełły, ZSO im. Orłąt Lwowskich, SP w Moniakach, SP w Bobach, SP w Skorczycach oraz Przedszkolu Publicznemu za przygotowanie strojów dla dzieci i młodzieży oraz scenek, które były odgrywane w drodze do stajenki. Dziękujemy Orkiestrze OSP pod kier. kapelmistrza Tadeusza Sabła oraz zespołowi „Wesołe Nutki”

pod kier. Jana Kowala za tak piękną oprawę muzyczną uroczystości. Dziękujemy jednostkom straży z terenu gminy Urzędów oraz Stowarzyszeniu Miłośników Koni „Podkowa” za aktywny i piękny udział w wydarzeniu. Dziękujemy: Policji z Komendy Powiatowej w Kraśniku za udział i zadbanie o bezpieczeństwo uczestników, Akcji Katolickiej za współorganizację i pomoc. W drodze do stajenki towarzyszyli nam: poseł na Sejm RP Kazimierz Choma, radna Sejmiku Województwa Lubelskiego Anna Baluch oraz starosta kraśnicki Andrzej Rolla. Uczestnicy otrzymali śpiewniki i korony orszakowe ufundowane przez Warszawską Fundację OTK. Natomiast burmistrz Urzędowa tradycyjnie przygotował dla wszystkich słodkie pierniczki z życzeniami.

15 stycznia pięknymi kolędami w wykonaniu Orkiestry Strażackiej pod kier. kapelmistrza Tadeusza Sabła rozpoczął się Koncert Noworoczny w OK. Na scenie wystąpiły dzieci, młodzież i zespoły, które uczą się i trenują w naszej placówce: trzy grupy taneczne – instr. Edyta Biały i Beata Góra, dwie grupy akrobatyczne – instr. Ola Opoka, zespoły „Wesołe Nutki” i „Vox Celestis” – instr. Jan Kowal, trzy grupy j. angielskiego – nauczyciel Małgorzata Solecka, grupa teatralna – instr. Józef Baran oraz śpiew solo – Julia Nieradko. Mieliśmy przyjemność obejrzieć jasełka w wykonaniu dzieci z ZSO im. Wł. Jagiełły – nauczyciel Renata Żuber. Pięknym i wyjątkowym akcentem podczas koncertu był występ baletowy naszej instruktorki Oli Opoki.



19 marca w sali OK odbyło się spotkanie „Zdzisław Latos – człowiek wielu pasji”, przygotowane przez Grupę Literacką „Preludium” z OK pod kier. instr. Józefa Barana i Jana Kowala. Jak mówił sam tytuł spotkania, pan Zdzisław Latos to człowiek niezwykle uzdolniony i pracowity, regionalista, działacz społeczny, mieszkaniec Urzędowa, nauczyciel, dyrektor urzędowskiej szkoły w latach 1972–1974. Jest autorem wielu wydawnictw i publikacji, dotyczących ziemi urzędowskiej, jak i historii powiatu janowskiego. Jest również zafascynowany sztuką, namalował wiele pięknych obrazów, ukazujących piękno naszej ziemi i zabytki. Jesteśmy dumni, że Ten Człowiek mieszka w naszym środowisku i sławi naszą małą ojczyznę. Gratulujemy serdecznie Panu Zdzisław



wowi tej pięknej pracy połączonej z pasją. Życzymy dużo zdrowia i wiele radości z tego wspaniałego dorobku.



7 kwietnia po raz drugi w Urzędowie odbyło się Misterium Męki Pańskiej.



Z okazji Dnia Mamy na scenie OK, obok innych zespołów, zaprezentowała się grupa dzieci uczestniczących w zajęciach teatralnych.



## Podsumowanie

Podsumowując podejmowane działania w dziedzinie ruchu teatralnego na ziemi urzędowskiej, należy podkreślić, że powyższe informacje nie w pełni oddają faktyczny stan zrealizowanych spektakli i widowisk.

Od lat dziewięćdziesiątych XX wieku do chwili obecnej wiele ciekawych i wartościowych przedsięwzięć artystycznych o charakterze teatralnym realizowały m.in. szkoły i parafie wyłącznie na potrzeby danej placówki. Jednak te działania na pewno utkwiły w pamięci młodych ludzi, co w przyszłości będzie skutkowało pozytywnie w ich dorosłym życiu.

Obserwując zmiany zachodzące na przestrzeni kilkudziesięciu lat, ruch teatralny podlegał ciągłym przemianom. Oprócz tradycyjnych form, jak teatr faktu, dramat lub komedia, pojawiła się sztuka teatru ulicznego, plenerowego. Na terenie Urzędowa do tego typu działań zaliczamy:

- Sobótkową noc w „Józiowej Zagrodzie”,
- Przybycie króla Władysława Jagiełły do Urzędowa,
- Orszak Trzech Króli, corocznie od 2017 r.,
- Wjazd Józefa Piłsudskiego do Urzędowa,
- Misterium Męki Pańskiej w 2022 i 2023 r.

Te formy teatralne nie doszłyby do skutku bez udziału kilkudziesięciu, a nawet kilkuset uczestników, bezpośrednio zaangażowanych w ich realizację. Jest też dodatkowy aspekt tej współpracy – integracja. W widowiskach bierze udział cały przekrój wiekowy mieszkańców: od przedszkolaków po seniorów. Jest to bardzo budujące, zwłaszcza w dobie wszechobecnego Internetu.

Ciekawym zjawiskiem w obszarze działań teatralnych w Urzędowie jest działająca w Ośrodku Kultury Grupa Literacka „Preludium”, istniejąca od dziesięciu lat. W tym czasie jej członkowie dali blisko 40 występów. Złożyły się na nie głównie wieczornice, nawiązujące do historii Urzędowa i jego mieszkańców, zasłużonych dla społeczności lokalnej – małej ojczyzny.

Warto podkreślić, że z Urzędowa wywodzi się aktor Krzysztof Chudziński, który pierwsze kroki sceniczne stawiał w naszym Ośrodku Kultury. Również z Urzędowa pochodzi Przemysław Chruścielewski – montażysta filmowy, członek Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej (AMPAS).

Są więc powody do dumy. Jest też nadzieja, że z tak licznie działającej obecnie w urzędowskim Ośrodku Kultury grupy dzieci i młodzieży w przyszłości ktoś pójdzie w ślady ich starszych kolegów.

Opracowano na podstawie materiałów archiwalnych Ośrodka Kultury w Urzędowie, artykułów zamieszczonych w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” i „Gazecie Urzędowskiej” oraz na stronie internetowej OK, wspomnień własnych oraz członków zespołów teatralnych.

## WSPOMNIENIA

*Marian Surdacki*

# Wspomnienia wojenne Stanisława Gajewskiego „Stasia” jako dokument

Przed blisko dziesięć laty Stanisław Gajewski „Stas” przekazał mi spisane przez siebie ręcznie wspomnienia, prosząc, bym zachował je dla potomnych, złożył w archiwum, ewentualnie opublikował według własnego uznania w całości lub we fragmentach. Oryginalny tytuł rękopisu brzmi: *Wspomnienia z lat najmłodszych i wojennych*. W związku z tym, że ich Autor, urodzony 17 maja 1930 r. na przedmieściu Bęczyn (w Urzędowie), choć w sędziwym wieku, jest nadal w dobrej formie fizycznej i umysłowej, postanowiłem je opublikować w tegorocznym „Głosie Ziemi Urzędowskiej”. W ten sposób ujrzy je jeszcze w formie drukowanej, a poza tym każdy, kto zapozna się z przedstawionymi faktami, będzie mógł je skonfrontować lub wyjaśnić z prawdziwym, chyba ostatnim w Urzędowie, świadkiem historii i wydarzeń, które opisał.

W sumie jest to blisko pięćdziesiąt różnej długości wspomnień, z reguły jednak krótkich, niekiedy wręcz „migawek” z jego życia. Niektóre opisują dłuższe wątki, inne odnotowują tylko lakonicznie pojedyncze fakty, które jednak w obliczu braku innych przekazów mają swoje znaczenie, gdyż dotyczą nie tyle spraw ogólnych z codziennego życia, lecz ważnych zdarzeń z lokalnej konspiracji i walki najpierw z wrogiem i najeźdźcą z zachodu, a potem ze wschodu. Z treści wynika, że Autor w większości był osobiście świadkiem i obserwatorem opisywanych scen i zdarzeń, jeśli nawet w niektórych zajściach nie uczestniczył lub ich nie widział, to mógł na bieżąco korzystać z przekazów swoich starszych braci Tadeusza („Nagan”) i Gabriela („Oset”), uczestników i tragicznych bohaterów opisanych wydarzeń.

Zawsze zachodzi pytanie o rzetelność i wiarygodność treści opisywanych z perspektywy 50–60 lat. Pamięć ludzka jest przecież ulotna i tak odległą rzeczywistość może odtwarzać niezbyt wiernie, jakby przez mgłę. Często dochodzi też wątek megalomanii, koloryzowania czy nawet konfabulowania. Na podstawie własnej wiedzy, gruntownie latami przekazywanej mi przez mego Ojca Jana Surdackiego, również członka Armii Krajowej („Pręt”), i bezpośredniego uczestnika opisywanych przez Stanisława Gajewskiego we wspomnieniach wydarzeń

i faktów, mogę stwierdzić, że relacje te wzajemnie się pokrywają. Jako historyk i badacz przeszłości, uważam, że publikowane tu wspomnienia stanowią w ogromnym stopniu wiarygodne źródło informacji, choć naturalnie nie idealne. Podawane przez Autora informacje miałem też możliwość wielokrotnie weryfikować w rozmowach z innymi uczestnikami czasów urzędowskiej konspiracji wojennej i powojennej, również bohaterami niniejszych wspomnień, przede wszystkim z Bolesławem Wyrostkiem („Przemysław”) podczas jego nieustannych wizyt w naszym domu oraz Konstantym Wójcikiem („Chińczyk”), rzadziej z Kwirysem Surdackim („Dzik”).

Autor musiał mieć świetny zmysł obserwacji oraz doskonałą pamięć, i ma ją nadal, wspomaganą przez swego rodzaju martyrologię rodzinną, ma też wrodzony dar przekazywania wiedzy, swadę w mowie, jak i wyrażaniu swoich myśli w piśmie. Wspomnienia nie mają charakteru zwartej, ciągłej opowieści czy prozy. To chronologicznie ułożony zlepek najważniejszych epizodów wojenno-konspiracyjnych, pisanych z osobistego punktu widzenia. Każdy jednak ma swoją wymowę faktograficzną i dokumentacyjną.

Choć zakres chronologiczny *Wspomnień* Stanisława Gajewskiego obejmuje okres około trzydziestu lat (od połowy lat trzydziestych do lat sześćdziesiątych XX w.), to jednak z wyjątkiem trzech, czterech szkiców wszystkie pozostałe dotyczą czasów wojennych. Czasów wojennych w dwójakim, tragicznym znaczeniu. Pierwsza bowiem część czasów wojennych to walka z agresorem i okupantem niemieckim. Po jego wypędzeniu czasy wojenne, raczej (po)wojenne, dla oczekujących prawdziwej wolności nadal trwały i wypełnione były walką z moskiewsko-sowieckim „wyzwolicielem”. Ta walka dla większości mieszkańców Urzędowa i okolic była nie mniej krwawa i jeszcze bardziej tragiczna.

W obecnym numerze publikujemy pierwszą część *Wspomnień wojennych*, dotyczącą okupacji niemieckiej. Druga część *Wspomnień (po)wojennych*, odnosząca się do sytuacji po „wyzwoleniu” Polski zamieszczona zostanie w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” za rok.



**Jan i Ludwika Gajewscy z synami: Gabrielem, Tadeuszem i Stanisławem**



Stanisław Gajewski

## Wspomnienia z lat najmłodszych i wojennych

### 1.

Miałem zaledwie 5 lat. Były to żniwa. Rodzice powie-  
rzyli mnie dwóm starszym braciom w opiekę, a sami  
poszli do żniwa. Brat Gabriel był starszy ode mnie  
o 7 lat, Tadeusz o 5 lat. Ja nie mogłem nadażyć za nimi  
w ich zabawach i z ich rówieśnikami, więc zabawiałem  
się z dziadzią Franciszkiem Gajewskim, którego bardzo  
lubilem. Dziadzio był garncarzem i robił garnki, a ja,  
nie rozumiejąc, że psocę, paluszkami swoim przebijalem  
dziurki w świeżo zrobionym garnuszku. Dziadzio, jak  
się zorientował, że psocę, dał mi lubianego przeze mnie  
podpłomyka upieczonego z chlebowego ciasta i kazał mi  
bawić się czymś innym. Ja, widząc, że dziadzio nie zwraca  
na mnie uwagi, postanowiłem odwiedzić naszą kuzynkę  
Wichcię, Wiktoria Surdacką, którą bardzo lubilem i to  
z wzajemnością. Wichcia była uczennicą siódmej klasy  
szkoły powszechnej (podstawowej). Paniąka dobrze  
rozwinęta i bardzo lubiana przez rodzinę i koleżeństwo.  
Wichcia mieszkała z rodzicami kilkadziesiąt metrów od  
naszych zabudowań. Kiedy tam doszedłem, to ich bardzo  
zły pies mocno szczekał na mnie. Ja, mając podpłomyk  
w ręku, zacząłem łamać go po kawałku i rzucać psu, więc  
pies przestał na mnie szczekać. Jeden kawałek upadł za  
blisko i pies nie mógł go dosięgnąć, więc ja poszedłem  
podać psu ten kasek podpłomyka. Kiedy zbliżyłem  
się do psa, on rzucił się na mnie i mocno mnie targał.  
Przechodziła sąsiadka Zofia Wyrstek i spostrzegła, że  
pies mocno coś szarpie. Zobaczyła, że dziecko. Chwyliła  
mnie za nogi i odciągnęła od psa. Ledwo żywego zaniosiła  
mnie do naszych sąsiadów i tamci obmyli moje rany  
cebulowym sokiem. Ja mdlałem z bólu. Rodzice przybiegli  
z pola i tata zawiózł mnie do felczera Dzikowskiego, bo  
lekarz urzędował w Lublinie. Felczer zobaczył moje rany  
i pamiętam z jakim przejęciem pytał: „Jaki pies, czy nie  
wściekły?”. Rany te były bardzo bolesne i długo się goiły.

Upłynęły miesiące, kiedy dziewczynki z klasy siódmej  
poszły do Emilii Chęcińskiej odrabiać wspólnie lekcje.  
A były to koleżanki: Sabina Oblewska, Genowefa Grze-  
buła, Wiktoria (Wichcia) Surdacka. Podczas odrabiania  
lekcji Emilia Chęcińska sięgnęła za piec i wyjęła strzelbę  
myśliwską, która była własnością jej ojca, Władysława  
Chęcińskiego. Emilia bez myślenia zażartowała: „Wich-  
ciu, zastrzelę cię”, mierząc w jej osobę. Padł strzał, bo  
strzelba była nabita. Wichcia upadła i skończyła życie.  
Powstał wielki szum w rodzinach i okolicy. Ludzie biegli,  
nie wierząc wypadkowi. Mnie tata zaniósł na rękach  
do tego wypadku, bo byłem jeszcze chory, i widziałem  
na własne oczy Wichcię zalaną krwią, nieżywą. Było to  
14 stycznia 1935 r. Pamiętam rozpacz rodziców i pogrzeb  
Wichci, który wbił mi się w pamięć.

### 2.

Ojciec mój Jan Gajewski za to, że brał udział w wal-  
kach przeciwko zaborcom rosyjskim w latach 1918–1920

otrzymał posadę w 1934 r. w województwie brzeskim,  
w mieście Łuniniec, dzisiejsza Białoruś. Wyjechaliśmy  
z całą rodziną do Łunińca w 1935 r. Byłem wtedy pię-  
cioletnim chłopcem i razem z tatą byliśmy na wielkim  
wiecu, gdzie słyszałem okrzyk, że marszałek Józef Pił-  
sudski nie żyje. Zebrani źle zrozumieli i krzyknęli: „Niech  
żyje” kilkakrotnie, ale prowadzący wiec sprostował, że  
Marszałek zmarł. Nastąpiła wielka żałoba. Ojciec nasz  
jako podoficer był w każdym roku wzywany do wojska  
na ćwiczenia. W 1939 r. został powołany w marcu na  
ćwiczenia i już nie wrócił do domu. Kiedy wybuchła wojna  
i Rosja napadła na Polskę, Ojciec został skierowany na  
front wschodni i dostał się do niewoli. Jako jeńiec został  
wywieziony w głąb Rosji. W miejscowości Szepietówka  
Rosjanie robili selekcję jeńców polskich. Kto pochodził  
z Polesia, bliżej granicy z Rosją, zwalniali. Ojciec mój miał  
w swojej drużynie Ukrainka o nazwisku Małczan, z któ-  
rym dobrze żył. Kiedy stanęli do selekcji, Małczan został  
zwolniony, natomiast Ojciec został zatrzymany. Małczan  
krzyczy: „Chajewski, pokazy bumagi, dokumenty”. Ojciec  
miał dokumenty z miasta Łuniniec, więc blisko granicy  
z Rosją, i przy pomocy Małczana został zwolniony.

Mama nasza 10 sierpnia mówi do nas, synów: „Chłopa-  
ki, ojciec nie wraca, a my może pojedziemy do Urzędowa”.  
My, synowie, ucieszyliśmy się tą propozycją i potwier-  
dziliśmy Mamy pomysł. Przyjechaliśmy do Urzędowa,  
a tu szum, mobilizacja mężczyzn na wojnę. Mężczyźni  
żegnają się z rodzinami i płaczą matek, żon, dziewcząt.  
1 września, niemieckie samoloty bombardują fabryki,  
Kraśnik, Poniatową. Nocne naloty lotnicze. Po kilkunastu  
dniach Polskie wojsko wraca, ucieka, porzucają samoloty,  
mundury, broń. Strach ogarnia dorosłych, a nawet dzieci.  
W bardzo krótkim czasie widzi się niemieckie wojsko.  
Rozpoczynają się aresztowania. Niemcy aresztują co  
mądrzejszych ludzi. Wywózka młodych ludzi do Niemiec  
na roboty. Rozpoczęły się łapanie, ucieczki, ukrywanie  
się młodych ludzi. Niemcy napadali większą siłą wojska  
i robili rekwizycje bydła, trzody chlewnej.

### 3.

Rok 1940. Przywieziono kilkanaście rodzin wysie-  
dlonych z Poznańskiego. Niektórzy wysiedleńcy współ-  
pracowali z władzami niemieckimi. Przypominam sobie  
człowieka o nazwisku Owczarek, który współpracował  
z Niemcami przy wywózce drzewa z lasów. Drewno  
wywozili rolnicy wozami konnymi z lasów do stacji.  
Owczarek popędzał furmanów, krzycząc: „Jechać, nie  
stać”. Niektórzy wygnańcy pracowali w biurach, a jedno-  
cześnie pomagali polskim rolnikom. W Urzędzie Gminy  
Urzędów pracował Franciszek Ludwin, należał też do  
organizacji ZWZ-AK. Niemcy kolczykowali bydło, świnię.  
Rolnicy kombinowali w ten sposób, że utuczona świnię  
zabijali na własny użytek, a mniejszej sztuce przebijali  
ucho i kolczykowali kolczykiem z tamtej sztuki. Zdarzył

się wypadek, że Polak o nazwisku Rydzewski oskarżył Franciszka Woškę zamieszkałego w Rankowskim, że jest niezakolczykowana świnia. Przyjechali Niemcy z Rydzewskim, sprawdzili i okazało się, że Rydzewski wprowadził Niemców w błąd. Niemiec wyjął pistolet i strzelił Rydzewskiemu w łeb. Był rok 1942.

#### 4.

Rok 1941. Okupant niemiecki powołał również sołtysów, na których nałożył obowiązek wydania każdego człowieka niebezpiecznego. W Zakościelnym sołtys Bałaszek wydał dwóch, imienia nie pamiętam, a nazwiska: Jackowski i Mękal. Jackowski przepadł bez wieści, a Mękal wrócił po wielkich cierpieniach w obozach. Za podobne winy sołtys z Mikuszewskiego został zlikwidowany przez podziemie 18 lipca 1941 r.

#### 5.

Rok 1942, okupacja niemiecka. W wielkiej tajemnicy tworzy się tajna piątka mężczyzn marzących o walce z okupantem: Bolesław Wyrostek, obrany pseudonim Jar, Jan Surdacki s. Ignacego ps. Pręt (ojciec prof. Mariana Surdackiego), Konstanty Brożek ps. Głaz, Gabriel Sadowski ps. Dąb i Władysław Gajewski ps. Kruk. Ruch partyzancki rozwija się coraz bardziej. Hipolit Cieszkowski ps. Odyniec obejmuje dowództwo Rejonu I, to jest: Urzędów, Kraśnik, Wilkołaz, Dzierzkowice, Boby.

#### 6.

Brat „Odyńca” Mieczysław Cieszkowski ps. Grzechotnik zawiązuje pluton egzekucyjny Kedyw (Korpus Dywersji Wojennej) 22 stycznia 1943 r. W skład Kedywu wchodzi: Konstanty Wójcik ps. Chińczyk, Zbigniew Nestorowicz ps. Lis, Mieczysław Smok ps. Bufor, Piotr Smok ps. Mars, Eugeniusz Niewiadomski ps. Koniczyna, moi dwaj bracia – Gabriel „Oset” i Tadeusz „Nagan”, trzech braci Pawelczaków z Popkowic – Jurek „Jur”, Marian „Morwa” i Janusz „Głaz”, czterech Surdackich – Robert „Jurek”, Benedykt „Cygan”, Czesław „Zef” i Leon „Korzonek”, oraz wielu innych wymienionych w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” 2009, strony od 53 do 61.

#### 7.

Mój brat Tadeusz Gajewski urodzony w 1925 r. był za młody żeby być żołnierzem w plutonie żandarmerii partyzanckiej pod nazwą Kedyw „Grzechotnika”. Dowództwo nie chciało go przyjąć, ale Tadek nalegał. Ponieważ o broń było bardzo trudno, więc dowódca zażartował: „Jeżeli przyjdiesz z własną bronią, to cię przyjmę”. Tadek pożyczył ruski rewolwer (nagan) od najstarszego żołnierza plutonu „Grzechotnika” Marka Mazurka ps. Dziadek, poszedł do Kraśnika i upatrywał żołnierza niemieckiego dalej od centrum miasta, ale to się nie udało. Widział wartownika przy koszarach. Przeszedł koło tego żołnierza raz i drugi. Wartownik zażądał od niego dowodu. Tadek wyjął „żelazny dokument” i strzelił. Niemiec upadł, a Tadek chwycił karabin i w niedługim

czasie znikł. W oddali kobieta suszyła siano. Tadek kazał kobiecie nałożyć na niego dużą kupę siana. Kobieta wykonała rozkaz i uciekła. Tadek pod sianem przeleżał do wieczora. Na drugi dzień Tadek stanął przed dowódcą ze swoją bronią, złożył przysięgę i przyjął pseudonim „Nagan”. W dalszej działalności partyzanckiej „Nagan” uzyskał opinię najlepszego żołnierza w oddziale. W zamian za to przydzielono „Naganowi” do obsługi jedyny karabin maszynowy.

#### 8.

Rewizje i łapanki urządzone przez Niemców spowodowały w Bęczynie pod lasem wielkie nieszczęście. Pewnej nocy nad ranem 26 kwietnia 1944 r. Janek Surdacki syn Władysława wstał i pobiegł do kolegi Wacka Gozdalskiego s. Antoniego. Obudził go powiadamiając, że ma być łapanka. Wacek otworzył drzwi i wpuścił Janka do izby. Wacek pospiesznie ubierał się, a Janek wyjął z kieszeni małą pistolet, nazywany szóstką, i obydwaj zaczęli go oglądać. W pewnym momencie padł strzał z tego pistoletu. Wacek upadł. Pocisk trafił go w głowę. Wacek za parę minut zmarł. Janek wyskoczył z mieszkania w las i zniknął. Był to nieszczęśliwy wypadek.

#### 9.

Kwiecień 1944 r. Nie wiem, gdzie trwała walka Kedywu „Grzechotnika” z Niemcami. Mocno zagrożeni, czterech żołnierze niemieccy poddali się i zostali jeńcami u partyzantów. Walka trwała dalej, a jeńców pilnował „Cygan” Benedykt Surdacki. Prawdopodobnie Niemcy, widząc bardzo młodego wartownika, udali atak na niego. Wartownik posiadał broń maszynową i zlikwidował jeńców. „Cyganowi” za ten czyn groziła surowa kara, więc sam sobie wydał wyrok i ciężko się poranił.

#### 10.

W maju 1944 r. podziemny sąd wydał wyrok śmierci na niemieckiego oficera obsadzonego w Ratoszynie. Niemiec ten był sadystą, wielkim dręczycielem mieszkańców Ratoszyna i okolic. Sadysta ten był bardzo strzeżony. W mieszkaniu miał wyuczonego psa. Wyrok ten powinien wykonać pluton egzekucyjny w organizacji AK Boby–Ratoszyn pod dowództwem „Szeli”. Ponieważ to zadanie było bardzo niebezpieczne, więc musieli to wykonać ochotnicy. Dowódca „Szela” takich ochotników w swojej organizacji nie znał. Zadanie to przyjęli „grzechotnikowcy”. Ochotnikami byli Jerzy Pawelczak „Jur” i Tadeusz Gajewski „Nagan”. Niemiec miał sprzątaczkę Polkę, której ufał. Wymienieni partyzanci udali się do sprzątaczkii wcześniej i zobowiązali ją, że w oznaczony czas, wynosząc śmieci, nie zamknie drzwi na klucz. Sprzątaczką zadanie przyjęła ochotczo. Kiedy wyniosła śmieci, przekreśliła kluczem dość głośno, lecz drzwi nie zamknęła. Partyzanci weszli. Pies rzucił się na „Jura”, a „Nagan” dwoma strzałami ugodził Niemca, a trzecim psa. Zabrali Niemcowi broń, którą już chwycił podczas niebezpieczeństwa i mundur z dokumentami. Wyszli z pomieszczenia i udali się każdy



w innym kierunku. Sprzątaczką dołączyła do organizacji w swojej okolicy.

### 11.

Pod koniec maja 1944 r. nieznana kobieta niosła coś do sprzedania i wchodziła niemal do każdego domu w Bęczynie. Weszła do domu Jana Gajewskiego, szarpnięciem otworzyła drzwi. Z wewnętrznej strony runęło pod jej nogi kilkanaście sztuk długiej broni. Byłem tego naocznym świadkiem. Wystraszona kobieta szybkim krokiem rzuciła się do ucieczki. Ja pobiegłem do domu Marcina Ambrożkiewicza, gdzie siedziało wielu partyzantów, a wśród nich moi dwaj bracia. Zameldowałem o zdarzeniu. Partyzanci chwycili rowery. Ja pierwszy dojrzałem kobietę. Kobieta zobaczyła nas i uderzyła w płacz i szloch, przysięgając, że nic nie widziała. Partyzanci sprawdzili jej dowód i odpowiednio zagrozili. Kobieta poszła wolno i nigdy do Bęczyna nie wróciła.

### 12.

19 czerwca 1944 r. do Bęczyna przyjechał niemiecki samochód z kilkunastoma żandarmami. Karabin maszynowy ustawili wycelowany w okno należące do Witolda Katowskiego. Prowadzili z nim krótką rozmowę. Witold wyczuł niebezpieczeństwo i rzucił się do ucieczki. Niemcy rozpoczęli strzelaninę i Katowski upadł. Dobiegli Niemcy i dodatkowymi strzałami dobili go i odjechali.

### 13.

Był to czerwiec 1944 r. Ojciec mój Jan Gajewski był w naszym domu. Spojrzał w okno i widzi, że podjechał samochód niemiecki, wysiadło kilkunastu żołnierzy i kierują się na nasze podwórze. Dom nasz stał około 200 metrów od drogi. Droga wiodąca przez podwórze do naszego domu była nieco kręta, tak że z głównej drogi nie było widać końca podwórza. Ojciec rażnym krokiem wyszedł z domu i pod pniaka, na którym od wielu lat rąbało się drewno, w wióry-ścinki wsunął strzelbę, coś do mnie mruknął i znikł. Ja spojrzałem w kierunku drogi i widzę kilkunastu żołnierzy niemieckich idących w moim kierunku. Gapiąc się na Niemców nie zauważyłem, jak przyszła kura i grzebiąc odkryła całe łożo strzelby. Pierwszy szedł oficer, doszedł do pniaka, nogą odpędził kurę. Stał na rozdrapanym gnieździe, zaatakowawszy nogami to, co tam zobaczył. Do żołnierzy coś powiedział. Ja nie rozumiałem jego słów. Żołnierze odeszli, a oficer siadł na pniu i nogami nagarnął ścinków, zakrywając broń. Ja od pniaka i oficera siedziałem około 5 metrów. Nie rozmawialiśmy, tylko we mnie serce kołatało, gdy widziałem, co przykrywa oficer. Zapalił cygare i tak długo siedział, aż żołnierze zameldowali, że skończyli swoje zadanie. Była to szczegółowa rewizja w domu i wokół. Żołnierze poszli naprzód, a oficer za nimi i odjechali.

### 14.

Maj 1944 r. Do Urzędowa przyjechał oddział żołnierzy niemieckich – około trzydziestu. Przywieźli kilku jeńców

rosyjskich. Zakwaterowali się w Domu Ludowym, jeńcy na dole. Wojsko niemieckie ubrane było w czarne mundury z trupimi czaszkami na czapkach. Nazywano ich SS, byli groźniejsi od żandarmerii. Oficer niemieckiego oddziału widocznie wiedział, że w Urzędowie działa silna partyzantka. Zwrócił się do księdza proboszcza parafii Urzędów Jana Łazickiego z wielkim ultimatum, mówiąc: „Jeżeli mojemu żołnierzowi w Urzędowie spadnie czapka z głowy, to Urzędów legnie w gruzach, a ludność wyginie”. Zażądał, żeby ksiądz spowodował, aby dowódca partyzantki spotkał się z dowódcą oddziału niemieckiego na rozmowy. Ksiądz początkowo wymawiał się, że nie zna dowództwa partyzantów, ale po wielu słowach zgodził się. Po dwóch dniach obydwaj oficerowie, polski i niemiecki, spotkali się kilkadziesiąt metrów od rynku urzędowskiego. Nie widać było obstawy niemieckiej, choć obstawa partyzancka była w ukryciu. Dzisiejsi ludzie nie uwierzą w to, co piszę. W ten sam dzień, po rozmowie obydwu oficerów żołnierz niemiecki wsiadł na konia i jadąc przez Bęczyn wjechał w las Wolski Bór, polując na sarny. Na trzeci dzień polowania żołnierz niemiecki zobaczył konia osiodłanego i wojskowe siodło, nie zwracając uwagi wjechał w las. Osiodłany koń, widząc jeźdźca, zaczął się szarpać, tak że się uwolnił i pobiegł za jeźdźcem. Niemiec złapał konia, przyprowadził na to samo miejsce, gdzie wcześniej stał, mocniej uwiązał go, wsiadł na swojego konia i pojechał w las. Około dwie godziny wcześniej do Bęczyna przyjechał pluton żołnierzy „Kordiana”, partyzantów z Opolo Lubelskiego, do żołnierzy „Grzechotnika” omówić parę spraw. Erkaemista od „Kordiana” stojący na straży, naturalnie ukryty, zobaczył zbliżającego się żołnierza niemieckiego na koniu i miał ochotę go rąbnąć. Zobaczył zachowanie się Niemca przy partyzanckim koniu, natychmiast zapytał kolegów „grzechotnikowców” co tu jest grane. „Grzechotnikowcy” powiadomili „Kordiana” i jego żołnierzy o umowie. Pluton „Kordiana” odjechał, a partyzanci urzędowscy musieli Niemca pilnować, żeby mu się nie stała krzywda. W maju tego roku wypadały Zielone Świąta. W dzień Zielonych Świąt szczególnie młodzież chodzi do tak zwanego Stoczka, to jest kaplicy świętej Otylii stojącej nad źródłem wody. Od dawna uznawano tę wodę za leczniczą dla oczu. Kaplica św. Otylii jest otoczona lasem i tam młodzi mają największą przyjemność spacerować i cieszyć się leczniczą wodą. W tym dniu niemieccy żołnierze korzystali z tych przyjemności, ocierając się rękawami o partyzantów i niby się nie widzieli. Po pewnym czasie Niemcy odjechali z Urzędowa bez żadnych szkód wzajemnych.

### 15.

Dnia 30 czerwca 1944 r. w walce z żandarmerią niemiecką pod Puławami mój brat został ciężko ranny. Gabriela Gajewskiego ps. Oset, gdy biegł nachylony do ataku, dosięgnęła niemiecka kula. Dostał w obojczyk i kula przeszła przez jego ciało, tak, że wyszła koło stawu biodrowego. Partyzanci „Grzechotnika” zwyciężyli. Zostało zabitych kilkunastu żandarmów niemieckich. Na palcu jednego żandarma był gruby złoty pierścień ze swastyką. Po dokładnych oględzinach pierścienka okazało

się, że zrobił go urzędowski złotnik Józef Buda. Wniosek z tego, że ów żandarm stacjonował w Urzędowie. Aby wynagrodzić cierpienia, koledzy partyzanci pierścionek ten ofiarowali rannemu „Osetowi”. Pierścionek ponownie trafił do pana Budy i w miejsce swastyki wstawiono polskiego orła z koroną. Po śmierci Gabriela ja nosiłem ten pierścionek, a kiedy się żeniłem pierścionek został przerobiony na ślubne obrączki.

## 16.

Tego samego dnia, 30 czerwca 1944 r., partyzanci „Grzechotnika” stoczyli drugą walkę z okupantem niemieckim w okolicach Puław, gdzie zdobyli większą ilość broni i parę koni z wozem. Po tych bitwach oddział „Grzechotnika” nocą wrócił do Bęczyna, a w szczególności do naszego domu. Ja naturalnie wartowałem na zewnątrz domu w swojej jakoby kryjówce, z której mnie nie było widać, i obserwowałem co dzieje się wokół. Partyzanci zostali w naszym domu, a dowódca „Grzechotnik” z „Maksem” Piotrem Smokiem pojechali konnym wozem do domu, w którym mieszkał „Grzechotnik”. Zmęczeni podróżą partyzanci pokładli się, gdzie kto mógł. Bardzo wczesnym rankiem 1 lipca 1944 r. zauważyłem cichutkie niewielkie samochody niemieckie, z których wysiadają żołnierze. Nie zwlekając, natychmiast powiadomiłem partyzantów. W szybkim tempie wybiegliśmy z domu. Tadek Malinowski ps. Jacek trzymał w ręce dwie sztuki broni, karabin KB i automat. Karabin oddał mnie. Uciekało nas około 35. Erkaemista Niemiec stanął do nas tyłem, nie chwycił za broń. Znaleźliśmy się w głębokim lesie, bez żadnych szkód. Partyzanci mocno dziękowali mi za uratowanie im życia. W lesie oddałem partyzantom moją broń, a sam brzegiem lasu wróciłem do domu. Trzeba było dowiedzieć się, co się stało z „Grzechotnikiem”, z „Maksem” i wozem, na którym było kilkanaście sztuk karabinów KB. „Grzechotnik” umiejętnie uciekł, a „Maks” wrzucił na wóz trochę słomy i pług. Sam wsiadł na wóz i jedzie niby orać. Dojechał blisko lasu, a żołnierze niemieccy chcą go zatrzymać. „Maks” udaje głuchego, konie nieco popędza, a Niemcy krzyczą: „Halt!”. „Maks” zeskoczył z wozu i w las. Niemcy widocznie nie chcieli go zabić, ale lekko ranili w nogę. Furman uciekł, a Niemcy zabrali zawartość wozu, końmi nawrócili i puścili je wolno, gdzie same pójdą. Konie poszły kilkadziesiąt metrów i stanęły, bo same nie wiedziały, gdzie pójść. Niemcy zabrali broń, a konie z wozem zostawili. Ja widziałem zachowanie Niemców, wziąłem swoją krowę na powrót i udałem się z nią na pastwisko. Pastwisko, to znaczy łąki, było blisko lasu, ale z innej strony. Na pastwisku pasła się krowa mojego kolegi Staśka Oblewskiego. Krowa moja dołączyła do tamtej, a ja wszedłem w las. Niedaleko leśnej drogi łączącej Urzędów z Terpentyną za krzakami zobaczyłem Staśka Oblewskiego i „Maksa” Piotra Smoka. Obydwaj owijali krwawiącą nogę „Maksa” szmatami z jego koszuli. Dołączyłem, obserwując wokół teren. Naraz z zakrętu drogi w oddali wyłania się wojsko w mundurach niemieckich. „Maks” niziną ruszył do ucieczki. Odbiegł około 200 metrów, a ja rozpoznaję w mundurze niemieckim mojego brata Tadka „Nagana”. Podbiegłem do partyzantów

i razem widzimy uciekającego „Maksa”. Chwyciłem od brata karabin maszynowy, podniosłem w górę nad głowę i zawylem głosem wilka. „Maks” obejrzał się, stanął na chwilę, poznał nas i dołączył do partyzantów.

## 17.

7 lub 8 lipca 1944 r. Na rynku urzędowskim Niemcy ustawili kilkadziesiąt różnych pojazdów. Na środku rynku stała pompa wodna, z której brali wodę mieszkańcy całego rynku. Wspomniane pojazdy stały również blisko pompy. W rynku w prywatnym domu mieściła się szkoła. Ja chodziłem do siódmej klasy. Podczas przerwy wybiegliśmy wprost do pompy, bo cała zabawa odbywała się przy pompie. Blisko pompy stała przyczepa obudowana pałatką, a w przyczepie siedział żołnierz niemiecki i uzbierał granaty, zakładając im zapalniki. Ja znałem się na tego rodzaju broni, bo w naszym domu były po prostu koszary partyzanckie, więc z tą bronią miałem do czynienia. Po lekcjach zorganizowaliśmy kradzież granatów. Z pięcioma odważniejszymi kolegami przystąpiliśmy do działania. Umowa była taka. Jeden wejdzie do przyczepy, a pozostali pryskają się wodą z pompy. Gdyby nadchodził wartownik, to wodą z pompy prysną po ścianie przyczepy. Pierwszy wszedłem ja. Granaty upycham dookoła pasa. Po moim wyjściu wszedł drugi. Ja pobiegłem za rynek, łup przekazałem innemu koledze, a sam wróciłem do przyczepy. Akcja trwała kilka godzin. Z przyczepy w sześciu wynieśliśmy 50 granatów. Wieczorem granaty przekazaliśmy dowództwu partyzanckiemu. W skład naszej złodziejskiej szóstki wchodził: Stanisław Romańczuk, Zygmunt Kalisz, Zygmunt Gozdalski, wygnaniec z Poznańskiego Bogdan Ratajczak, Robert Witek i ja, Stanisław Gajewski. Kradzież granatów to była zachęta do dalszego działania. Rodzice nasi kategorycznie zabraniali nam dalszego działania. Groźba rodziców nie pomogła. Przystąpiliśmy do obcinania przewodów paliwowych, hamulcowych, elektrycznych, przebijania opon i niszczyliśmy, co się dało.

## 18.

Duża liczba pojazdów niemieckich z rynku urzędowskiego odjechała. Przyczepa z granatami odjechała, ale jeszcze wiele zostało. Dwa dni po kradzieży granatów, pewnie było to 10 lipca 1944 r., zauważyłem, że w ciężarowym samochodzie, w sfoferce, stoi karabin. Powiedziałem o tym mojemu bratu Tadcowi „Naganowi”, żeby w razie potrzeby pomógł mi przenieść ten karabin, bo dla mnie był za długi. Brat wziął dwóch kolegów – Józka Oblewskiego i Leonka Surdackiego, a ja do pomocy wziąłem Jasia Woškę, bo tamci byli zajęci czymś innym i poszliśmy po karabin. Samochód nie był mocno zasłonięty innymi pojazdami. Wszedłem pod samochód i osłonięty przednim błotnikiem wszedłem do sfoferki. Odpiąłem karabin i zamierzam z nim wychodzić, ale byłoby to zbyt widoczne, więc zrezygnowałem i wyszedłem. Brat z kolegami odradzili mi dalszego działania i odeszli. Ja próbuję zaryzykować jeszcze raz. Ponownie wszedłem do sfoferki i próbuję jeszcze jakoś z tym karabinem, jednak



zrezygnowałem. Zaglądam do skrytki w szoferce, a tam trzy granaty. Granaty wsadziłem za pasek i wyszedłem. Jaś czekał na mnie dalej od samochodu. Zawołałem Jasia i poszliśmy do mieszkania rodziców „Cygana” Benka Surdackiego, bo mieszkali około 200 metrów za rynkiem. Wchodzimy, a tam leżał ranny Beniek „Cygan” i siedzieli brat mój z kolegami. Beniek mówi: „Co Stasiu, dzisiejsza wyprawa na nie?”. Ja podnoszę marynarkę, a za pasem granaty. Zobaczyła to mama Benka i wszystkich nas wypędziła, mówiąc jeszcze: „Niemców mi tu naprowadzicie”.

### 19.

Po kradzieży granatów zeszło parę dni. Było to około 12 lipca 1944 r. Idziemy ze szkoły ulicą Wodną. Na Wodnej stoi dom państwa Pytlakowskich. W domu tym kwaterowali Niemcy. Okno otworzone, a przy oknie na stole stało radio, którego Niemcy z zacięciem słuchali. Od okna około 2 metry od drzwi do sieni, również drzwi otworzone. W sieni stał wieszak, a na wieszaku wisiał wojskowy żółty pas z czarną kaburą na broń. Ja myślałem, że w kaburze jest broń, wszedłem do sieni i zabrałem pas z kaburą. Kabura pusta, ja niezauważony z pasem poszedłem do domu. Pas pokazałem partyzantom i opowiedziałem, z którego domu pas ukradłem. Partyzanci spojrzeli na „Jacka” Tadka Malinowskiego i mówią: „No to ciotki będą miały za swoje”. Okazało się, że Niemcy kwaterują u ciotek Tadka Malinowskiego. „Jacek” poprosił mnie żebym mu ten pas pożyczył, nie odmówiłem. „Jacek” w tym pasie pojechał na akcję bojową do Kluczkowic i już nie wrócił.

### 20.

Mieczysław Cieszkowski „Grzechotnik” zawiązał pluton egzekucyjny Kedyw (Korpus Dywersji Wojennej). W skład Kedywu wchodził wymienieni w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” 2009, s. 53–61. Pluton „Grzechotnika” otrzymał rozkaz, aby zgłosić się do Kluczkowic celem rozbicia sztabu niemieckiego. Zjawili się tam kilka oddziałów AK. Ponieważ zanosilo się tam na ciężką walkę, więc powołano ochotników. Pierwszym ochotnikiem okazał się „Nagan”, a za nim cały pluton „Grzechotnika”. Partyzanci zaatakowali. Walka okazała się bardzo ciężka, bo Niemcy mieli ukryte bunkry, z których otworzyli ogień z broni maszynowej i pierwszy padł dowódca – „Grzechotnik”. Ponieważ atakował z karabinem maszynowym, a otrzymał serię kul, to resztką sił rzucił karabin do tyłu, aby jego broń nie dostała się w ręce wroga. Następną serię kul z niemieckiej broni dostał „Jacek” Tadek Malinowski. Stało się to 14 lipca 1944 r. Akcja partyzancka nie udała się. Partyzanci wrócili z wielkim żalem.

### 21.

Miesiąc lipiec dla oddziału „Grzechotnika” był bardzo tragiczny. 21 lipca 1944 r. Janek Mazik „Sosna” w lipcowym upale trzymał wartę blisko drogi głównej Urzędów–Kraśnik. Zmęczony zdrzemnął się. Nadjechali Niemcy, zauważyli go i „Sosna” zginął.

### 22.

26 lipca 1944 r. napadł na Urzędów oddział niemiecko-ukraiński. Od wsi Ludwinów skierował się do Urzędowa duży oddział niemiecko-ukraiński. Ukraińcy, kogo zobaczyli, zabijali. Spotkali dwóch młodych chłopców, poprzebijali ich bagnetami. Kobiętę zabili w zbożu, dwóch starszych mężczyzn, Bałaszka i Woškę, zarabali siekierami. Rozpoczęła się rzeź. Urzędowiaczy, kto miał broń, stanęli do obrony. Strzelanina jak na froncie. Partyzanci „grzechotnikowcy” i oddział „Małego” ganił się z Ukraińcami wokół budynku. Dla przykładu podaje: „Nagan” z erkaemu stoi na rogu stodoły i pruje do napastników. Zza drugiego rogu tej stodoły wychyla się Ukrainiec i składa się do strzału do „Nagana”. Zza drugiej stodoły „Jurek” Robek Surdacki zlikwidował mierzącego do Nagana napastnika. Partyzanci pokonali napastnika. Nie obyło się bez ofiar. Z oddziału „Małego” zginął Ryszard Mierzwa ps. Indianin. Z placówki Urzędów ciężko ranny został Zygfryd Andrzejewski.

### 23.

Każdy dzień lipcowy przynosi kolejną ofiarę. 27 lipca 1944 r. Bogdan Kliniewski „Sokół” wyszedł na rynek urzędowski w spodniach niemieckich. Niemcy zauważyli go i zaczęli Bogdana atakować. „Sokół” schronił się w piwnicy pod Gminą. Niemcy wrzucili tam świecę dymną i Bogdan musiał wyjść. Okupant bez namysłu strzelił „Sokołowi” w głowę.

### 24.

Słychać coraz bliżej wybuchy artyleryjskie. Wojska sowieckie coraz bliżej. 27 lipca 1944 r. las Wolski Bór jest pełen różnych partyzantów. Stoje między braćmi i innymi partyzantami. Widzę Władysława Rosowskiego z PPR i mówię do brata Tadka „Nagana”: „To jak to i PPR z nami?”. Brat mi odpowiada: „Dzisiaj my wszyscy Polakami”. Była to akcja „Burza”.

### 25.

28 lipca 1944 r. rano udajemy się wszyscy do Urzędowa, widzimy wojsko sowieckie. Uciecha. Spotykam Władzia Pajdowskiego w hełmie niemieckim, żołnierz od „Sokoła” Podrygalskiego. Witamy się wszyscy, ten z tego oddziału AK, a tamten z innego, chociaż nie wszyscy żeśmy się znali. Uciecha w całej pełni. Za dwie godziny ogólna narada. Porucznik Stefan Rolla wraca po rozmowie z dowództwem rosyjskim i mówi: „Koledzy, uciekajmy każdy w swoją stronę”. Okazuje się, że nadchodzi następna okupacja. Stefan Rolla, któremu wszyscy wierzyliśmy, gdzieś znikł.

### 26.

Rozpoczęły się aresztowania żołnierzy Armii Krajowej. Ukrywamy się wszyscy małymi grupkami. Ojciec nasz Jan Gajewski miał ochotę odebrać pijanemu żołnierzowi sowieckiemu przeciwpancerny karabin pod nazwą

PEPanc. Sowiet był młodszy, sprytniejszy i tatę ciężko ranił. Był to dzień 18 sierpnia 1944 r. Ponieważ szpitale na Lubelszczyźnie były mocno strzeżone przez UB i akowiec nie mógł tam się leczyć, zaś w Krakowie dyrektorem szpitala był urzędowiak Aleksander Surdacki, więc ojciec nasz został przewieziony do szpitala w Krakowie.

## 27.

W Urzędowie, szczególnie w Bęczynie, rozrósł się ród Surdackich. Nie jestem zupełnie pewien, czy mojemu pradziadowi było na imię Wojciech Surdacki. Rzekomy Wojciech Surdacki miał dwie żony. Po pierwszej żonie było dwóch synów: Konstanty i Ignacy. Po drugiej żonie dzieci były następujące: Franciszek żonaty z Kiebaśińską i ich dzieci: Czesław, Jadwiga i Genowefa; Apolonia – moja babcia – wyszła za Jana Wyrostka, i dzieci – Ludwika (moja mama), Leonard, Konstanty, Gustaw, Waclaw, Maria, Wanda, Bolesław i Jan; następny syn Wojciecha Piotr żonaty z Aleksandrą Bil i dzieci – Lucjan, Celina i Robert; Józef żonaty z Wiktoria Grzebułą i dzieci – Karol, Władysław i Wiktoria, zastrzelona przez koleżankę; Stanisław żonaty z Bronisławą Bystrzyńską i dzieci – Stanisław (Surdacki – znany malarz) i Kazimierz. Konstantego Surdackiego nie znalazłem. Ignacego nie pamiętam, ale żonę znałem, oraz ich dzieci: Bolesław (piekarz) ożenił się w Ciechanowie i mieli dwoje dzieci: Bolesława i Hanię. Marcela zamężna z Janem Porębskim, dzieci nie pamiętam. Franciszek skończył studia prawnicze. Chciał być adwokatem, ale jak się dowiedział, że adwokat może kłamać, to rzucił prawo i stał się drogowcem. Podczas okupacji niemieckiej Franciszek przyjechał do domu rodzinnego w Bęczynie. Niemcy kilkakrotnie najeżdżali dom Surdackich w Bęczynie, szukając Franciszka, lecz nie udało im się ująć poszukiwanego. W domu Stefana Wyrostka zamieszkała rodzina wygnańców z Poznańskiego o nazwisku Kędziora. Rodzina Kędziorów składała się z pięciu osób: rodzice, dwie córki i syn Stanisław, mój rówieśnik i kolega. Nie jest mi wiadomo, kim był pan Kędziora, ale umarł tu w Urzędowie. Kolegując ze Staśkiem, wybraliśmy się obydwa po drewno dla nich w las. Znaleźliśmy małą suchą sosenkę, ścięliśmy ją siekierką i naszedł na nas pan Franciszek Surdacki. Zabrał siekierkę Staśkowi Kędziorze, mówiąc dość ostro, że ucięliśmy w jego lesie. Ja nie wiedziałem, że to las prywatny Surdackich, więc przepraszając nie odebraliśmy siekierek pożyczonych od sąsiadów. Stasięk poszedł do domu bez pożyczonej siekiereki. Po siekierekę przyszła mama Staśka. Z ust słyszałem, że rozmowa pani Kędziorowej z panem Franciszkiem nie była zbyt przyjemna. Pan Franciszek siekierekę oddał i przeprosił. Wracam do następnych dzieci Ignacego Surdackiego. Po Franciszku, Jan żonaty z Zosią Wiackowską i dzieci trzech synów. Jan syn Jana – mój chrześniak, Marian i Robert. Siostra Helena zmarła panną.

## 28.

W początku września 1944 r. wydarzyło się zabójstwo dwóch niewinnych urzędników. Dwaj urzędnicy z Urzędu

Gminy Urzędów jechali furmanką konną i zatrzymało ich kilku rzekomych partyzantów pod dowództwem Kazimierza Kalisza, mieszkańca Bęczyna. Wyprowadzono urzędników w głąb lasu i zabito. Imion urzędników nie pamiętam, a nazwiska: Samolej i Karpiński. Wymienieni urzędnicy współpracowali z Armią Krajową, więc sąd podziemny skazał Kazimierza Kalisza na karę śmierci. Wyrok został wykonany 26 września 1944 r.

## 29.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski, władzę przejęli ludzie o najniższym poziomie moralności. Władcami zostali synowie dworskich fernali nie umiejący ani pisać, ani czytać. W urzędowskim posterunku Milicji Obywatelskiej służyło dwóch mieszkańców wsi komunistycznej Moniaki, jeden z Kraśnika i z Urzędowa o nazwisku Władysław Rosowski. Komendantem posterunku był mieszkaniec Rzeczycy Czesław Zdyb, żołnierz „Cienia”. Wymienieni milicjanci przyjechali do Stefana Wyrostka w Bęczynie, aby zabrać mu konia, którego żołnierze AK zdobyli od Niemców. Było to 3 września 1944 r. My, żołnierze AK, spaliśmy w stodole Jana Surdackiego „Pręta” (ojca Mariana Surdackiego), do której przybiegł Stefan Wyrostek z żalem, że milicjanci zabierają mu konia. Brat mój Tadek „Nagan” sprzeciwił się decyzji milicji i pobiegliśmy, aby zgodnie porozmawiać z milicją. Dobiegamy do budynków. „Nagan” trzykrotnie krzyczy: „Milicja, nie strzelać, chcemy rozmawiać”. Padły strzały ze strony milicji. „Nagan” upadł. Kwiryn Surdacki „Dzik” krzyczy: „Tadunio zabity”. Padły strzały ze strony żołnierzy AK. Kwiryn mówi: „Jeden milicjant ukrył się w stodole”. Drugi mój brat „Oset” krzyczy: „Milicjant, wylaż ze stodoły, bo stodołę podpalamy”. Milicjant Henryk Zajac z Moniak z bronią przewieszoną przez plecy wychodzi ze stodoły i prosi: „Nie zabijajcie mnie, to wam powiem, kto strzelał do waszego kolegi”. Zajac oświadczył, że strzelał komendant i jest ukryty w stogu siana. Zaprowadził nas do stogu siana, wszedł i ściągnął komendanta MO Czesława Zdyba. Zdyb kategorycznie zaprzecza, że nie strzelał, Zajac natomiast nalega na Zdyba. Czesław Zdyb został zabity, a Zajac zwolniony. Do ciężko rannego „Nagana” sprowadzono doktora medycyny Józefa Ściegiennego. Doktor z rany głowy „Nagana” wy dostał kulę. Kula bertmanowska pochodziła z broni Zajaca. Henryk Zajac wydał na śmierć swojego niewinnego dowódcę, a sam wstąpił ponownie do MO.

## 30.

4 września 1944 r. po ranieniu żołnierza Armii Krajowej Tadeusza Gajewskiego ps. Nagan wojsko UB w sile około 300 ludzi silnie uzbrojonych zrobiło oblawę na akowców. Nikogo nie dosięgnęli. Ciężko rannego Tadka przenieśliśmy głęboko w las, a następnie do wsi Terpentyna, do domu Romana Gołębiowskiego, gdzie po trzech dniach mój brat Tadek zmarł. W pogrzebie wzięło udział kilkadziesiąt osób. Niezliczona ilość kwiatów i wieńców. Władze nie przeszkadzały, ale potem były liczne aresztowania.



**31.**

Agenci UB-owscy działający w Bęczynie wydawali kogo chcieli. Aresztowany Jaś Surdacki „Pręt” został osadzony w lubelskich aresztach UB, a następnie na Zamku Lubelskim. Było to 10 września 1944 r. Wrócił po sześciu miesiącach z wielką utratą zdrowia. Sam przeszedłem śledztwo UB-owskie, więc wiem dokładnie jak ubowcy traktowali akowców. Jeżeli więzień przyznał się, że był w AK, to sam na siebie wydał wyrok śmierci.

**32.**

Benedykt Marciniak ps. Lew namówił dwóch żołnierzy z plutonu „Grzechotnika” Bogumiła Adamskiego „Tygrysa” i Eugeniusza Niewiadomskiego „Koniczynę” i 3 października 1944 r. zasadzili się w lasku zwanym Wodończa przy drodze głównej Urzędów–Kraśnik. Zatrzymali furmankę, na której siedział starszy wiekiem żołnierz niemiecki, wiozący mleko czy piwo dla wojska niemieckiego stacjonującego w Kraśniku. „Lew” bez rozkazu samowolnie zastrzelił Niemca, zabierając mu karabin. Starszy żołnierz niemiecki prawdopodobnie miał dwóch synów w żandarmerii i dwa dni później, 10 października 1944 r., Niemcy dużą siłą wojska przyjechali do wsi Skorczyce i rozstrzelali około 20 rolników. O tej tragedii napisała dość szczegółowy artykuł nauczycielka pani doktor Ania Wnuk. „Lew” za ten czyn został zlikwidowany w oddziale AK „Potoka”.

**33.**

W lesie Wolski Bór ukrywali się złodzieje, którzy wyciągali z chłopskich obór świnie, a nawet krowy. Partyzanci AK przeczesywali las. „Luśnia” Piotrek Pacanowski wysunął się za dużo wprzód, a kolega z drugiego skrzydła myślał, że to złodziej, strzelił i zabił kolegę Piotrka „Luśnię”. Było to 28 października 1944 r. W całym oddziale rozpacz.

**34.**

Urzędów przez komunę był tak znienawidzony, że nawet mieli zamiar obywateli Urzędowa wysiedlić na ziemie zachodnie i otoczyć niewolniczą opieką. Aresztowali za pomocą sowieckiej żandarmerii NKWD. Ubowcy z enkawudzistami aresztowali 21 mężczyzn w Urzędowie, członków AK, a byli to: Longin Cieśllicki, Jan Cieśllicki, Kazimierz Cieśllicki, Hipolit Cieszkowski, Eugeniusz Podrygalski, Hipolit Mazik, Kazimierz Tomaszewski, Aleksander Przysucha, Jan Grzebulski, Karol Dzikowski, Józef Pomorski, Zygmunt Gajewski, Rafał Wośko, Bogdan Nowicki, Jan Wójtowicz, Leon Geneja, Franciszek Kasprzak, Jan Jagiełło, Edmund Goliński, Józef Mazurkiewicz i Ignacy Gozdalski. Wymienieni mężczyźni wywiezieni zostali na Sybir i wrócili po dwóch latach, ale nie wszyscy. Nie wrócili Longin Cieśllicki

i Hipolit Cieszkowski. Kiedy byli zwalniani, to władze ZSRR i polskie zabroniły im mówić o obozie. Wrócili wycieńczeni i bezsilni. Zygmunt Gajewski po powrocie z Sybiru objął funkcję sołtysa w Bęczynie. Nie ukrywał przeżyć, więc został wezwany przez MO do leśniczówki Zwierzyniec i już stamtąd nie wrócił. Zwłoki jego leżą nieodnalezione w lesie.

**35.**

Pogodny dzień listopadowy 1944 r. Pięciu milicjantów z posterunku urzędowskiego – Piotr Gruchalski z synem Januszem i trzech nieznanymi mi milicjantów idą od strony lasu w kierunku Urzędowa. Gabriel Gajewski „Oset” wyszedł zza pieców garncarskich i donośnym głosem krzyknął: „Milicja, zatrzymajcie się, ale nie próbujcie podnosić broni, bo nie wiecie ile łuf jest skierowanych do was”. Dalej mówi „Oset”: „Janusz Gruchalski, chodź do mnie, nie będziemy strzelać, chcę z tobą rozmawiać w bardzo ważnej sprawie”. „Oset” trzymał w ręku broń maszynową. Janusz zawahał się chwilę, ale przyszedł. Przywitali się, podając sobie prawe dłonie. Gabriel „Oset” mówi: „Wy obydwaj z ojcem macie wyrok śmierci wydany przez sąd podziemny i będzie wkrótce wykonany. Ty jesteś człowiekiem młodym, radzę ci po koleżeńsku, idź na posterunek, zostaw ten karabin i uciekaj, bo każda godzina dla ciebie jest za późna, uciekaj”. Janusz odpowiada: „Ojciec mi nie pozwoli”, a „Oset”: „To nie chce, żebyś żył”. Stałem od nich około 3 metrów i słyszałem każde słowo. Janusz zwiesił głowę i nic nie odpowiedział. Gabriel mówi: „Idź do nich i zrób, jak ci radzę”. Janusz dołączył do milicjantów i poszli do Urzędowa. Gabriel postąpił chwilę i poszedł w swoją stronę. Mijały dni, tygodnie. Janusz Gruchalski z Urzędowa nie wyjechał. Wyrok śmierci na Januszu Gruchalskim został wykonany 2 lutego 1945 r. przez pluton egzekucyjny „Zapory”.

**36.**

Grudzień 1944 r. W domu Zdybłów w Urzędowie zamieszkał oficer NKWD. Córka Zdybłów pobierała naukę w tajnym nauczaniu i przychodziła do niej nauczycielka Teodora Turkowska, aby udzielić dziewczynie lekcji. Pewnego ranka nauczycielka zbliża się do domu Zdybłów, a oficer stanął w sieni. Zatrzymuje nauczycielkę i mówi: „Ty nauczyciel i ja nauczyciel. Ubieżaj (znaczy uciekaj), bo jeszcze dziś będziesz aresztowana i wywieziona na Sybir, ty i twoja siostra”. Todzia wybiegła z miejsca spotkania i przybiegła do Ireny Turkowskiej, bo oficer powiedział „ty i twoja siostra”, a one obydwie Turkowskie. Irena miała sąsiada dawnego komunistę Leona Chrzanowskiego, z którym w sąsiedztwie dobrze żyli. Pobiegła do Chrzanowskiego i pyta, czy jej nic nie grozi? Sąsiad mówi: „Dziewczyno uciekaj, bo może jeszcze dziś będziesz aresztowana”. Obydwie Turkowskie, Teodora i Irena, ukrywały się aż do amnestii w 1947 r. Lata 1944, 1945 i 1946 były piekłem na ziemi.

Kazimierz Cieśllicki

# Wspomnienia z obozu jenieckiego w ZSRR

## Do Czytelnika

Oddając te materiały obejmujące wspomnienia, prze-myślenia i fakty przyszłemu czytelnikowi, proszę go, by zapoznając się z nimi pamiętał, że pisał je człowiek z podstawowym wykształceniem, robotnik, ślusarz. Zawarłem w nich swój indywidualny pogląd na każdą sprawę, którą opisuję. Często w rozmowach na te tematy koledzy świadkowie i uczestnicy tych zdarzeń nie zgadzają się ze mną w wielu punktach, zarzucając mi, że oni widzieli to inaczej.

Każdy ma prawo do własnego rozumienia i oceny swego stanowiska. I ja również. A jeśli ktoś powie, że było inaczej – niech siada i pisze tak, jak on to widział i odczuł. Opracowania dotyczące przeszłości Urzędowa są bardzo skąpe. Każdy przyczynek do historii mojego Miasta bardzo się liczy. Chcę, by pamięć o tamtych dniach nie zaginęła.

Prace *Urzędowskie cmentarze* i *Urzędowscy Żydzi* są niedopracowane do końca. Na przeszkodzie stanęła moja choroba.

Mam tu szczególny apel do kolegów z niewoli, którzy być może będą czytać moje wspomnienia. Czytając je uważnie, porównajcie je z własnymi przeżyciami i skorygujcie na piśmie te nieścisłości, które ewentualnie się tam wkradły.

Autor

## 1. Aresztowanie i wywózka

Dnia 6 września 1944 r. około godziny 6<sup>00</sup> wstałem już z łóżka i byłem ubrany – wpada moja mama do mieszkania i krzyczy: „Idą Ruscy!”. „Jak to, przed Niemcami uciekałem i przed Rosjanami mam uciekać?”. Pozostałem w mieszkaniu. Wyjrzałem przez okno – rzeczywiście chodzili od domu do domu.

Po niedługim czasie weszło do nas trzech z NKWD. Dom był otoczony przez żołnierzy. Jeden z oficerów wyjął zapisaną kartkę papieru, pytając mnie: „Wasza familia?”. Powiedziałem mu swoje imię i nazwisko. Spojrzał na kartkę, a ja zza jego ramion również spojrzałem na nią. On, gdy to zobaczył, jak ryknie na mnie: „Uchadi, ty job

SWIADECTWO SZKOŁY POWSZECHNEJ

*Cieśllicki Kazimierz*  
(nazwisko i imię)

urodzony dnia *1. maja* 1925 r. w *Urzędowie*  
powiatu *janowskiego*, religii (wyznania) *rzymskokatolickiej*  
uczęszczał do klasy *siodmej „b.”* i otrzymał  
za rok szkolny 1938./39. oceny następujące:

sprawowanie . . . . .	<i>bardzo dobry</i>
religia . . . . .	<i>bardzo dobry</i>
język polski . . . . .	<i>bardzo dobry</i>
język . . . . .	
historia . . . . .	<i>bardzo dobry</i>
geografia . . . . .	<i>dobry</i>
nauka o przyrodzie . . . . .	<i>dostateczny</i>
arytmetyka z geometrią . . . . .	<i>dostateczny</i>
rysunki . . . . .	<i>bardzo dobry</i>
zajęcia praktyczne . . . . .	<i>dobry</i>
śpiew . . . . .	<i>bardzo dobry</i>
ćwiczenia cieleśne . . . . .	<i>bardzo dobry</i>

Opuścił dni szkolnych *2*, w tym nie usprawiedliwiono . . . . .

Na tej podstawie *ukończył szkołę powszechną*  
*stopnia trzeciego.*

Publiczna Szkoła Powszechna stopnia *trzeciego*

Nr . . . . . im. . . . .

w *Urzędowie* (powiat *Janów-Pubelski*)  
dnia *21. czerwca* 1939 r.

Nr *6.*

*Serbynówna Jadwiga*  
Opiekun *4* klas  
*Coll. Półny*

*Michał Chwał*  
Nieruchomy Szkoły

Skala ocen: *bardzo dobry, dobry, dostateczny.*

Sten. P. 10.  
Drukarnia Państwowa w 9160.

Cena 3 gr.

SWIADECTWO UKOŃCZENIA SZKOŁY POWSZECHNEJ

*Cieśllicki Kazimierz*

urodzony dnia *1. maja* 1925 r. w *Urzędowie*  
powiatu *janowskiego* religii (wyznania) *rzymskokatolickiej*  
ukończył w roku szkolnym 1938./39. szkołę powszechną stopnia *trzeciego*

Publiczna Szkoła Powszechna stopnia *trzeciego*

Nr . . . . . im. . . . .

w *Urzędowie* (powiat *Janów-Pubelski*)  
dnia *21. czerwca* 1939 r.

Nr *6.*

*Serbynówna Jadwiga*  
Opiekun *4* klas  
*Coll. Półny*

*Michał Chwał*  
Nieruchomy Szkoły

Sten. P. 11  
Drukarnia Państwowa w 9167.

Cena 8 gr.

Świadectwo ukończenia klasy VII i świadectwo ukończenia szkoły powszechnej przez K. Cieśllickiego z 1939 r.





jak miękkie futerko otarło mi się o twarz. W kącie stało wiadro klozetowe; z braku miejsca tuż przy nim leżał mężczyzna w średnim wieku, obcy, stale milczący, w ubraniu cywilnym bardzo porwanym – w strzępach. Robactwo chodziło po nim gromadą. Przebywał tu już dłużej. Nikt z nas nie wiedział, kto to jest. Była też grupa młodych, przystojnych, wesółych chłopaków – podobno z jakiegoś oddziału partyzanckiego. Jeden z nich miał olbrzymi wrzód na brzuchu. To uchroniło go od zsyłki.

Po tygodniu pobytu w więzieniu robactwo chodziło po nas wszystkich. Dostawaliśmy dwa razy na dzień wstrętną zupę z otrąb i chleb. Głodu jednak jeszcze nie było, bo otrzymywaliśmy paczki z żywnością z domu. Suchy chleb leżał na oknie – co nieraz potem w obozie wspominaliśmy ze łzą w oku.

Przez cały czas pobytu w więzieniu kraśnickim brano nas na podwórze klasztorne, do baraku – gdzie obecnie jest przedszkole – na przesłuchania. Prowadzili je już polscy oficerowie w wojskowych mundurach. Był tam m.in. niejaki Władysław Gonder z Moniak.

On to raz wszedł do celi i powiedział: „No co, sk... syny, teraz my wam pokazemy”. I POKAZALI. Nie powiem, mnie przy przesłuchaniu nie bili, ale inni wracali z przesłuchań zmasakrowani. Jednemu z nas udało się uciec z więzienia podczas wynoszenia naczynia z nieczystościami. Był to Władysław Mazik z Rankowskiego.

Pamiętam jeszcze piosenkę jaką śpiewaliśmy w więzieniu:

*Puławskie mury, więzienne kraty  
A za kratami młodzieży kwiat.  
Twarze ich blade, wzrok ich ponury,  
Bo siłą im wydarto świat.*

*Nadszedł czas badania, słyhać ich stapania  
I głos klucznika odzywa się:  
Ty partyzancie choć na badanie,  
Na górze los twój rozstrzygnie się.*

*Idę po schodach, drzwi są otwarte  
I wokół stołu oprawcy są.  
Wszyscy się śmieją i popychają:  
Ty Polska mordo oddaj broń.*

*Oddaj karabin i amunicję,  
Wydaj kolegów, zwolnimy cię,  
Jak dasz samolot i ze dwa czolgi  
Dowództwo wynagrodzi cię.  
Obłądnym wzrokiem patrzę dokoła  
Co ci oprawcy ode mnie chcą?  
Stawiam pytanie – dostają lanie  
I we drzwiach palce gniotą mi.*

*Wracam do celi mocno pobity  
Grono kolegów otacza mnie.  
Dajcież mu miejsce, miękkie postanie,  
Niech ten zmęczony spocznie se.*

Śpiewaliśmy ją na melodię „Więc pijmy wino szwależerowie”.

Po około dwóch tygodniach pobytu w kraśnickim więzieniu zapędzono nas pod konwojem do łaźni, gdzie trochę oczyściliśmy się z brudu.

Nazajutrz rano wyczytano z listy około 20 nazwisk i tym więźniom kazano wychodzić. Wśród tych nazwisk byliśmy: ja i mój brat. Wyszliśmy przed więzienie na ulicę. W celi pozostali ludzie starsi i chorzy. Spośród nich zapamiętałem Tadeusza Grzebulskiego z Mikuszeńskiego i swojego sąsiada Antoniego Różyckiego. Ten ostatni pozorował chorobę nogi.

Przed więzienie, gdzie staliśmy na ulicy „pod karabinami” zajechały dwa samochody ciężarowe. Zapędzono nas do nich i kazano usiąść rzędami na podłodze. Samochody były przykryte plandekami. Z tyłu usiadło dwóch polskich żołnierzy z pepeszami i samochody ruszyły. Zakazano nam rozmawiać. Jechaliśmy tak przeszło godzinę. Starsi koledzy, lepiej znający okolicę, przez szparę w plandece poznali w pewnym momencie wieś Niedrzwicę Kościelną. Szeptem powiedzieli o tym kolegom. Jednego z nich konwojującego nas żołnierza uderzył kolbą karabinu w plecy. Po pewnym czasie usłyszeliśmy większy ruch i gwar na drodze. Zrozumieliśmy, że już jesteśmy w Lublinie.

Podjechaliśmy pod jakieś baraki ogrodzone drutami kolczastymi. Tu kazano nam schodzić z wozów. Wprowadzono nas do środka i przekazano dowództwu.

Był to niewielki ponemiecki obóz przejściowy usytuowany w pobliżu dworca kolejowego. Tu gromadzono z terenu najbliższej okolicy „kontingenty” osób podejrzanych, by po skompletowaniu dostatecznej liczby wysłać ich transportem do ZSRR.

W obozie tym przebywaliśmy już tylko kilka dni. Reżim tu był ostry. Apele rano i wieczór, rewizje. Karmili nas dwa razy dziennie: kawałek chleba, w puszcze po konserwie zupa – ospa dla świń rozmieszana w wodzie i zagotowana (?). Podczas rewizji każdemu z nas zabrano wszystko, co miał przy sobie. Spaliśmy na piętrowych pryczach, na gołych deskach.

Po kilku dniach, pamiętam, spędzono nas pod wieczór na plac obozowy. Przed nami stanął rosyjski oficer wyższego stopnia i zaczął przemawiać. Pierwsze kilka zdań pamiętam do dziś: „Polaki pajedetie w Rassiju. Budietie robotat, eto szto Niemiec rozruszył. Wojna konczytsia – wiernioteś w damoj. Wojna skoro kończyt. Niemiec okružony ze wsiech stron”. To pamiętam dosłownie. Potem jeszcze mówił, że każdy będzie pracował w swoim zawodzie. Rolnicy będą pracowali na polach kolchozowych.

Po przemówieniu tego oficera nastąpiło w nas pewne odprężenie. Do tej pory nie byliśmy pewni swego losu. Nie wiedzieliśmy, czy nas wsadzą do więzień, czy wywiozą gdzieś za miasto i za rzekę. Po ich stosunku do nas nic lepszego nie spodziewaliśmy się.

Teraz miny były niby weselsze, ale nasuwała się cała masa pytań: Dokąd nas zawiozą? Na jak długo? Na jakich warunkach? Brat w rozmowie ze mną cieszył się: „Mnie będzie lepiej – mówił – niż tobie. Ja będę pracował w kolchozie, to zawsze będę miał więcej co jeść niż ty jako ślusarz”. Tak czy inaczej, otwierała się przed nami niewesoła perspektywa.

Mrok zaczął gęstnieć. Nas zebranych na placu obozowym uformowano w kolumnę marszową i trójkami pod silnym kordonem wyprowadzono z obozu. Po kilkudniowych deszczach ze śniegiem przyszedł mróz. Świat szklął się, świecił od oblodzonej powierzchni,



Kennort Miejsce wystawienia <b>Urzędów</b>	Kresl. Kraśnik Starostwo powiat. Lublin	Kennnummer Numer rozpoznawczy <b>4258</b>	Gültig bis Ważne do <b>31 März 1947</b>
Name Nazwisko <b>Cieslicki</b>	Geburtsname (b. Ehefrau) Nazwisko panieńskie (u mężata) <b>Walenty</b>	Vorname Imię <b>Waldy</b>	Geboren am Urodzony (a) w d. u. <b>7. II. 1868</b>
Geburtsort Miejsce urodzenia <b>Urzędów</b>	Kresl. Kraśnik Starostwo powiat. Lublin	Land Kraj <b>G. G.</b>	Beruf Zawód erlernter wyuczone Landwirt rolnik
Religion Wyznanie <b>rom. kath. - r. kat.</b>	Besondere Kennzeichen Szczególne znaki rozpoznawcze <b>keine - keine</b>	Unterschrift des Kennkarteninhabers Podpis posiadacza karty rozpoznawczej <b>Waldy Cieslicki</b>	Unterschrift des ausfertigenden Beamten Podpis sporządzającego urzędnika <b>Der Bezirkshauptmann</b>

Kennkarte (karta rozpoznawcza) Walentego Cieslickiego – ojca Kazimierza, z okresu okupacji niemieckiej

gdzieniegdzie pokrytej śniegiem. Nieliczni przechodnie omijali nas trwożnie, myśląc – zapewne – że prowadzą Niemców lub folksdojców. Szybkim marszem, popędzani przez żołnierzy doszliśmy do torów kolejowych, na których stały wagony towarowe. Tu zaczęto nas ładować – po około 40 osób do wagonu. Nie obyło się bez krzyków, łajania, bicia kolbą. Wagony ryglowano. Krzyki i przekleństwa przesunęły się dalej. W naszym wagonie nastąpiła cisza.

Stoimy... patrzymy wzajemnie na siebie i na wnętrze: wagon towarowy, kryty dachem, o małym, wysoko umieszczonym okienku – zakratowanym i owiniętym drutem kolczastym. Na podłodze warstwa pyłu węglowego. Na środku piec żelazny odprowadzający dym na zewnątrz. Pod tym okrągłym piecem mała garstka węgla. Typowa węglarka? Do „wyposażenia” był jeszcze otwór w podłodze przy drzwiach odsuwanych – służący do załatwiania fizjologicznych potrzeb. Pierwszą niezbyt przyjemną rzeczą w tym wagonie było robienie użytku właśnie z tego otworu. Starszy inteligentny pan z Lublina kręcił się w kółko po wagonie, przestępował z nogi na nogę, w końcu: „Ja bardzo panów przepraszam, ale już dłużej nie mogę”. Zrobił użytek z tego otworu. Wówczas zrobiło to na mnie fatalne wrażenie – potem każdy z nas przyzwyczaił się.

Patrzyliśmy na siebie nawzajem. Czterdziestu obcych sobie ludzi, których los złączył na wspólną tułaczkę z Polski. Wśród nas znajdowało się kilkunastu inteligentów z Lublina, ale przeważającą większość stanowili chłopcy z bliższych i dalszych okolic Lublina. Było też kilku rzemieślników. Wiek od 18 do 60 lat.

Pociąg ruszył. Nieliczni przeżegnali się ukradkiem, wyszeptali krótkie słowa modlitwy. Robiło się zimno. Niektórzy przechowywali kartki papieru, ołówki, a nawet banknoty polskie. Przy blasku żarzących się węgla na kartkach podawali nazwiska, adresy, że nas wywożą do Rosji. Do kartki takiej przymocowywali banknot i szparą

wyrzucali na zewnątrz, gdy wagon miał skrzyżowanie dróg. Dopiero dwa lata później dowiedziałem się – już po powrocie – że żadna wiadomość nie dotarła do naszych rodzin i bliskich.

Pociąg jak oszalały pędził przed siebie. My skuleni, niektórzy bardzo lichy odziani (złapani jeszcze w lecie). Tulimy się z zimna wzajemnie do siebie. Nie wiem kiedy przekroczyliśmy granicę na Bugu – widocznie wtedy drzemałem. Późnym jesiennym świtem byliśmy już w Brześciu. Tu wylądowano nas z polskiego pociągu. Każdy z nas dostał puszkę po konserwie jako „menażkę”. Puszka ta przez cały czas pobytu w niewoli była u mego boku. Nie rozstawałem się z nią nigdy, tak zresztą, jak i moi wszyscy towarzysze niedoli. Muszę wytłumaczyć dlaczego. Otóż w warunkach niewoli rosyjskiej dzięki puszcze po konserwie – stale noszonej u pasa – nie jeden z kolegów przeżył i względnie cały wrócił do kraju. „Tam” w każdym miejscu naszej pracy płonęło ogromne ognisko – po rosyjsku „kościor” – z ogromnych pni. I przymierając głodem jeniec wojenny często znajdował kawałek surowego kartofla, komosę, żabę czy jakieś odpadki, które mógł ugotować w tej puszcze i nieco wzmocnić siły.

W Brześciu otrzymaliśmy jakąś cuchnącą lurę imitującą zupe. Potem załadowano nas z powrotem do wagonów, ale już rosyjskich o szerszym rozstawie kół. Była to też węglarka – z resztką węgla na podłodze. Na środku piec okrągły z garścią węgla, przy drzwiach otwór w podłodze. Powoli pociąg ruszył dalej. Nie będę całej podróży opisywał dzień po dniu – nie jestem w stanie. Wspomnienia te zacząłem pisać po upływie 33 lat. Dziś tylko pewne fragmenty pamiętam i opiszę.

Jechaliśmy 12 dni i nocy. Podczas gdy odległość od Lublina do Brześcia pociąg przejechał w ciągu połowy nocy, jechał bardzo szybko i nie zatrzymywał się nigdzie prócz stacji Międzyrzec, to po przekroczeniu granicy włókł się zółwim tempem i stał godzinami gdzie popadło. W dzień – z ciekawością młodego człowieka – przez szparę usiło-

wałem obserwować okolicę. Noce były koszmarne. Węgla do pieca wystarczyło na 3 dni. W dzień jako tako. Nocą gnębiło nas zimno. Kładliśmy się pokotem na podłogę z miałem węglowym. Ci, co byli na wierzchu, z zimna wciskali się głębiej – tym, którzy byli na spodzie, było ciepłej, ale gnietli ich ci, którzy byli na górze i dlatego starali się wydostać na wierzch. Całe noce to nie było spanie, ale istna kotłowanina. Podczas jednej z takich pierwszych nocy jeden starszy inteligentny pan z Lublina dostał pomieszania zmysłów. Rozebrał się do naga i chodził tak po wagonie. Potem położył się przy wiadomym otworze w podłodze. Umazał się cały odchodami, bo ludzie po ciemku nie trafiali doń. Potem ten – już umyślowo chory – wskoczył na piecyk żelazny. Piecyk przewrócił się a żarzące węgle posypały się po wagonie i po nas. Zaczęto krzyżeć „sumas, sumas”, co po rosyjsku znaczy „wariat”. Pociąg zatrzymano. Choremu kazano ubrać się i zabrano go z wagonu. Nigdy więcej już go nie spotkałem.

Podczas tej jazdy karmiono nas następująco: 1 raz na dzień dostawaliśmy jedną łyżkę stołową gęstej kaszy i ok. 15 dkg sucharów z czarnego chleba. Suchary były tak ostre, że gdybyśmy ich nie rozmiękczyli w wodzie pokaleczylibyśmy sobie jamę ustną. W smaku nie przypominały chleba. Panował głód. Ale stokroć gorsze od głodu i zimna było pragnienie. Niejednokrotnie dawano nam tę jedną łyżkę kaszy i suchary, a wody nie. Pamiętam jedną taką noc.

Słaniam się na nogach, jęczę z cicha. Już myślałem, że nie wytrzymam z pragnienia. Ulitował się nade mną jeden z kolegów niedoli – urzędowiak, Aleksander Przy-sucha – i dał mi kilka łyków. Na jednym z wielu postojów, w Baranowiczach, staliśmy na stacji towarowej i też bez wody. Cierpieliśmy strasznie. W końcu zaczęliśmy krzyżeć: „Wody”. Na to odpowiedział wartownik, który stał na straży obok wagonów: „Dumaj, no dumaj, atamanom ne budesz”. Nie dajemy za wygraną. Cały wagon jednogłośnie, na komendę krzyżeć: „Wody, wody”. Dopieiliśmy swego. Po pewnym czasie przyniesiono nam dwa wiadra wody. Rzuciło się 40 ludzi naraz. Kto silniejszy wody nabierze – część się rozleje – słabi wody nie mają. Zimno i głód są straszne, ale pragnienie chyba gorsze.

Z Brześcia ruszyliśmy na północ. Szparką obserwowałem krajobraz. Widziałem płaską, rozległą, monotonna równinę błot poleskich. Wtedy, pierwszy raz, na mgnienie oka ujrzałem na skrzyżowaniu torów kolejowych z szosą – łąpeć lipowy leżący na skraju drogi. Pociąg nasz mijal laski brzożowe, bagna. Nędzne wioski poleskie, potem białoruskie. Mijaliśmy ubogie drewniane cerkiewki. W Baranowiczach staliśmy długo.

Na postojach w asyście uzbrojonego konwoju z hukiem odsuwano drzwi wagonu i ostro krzyżano: „Produkty połuczat”. A miny mieli przy tym takie, że chętnie by nas wystrzelali obok wagonu.

Pamiętam jeden z takich postojów w lesie. Drzwi od wagonu otworzono celem podania „produktów”. W otwartych drzwiach zobaczyłem stary las i kilku drwali starszych wiekiem pilnujących drewna. Ubrani w waciaki, siwe brody sięgające pasa, na głowach ogromne, kudłate czapy. Jakże im zazdrościłem i tego lasu, i tej pracy, i tej swobody.

Potem minęliśmy Stołpce i jechaliśmy dalej na północny wschód. Nazwy mijanych miejscowości znaleźmy stąd, że patrząc szparami w wagonie czasem udało się zobaczyć napis na budynkach mijanych stacji kolejowych. Zaczęły się pokazywać ślady wojny w postaci ruin, gruzów i zgliszczy. Mijana stacja Wielkie Łuki – to było jedno wielkie pogorzelisko. Okolica powoli zaczęła się zmieniać. Teren lekko pofalowany, wsie coraz rzadsze, coraz więcej nieużytków, takich co ani to las – bo prawie wycięty, ani to łąka – bo krzaki. Ot, dzicz. W wagonach czuliśmy się coraz gorzej. Od miesiąca nie myci, leżąc na podłodze w miałe węglowym, nie byliśmy podobni do ludzi. Wielu miało podwyższoną temperaturę. Tylko oczy jarzyły się niezdrowym blaskiem. Podczas jednego postoju, w czasie otrzymywania produktów, oficer NKWD w przypływie dobrego humoru krzyknął: „Nu, pany, piojtie!”. „Śpiewajcie”. Spojrzeliśmy po sobie i po krótkiej naradzie Eugeniusz Podrygalski i inni – ja również im pomogłem – zaczęliśmy śpiewać satyryczną piosenkę o Hitlerze. Pamiętam tylko pierwszą zwrotkę:

*Gdy się skończy wojna i dojdzie do zera  
To na Madagaskar wyślemy Hitlera.  
Hej, Madagaskar  
Kraina skwarna, gwarna.  
Afryka na wpół dzika jest.  
Madagaskar.*

W dalszych zwrotkach było naśmiewanie się z Hitlera, że pójdzie do Afryki łapać byki itp. Była to piosenka w czasie okupacji dosyć znana. No niestety na oficerze NKWD nie zrobiła żadnego wrażenia. Nie rozumiał słów, wruszył ramionami. Drzwi zatrzasnął, pociąg ruszył dalej. Przy mijaniu jednej z większych stacji kolejowych ktoś z naszych w wagonie przeczytał napis: „Bologoje”. Na to odezwał się starszy inteligent z Lublina: „To jest miasto od Pskowa na północ”. Pociąg dalej stał, włókł się powoli. Na drugi dzień znowu czytamy nazwę stacji: „Bologoje”. Pociąg włókł się jeszcze jeden dzień, wreszcie stanął. Pół dnia stał w bezruchu. A my wewnątrz straciliśmy kilka dni jazdy. Zobojętnieliśmy na wszystko. Gnębiło nas wszystko, co może człowieka gnębić. Wszy rozpanoszyły się w straszny sposób. Głód i mróz, brak ciepłej strawy, brak mycia, spanie na podłodze na węglu zrobiły swoje. Do ludzi nie byliśmy podobni. Czarni na twarzach, zarośnięci, ubrani w łachmany. Chwialiśmy się na nogach. Jechaliśmy już 12 dni i nocy.

Nagle drzwi w wagonie z hukiem rozsuwają się, ukazują się postacie żołnierzy i słycać okrzyk: „Wychaditie” – „Wychodzić”. Powoli, podtrzymując jedni drugich, zsuwamy się stopniowo ze schodów wagonu. Żołnierze z konwoju każą nam natychmiast siadać trójkami na sąsiednich torach kolejowych. Usiadłem z innymi i szeroko otwartymi oczami patrzę dookoła. Widzę równe pole pokryte lekko śniegiem. Po lewej stronie na horyzoncie jakieś miasto. Wokoło mnie siedzą jakieś stwory podobne raczej do diabłów niż do ludzi. Posadzono nas grupami w miarę jak schodziliśmy z wagonów. Każdy wagon osobno. Patrzę – w sąsiedniej grupie ktoś macha w moim kierunku ręką. Nie wiem kto to, odwracam



głowę. Ale słyszę: „Kazik!”. Przyglądam się uważniej tej postaci – i poznaję. To brat – Janek! Z trudem go poznaję. Ucieszyłem się, że żyje, pomachałem mu ręką.

Długo czekaliśmy tak, siedząc na torach, drżąc z zima, aż cały transport – kilkanaście wagonów – wyładuje się. Potem kazano nam powstać i iść torami. Powoli wlekliśmy się naprzód otoczeni konwojem z karabinami w rękę gotowymi do strzału. Na karabinach „szyki”. Odtąd przez cały czas pobytu w niewoli chodziliśmy do pracy i z powrotem sformowani w tzw. wzwoły – plutony, konwojowani przez kilku żołnierzy NKWD pod dowództwem podoficera. Wyglądało to tak: przodem szło dwóch żołnierzy z karabinami w rękę, bagnety na karabinach. Po lewej stronie „wzwoły” dwóch i po prawej dwóch. Z tyłu zamykało kolumnę trzech albo czterech żołnierzy z podoficerem. Ci popędzali ostatnich kolbami lub kopniakami. Przez cały czas pobytu w niewoli „opiekę” nad nami sprawowało NKWD.

Wlczemy się dalej torami, potem skręcamy w lewą stronę. Zbliżamy się do skrajnych zabudowań miasta. Nieliczni mieszkańcy tych domów wyglądają na ulicę i milcząco przyglądają się nam. Nie podchodzą bliżej. Mijamy ostatnie zabudowania. Robi się mrok. Mijamy jakieś wioski, jedną, drugą. Wieś się kończy, po prawej stronie na wzgórzu mający cerkiew wśród wysokich drzew. Każą skręcić w lewo. Dopiero na zakręcie widzę, jak długą tworzymy kolumnę. Jak dużo nas jest. Wprost przed nami migocą światła elektryczne, widzę baraki, druty kolczaste. Obóz. Po rosyjsku: „ЛАГИЕР”. Jesteśmy na miejscu. Tu jest kres naszej tułaczki. Dla wielu był rzeczywistością kresem.

## 2. Jegolsk

Długo trwały formalności z przejściem nas przez dowództwo obozu. Najpierw dowódca konwoju załatwiał tę sprawę u komendanta obozu. Potem stojąc razem w bramie wyczytywali imiennie każdego z nas, a wyczytany wchodził do obozu. Szło to powoli i opornie, gdyż wiele polskich nazwisk czytali inaczej i człowiek o danym nazwisku nie zgłaszał się, nie wiedząc, że to o niego chodzi. Ogromnie to przedłużało czekanie. Ja byłem gdzieś bliżej końca kolumny. Wiem, że czekałem na mrozie, lekko ubrany, bardzo długo. Wiem również, że potem były jeszcze większe mrozy, że po dwunastu godzinach w szczerym polu z łomem w ręce stałem na 45-stopniowym mrozie, ale tak nie marzłem jak właśnie wtedy w głęboką noc u bram obozu, czekając na wyczytanie. W końcu usłyszałem swoje nazwisko: „Ceslysky”. Wkroczyłem w bramę, zjąłem czapkę, przeżegnałem się i westchnąłem do Boga, żeby pozwolił mi całemu i zdrowemu przekroczyć tę bramę z powrotem. Prawie biegłem w kierunku baraku, żeby się rozgrzać. Nie wiedziałem dokąd mam iść – zapytałem stojących przy bramie ludzi. Okazali się Polakami, wskazali mi drogę. Zszedłem do baraku po schodach w dół, poznałem ludzi z mojego wagonu i razem z nimi wszedłem na piętrową prycze. Tu w ubraniu położyłem się na gołych deskach i zasnąłem.

Baraki w tym obozie były drewniane, na wpół wkopane w ziemię. Z ziemi wystawały dachy z wywietrznikami.

Okien było trochę, ale tylko dawały światło. W ziemi otaczającej baraki zrobione były do okien tunele. Posadowienie baraków w ziemi zwiększało ich ciepłość, co się liczyło w czasie zimy, gdzie temperatura dochodziła do minus 50 stopni. Wewnątrz baraku były korytarze na całej jego długości. Po bokach były prycze zbudowane z desek, bądź w większości z żerdzi. Pod głowę była położona skośna deska. Na takim „posłaniu” spaliśmy przez cały czas pobytu w niewoli. Po upływie pewnego czasu, gdy każdy z nas wyglądał jak szkielet, każdy na biodrach i ramionach miał odgniecione rany. Prycze były trzypiętrowe. Na dole było wygodniej, bo nie trzeba było się wspinać. Najcieplej było na pryczy górnej, ale wyziewy ludzkie były tam tak zagęszczone, że każdy tam śpiący, gdy rano splunął, to plwociny były czarne. Ja spałem na pryczy górnej.

Nad ranem, o godzinie piątej, wśród ciemnej nocy, zbudził nas krzyk: „Pobudka”. Wkrótce przyniesiono śniadanie: po 10 dkg czarnego chleba smakiem i wyglądem przypominającego glinę i „menażkę”, tzn. ¼-litrową puszkę po konserwie zupy. Zupa ta była mieszaniną wody i obierek z kartofli. Po „śniadaniu” leżymy na pryczach do godziny siódmej. O siódmej na okrzyk: „Prewierka” (apel) ustawiamy się rzędami między pryczami celem policzenia nas przez dowództwo obozu. Potem leżymy na pryczach do godziny czternastej, o tej godzinie dostajemy obiad. Znow obierzyny z wodą, ale aż 40 dkg chleba. Jak na obóz w Rosji to dużo. O godzinie siedemnastej znow „prewierka”, o osiemnastej kolacja. Łupiny z kartofli z wodą.

I popłynęły dni monotonne, ponure i coraz krótsze. Około Bożego Narodzenia świt wstawał o dziesiątej, a mrok zaczynał się o piętnastej. Mróz był coraz większy, w szczycie osiągał minus 50 stopni.

Studni w obozie nie było – wodę nosiliśmy z rzeki Msta odległej od obozu o około 2 kilometry. Co dzień 30 ludzi pod konwojem drewnianymi wiadrami przynosiło wodę z rzeki. Nim doszliśmy do obozu pół wody w wiadrze zamarzło.

Z ciekawością obserwowałem rzekę. Jej bystry nurt, toczący się po kamieniach, tworzył wiry, wytryski wody w górę między skałami. Gdy mróz się zwiększał – a chodziłem po wodę dłuższy czas, może miesiąc – wiry zamarzały, a nawet miejsca, gdzie woda napotkawszy na swej drodze kamień wytryskiwała w górę, obmarzała, tworząc fantastyczne kształty.

Przychodząc z wiadrami na jarzmach do rzeki, mijaliśmy po prawej stronie na wzgórzu starą cerkiew murowaną, otoczoną starymi drzewami. Cerkiew od dawna nie była udostępniona wiernym – pełniła funkcję magazynu obozowego. Przechowywano w niej żywność. Obok cerkwi były zabudowania mieszkalne – chyba popa. Teraz mieściły się w niej jakieś urzędy państwowe.

Pamiętam jak raz rano, w trzaskający mróz, przypędzili nas pod cerkiew po jakieś towary. Dłuższy czas staliśmy zanim nam dano coś do niesienia – oczywiście pod konwojem. Stałem w pobliżu okna tego urzędu. W oknie stała młoda dziewczyna i patrzyła na mnie. Widziałem w jej oczach wielkie współczucie. Musiałem wyglądać naprawdę źle. Miałem wtedy dziewiętnaście lat.

W tym czasie stała się rzecz dziwna, nie mieszcząca mi się w głowie. Podczas jednej z „prewierek” – apeli z sąsiedniego wzwołu plutonu wywołany został jeden z naszych – Polak – „wojennoplenny”. Wezwano go do dowództwa obozu i oświadczone, że wraca do Polski. Dali mu prowiant na kilka dni, bilet powrotny i „bumagu” – zezwolenie na powrót do kraju. Nie pozwolono mu już na pójście do baraku i pożegnanie się z kolegami. Długo zastanawialiśmy się nad tym faktem w swoim gronie. W kraju musiał w jego sprawie ktoś interweniować. Ktoś na bardzo wysokim szczeblu. Być może zwolniony był przed wojną zasłużonym komunistą.

Na zachód od obozu ciągnęła się nieduża wioska o zabudowie wyłącznie drewnianej. Cechą charakterystyczną tamtejszego budownictwa jest duże zdobnictwo. Prawie każdy dom miał drzwi i okna obite listwami rzeźbionymi w ząbki, romby, koła itp. Obramowanie facjat i ganki pięknie zdobione w ten sam sposób, to wszystko w dodatku malowane wyglądało z daleka bardzo ładnie. Z czasem dowiedzieliśmy się, że wioska ta nazywała się Jegolsk. W pobliżu przepływała Msta. W rejonie Jegolska rzeka, która 50 km w górę wypływała od wzniesień Wałdajskich, płynie dokładnie ze wschodu na zachód, a wpada do jeziora Ilmen. Z większych miast w najbliższym terenie było dość duże miasto Borowicze położone nad Mstą, odległe od wioski Jegolsk 10–15 km na wschód.

W naszym obozie w niewoli było wiele narodowości z całej Europy. Najwięcej było Niemców. Potem byli Finowie (od 1940 r.), Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Hiszpanie z takich jednostek wojskowych, jak „Condor” i inne, które walczyły na froncie wschodnim po stronie Niemiec. Nosili mundury niemieckie, a na rękawach mieli emblematy z napisami: „Espania”, „France”, „Belgie”. Byli też jeńcy włoscy, Rumuni, Węgrzy. Mieszanina narodów.

Obóz otoczony był podwójnym rzędem drutów kolczastych. Między drutami był pas około 4 metrów szerokości, porośnięty trawą. Co około 100 m stała wieża, na której dzień i noc czuwał wartownik z cekaemem i reflektorem. W mgliste noce – a zdarzało się to wiosną – gdy reflektory nie mogły oświetlić terenu, po zewnętrznej stronie drutów kolczastych przechodziły gęsto patrole z psami wilczurami.

Wewnątrz obozu, wzdłuż ogrodzenia oraz w środku, było rozmieszczonych siedem dużych baraków. W każdym z nich mieszkało 1000 i więcej ludzi. Tak, że stan ilościowy obozu wynosił około 10 000 osób. Na środku majdanu obozowego stała kuchnia i łaźnia, obok największy barak, w którym mieszkało 1800 jeńców.

Z chwilą ostatecznego rozlokowania nas po barakach stopniowo prowadzono nas do łaźni. Osobliwe to było mycie. Każdy z nas dostał drewniane naczynie z czterema litrami letniej wody. Tym trzeba było się bez mydła umyć po miesięcznej jeździe w miale węglowym, choć palce u rąk pokryte były zrogowaciałą skórą z wżartym miałem. Jak kto mógł i umiał, umył się w tym naczyniu przypominającym skopek, jakiego za czasów mojego dzieciństwa mama używała do dojenia krowy. Śmiałyśmy się z jednego z nas, który umycie rozpoczął od nóg. Gdy doszedł do głowy – można sobie wyobrazić jaka ta woda

była brudna. Gdyśmy się umyli, ubrania nasze zabrano do odwieszalni. Tam w wysokiej temperaturze insekty były częściowo zniszczone.

Już w obozie, ponieważ ubrany byłem bardzo lichy, dostałem wygodne spodnie rosyjskie, wojskowe, marynarkę z munduru niemieckiego, a w terminie późniejszym, gdy w innym obozie poszedłem do pracy, otrzymałem duży kozuch. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że gdyby nie ten kozuch, zimy bym nie przeżył.

Wracając do łaźni – pamiętam jak jednej grupie naszych, którzy z nami z Lublina przyjechali, spaliły się ubrania wskutek nieuwagi niemieckiej obsługi z odwieszalni i niewiele dało się uratować. W zamian dano tym ludziom mundury fińskie. Widziałem ich potem nie raz, jak maszerowali „wzwozem” (plutonem) po terenie obozu lub do pracy. Dziwny przedstawiali widok. Mundury fińskie są koloru dojrzałej śliwki węgierki z emblematami gryfa na rękawach. Płaszcz nosili obszerne w tym samym kolorze, a na głowach furazerki z ogromnymi nausznikami. Dziś jeszcze, gdy przymknę oczy, widzę naszych Jasiów znad Wisły wymizerowanych, nędznych – w tych groteskowych mundurach.

Stopniowo, w miarę przedłużania się naszego pobytu, uzyskiwaliśmy z różnych źródeł coraz więcej wiadomości o naszym obozie. W rejonie Borowicz był Łagier nr 270. Dzielił się on na podobozы: we wsi Jegolsk, we wsi Szepietowo – obóz leśny tzw. waldlager (po niemiecku, jako że najwięcej tam było Niemców), we wsi Ujście – „szachtlager” (szachta to po rosyjsku kopalnia), Kabanka na skraju miasta Borowicze, „szadtlager” w mieście Borowicze. Ja przebywałem w Jegolsku, w Ujściu (około 15 000 ludzi) i w Kabance, małym obozie przejściowym, gdzie nas przygotowywano do powrotu do Polski. „Sztadtlager” widziałem, gdy przepędzali nas do innego obozu. Był to duży obóz. Przebywało w nim kilku urzędowiaków. Jeden z naszych – Longin Cieśliski, ur. w 1925 r. – tam zmarł.

Po około miesięcznym pobycie w obozie byłem już dostatecznie „rozklejony”. Wychodząc z baraku – ziemianki po schodach na dwór czułem, że nogi i ręce mnie nie słuchają. „No, Kazik – powiedziałem wtedy głośno do siebie – już rozklejasz się”. I rzeczywiście już byłem bardzo słaby, nędzny. Ślaniałem się na nogach.

Na terenie obozu – jak już pisałem – nie było studni. Często dawano nam zupę z obierzyn bardzo słoną. Chciało się pić, a nie było co. Śnieg w menażce nie tajał, było zbyt zimno. Przy obozowej kuchni był zbiornik na wodę pitną przyniesioną z rzeki. Była to ogromna kadź drewniana. Po schodach wchodziło się na jej skraj i wlewało wodę z wiader. Nie mając skąd brać wody do picia, chodziliśmy niektórzy z menażkami, próbując nabrać wody ze zbiornika. Niektórym się to udawało. Poszedłem raz i ja. Złapali mnie Rosjanie, pobili, pokrwawili. Z płaczem wróciłem bez wody do baraku.

Niektórzy z jeńców brani byli do pracy na zewnątrz obozu. Tam, stykając się z ludnością cywilną, zaczęli prowadzić handel wymienny. Za części ubrania otrzymywali minimalne ilości tytoniu, tzw. krupczatkę – są to korzenie tytoniu pocięte na drobno. Na terenie obozu krupczatka ta pełniła funkcję monety obiegowej. Za krupczatkę można było dostać wszystko. To znaczy: chleb, zupę czy



cukier. Zapomniałem napisać, że codziennie rano na śniadanie otrzymywaliśmy cukier – łyżeczkę od herbaty, ale zrównaną nożem do wysokości krawędzi. Było tego może 0,5 dkg.

Chciałem tu poruszyć problem palenia. Na wolności często mówi się o zgubnych skutkach palenia papierosów, a cóż dopiero w warunkach niewoli? Widziałem ludzi, którzy umierali z głodu, a ostatni kawałek chleba oddawali za jednego skręta krupczatki w papierze gazetowym. Widziałem wielu ludzi, którzy niewoli nie przeżyli, do Polski nie wrócili, bo nie potrafili się wyrzec palenia. A wielu było takich, którzy owszem, na wolności palili, ale w niewoli mówili: „Panie ten kawałek chleba trzyma mnie przy życiu i ja mam oddać go za skręta i Polski nie zobaczyć?”. Często po terenie obozu chodzili funkcyjni oficerowie z obsługi obozu. Nie mieli oni broni krótkiej, kabury naganów były puste. Zdarzało się, że oficer taki palił papierosa. Ich papierosy to „kozia stópka” – z papieru gazetowego skręcony lejek, w który sypie się krupczatkę i zapala. Niejednokrotnie po 15 ludzi biegło za nim, czekając aż wyrzuci niedopałek, przewracając się wzajemnie w śnieg lub błoto, a niedopałek w rezultacie wgniatali w ziemię. Często obserwowałem takie sceny.

W każdym baraku, w jego środkowej części, była wolna przestrzeń, nazywana „kiercelak” (odpowiednik przedwojennego placu Kercelego w Warszawie, gdzie był bazar i kwitł handel wszystkim i ze wszystkimi). Nazwę tę nadali naszemu „targowisku” powstańcy warszawscy, których tu przywieziono razem z nami. Tu dokonywano handlu wymiennego.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Leżąc na pryczy, smętnie rozmawialiśmy, że gdyby nas dziś puścili jeszcze byśmy zdążyli na święta do domu. Nie puścili. Nadeszła Wigilia. Każdy z nas z obiadu zostawił kawałek chleba w kieszeni. Zjedliśmy nasze łupiny z wodą i nawzajem złożyliśmy sobie życzenia, lekko skubiąc okruchy chleba życzącego. Z płaczem dzieliłem się tym „opłatkiem” z moim bratem Jankiem. Potem zaczęliśmy śpiewać kolędy. Gdy teraz to piszę, muszę kilkakrotnie przerywać pracę – oczy mi nabiegają łzami. To cośmy wówczas śpiewali i jak, do śmierci nie zapomnę. To nie był śpiew, to był jeden szloch i jeden jęk ludzi, którzy niewinnie cierpieli. Oderwani od rodzin, od swego kraju. Skazani na straszny głód, straszną nędzę i poniewierkę. Za co? Za to, że w większym lub mniejszym stopniu głowę nadstawiali za Polskę. Co za niesprawiedliwość. Jest znana kolęda: „Bóg się rodzi, moc truchleje”. Gdy śpiewaliśmy:

*Podnieś rękę Boże Dziecię  
Błogosław krainę miłą...  
Dom nasz i majętność całą  
I wszystkie wioski z miastami...*

– nie było w obozie Polaka, który by nie płakał.

Przez święta normalnie jedliśmy obierzyny z kartofli z wodą i ten chleb przypominający go tylko z nazwy. Ba, żeby tego chleba było pod dostatkiem. Pamiętam, że często gdy dostawałem rano „100 gramów” chleba – płakałem, całowałem go i jadłem. Tak czyniło wielu.

Co do karmienia nas obierkami z ziemniaków – oficer NKWD, dowódca obozu, raz powiedział, że nie otrzymał „produktów” i dlatego nas tak karmi.

Pamiętam, raz wieczorem przechodziłem obok obozowej kuchni, wtem usłyszałem płacz, skamlenie. Podszedłem bliżej i zobaczyłem chłopaka w moim wieku stojącego przed okienkiem, gdzie wydawano chleb na baraki. Ten chłopiec prosił o kawałek chleba. Gdyby tę rozmowę, tę prośbę nagrać na taśmę i odtworzyć, niejednej matce serce pękło by z żalu. To był jeden płacz, psi jęk i tarzanie się w śniegu. Niestety chłopiec ten, Polak, kawałek chleba nie dostał. Z płaczem powłókł się do baraku. A ja stałem ze zjeżonymi włosami i nie mogłem ruszyć się z miejsca – przejęty grozą. Byłem tak samo głodny. Dopiero siarczysty mróz przywołał mnie do świadomości. Powłokłem się i ja do baraku.

Prócz straszliwego głodu gnębiły nas insekty. Wszy rozmnażały się błyskawicznie. Do odwszalni prowadzili nas bardzo rzadko, a efekty odwszenia były i tak znikome. Po kilku dniach wszy było na nas znów pełno. Dlatego w każdym baraku od rana do nocy, a często i nocą, przy nikłym świetle żarówek ludzie zajęci byli wyszukiwaniem i niszczeniem wszy. Czynili to gromadnie i bez przerwy. Wszy najbardziej trzymają się wełnianych swetrów i najtrudniej je stąd wyłuskać. Koszule nasze przez pierwsze trzy miesiące roily się od wszy. Ale w dalszych miesiącach koszula robiła się jak z blachy, przesycona brudem i tłuszczem. W takiej koszuli wszy już się nie gromadziły. W takich koszulach łatwiej było żyć. Stoi mi do dziś przed oczyma obraz baraku, a w nim tłum mężczyzn rozebranych do pasa i pracowicie wyszukujących wszy i rozgniatających je na paznokciach kciuków obu rąk. Z czasem każdy z nas te paznokcie miał czerwone, jak po manicure. Ale nas to nie śmieszyło. Nie mogliśmy poradzić sobie z tą plagą. Niektórzy mimo silnych mrozów powyrzucali swetry z baraków, żeby mieć trochę mniej wszy na sobie, a mrozy były siarczyste, dochodziły do minus 50 stopni.

Nie myśliśmy się wcale, bo nie było ani czym, ani gdzie. Całe ciało swędziało straszliwie. Każdy się drapał, aż powstawały rany. Było z nami dwóch mężczyzn ze wsi Karczmiska koło Opolu Lubelskiego. Jeden z nich nazwiskiem Grzyb (imienia nie pamiętam) siedział na pryczy rozebrany do pasa i drapał się po piersi. Krew ciekła mu strumykiem. My krzyczymy: „Co robisz, szkoda krew darmo wylewać, nie masz jej za dużo. Wszystko mi jedno – odpowiedział – ja już dłużej wytrzymać nie mogę”.

Po wszach najbardziej dokuczały nam pluskwy – po rosyjsku „kłapy”. Były okresy, gdy opuszczaliśmy baraki na dłuższy czas i spali w innych barakach w przejściach między pryczami, albo jeśli to było lato na dworze w wykopanych w ziemi norach. Przed pluskwami nie było ucieczki.

W długie zimowe wieczory i noce leżąc na deskach i żerdziach często snuliśmy długie opowiadania na różne tematy. Głównym tematem w obozie było jedzenie: co ja w domu jadłem, jak się przyrządza tę lub inną potrawę, moja żona robiła to tak – a z następnej pryczy odzywał się drugi i mówił, że jego żona robiła to w inny sposób i że tak przyrządzona potrawa była lepsza. Przez cały

czas pobytu w niewoli większość rozmów poświęciliśmy jedzeniu. Bardzo często po długiej rozmowie o jedzeniu ktoś obruszał się i krzyczał: „Już dajcie spokój, wytrzymać nie można. Człowiek przymiera głodem, a oni o tych pysznościach opowiadają”. Na to ktoś inny: „Proszę pana, musi pan wiedzieć, że pod wpływem słuchania o takich potrawach wytwarzają się kwasy, które zastępują w pewnej mierze jedzenie”. „Tak – odzywa się szyderczo głos z kąta – a z czego ci się te kwasy wytworzą w organizmie? Z powietrza?”. Wszyscy cichną.

Bardzo mało mówiło się o polityce. Raz tylko słyszałem rozmowę kolejarzy lubelskich o ich działalności w AK. Prócz tego momentu nie słyszałem rozmów o partyzantce, sabotażu, walce z Niemcami. A przecież byli to przeważnie partyzanci, członkowie ruchu oporu. Teraz, gdy to piszę, myślę że powodem tej małomówności był strach przed szpiclami, którzy na pewno byli wśród nas i donosili dowódcy obozu co który z nas powiedział. Znaliliśmy takiego szpicla w drugim obozie, w Ujściu. Do pracy nie chodził, wyglądał na dobrze odżywionego, jak na wolności. Kręcił się po całym obozie, podsłuchiwał co kto mówi i donosił dowództwu. Co się z nim stało po moim wyjeździe nie wiem.

W barakach były po dwa piece, w których palił się ogień. Jednak na ogrzanie baraków piece były za małe, a baraki za duże. Nadmiar ludzi stłoczonych w baraku powodował temperaturę znośną. Zapalek nie mieliśmy, więc do palenia w piecu czy zapalenia papierosa używaliśmy krzesiwa i krzemienia. Krzesiwa robili kolejarze, którzy pracowali w kuźni. Hubki nie mieliśmy, zamiast niej używaliśmy odpadów bawełnianych. Wysuszone paliły się, a właściwie żarzyły dobrze. Wróciliśmy do czasów, gdy zapalki nie były znane.

Bardzo częste w obozie były kradzieże chleba. Z chwilą otrzymania swojego kawałeczka trzeba było bardzo uważać, moment nieuwagi wystarczył, żeby chleb zniknął. Zorganizowani byliśmy w drużyny po 10 osób. Jeśli w drużynie byli ludzie na pewnym poziomie moralnym, wówczas kto był podejrzany o kradzież zostawał rewidowany. Jeżeli u kogoś znaleziono skradziony chleb, zostawał ukarany. Zdejmowano takiemu spodnie i kalefony do kostek i w goły tyłek dostawał określoną ilość kijów. Zdarzało się nieraz, że złodziejem był starszy, siwy, inteligentny pan, a okradzionym młody wiejski chłopak. Zabawny to był widok, gdy ten siwy inteligent, trzymany przez dwóch rosłych mężczyzn, musiał wyjąć goły zadek, a młody, prosty chłopiec spuszczał mu manto. Bity krzyczał nieraz, narzekał, ale nikt nie stawał w obronie złodzieja, a każdy wygadywał mu co chciał i wyzywał go. Śmieszny to był widok w swoim tragizmie. Takich jak ten profesor trzeba było ukarać – tu wszyscy byliśmy równi, wszyscy chcieliśmy przeżyć i wrócić do kraju.

Pewnego wieczoru usłyszałem w baraku głośne krzyki i jęki. Przyczyna była następująca: część nas, Polaków, brano nieraz do różnego rodzaju prac na zewnątrz obozu. Zdarzyło się, że jeden z naszych pracując poza obozem zetknął się z owsem. Nabrał go do kieszeni i jadł jak

Generalgouvernement  
Dist. Lublin  
Der Reichsarbeitsdienst in Polen  
Die Bauabteilung  
Baudiensthauptstelle 409

1 Krassnik, den 3. 12. 1943

**Vorläufiger Bescheid**  
Zaświadczenie tymczasowe

Einberufungsnummer: 1.5 1925  
Geburtsort: Krassnik  
Geburtsdatum: 25. 11. 1919  
Einberufen aus: Krassnik  
Wohnort, Straße & Haus-Nr.: Krassnik

Verdruck: 88 i a (10. 10.)

Sie sind bei der heutigen Musterung für den Baudienst als tauglich befunden worden und haben zum 1. April 1944 mit Ihrer Einberufung zu rechnen. Hiervon haben Sie sofort Ihren Betriebsführer in Kenntnis zu setzen. Jeder Wohnungswechsel wird Ihnen ab sofort bis zu Ihrer Einziehung untersagt. In begründeten Ausnahmefällen haben Sie vorher beim Führer der Baudiensthauptstelle schriftlich einzuholen.

Uznano Pana przy dzisiejszym przeglądzie za zdolnego do służby budowlanej i powinien Pan się spodziewać powołania do 1. April 1944. O tem należy natychmiast zawiadomić kierownika przedsiębiorstwa. Zmiana miejsca zamieszkania jest aż do czasu powołania zabroniona. W wypadkach wyjątkowo uzasadnionych ma Pan poprzednio uzyskać zezwolenie kierownika głównej placówki Służby Budowlanej przedkładając piśmiennie powody.

Der Führer der Baudiensthauptstelle 410

Lebrać zeznana  
1 samykan woliak  
1 koc, byzak, misak  
1 ubranie robocze

#### Niemieckie zaświadczenie, że K. Cieśliski jest zdolny do pracy

pestki z dyni. Musiał go zjeść sporo. Suchy owies, rozmoczony tylko śliną spowodował niesamowite dolegliwości. Człowiek ten krzyczał strasznie. Nie wiem co się z nim dalej stało, bo zabrano go od nas.

Po Bożym Narodzeniu w naszym baraku samorzutnie zorganizowało się nikle życie kulturalne w postaci czegoś w rodzaju prelekcji wygłaszanych przez jednego z Polaków. Nie był to nawet człowiek wykształcony. Chyba jakiś urzędnik z prowincjonalnego miasteczka Lubelszczyzny. Ale jego przemówienia były ciekawe, pożyteczne i przepełnione miłością do Ojczyzny. Gdy wspominał kraj – on płakał i my płakaliśmy razem z nim.

Jeden z naszych urzędowników – Witold Wysocki – pochodził z Radomia. Do Urzędowa sprowadził się przed wojną. Pracował w krańwickiej fabryce. Wówczas: Państwowa Wytwórnia Uzbrojenia – Fabryka Amunicji nr 2 w Dąbrowie-Bór. Otóż ten p. Wysocki podczas wojny w Urzędowie pozostał. Był akowcem z krwi i kości. Po „wyzwoleniu” podczas łapanki akowców w Urzędowie złapano go i wywieziono z nami. Zauważyłem, że p. Wysocki zwracał uwagę na mnie. Podczas transportu dawał mi wodę, już w obozie dbał, żebym nie dostawał mniej zupy, przy rozdziale odzieży to właśnie on postarał się



o kozuch dla mnie. Dzięki niemu żyję. Byłem jednym z najmłodszych „mieszkańców” obozu.

Przyszedł nowy rok 1945. Nic nie uległo zmianie. W połowie stycznia przyjechała do obozu komisja wyższych wojskowych rosyjskich. Komisja ta obesła wszystkie braki, oglądając nas. My staliśmy obok swoich pryczy wyprostowani na baczność. Członkowie komisji przechodząc koło nas rozmawiali z rosyjskim komendantem obozu. Do nas się nie odzywali. Ale jeden z nas, starszy już człowiek, znający rosyjski, odezwał się do nich: „Po czemu my suda kakda wojna wsiem mire i ludi na wojnie su trebne?” (Dlaczego my jesteśmy tu, podczas gdy trwa wojna na całym świecie i ludzie na wojnie są potrzebni). Jeden z członków komisji odpowiedział tylko tyle: „Pa tomu, szto wy zdzieś” (Dlatego, że jesteście tu).

W tym mniej więcej czasie – nie wiem skąd i od kogo – rozeszła się u nas znajomość *Pieśni Polaków na Obczyźnie*. Pieśń ta wiernie oddawała nastroje, jakie panowały w obozie: głód, nędzę i poniewierkę.

Tekst jej był następujący:

*O Panie, który jesteś w niebie*

*Wyciągnij sprawiedliwą dłoń.*

*Wołam z wszystkich stron do Ciebie*

*O polski dach, o polską broń.*

*O Panie skrusz ten miecz co siecze kraj*

*Do wolnej Polski nam powrócić daj,*

*By stał się źródłem nowej siły*

*Nasz dom, nasz Kraj.*

*O Panie usłysz prośby nasze,*

*Wysłuchaj nasz tułaczy śpiew*

*Od Wisły, Sanu, Warty, Bugu*

*Męczeńska do Ciebie woła krew.*

*O Panie skrusz ten miecz...*

Była to pieśń – prośba, pieśń – modlitwa. Gdy ją śpiewaliśmy, nie było takiego, który by nie miał łez w oczach. Melodia jej jest bardzo piękna.

Śpiewaliśmy też „ku pokrzepieniu ducha” piosenkę zwawiej marszowej melodii:

*Jeden nas gnębi los i jeden dręczy ból,*

*Jedna tęsknota do tych lasów, do tych pól,*

*Jedna nas dręczy dola lepsza, albo zła,*

*W Polaku Polak dziś na pewno brata ma.*

*Wrócimy tam, dokąd serce dziś tęskni i marzy,*

*Wrócimy tam, aby zerwać Ojczyźnie kajdany.*

*Wrócimy tam, wszyscy razem i młodzi i starzy,*

*Wrócimy tam, gdzie nasz dom, gdzie nasz Kraj  
kochany.*

Pewnego dnia pod koniec stycznia obudzono nas o czwartej rano. Kazano się ubrać. Szybko też otrzymaliśmy swoje 200 gramów chleba i łupiny w zupie. Uformowano nas w kolumnę marszową i wyszliśmy z obozu. Skręciliśmy w lewo, mineliśmy cerkiew i poszliśmy prosto. Szliśmy tak do południa. Dzień był pochmurny, ołowiane chmury wisiały nisko nad horyzontem. Śnieg był wyżej kolan, mróz około 30 stopni. My ubrani ciepło, ale skuleni z zimna i osłabieni. Wokół nas sfera konwoju ze „sztykami” na karabinach.

Ja podczas okupacji dużo czytałem, więc byłem trochę rozgarnięty. Jak popatrzyłem na tę kolumnę ludzi, na

krajobraz, żywo stanął mi przed oczami obraz Artura Grotgera *Na Sybir*. Tak na obrazie, jak i przed sobą widziałem takie samo niebo, krajobraz i ludzi. Podzieliłem się swoimi wrażeniami z niektórymi towarzyszami niedoli, którzy znali ten obraz. Przyznali mi rację.

Wlokąc się po śniegu i mrozie, mijaliśmy wiele wiossek. We wsiach widzieliśmy tylko kobiety, dzieci i starców. Mężczyzn nie było. Wszyscy byli na wojnie. Mijając kuźnię, widziałem rosłą dziewczynę kującą żelazo. Cerkwie – niektóre bardzo piękne – nieczynne, opuszczone. Niektóre w ruinie. Koło południa weszliśmy do lasu. Dziwny to był las, rosnący całkowicie bez ingerencji człowieka. Stare połamane drzewa leżały pokotem, gęstwina ogromna, wielkie obszary bagien. Tak grubych drzew nigdzie nie widziałem. W pewnym miejscu na polanie stały przyzmy z pociętego drewna. Po niedługim odpoczynku kazano nam wziąć po polanie drewna na ramię i ruszyliśmy w drogę powrotną. Szliśmy resztę krótkiego dnia i prawie całą noc. Mróz trzaskający, drewno ciąży na ramieniu. Z głodu i osłabienia ludzie przewracali się na śnieg i nie mogli iść dalej. Kilku zamarzło po drodze, kilkunastu samochód ciężarowy NKWD zabił. Ja z kilkoma innymi ciągnąłem sanie załadowane drewnem. Sanie specjalne, syberyjskie. Mają one płozy cienkie, wygięte z przodu wysoko do góry. Same są niskie i niezbyt szerokie. Ich cechą charakterystyczną jest to, że wykonane są bez jednego kawałka gwoźdźca. Żelazo w bardzo niskiej temperaturze potrzaskałoby. Sanki te są powiązane pędami wikliny.

Głęboką nocą, ledwo żywi wróciliśmy do obozu. Taka była cena dostarczenia drewna do gotowania stawy w obozie.

Z obozu w Jegolsku pędzili nas też często kilka kilometrów w pole, gdzie stał opuszczony łagier. Jeszcze jeden w okolicy. Braliśmy z niego deski, słupy i nosiliśmy do swojego obozu. W pewnym miejscu w polu, niedaleko drogi, którą przechodziliśmy, stał pług. Skibą zanurzony w ziemi tak, jak go kolchoźnik zostawił po orce. Śnieg go częściowo zasypał. Pokazywaliśmy go jeden drugiemu i z drwiną komentowaliśmy to. Widzieli to konwojenci. Na drugi dzień przechodzimy tamtędy – już tego pługu nie ma.

Jak przedstawiał się „skład personalny” (mam na myśli Polaków) naszego obozu? Najlicniejszą grupę – chyba około 80% – stanowili członkowie Armii Krajowej, WiN oraz innych pomniejszych ugrupowań polityczno-militarnych. Następną grupę stanowili ludzie, którzy nigdzie nie należeli, a do obozu dostali się wskutek pomyłki, mylnego podejrzenia i przypadku. Z Urzędowa też było takich kilku, wielu zaś z Lublina. W Lublinie były lokale „podejrzane”, pod obserwacją NKWD. Kto wszedł do takiego lokalu – powiedzmy wypić piwo czy małą wódkę – wylądował na Syberii. Tą drogą trafiło do nas kilku oficerów z I Armii gen. Berlinga i kilkunastu żołnierzy. Co za ironia losu, co za życiowy pech. Ci ludzie już raz ze swych domów na Kresach byli wywiezieni na Sybir. Często potracili rodziny, a sami ratując życie wstąpili do I Armii. Ledwo przekroczyli Bug, znowu ich zgarnięto i wywieziono. Szczytem wszystkiego był los jednego ze współtowarzyszy nazwiskiem Słoma. Pamiętam – włosy miał płowe, prawdziwie słomiane. Otóż człowiek ten

walczył w 1939 roku i dostał się do niewoli niemieckiej. W niewoli był dwa lata. Udało mu się z niej zbiec. Niedługo cieszył się wolnością. Niemcy znowu złapali go i na Majdanku przesiedział blisko dwa lata. Na wpuł żywego Niemcy wypuścili. Odżył. Przyszło „wyzwolenie” – trafił na Sybir. Był już bardzo nędzny, gdy go widziałem. Wątpię, czy przeżył i wrócił do Polski. No, a już całkiem ironiczne było to, że było z nami również kilku przedwojennych komunistów. Jak tu trafili – nie chcieli mówić. Pewną liczbę „mieszkańców” obozu stanowili warszawscy powstańcy. Ci, którym udało się przedrzeć przez Wisłę do „swoich”. Ci „swoi” – NKWD, wysłali ich do niewoli razem z Niemcami.

Stosunki międzyludzkie w Jegolsku nie były złe. Jeszcze każdy żył wolnością w Polsce. Do pracy brano nas tylko sporadycznie. Jeszcze było jako tako. „Produkty” wreszcie dostali. Obierzyny z kartofli przestali nam gotować. Odtąd dostawaliśmy zupę ziemniaczaną, lub pszenicę gotowaną na wodzie. Zupa ziemniaczana! Menażka gotowanej wody i na dzień pół ziemniaka albo łyżka ziemniaka rozgotowanego. Bez odrobiny tłuszczu, przypraw. Zupa z pszenicy była lepsza, jako że gdy się trafiło więcej substancji twardej – to znaczy pszenicy – to już człowiek głód nie tyle zaspokoił, co zmniejszył. No i woda z tej zupy, to już był kleik.

W początkach lutego 1945 gruchnęła po obozie wieść: część Polaków zostanie zabrana stąd do innego obozu. Domysłem, rozmowom co z nami zrobią nie było końca. Nocą, gdy cały obóz spał, po dwóch ludzi z każdego baraku trzymało wartę. Miało to na celu bezpieczeństwo przeciwpożarowe śpiących. W razie zaproszenia ognia wartujący mieli nie dopuścić do tragedii.

Noc długa, ciska, wszystko śpi. Nuda. Wyszedłem na dwór, przed barak. W sąsiednim baraku mieszkali jeńcy niemieccy. Tamtejszy wartownik też wyszedł przed barak. Podeszedłem do niego i łamaną niemiecką rozpocząłem rozmowę. Był to Austriak z Wiednia, gdzie zostawił rodzinę. Nie wiele więcej mogłem się od niego dowiedzieć z powodu nieznamości języka.

Są różni ludzie i różne postawy tych ludzi. Jeden z urzędowiaków, Ignacy Gozdalski, po powrocie do Polski twierdził: „A mnie tam było dobrze”. W obozie w Jegolsku był magazynierem, dozorcą piwnicy z ziemniakami. Pewnie, że do pracy w kopalni nie chodził. Ale insekty gryzły go jak nas wszystkich. Chodził brudny, bez możliwości umycia się, spał na pryczy na gołych deskach. Z terenu obozu nie wyszedł ani jeden raz – więc jak tu można mówić, że mu było dobrze? Chyba tylko tyle, że ziemniaków do jedzenia mu nie brakowało. Z pewnością to jest już dużo, bo nie był głodny, no przeżył, ale do dobrobytu jeszcze daleko.

Tymczasem gadanie ludzkie sprawdziło się. W połowie lutego zebrano nas na placu apelowym we wczesnych godzinach rannych. Z gotowej listy zaczęto wyczytywać nazwiska. Wycytani występowali z szeregu i szli osobno na puste miejsce. Wyczytano również mnie i mojego brata. Wybierano mężczyzn młodych i jeszcze względnie trzymających się. Niektórzy z wyczytanych cieszyli się, że jadą do Polski. Na to Niemcy z sąsiednich baraków: „Jedziecie do innego obozu do pracy w kopalni węgla”.

Nie chcieliśmy w to wierzyć. Ja prosiłem dowództwo obozu, żebym jechał razem z bratem. Żebyśmy się nie rozłączyli. Niechętnie, ale się zgodzili. Dołączono mnie do transportu. Zrobiłem źle, ale któż to mógł przewidzieć.

Obóz w Jegolsku był jednym z lepszych obozów. Warunki zakwaterowania i wyżywienia były jak wszędzie, ale nie było przymusu pracy. Jeśli szło się do pracy, to często na ochotnika, względnie przymusowo, ale do kolchozu. A w kolchozie zawsze coś do jedzenia można było znaleźć. Czy to buraka, czy marchew, czy kartofla schować w kieszeni. W lecie można było zerwać trochę kłosów na polu, a to już jest bardzo dużo. Kilku urzędowiaków tam pozostało i nieco lepiej im było niż nam.

### 3. Ujście

Sformowano nas w kolumnę marszową i trójkami wyszliśmy z obozu żegnani przez pozostałych. Pod konwojem szliśmy tą samą drogą co do obozu, tylko w odwrotnym kierunku. Przez wieś Jegolsk, potem przez inne wsie zbliżaliśmy się do miasta. Poznałem je. To było to samo miasto, obok którego wyładowano nas z pociągu. Po prawej stronie minęliśmy starą murowaną cerkiew, będącą częściowo w ruinie. W pewnej odległości, po prawej stronie, w nizinie zobaczyłem obóz. Był to tzw. sztablager, zwany tak z niemiecka, czyli obóz miejski. W nim zginął Longin Cieśliski z Urzędowa. Minęliśmy obóz i skrajem miasta poszliśmy w lewo przez wieś, która jak się później dowiedzieliśmy nazywała się Ujście. Za wsią po prawej stronie zobaczyliśmy obóz dużych rozmiarów, usytuowany na niezbyt równym terenie. Tu również imiennie wyczytywano nas i pojedynczo wpuszczano do obozu.

Obóz ten był zamieszkały przez jeńców niemieckich – tych było najwięcej. Potem były mniejsze grupy narodowościowe z całej Europy. Po przyjeździe Polaków stanowiliśmy pokaźną grupę.

Baraki w tym obozie nie były wkopane w ziemię, drewniane z desek, ocieplane trocinami. Ogrodzenie obozu składało się również z podwójnego rzędu drutów kolczastych z pasem wolnym wewnątrz. Takie same były wieżyczki co 150 metrów, z reflektorami, cekaemami i wartownikami. W pobliżu drutów były dwujęzyczne napisy: po rosyjsku „Zapretnaja zona” (strefa zakazana) i w języku fińskim „Pikkilangoin Eristetty alue”. Później napis fiński zmieniono na polski. Przed nami podobno byli tu Finowie. Przy drutach były też napisy polskie ustawione w późniejszym czasie, że zbliżanie się do drutów grozi śmiercią. Podczas całego mojego pobytu w tym obozie raz tylko zdarzyło się, że w nocy jeden z Polaków zaspany wyszedł z baraku z zamiarem pójścia do ubikacji – tzw. latryny. Pomylił drogę, wszedł w druty i tu został zastrzelony. Celowo, nikt nie odebrał sobie życia.

Obóz w Ujściu był obozem dużym, mogącym pomieścić 20 tysięcy ludzi. Było tu 7 dużych baraków mieszkalnych, łaźnia, kuchnia, magazyn żywnościowy i odzieżowy, szpital i obok trupiarnia. Były też dwa karcery. Plan obozu podają na końcu niniejszych wspomnień.

Po przyjeździe do obozu i rozlokowaniu w barakach co dzień chodziliśmy do pracy. Wolne, tzw. wychodnoje, mieliśmy co dziesiąty dzień.



W promieniu 10 kilometrów od obozu były różne miejsca pracy, jak: kopalnie węgla – po rosyjsku „szachty”, których było kilka w okolicy. Jedna z nich nazywała się „Nakłonnaja”. Zbudowana była w ten sposób, że na skłonie wąwozu, którego dnem płynęła rzeczka, został wydrążony chodnik biegnący skośnie w dół. Na dole, na głębokości około 100 metrów biegły normalne chodniki. Była to jedna kopalnia o rozwiniętej sieci chodników. Wszystkie inne kopalnie były pionowego szybu. Były to kopalnie: „Sto pierwaja”, „Sto wtaraja”, „Sto trietaja”, „Sto czwortaja” i „Sto piataja”.

Szyby budowaliśmy systemem bardzo prymitywnym przy pomocy łopat i kilofów. Obudowa szybu wykonywana była z drewna systemem stosowanym i u nas w kraju przez cieśli przy budowie chałup wiejskich. To znaczy – belki o specjalnych zacięciach zakładało się jedna na drugą, tworząc ściany rosnące w górę. Przy budowie szybu było odwrotnie. Po wykopaniu dołu o głębokości ok. 30–40 cm zakładało się belkę od spodu, podpierając ją odpowiednim stępem. Z chwilą gdy zaczynaliśmy tam pracować szyby miały głębokość od 50 do 150 metrów. A jeden z szybów, chyba na „Sto tretiej” szachcie zaczynaliśmy od powierzchni ziemi. Jak już pisałem, budowa tych kopalni była bardzo prymitywna. Nad otworem szybu ustawiony był kołowrót obracany przy pomocy silnika elektrycznego. Całość nosiła po rosyjsku nazwę „lebiodka”. Kołowrót obracając się nawijał na siebie linę z wiadrzem pełnym urobku, względnie ją odwijał i wiadro z nami „szachtiorami” lub z belkami szło w dół. System porozumiewania się dołu z górą był następujący: na dole i na górze działał elektryczny dzwonek. Przy dzwonku był instrukcja:

„Adin zwonok – wnimanije” (jeden dzwonek – uwaga);  
„Dwa zwonki – w niż” (dwa dzwonki – w dół),  
„Tri zwonki – w goru” (trzy dzwonki – w górę)”.

Obudowa szybu pełna była szczelin, z których na różnej wysokości tryskała woda w dół. Pracowaliśmy w zasadzie w gumowych butach i brezentowym ubraniu. Ubranie to nosiło nazwę „pindżak”. Ale nie zdarzyło się choćby raz, żeby buty były całe i „pindżak” nie był dziurawy. Jedno i drugie zawsze było w dziurach. Skutek był taki, że ci, którzy pracowali na dole byli przemoczeni do suchej nitki z góry i do pół łydki z dołu. Łopatami grzebało się w błocie i glinie, nakładając ją do wiadra, które po napełnieniu na sygnał dzwonka wyjeżdżało do góry. Gлина była koloru zielonego, zbita i twarda jak skała. Nabrana na łopatę nie chciała się od niej oderwać. A sił było coraz mniej. Była to mordercza praca. W lecie było jeszcze pół biedy. Po wyjeździe z szybu i zdjęciu „pindżaka” można było jeszcze wyschnąć. Ale w zimie, gdy się doszło do obozu, mokre ubranie robiło się sztywne.

Pamiętam jak jeden z Niemców obsługujący lebiódkę poślizgnął się na podeście i wpadł do szybu. W wiadrze, którym wyciągano urobek wyciągnięto i jego – nieżywego. Zakopano go obok szybu. Pamiętam też jedną lipcową niedzielę spędzoną w pracy w kopalni. Nakładałem z drugim Polakiem urobek do wiadra pod strugami wody, po pół łydki w wodzie. Potem kolega po coś wyjechał w wiadrze w górę. Stoję sam w tej wodzie, woda na mnie się z góry

leje. Czuję jak wszy chodzą mi po całym ciele. Jestem potwornie głodny i słaby. Zacząłem głośno płakać. „Mój Boże – mówiłem – dziś w Urzędowie koledzy syci, czyści i ładnie ubrani chodzą z dziewczynami po ulicy Wodnej, a ja się tu strasznie męcę. Za co?”.

Były takie kopalnie, gdzie przestano pogłębiać szyby pionowe, a zaczęto kopać normalne chodniki. Wentylacji nie było żadnej i dlatego powietrze „na przodku” było niezwykle ciężkie. Trochę węgla zaczęliśmy wybierać z kopalni „Nakłonnaja”, były to jednak ilości nie wystarczające nawet dla kuchni obozowej. Grubość pokładu wynosiła do 30 cm, a węgiel stąd wydobyty kruszył się i lasował na powierzchni.

W obozach, w których pracowałem, to znaczy w Jęgosku i Ujściu regulaminowo jeniec wojenny („wajenno-plenny”) pracując dostawał 100 gramów chleba więcej, zaś pracujący w kopalni aż 400 gramów. Jak na warunki rosyjskie to było dużo. Żydzi z Polski, o których za chwilę, mówili, że ludzie starsi, niepracujący dostają tylko 300 gramów chleba na dzień.

Żydów tych było pięciu. Z Warszawy, Lublina i Łodzi. Byli brygadzystami w kopalniach, w których pracowaliśmy. Mówili wyłącznie po rosyjsku. Nie byli ani dobrzy, ani źli. Do pracy gonili, ale nie byli przesadnie gorliwi. Opowiadał mi jeden ze współjeńców, że „rozkleił się” jeden z tych Żydów i zaczął opowiadać, jak to po przekroczeniu nielegalnie granicy zaboru hitlerowskiego i rosyjskiego Żydzi, jak to Żydzi: jeden wziął się za handelek, drugi za pachciarstwo, trzeci za rzemiosło niezbyt legalne itp. „A tu tego nie ma. Tu każdy musi pracować. Wyłapano wszystkich do obozu takiego samego, jak i was. Dwa lata siedziałem w obozie i męczyłem się jak wy. Potem jak nas rozpuścili – jak się każdy wziął za uczciwą pracę – to wygląda tak jak ja”. Trzeba zaznaczyć, że owi Żydzi wyglądali dobrze i byli dobrze ubrani. Wspomnieli coś o gęsi. „Gieś! Oj, jak ja dawno nie jadłem gęś”. I podczas gdy rozmawiał po rosyjsku nie wyczuwało się obcego nalotu, to gdy przeszedł na polski, od razu uderzył żydowski akcent.

Najwięcej jeńców z obozu w Ujściu pracowało w kopalniach. Drugim miejscem, gdzie jeńcy licznie pracowali był tzw. po rosyjsku „lesospław”. Tam praca polegała na wyciąganiu z rzeki Msty całych nieokorowanych pni drzewnych na przymy. W odległym od obozu o ok. 7 km mieście Borowicze Msta była przegrodzona. Płynące przez cały rok pnie drzew z tajgi tu były zatrzymywane. Zadaniem ludzi było je wyciągnąć. Robiło się to również przy pomocy lebiódki, z tym, że łańcuchami otaczało się kilka pni w rzece i lebiódka je wyciągała. Warunki pracy były nieco lepsze niż w kopalniach. Praca była na powietrzu, na głowę się nie lało. Męczyła jednak odległość miejsca pracy od obozu. Co dzień trzeba było przejść 7 kilometrów do pracy, pracować w wodzie, a woda jeszcze bardziej osłabia. Po pracy wracać znów 7 kilometrów do obozu. Nie było to łatwe. Byliśmy bardzo słabi.

Jeńcy pracowali też na tzw. żelaznodarogie – to znaczy przy budowie nowych torów kolejowych, bocznic od toru głównego od m. Borowicze do m. Bologoje. Odnoga nowego toru odbiegała w kierunku nowych kopalń będących w budowie.

Jeńcy chodzili również do pracy w „Kirpicznyj Zawod” – tzn. do cegielni i ogromnej stolarni. I cegielnia i stolarnia były odległe o kilka kilometrów od obozu, na skraju Borowicz. Używano nas też do budowy dróg w całej okolicy. Wszędzie praca była ciężka, wyczerpująca, nieraz bezmyślna. Na przykład na mrozie dochodzącym do minus 45 stopni, w szczerym polu, zwykłymi łomami trzeba było kuć zamarznąłą ziemię, niwelować wzgórek pod przyszłą drogę. Tę samą drogę można by wiosną wykonać w wielokrotnie krótszym czasie. Nie, trzeba było ją robić podczas trzaskających mrozów.

Przez dwa lata pobytu w obozie pracowałem w kilku miejscach przenoszony ze względów zdrowotnych lub innych mi nie znanych. Pracę w kopalni już w zasadzie opisałem, chciałem tylko dodać, że wszystkie nowo budujące się kopalnie budowane były w szczerym polu, w terenie lekko pagórkowatym. Pierwszą budowlą na takiej budowie była „tiefłuszka”. Była to obszerna ziemianka, dobrze w zimie opalana. Tu przebywało kierownictwo budowy, tu mieli miejsce do ogrzania się konwojenci. Nam dostęp do „tiefłuszki” był wzbroniony.

Na każdej budowie, na każdej kopalni (na powierzchni) leżały wielkie ilości pni drzew. Drewno to było w zasadzie używane do budowy, ale spora jego część była zużywana przez spalanie. Ognisko – „kościor” tam, na budowie, płonęło zawsze. I to nie małe – z małych drzazg. Płonęły ogniem stałym całe pnie drzew położone jedne na drugich. Gdy się pień przepalił – kładło się go z powrotem na inne i płonął dalej. Tu widziało się, że w ZSRR drewna się nie żałuje na budowie państwowej. Natomiast ludność cywilna nie miała wstępu po zbędne drewno. Wszelkie odpady drewna niespalone zakopywaliśmy. I jeszcze jedno: „u kastro” – przy ognisku nam, jeńcom wojennym wolno się było grzać. To było bardzo dużo.

Pamiętam jedną noc. Mróz siarczysty ok. –40 stopni i polatujący śnieg. Tam tak jest. Przy ognisku siedzą i grzeją się dwie postacie. Obie ubrane po syberyjsku, to znaczy na głowie czapka „uszatka”, dalej „tielochrieja”, czyli fufajka przepasana pasem, spodnie watowe – „sztany”, na nogach buty filcowe „walonki”, na rękach ciepłe rękawice. Siedzą te postacie, grzeją się przy ognisku i rozmawiają. Z drugiej strony ogniska podszedł doń dziewiętnastoletni chłopak ubrany skromnie. W płaszczu niemieckim i też grzeje się. I słyszy, o czym ci dwaj rozmawiają. I ciekawe: wśród trzaskającego mrozu, przy zorzy polarnej, w nocy, przy ogromnym ognisku popłynęła opowieść o starożytnej Grecji. O dziewięciu muzach. Pomyslałem sobie – bo to ja byłem po drugiej stronie ogniska – „Nie tu szanowni panowie profesorowie wasze miejsce, a na katedrze przed szerokim gronem studentów”.

## Życie w obozie

W obozie panował specjalny reżim. Pobudka o piątej rano. Mycia nie było. Zaraz też przynoszono śniadanie: 200 gramów chleba i porcję zupy. Chleb oczywiście ani wyglądem, ani smakiem nie przypominał chleba. Zupa – lura bez smaku i bez treści. Jeśli znalazło się w niej pół kartofla, to można mówić, że się miało szczęście. Podczas podziału zupy, gdy rozdzielający mieszał chochlą w drewnianym wiadrze, przed nabieraniem zawartości do mojej

menażki – odczuwałem ukłucie w sercu: żeby do chochli wpadło choć pół ziemniaka.

Po tym śniadaniu wymarsz do pracy. Każdy z mieszkańców poszczególnych baraków ustawiał się w kolumnie – „wzwodzie” i plutony wychodziły z obozu do pracy. W bramie obozu ilość osób była dokładnie liczona przez wartowników i porównywana z listą obecności wypisaną po rosyjsku na desce, którą miał w rękę tzw. wzwodownyj – coś w rodzaju dozorca plutonu, Polak. Proszę jednak nie mylić z kimś w rodzaju kapo w obozach niemieckich. To był jeden z nas, bez specjalnych przywilejów, jednak odpowiedzialny za cały „wzwód” przed ewentualną ucieczką współjeńców. „Wzwodownyj” nie pracował. Lista była wypisywana przez „wzwodownego” co dzień, jako że co dzień zmieniał się skład osobowy „wzvodu”. Ponieważ nie było papieru, „wzwodownyje” poradzili sobie w ten sposób, że wyróżnili deskę z rączką (w kraju podobna służyła do krojenia słoniny), na której wypisywali nazwiska. Gdy nazajutrz lista się zmieniła – szkłem zeskrobywali poprzednie nazwiska – a wpisywali nowe. Dziś jeszcze stoi mi przed oczami grupa wynędzniałych mężczyzn w szyku trójkowym, w mundurach z całej Europy, a przed nimi „wzwodownyj” – jeden z naszych, również wynędzniały, obdarty i zawoszony, z drewnianą tablicą z naszymi nazwiskami w rękę. Niczym Mojżesz na górze Synaj z Dziesięcioma Przykazaniami.

Po przekroczeniu bramy obozowej brali nas pod swoją opiekę żołnierze NKWD. Wyglądało to następująco. Na czele kolumny („wzvodu”) szedł jeden enkawudzista z karabinem w rękę. Na karabinie „szytk” – bagnet. Po nim szedł „wzwód”, czyli my, ok. 30 Polaków, zawsze trójkami, jak Niemcy. Po bokach mieliśmy po dwóch żołnierzy z karabinami w rękę i ze „szytkami” na karabinach. Pochód zamykało trzech żołnierzy z karabinami i „szytkami” oraz podoficer z bronią krótką. Ci żołnierze, którzy szli za „wzwodem” mieli za zadanie popędzać „wzwód” do szybszego marszu. Oczywiście przy pomocy butów i kolb oraz soczystych, typowo rosyjskich przekleństw w rodzaju: „Nu, kak, dawaj” i „Job twaju mat’...”. I tu następowały razy kolbą po grzbiecie lub butem po siedzeniu. Doświadczyłem tego i ja, gdy w początkach pobytu w obozie „walonki”, czyli buty filcowe, po krótkiej odwilży mi namokły, a nie wysuszyłem ich, bo nie miałem gdzie i w mokrych poszedłem do pracy. Po powrocie do obozu zdjąłem lewy but razem ze skórą z dużego palca u nogi. Rana była potworna. Czerwone ciało przypominało ścierwo stare, szczególnie po kilku dniach chodzenia w takim stanie do pracy. Nie byłem z tym w ambulatorium obozowym (było takie), nie dostałem żadnego opatrunku, bo takich rzeczy w obozie nie było. Z koszuli rwałem sobie kawałki szmat i owijałem ranny palec. W tych warunkach goił się około pół roku. Nie dostałem na niego ani jednego dnia zwolnienia z pracy. Do pracy i z pracy szedłem z tyłu, ostatni za kolumną jeńców, utykając na bolącą nogę. A konwojenci z tyłu tłukli mnie kolbami po grzbiecie, kopali po pośladkach, popędzając do szybkiego marszu i wyzywając okrutnie.

Byłem też świadkiem, jak jeden ze współwięźniów w obozowym ambulatorium pokazał stopę. Pół skóry na podszwie było odarte na skutek odmrożenia. Skóra ode-



szła, jak u mnie z palca u nogi. Ten człowiek dostał jeden dzień zwolnienia. J e d e n. A przecież on z pewnością co najmniej dwa miesiące nie powinien był chodzić. Nie wiem co się z nim dalej stało, już więcej go nie spotkałem.

W miejscu pracy majstrami były osoby cywilne, do nas ustosunkowane obojętnie. Narodowości różnej: Żydzi, Rosjanie, Gruzini, zrusyfikowany Polak. Wszyscy nas do pracy pędzili, niejednokrotnie bili. Czasem bywały kontrole z dowództwa NKWD. Wtedy i majstrowie, i konwojenci jakby poszaleli. Wszyscy nas pędzili do pracy, nie żałując razów. „Nada 6 rublej zarobotat” (Trzeba 6 rubli zarobić) – mówili. Podobno w rozliczeniach między dowództwem obozu a przedsiębiorstwami, gdzie pracowaliśmy, istniała umowa, że nasz dzień pracy kosztował 6 rubli. Jaka była jego siła nabywcza – nie wiem. I nikt z nas nie wiedział. Nikt z nas żadnych rubli nigdy nie miał w rękę i nie widział.

Czas pracy wynosił u nas zasadniczo 8 godzin, ale jeśli miejsce pracy było odległe od obozu – czas pracy przedłużał się znacznie. Około godziny 14 miejscowego czasu pracę kończyliśmy. Nie mówiąc o nas, jeńcach, ale i żaden z konwojentów zegarka nie posiadał. Jeśli ktoś z nas miał zegarek, odebrano mu go zaraz po aresztowaniu w Polsce. W niedalekim mieście Borowicze fabryki i inne zakłady pracy kończyły pracę o godz. 14. Ryk syren oznajmiał o 14-ej zakończenie pierwszej zmiany. Według odgłosu tych syren konwojenci orientowali się o czasie naszego końca pracy. Jeśli pracowaliśmy bliżej miasta, nie było z tym kłopotu, ale gdy miejsce naszej pracy było bliżej obozu, było gorzej. Często konwojenci pytali nas: „Pany, gudioło uże – ili niet?” (Panowie, ryczało już czy nie?). Pomału, krok za krokiem wracaliśmy do obozu. Często silniejsi prowadzili słabszych lub umierających.

Przez cały czas pobytu w ZSRR chodziliśmy trójkami, w zwartych kolumnach i pod silnym konwojem, najeżonym „sztykami”. Mówiliśmy wówczas między sobą, że jeżeli dożyjemy wolności i będziemy mogli sami bez konwoju iść ulicą – to tego nie potrafimy. Nieprawda! Ale to taka mała dygresja.

Przy bramie obozowej ponownie przeliczano nas i wtedy już bezładnie bieглиśmy przez teren obozu do swoich baraków. Przynoszono chleb – 400 gramów! na głowę – i zupę w drewnianych wiadrach. Po rozdaniu chleba i zupy (zupa analogiczna jak na śniadanie) nareszcie każdy mógł przykucnąć gdziekolwiek, zjeść chleb i wypić zupę. Łyżka na ogół nie była potrzebna. Na pochwałę naszym kucharzom (kucharzami byli Polacy) należy podkreślić, że gotowana strawa była zawsze gorąca. Miało to wielkie znaczenie dla straszliwie zmarzniętych ludzi powracających z pracy.

Po obiedzie, nie tyle najedzony, co rozgrzany „zupa”, każdy z jeńców odpoczywał na swojej pryczy do godz. 17. Spał, likwidował insekty lub rozmawiał z kolegami. O 17-ej na głos komendanta baraku: „Przygotowanie do przewierki” – każdy przygotowywał się do wyjścia na majdan obozowy. Na okrzyk: „Przewierka” – wszyscy wychodzą z baraku, formując kolumnę po cztery osoby przed swoim barakiem. Obserwujemy wartownię przy bramie obozowej. Z daleka, ale widać wyraźnie: oto wychodzi rosyjski dowódca obozu lub jego zastępca

z komendantem obozu, żeby było śmieszniej – jeńcem – oficerem niemieckim. Teraz zaczyna się długie czekanie. Teren obozu duży, baraków wiele i wiele trzeba czasu, żeby ta cała świta przez pół obozu doszła do nas. Wtedy na komendę: „Baczność”, stoimy w postawie zasadniczej, a komendant naszego baraku melduje w języku polskim: „Panie komendancie melduję stan baraku (np. 620 osób)”. Wtedy niemiecki zastępca dowódcy obozu znowu staje na baczność przed rosyjskim komendantem i melduje: „Towariszcz Kamandir, w barakie nr TRI sześćset dwadzieścia czelawiek”. Dowódca obozu notował stan baraku, następnie cała świta przechodziła przed frontem kolumny, przeliczając ilość czwórek. Gdy wszystko się zgadzało, kolumna jeńców otrzymywała komendę „Spocznij”, a cała świta odchodziła do następnego baraku. Jeśli to było lato – to pół biedy. Gorzej jeśli zima. Wówczas modliliśmy się, żeby się liczba jeńców zgadzała. Wtedy nas szybko rozpuszczali do baraków. W przeciwnym wypadku staliśmy nieraz na trzaskającym mrozie godzinami, dopóki dowódca obozu nie zdecyduje się nas rozpuścić.

Pamiętam jedną taką „prewierkę”. Była zima i mróz sięgający  $-40^{\circ}$ . Stoimy w kolumnie trzęsąc się z zimna i cierpliwie czekamy na przejście całej świty dowództwa obozu. Wreszcie świta przeliczyła nas, poszli dalej. Przeszli do wartowni. Tam liczyli z godzinę. Nie zgadzało im się. Zaczęli liczyć po raz drugi, potem trzeci. Od godziny 17 do 24 staliśmy w kolumnach skostniałi z zimna. Kilku jeńców wtedy zamarzło. Stoimy w kolumnie, podchodzi do nas żołnierz i mówi: „Pany, pojtie” (Panowie, śpiewajcie). Tej sceny do śmierci nie zapomnę. Nasz barak stał na górze. Z kolumny widać było cały teren obozu. Obóz był dobrze oświetlony, w płatkach wirującego śniegu. Przed każdym barakiem stała kolumna jeńców i śpiewała. Stali Niemcy, Finowie, Węgrzy, Polacy. Każdy śpiewał po swojemu. Nie zapomnę, gdy słabym, skrzeczącym głosem zacząłem razem z innymi śpiewać: „Cichy i pogodny, cichy i pogodny, cichy i pogodny wieczór majowy”, cały trzęsąc się z zimna. W tę naszą piosenkę wpadało niemieckie: „Haj li, haj lum, haj la” itd. Węgrzy dołożyli swoje, Finowie też. Stworzył się w powietrzu jeden chaos melodii. Tragicznie brzmiała nasza piosenka lekka, wesola o maju i kochaniu, w takim miejscu i w takiej chwili. To było straszne.

Wracając do porządku dnia w obozie – jeśli apel- „prewierka” wypadł dobrze – to po apelu była kolacja w postaci 100 gramów chleba (tylko dla pracujących) i normalnej porcji obozowej zupy. Od kolacji do 21-ej był czas wolny. Poświęcony był przeważnie na likwidowanie insektów. O godz. 21 obowiązywała cisza.

„Prewierki” – apele w obozie były dwie na dobę. Jeśli jeńcowi w którymś dniu wypadł „wychadnoj” – wychodne (oczywiście fikcja, bo z obozu nigdzie nie mógł wyjść), wtedy rano po odejściu „wzwodów” roboczych do pracy, musiał wyjść na godz. 8 na „prewierkę”.

„Wychadnoj” otrzymywał każdy z pracujących jeńców co dziesiąty dzień zamiast niedzieli. Dziwnym trafem każdemu to wypadło w innym dniu. To było chyba robione celowo, żeby równocześnie nie odpoczywała większa grupa zdrowych jeńców, żeby im co „niemądrego” do głowy nie przyszło.

W Ujściu najwięcej było Polaków, aresztowanych tak jak ja po wkroczeniu Armii Czerwonej na teren Lubelszczyzny. Zajmowali oni cztery baraki po 1500 osób każdy. Niemcy zajmowali jeden barak, Węgrzy jeden i Finowie jeden. Poza tym barak nr 2 był barakiem rekonwalescentów – „OK”. Jest to skrót od „Ozdrowitelińje Komando”. Ten barak był zamieszkały przez różne narodowości, najwięcej tam jednak było Polaków. Do pracy każda narodowość chodziła oddzielnie, w zwartej grupie. Nie było mieszanych „wzwołów”.

Z Niemcami żyliśmy zdecydowanie źle. Nie było żadnych kontaktów osobistych, żadnych prób nawiązania rozmowy. To nie zdarzyło się nigdy.

Z Węgrami żyliśmy za pan brat. Trudności językowe były szalone, ale przy obustronnym wysiłku zawsze zrozumieliśmy się. Śmieszne, że gdy ja po chorobie przebytej w „szpitalu” obozowym trafiłem do baraku OK, było tam trochę Węgrów, trochę Niemców i reszta – Polacy. Węgrzy trzymali się tylko Polaków. Nie rozumieli ani słowa po polsku (aha, znali słowo „loszka” – łyżka), ale klęli po polsku pierwszorzędnie.

Z Finami byliśmy w stosunkach obojętnych. Było ich niewiele. Zajmowali nieduży baraczek na środku obozu i byli już bardzo wyniszczeni długim pobytem w obozie. Przebywali w niewoli od 1940 do 1946 roku. Pamiętam młodego, wysokiego, jasnowłosego chłopaka, z którym kiedyś usiłowałem rozmawiać. On się uśmiechnął, ja też i na tym się ta „rozmowa” skończyła.

Były też przejściowo inne grupy narodowościowe, grupy specjalne. Różne „Kondory” – hiszpańscy ochotnicy na rosyjski front wschodni, francuskie grupy ochotnicze idące na pomoc wojskom hitlerowskim, włoskie i inne. Wszystkie one były nieliczne, nie odgrywające w życiu obozu większej roli. Niemniej jednak dziś jeszcze, po latach, widzę ślaniających się na nogach, ledwie powłóczących nimi – dawnych, dumnych faszystów zachodnich, śpieszących na pomoc Hitlerowi. Wtedy, w obozie, ludzie ci nie byli w stanie o własnych siłach przestąpić kilku kroków. Głodem, chorobami wyniszczeni byli kompletnie.

Wiosną 1945 roku – śniegu już w obozie nie było, mogła to być połowa maja – przypędzony został do naszego obozu w Ujściu liczący około tysiąca osób transport oficerów niemieckich wziętych do niewoli w Prusach Wschodnich. Każdy z nas po przyjeździe z pracy pobiegł do nich z ciekawości „co będzie dalej”. Oficerowie ci, wszystko chłopy jak dęby, przybyli do obozu z pełnym wyposażeniem osobistym. Prócz broni mieli przy sobie wszystko. Dowództwo obozu szybko się z nimi uporało. Całość dostała komendę: „W dwuszeregu zbiórka”. Po uformowaniu drugiego dwuszeregu, z bagażem u nogi – padła druga komenda: „Bagaż zostawić, 10 kroków naprzód marsz”. Po bagaże przyszli Polacy i zabrali je do magazynu obozowego. Potem oficerom niemieckim kazano ustawić się w półkole. Do środka półkole wszedł dowódca obozu z zastępcą oraz tłumacz. Rozpoczęła się przemowa, najpierw po rosyjsku, tłumaczona potem na niemiecki. Ja już wtedy sporo rozumiałem po rosyjsku, a ponieważ stałem niedaleko od przemawiającego, dlatego prawie wszystko słyszałem co mówił i prawie wszystko rozumiałem. Co nieco zapamiętałem. Mówił

im: „Jesteście w niewoli, musicie podporządkować się władzom obozu, a wtedy łatwiej przyjdzie znosić trudy tego życia. Będziecie pracować, wspólnie będziemy oczekiwać końca wojny. Wojna się skończy, pojedziecie do domu”. Potem oficerowie ci dostali pierwszą porcję zupy. Powąchali ją, pomieszaży swoimi wojskowymi łyżkami i oddali najbliższemu stojącemu głodomorowi niemieckiemu z odstającymi uszami i wystającymi kośćmi policzkowymi wskutek wielkiego głodu. Jeńcy niemieccy przebywający już w obozie otoczyli ich bowiem tłumnie, szukając ewentualnych znajomych, czy wypytyując o swoje strony rodzinne.

Oficerowie ci zostali ulokowani w jednym z baraków, ale moje drogi z nimi jakoś się nie krzyżowały, nie widziałem ich chyba około roku. Dopiero podczas głębokiej zimy 1945/1946, gdy pracowałem na jednej z szycht na powierzchni, przyjechało na teren kopalni kilka samochodów ciężarowych po pnie drzew. Wtedy ich zobaczyłem. Schodzili z samochodów nie ludzie, a ich cienie. Ubrani byli nadal jeszcze w swoje „zimowe ubrania”. W płaszczach sukiennych lub deszczowych i butach oficerskich z usztywnionymi cholewami – na 40-stopniowym mrozie: to równało się samobójstwu, czy raczej zabójstwu. Konwojentami ich byli jak na ironię: jeden stary chłopina rosyjski z capią bródką utykający na jedną nogę i dwie dziewczyny 18-letnie o szerokich, czerwonych, rosyjskich twarzach z zadartymi nosami. Schodziły te szkielety z samochodów – a ponieważ czyniły to niemrawo – dziewczyny tłukły ich kolbami po grzbiecie przy wtórze soczystych, rosyjskich przekleństw, jakich nie powstydziliby się przeciętny ruski żołnierz. Z wielkim trudem, po kilkunastu, ładowali pnie drzew na samochody i po załadowaniu odjechali. Stałem nadal na swoim miejscu i myślałem: „Mój Boże! Przed rokiem widziałem ich jako ludzi pełnych sił, tężyzny fizycznej, jeszcze trochę butnych i prezentujących się o całe niebo wyżej od oficerów rosyjskich w ich »gimnastyczkach pastusich« – a dziś? Co oni z nimi zrobili!”. Sam nie wyglądałem lepiej – a na pewno gorzej.

Skoro opisuję skład narodowościowy obozu, wybiegnę trochę naprzód i opiszę przyjęcie dużej grupy żołnierzy węgierskich.

Pewnego jesienno-go dnia w 1945 roku wracając z pracy zauważyliśmy kolumnę wojska zbliżającą się do obozu. Wojsko to miało zielony kolor mundurów, także furazerki na głowach. Gruchnęła wśród nas wiadomość o zbliżającym się wojsku polskim. Gdy kolumna zaczęła się zbliżać do nas – rozczerowanie – doszliśmy do wniosku, że to nie są Polacy. Kolor mundurów przechodził bardziej w oliwkowy, krój był nieco inny. Rysy i cera żołnierzy były inne, bardziej oliwkowa. Dowiedzieliśmy się, że to Węgrzy. Po przyjęciu do obozu rozlokowano ich w jednym z pustych baraków. Żyliśmy z nimi dobrze, mimo że trudności językowe były bardzo duże. Przeżyli oni tragedię z chwilą nadejścia zimy.

## Ubiór jeńców

W domu enkawudziści aresztowali mnie w letnim ubraniu. Podczas dwutygodniowego przetrzymywania



nas na Budzynie i miesięcznego w Kraśniku byłem tak ubrany, jak mnie wzięli z domu. Dopiero w Lublinie w obozie przejściowym, gdzie byliśmy tylko kilka dni przed wywózką do Rosji, dano mi rosyjskie spodnie wojskowe i wojskowy niemiecki płaszcz. Tak ubrany jechałem w wagonie po węglu na wschód. Potem już w obozie w Jegolsku, podczas trzymiesięcznej kwarantanny, gdzie „prewierki” odbywały się w baraku, odzież ta mi wystarczała. Ale już podczas dalekiego marszu w tajgę po drewno pobrałem dodatkową ciepłą odzież od kolegów. Potem, gdy wyruszyliśmy z Jegolska do obozu pracy w Ujściu, dowództwo uzupełniło nam brakujące części odzieży na ten całodzienny marsz. W obozie w Ujściu przed wysłaniem nas do pracy dodatkowo dano nam trochę ciepłej odzieży. Należy przyznać, że jeśli chodzi o zabezpieczenie nas przed zimnem, kierownictwo obozu dobrze o to dbało. Gdy zbliżały się mrozy dochodzące do  $-45^{\circ}$  dowódca obozu z obsługą przydzielali jeńcom kozuchy. Podczas takiego rozdziału jeden z oficerów rzucił mi piękny, duży kozuch. Śmiem twierdzić, że dzięki niemu przeżyłem niewolę. Gdy podniosłem kołnierz – kozuch ten chronił mnie od zimna od stóp do głów. Ale, jak wiadomo, odzież sama się nie grzeje – ona chroni ciepło wydzielane przez organizm. I było tak nieraz, że odzież ciążyła kamieniem na ramionach – a jeńiec na mrozie trząsał się z zimna jak galareta. Stojem w obozie były dla nas mundury wojskowe z większości państw Europy. Chodziliśmy w mundurach niemieckich, węgierskich, fińskich, rosyjskich i innych, których nie potrafiliśmy rozszyfrować. Mundury te były spuścizną po żołnierzach poległych w walce lub w niewoli. Wiele mundurów nosiło ślady walki.

Czystej bielizny osobistej przez pół roku pobytu w obozie nie dostawaliśmy wcale. Wobec niemożliwości uprania własnej bielizny – jeszcze z domu – insekty bardzo się u nas rozmnażały. Onuce i szaliki robiliśmy sami ze strzępów jakiegokolwiek szmaty.

Okoliczna ludność cywilna nabywała od nas podczas pracy części odzieży, płacąc za nią „krupczatką”.

Były u nas próby ucieczki z obozu – wszystkie nieudane. Uciekający zamieniali sobie u kolegów swoje mundury na rosyjskie.

Do łaźni na terenie obozu prowadzono nas bardzo rzadko. Raz na dwa miesiące. Tam dostawaliśmy kawałek mydła wielkości paznokcia i w naczyniu drewnianym około dwóch litrów letniej wody. Tym cały człowiek miał się umyć. To nie było mycie, to było zwilżenie zrogowaciałej skóry, która przy zetknięciu z wodą puchła. Potem taką odmiękczoną skórę trzeba było zdrapywać paznokciem z całego ciała. Operacja ta drogo nas kosztowała. Byliśmy już w tym czasie jak chodzące szkielety, a woda jeszcze osłabia. Po takiej „bani” – łaźni nie było już siły dojść do swojego baraku. Pamiętam, jak raz po „umyciu się” odpoczywałem na trawie przed łaźnią. Było to w lecie. Obok mnie siedział jeńiec, Polak. Miał dosłownie tylko kości powleczone szarą skórą. Nie wytrzymałem: „Człowieku! co się z tobą dzieje – powiedziałem – ty umrzesz, do Polski nie wrócisz”. „To co mam zrobić” – odpowiedział. Jak się po kilku dniach dowiedziałem – ten człowiek zmarł.

## Wyżywienie jeńców

Na terenie ZSRR tak zwanym „wajennoplennym” – jeńcom wojennym przysługiwało następujące wyżywienie: Jeniec niepracujący: 600 gramów chleba i 3 razy na dzień po  $\frac{3}{4}$  litra zupy. Pisałem już, jaka była ich wartość. Jeniec pracujący dostawał dodatkowo 100 gramów chleba. Jeśli dobrze się starał, dostawał niezmiernie rzadko talon na kaszę. Szedł z tym talonem do kuchni obozowej, gdzie dostawał 1 y z k ę s t o ł o w ą. Jeniec pracujący w kopalni na dole dostawał za pracę dodatkowo 400 gramów chleba. Czasem dostawał też zupy tzw. procentowe.

To było wszystko. Żadnych paczek nikt nigdy nie dostawał, bo nikt w kraju nie wiedział, gdzie my jesteśmy. My z kolei nie mieliśmy żadnej możliwości skontaktowania się ze światem.

Gdyby ten chleb był wartościowszy, gdyby zupa była treściwa. Trudno powiedzieć, że to już byłoby dobrze, ale wielu młodych, wartościowych chłopców powróciłoby do kraju spośród tych, którzy pozostali tam na zawsze.

Organizacja wydawania żywności była następująca. Zaraz po pobudce o godz. 5 obsługa kuchni dawała znać donośnym krzykiem najbliższemu barakowi: „Zbiórka po chleb”. Okrzyk ten elektryzował wszystkich. Kto go usłyszał – podawał dalej. Po chwili cały obóz wiedział, że już jest zbiórka po chleb. I już ludzie do tego wyznaczeni z poszczególnych drużyn biegli po chleb. Obok kuchni była krajalnica chleba na porcje. Każdy zgłaszający się dostawał drewnianą tacę z porcjami chleba dla swojej drużyny. Mimo że przecież kucharze nie znali ludzi z całego obozu – wydawali chleb i chleb zawsze dochodził do właściwej drużyny. Po prostu nie był ukradziony przez niosącego go. Owszem, czasem niosący wyjadał mniejsze kawałeczki będące dodatkami do wagi całej porcji. I o tym drużyna zaraz się dowiadywała i nieraz niosący chleb oberwał od okradanych.

Dziś po tylu latach, gdy zastanawiam się nad tym dlaczego nie zdarzały się kradzieże chleba, dochodzę do wniosku, że odgrywały tu rolę wcześniejsze doświadczenia – strach przed zemstą drużyny. Wprawdzie czasem, w zimie – po ciemku, niosący robił to nieraz. Dość daleko szedł z chlebem od kuchni do baraku. Gdyby jednak ktoś całkiem obcy zobaczył kradzież chleba – doniósłby natychmiast drużynie. U nas pod tym względem żartów nie było.

Zaraz po okrzyku: „Zbiórka po chleb” rozlegał się drugi okrzyk: „Zbiórka po zupę”. I znowu jeden z drużyny biegł pod okienko kuchenne, brał drewniane wiadro zupy i niósł do swojej drużyny. Ta miała swoją chochlę i rozdzielała zupę na 10 porcji. Zdarzało się, że ten, który zupę przyniósł, nie dopilnował i nie dali mu kucharze pełnych dziesięciu porcji. Raz rozdzielający zupę nalał 9 porcji, a dla niego już jej nie straczyło. Daremnie płakał i błagał: „Koledzy zlitujcie się, dajcie choć trochę”. Szedł głodny do pracy albo spać. Głodny to on był zawsze, ale te trochę cuchnącej lury wzmocniłoby go.

Na terenie obozu było trzech młodych chłopczków w moim wieku, którzy zajmowali się odnoszeniem pustych wiader z baraku do kuchni. Wyglądali trochę lepiej od nas – widocznie kucharze za przynoszone wiadra

dawali im dodatkowe porcje zupy. Kucharzom zależało na tym, by wiadra szybciej wracały po opróżnieniu ich, po prostu, by szybciej zakończyć rozdawanie posiłków mieszkańcom obozu.

Przed kilku laty jechałem pociągiem z Warszawy do Urzędowa, do rodziny. W pociągu między Lublinem a Kraśnikiem spostrzegłem jednego z tamtych chłopców. W uniformie leśnika, stał i rozmawiał z kimś. Ja przechodząc koło niego głośno powiedziałem: „Wiadra puste proszę, kto ma puste wiadra?”. On przerwał rozmowę w pół słowa, oczy mu się roziskrzyły i krzyknął: „Panie, pan był ze mną w obozie w Ujściu?”. Roześmiałem się, on też i mówię, że poznałem go, bo był osobą znaną na cały obóz, gdy takich jak ja były tysiące, więc on mnie może nie znać. Gawędziliśmy potem do samego Kraśnika, gdzie wysiadłem, jak starzy znajomi.

Wracając do wydawania posiłków w obozie, powtarzam: trzy razy w ciągu dnia jeniec dostawał porcję „zupy” w ilości  $\frac{3}{4}$  litra oraz 600 gramów chleba, jeśli nie pracował (obsługa obozu, chorzy, rekonwalescenci) na dobę. Jeśli pracował, dostawał 700 gramów chleba, a gdy pracował w kopalni 1 kg chleba. Zdawałoby się, że przy 1 kg chleba i 3 razy dziennie po prawie litrze zupy – to nie jest źle. W teorii tak. A w życiu?

Nie wiem jak zacząć o problemie głodu, który nas tam dręczył i uśmiercał. Głodu, którego nie zapomnę nigdy!

Wiele książek przeczytałem o obozach niemieckich i o głodzie tam panującym. Boję się, żebym nie pisał nie swoimi słowami i opisywał to, co gdzieś przeczytałem. Jednak to co się samemu przeżyło jest silniejsze. Opiszę co sam przeżyłem, jak cierpiałem z głodu i ja, i inni w obozie na wschodzie. Jest powszechnie wiadomo, że organizm ludzki, by żyć musi otrzymać określone ilości kalorii. Ja nie jestem naukowcem a ślusarzem. Nie będę się więc rozwodził ile kalorii trzeba dla kogo przy określonych warunkach, w tym klimatycznych, żeby organizm mógł egzystować, wykonując swoje podstawowe funkcje bez uszczerbku dla zdrowia. Od tego są inni. Ja stwierdzam jedno: przez całe dwa lata pobytu w obozie nie czułem się syty ani razu. Byłem głodny rano, w południe, wieczorem, byłem głodny też w nocy. Głód nie dawał mi w nocy spać. Często śniła mi się taka scena: wchodzę w naszym domu do kuchni i już w progu krzyczę: „Mamo, prędko jeść, bo jestem głodny jak jasna cholera!”.

Już sama podróż trwająca pół miesiąca w wagonach po węglu przy braku strawy a nawet wody poczyniła spustoszenie w naszych organizmach. Potem trzy miesiące kwarantanny, w czasie której dawano nam po 600 gramów chleba i dwa razy zupę, co spowodowało, że mnie, dziewiętnastoletniemu wówczas chłopakowi ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. Potem przyszła praca w kopalni na powierzchni. Wyrzucanie gliniastego urobku z wagonów. Potem zima od połowy października do połowy maja. Siedem miesięcy zimy, w czasie której mróz sięgał od  $-30^{\circ}$  do  $-45^{\circ}$ . Miejscowi ludzie tę zimę nazywali ciepłą. „Polaki topiło przywieźli” – mówili. Każdy z nas to był chodzący szkielet. Albo opuchnięty cały. Głowa z opuchniętą twarzą ledwie mieściła się w rosyjską czapkę uszatkę. Głód i mróz – dla nas zbyt wielki.

W obozie był też jeden może 15-letni chłopak. Jemu kucharze obozowi nie dali zginąć. Chłopak trzymał się kuchni i wyglądał dobrze, twarz miał pełną i szeroką.

Człowiek zawsze głodny stara się dożywać gdzie może i jak może. Przez całe lato 1945 jeńcy wracając z pracy rwali komosę (łobodę, lebiodę), kroili z tego sieczkę, zasypywali do menażki z zupą i tak jedli. Nareszcie mieli gęstą zupę. Próbowałem i ja tego sposobu, ale źle się po tym czułem i przestałem to robić. Ale tak ja, jak i każdy z nas, idąc pod konwojem do pracy czy z pracy czmychał oczami po drodze i jeśli na niej leżało coś jadalnego schylał się po to, dostawał kolbą po grzbiecie, ale jadł, czy to była kapusta, czy kawałek buraka lub marchwi. A jeden szczęśliwiec znalazł raz kawałek chleba! Ja przez miesiąc skradałem się po liść kapusty leżący na skraju drogi. Aż raz tak się ustawiłem w kolumnie, że wracając z pracy byłem na skraju i liść wziąłem. Bez pobicia!

Z wyszukiwaniem dodatkowej żywności było różnie. Niejeden najadł się rzeczy niedobrych, zachorował i zmarł. Śmietnik obozowy był zawsze penetrowany przez jeńców. A przecież gdzie jak gdzie, ale w śmietniku obozowym należało się spodziewać najmniej czegoś nadającego się do jedzenia. I ja tam chodziłem, i ja starałem się bodaj jakąś porzuconą kość wyssać, gotowaną łupinę od kartofli znaleźć.

Pamiętam jedną letnią niedzielę 1945 roku. Grzebię w śmietniku, opodał mnie widzę innego jeńca grzebiącego jak i ja. Jakiś mi znajomy. Podchodzę bliżej – patrzę – a to kolega Hipek Mazik z Urzędowa. On jakby się zaczął wstydzić tego co robił. Ja mu mówię: „Hipek, czego tu się wstydzisz”. Spojrzeliśmy sobie w oczy i rozplakaliśmy się. Nie mówiąc nic więcej, rozeszliśmy się każdy do swego baraku.

Widziałem różne rzeczy. Widziałem jak jeden z urzędowiaków żabę piekł na patyku i jadł. Przy budowie drogi przez kartoflisko konwojent powiedział do jeńca: „Pan, idi na kartoszki”. Jeniec poszedł parę kroków w pole – konwojent oddał strzał w jego kierunku. Innym razem jeniec skradał się po kapustę na polu – zobaczył to żołnierz i zaczął strzelać. Tylko dlatego, że umiejętnie kluczył, jeniec dobiegł do naszej grupy.

Pewnego razu ja miałem szczęście. Przejeżdżający wozem chłop wiózł kapustę. Jedna główka spadła i potoczyła mi się pod nogi. Chwyciłem ją i zacząłem jeść łapczywie jak królik. Kołchoźnik patrzył na mnie szerokimi, przerażonymi oczami. Podszedł do mnie kolega w moim wieku, Kucharski ze wsi Połaniec. „Daj kawałek, głodny jestem jak pies”. Dałem mu.

Rosjanie, którzy piekli ziemniaki przy ogniskach na budowie, wyrzucali wierzchnią opaloną warstwę ziemniaka. Każdy z nas, gdy zobaczył w pracy świeże ognisko – biegł tam, szukając opalonych resztek ziemniaka. Po pracy w gorącą zupę wsypywał te resztki i zupę miał gęstą. Koledzy mu zazdrościli.

Gdzie jeszcze jeńcy szukali żywności? Pracowałem wtedy w „zwodzie”, który nakładał żwir na samochody na brzegu rzeki Msta pod Borowiczami. Codziennie idąc około pięć kilometrów do pracy, w połowie drogi, gdzie mieszkała nasza brygadzystka Beczkowa, szło się do niej na podwórze i do składziku po łopatę. Od pewnego czasu



zauważyłem, że po łopaty koledzy biegną tłumnie, mało się nie powybijają. Po otrzymaniu łopat dochodzimy do rzeki, pracujemy, a koledzy coś tam pitraszą w menażce u ogniska. Na pytanie, co tam mają, odpowiadali wymijająco. Pewnego razu i ja pobiegłem po łopaty. Wpadło nas kilku w drzwi, małośmy się nie wygnietli w nich – ja patrzę – a koledzy nie biegną do łopat, a w przeciwną stronę, gdzie stała koza. Przy kozie stało naczynie, a w nim resztki pożywienia. W ten sposób dowiedziałem się, dlaczego koledzy tak biegali po łopaty.

Opiszę jeszcze jedno zdarzenie, jakie przeżyłem, dotyczące zdobywania pożywienia. Budowaliśmy nową drogę przez pola kolchozowe od jednej kopalni do drugiej. Było to mroźną jesienią. Pole było w lecie obsadzone ziemniakami. Ziemniaki już wykopano, ale wyjątkowo niesolidnie, połowa pozostała w ziemi. Cywile, którzy tamtędy przechodzili, nie tylko nie zbierali tych ziemniaków, ale bali się patrzeć w ich stronę. Kopiemy więc ziemię na drogę, z ziemi co chwila wyłania się duży, ładny ziemniak. Obejrzałem się, czy żołnierze nie widzą i schyliłem się po niego. Niestety zostałem zauważony. „Nu, kak? Dawaj, idi suda”. Podszedłem do żołnierza. A w owym czasie ziemia była skuta mrozem, pobliskie kałuże pokryte lodem. Żołnierz obcasem u buta, karabinem obkół wokół kałuży lód i dał rozkaz: „Łożys” (kładź się). Spojrzałem na niego błagalnie. „Łożys!” – krzyknął groźnie. Położyłem się na tym lodzie, on stanął na mnie, wtłaczając całego w odkrytą wodę. Gdy już cały zostałem zamoczony, krzyknął: „Dawaj, idi na rabotu!”. Widziałem współczucie w oczach kolegów. Incydent ten miał miejsce około 10-ej, a więc do zakończenia pracy i dojścia do obozu było jeszcze 5 godzin. Do tego czasu ubranie na mnie zeszytniało. Jakoś nawet nie zachorowałem wtedy. Do dziś pamiętam twarz tego żołnierza. Kwadratowa, typowo rosyjska o wysuniętej dolnej szczęce. Pochodził z Riazkańskiej Oblasti.

G ł ó d. Rzecz straszna, rzecz czyniąca z człowieka zwierzę.

## Choroby

Gdy nadeszły mrozy, z głodu i zimna rozpowszechniły się choroby. Powszechna była u nas „dystrofia” – tak nazywali jeńcy-lekarze głodowy zanik mięśni. W niemieckich obozach jeniec dotknięty tą chorobą był nazywany „mużulmanem”. Z głodu zanikały nie tylko mięśnie, ulegały przytępieniu zmysły: wzrok, słuch, równowaga, a po trosze i rozum. Człowiek chodzi bo chodzi, ale porusza się wolno, chwiejnym krokiem, wzrok ma błędny i minę obojętną na wszystko, na wezwanie reaguje słabo. Gdy na budowie trzeba było przekroczyć większy pień drzewa, nie miałem na to siły, wolałem drobnym truchtem go ominąć. Nie było siły odkasznąć – chory charczał, a nie kaszał. Przechodziłem to, znam to. Na dystrofię chorowało trzy czwarte obozu. Jej następstwem była często czerwonka, do tego dochodził już mniej częsty u nas tyfus.

Prócz wymienionych chorób szczególnie Węgrzy chorowali na nierozpoznane choroby, które ich dziesiątkowały.

Opiszę teraz jedną chorobę obozową, tzw. kurzą ślepotę. Objawia się ona w ten sposób, że z chwilą nastania mroku chory nic nie widzi. Najczęściej to się zdarzało wtedy, gdy „prewierka” wypadała o zmroku. Po szczęśliwym

(to znaczy szybkim) jej zakończeniu jeńcy wracający do baraku, a chorujący na tę chorobę, byli zupełnie bezradni. Nie mogli trafić do baraku. Wtedy tworzyły się długie rzędy niewidomych trzymających się jeden drugiego. Na czele takiego rzędu szedł jeden widzący i całość prowadził do baraku. Wyglądało to może śmiesznie, ale nikomu nie było wówczas do śmiechu. Jak mówili nasi lekarze – choroba ta występuje z powodu braku pewnych witamin. Ja na szczęście tej choroby nie przechodziłem.

Gnębił nas również świerzb. Co dzień wieczorem przed pójściem spać pod pachami, w łokciach, w kroku skóra pokryta krostami zaczynała bardzo swędzić. Chorowało na to pół obozu, ja również. Stan ten trwał dość długo, nim władze obozowe nie dostarczyły leku w postaci białego płynu. Po kilkakrotnym posmarowaniu miejsc swędzących owym płynem – choroba ustępowała.

## Szpital

W marcu 1945 roku zachorowałem na czerwonkę. Lekarz obozowy skierował mnie do „szpitala”. Szpital obozowy był to barak wkopany w ziemię, gdzie na gołych dwupiętrowych pryzkach sporządzonych z desek lub żerdzi leżeli w ubraniu chorzy. Pod głową mieli zamiast poduszki skośną deskę. „Szpital” ów nie dysponował żadnymi lekami, żadnymi środkami opatrunkowymi. Jedyną jego zaletą było to, że nie pędzili chorych do pracy, oraz że na „prewierki” nie wychodziło się na trzaskający mróz, liczone nas na leżąco. Sanitariuszami byli Polacy, którzy niestety okradali chorych z resztek jedzenia. Jedynym lekiem był „kipiatok” – wrzątek.

W szpitalu tym leżałem przeszło dwa miesiące. Czasem odwiedzał mnie tam brat Janek, który potem mówił, że wątpił, czy wyjdę żywy.

Po wielu latach byłem we wsi Leszczyna koło Urzędowa u Józefa Wnuka – również zesłańca. Ten opowiadał mi, że podczas mojego pobytu w szpitalu obozowym odwiedził mnie tam razem z Jankiem. „Wyglądałeś – mówił – jak szkielet powleczonej żółtą skórą i łapałeś powietrze jak ryba. Sądziłyśmy, że godziny twoje są policzone”.

Śmierci w tym „szpitalu” to ja się napatrzyłem. Bywało, że rano budzę się na pryczy – trącam sąsiada po prawej stronie – a on nie rusza się, nieżywy. Trącam sąsiada po lewej stronie, to samo. Nieraz bywało, że sąsiad dostał w rękę swoje 200 gramów chleba na śniadanie, podniósł do ust, ugryzł, ruszył parę razy szczęką. Ja patrzę, a jemu oczy idą w słupek, ciało się pręży – za chwilę nie żyje. Byli tacy, którzy wyglądali jak szkielety, leżeli bez ruchu na pryczy tydzień, robiąc pod siebie, i tak umierali. Inni zaś puchli tak, że w syberyjskich czapkach z ogromnymi nausznikami zapiętymi pod brodą, w których leżeli, opuchlizna nie mieściła się i spuchnięte policzki wystawały dziesięć centymetrów powyżej nosa.

Śmierć każdy miał łagodną, usypiał spokojnie.

Podszedłem raz w drugi koniec baraku szpitalnego, gdzie leżeli chorzy na tyfus. Między leżącymi chorymi poznałem jednego chłopca z oddziału partyzanckiego, z którym siedziałem w więzieniu w Kraśniku. Poznał mnie i on. Pamiętam, że na nazwisko miał Szwed. Zapytałem go o innych. Ze słabym uśmiechem odpowiedział mi, że wszyscy już nie żyją. Na pewno i on tego nie przeżył.

Za barakiem szpitalnym była szopa z desek. Trupiarnia. Ta była zawsze zapelniona. „Szpital” był jej stałym dostawcą. Jedyne lekarstwo szpitalne – „kpiatok” (wrzątek) – niewiele pomagało na wszystkie choroby. Pod trupiarnię podjeżdżały zimą co drugi dzień sanie, latem tzw. telega, czyli wóz ciągniony przez ludzi, i na te pojazdy kładziono w szachownicę nagie trupy. Gdy ułożono przymę, przykrywano brezentem i obwiązywano sznurami. Za pojazd chwytało 15 jeńców i zaciągało go ok. 1 km od obozu na kołchozowe pole, na niewielką górkę. Tam w wykopane doły wrzucano zwłoki, grzebiąc je. Gdy zbliżała się zima, jeńcy kopali jeden ogromny dół, w który całą zimę wrzucano trupy. Często zdarzało się, że gdy rano jeńcy przyciągnęli następne sanie z trupami – z dołu uciekały wilki objadające zwłoki. Jeden duży dół na zimę kopano dlatego, że w trzaskające pięćdziesięciostopniowe mrozy byłoby niepodobieństwem kopać nowe doły na zwłoki jeńców.

Pamiętam – 1 maja 1945 roku, będąc jeszcze w „szpitalu”, widziałem odwilż, zima miała się ku końcowi. Bardzo pomalutko wracałem do zdrowia, ale nie do sił. Pod koniec pobytu w „szpitalu”, sił mając już jednak trochę więcej, nasłuchiwałem rozmów współwięźniów. Było w szpitalu też trochę Niemców. Jeden umiał mówić po polsku. Opowiadał, że brał udział w walkach pod Stalingradem. Opowiadał straszne rzeczy. Rowów strzeleckich nie kopano. Chronili się przed ostrzałem za wałami trupów. Mieli porozstawiane co osiem metrów CKM-y. Hitler (na pewno jego sobowtór) przyjeżdżał do nich na pierwszą linię frontu co dzień, zagrzewając ich do walki.

Pod koniec maja wypisano mnie ze „szpitala” i przesłano do baraku na OK, baraku dla rekonwalescentów. Tam przebywałem 2 do 3 tygodni i odesłano mnie do baraków roboczych.

Odtąd chodziłem do różnej pracy. Należałem do „wzwołów” (plutonów) „doraźnych” – budowaliśmy drogi przez pola kołchozowe od jednej nowo budującej się kopalni do drugiej. Budowaliśmy nowe tory kolejowe między tymi kopalniami – „wzwoł żelaznodaroznyj”. Wykonywaliśmy też wszystkie prace pomocnicze na powierzchni kopalni. Ale – to nie było wykonywanie jakiejś pracy, to było ślanianie się żywych szkieletów. W kopalniach na wierzchu pracowali osobno, na wolnej stopie, Koreańczycy. Doskonali cieśle, całą kopalnię na wierzchu (która była wyłącznie z drewna) zbudowali oni. My wykonywaliśmy prace pomocnicze. W stosunku do nas byli obojętni, ale raz mnie zbili, gdy z nosilek, które niosłem z innymi, spadł na nich żwir z ciekłym betonem. Znali język rosyjski.

## Życie obozowe

Stosunki międzyludzkie w obozie pogarszały się. W początkach pobytu w niewoli, jeszcze w Jegolsku, każdy nadal żył domem, żywił nieuzasadnioną nadzieję. Potem, gdy w Ujściu przy 45° mrozie pędzili nas do każdej pracy, gdy gołymi rękami wybieraliśmy kał z dołu kloacznego, gdy dziennie umierało nas do 50 ludzi, gdy nadziei na powrót do kraju nie było żadnej – cech ludzkich już w nas nie można było znaleźć. Przypominaliśmy stado dzikich, głodnych wilków. „Ja cię wykończę” – to były najczęstsze słowa, jakie mówił jeden do drugiego. Za ukradziony ka-

wałek chleba jeden drugiego by zabił. Zdarzały się skryte zabójstwa między jeńcami. Rosjanie śmiali się z tego.

I rzecz szczególna, że bardziej odporni na ciężkie warunki w obozie byli chłopci. Widocznie ciężkie warunki bytu na wolności, ciężka praca na roli, częściowo ich uodporniły na katorżnicze warunki obozowe.

Siłą pociagową w transporcie obozowym wewnętrznym i zewnętrznym byli jeńcy. Materiały budowlane na nowe baraki, ziemię, trupy z obozu, kał z dołu kloacznego – wszystko to wyciągali ślaniający się ludzie. Wyładowany po brzegi pojazd było w stanie pociągnąć 15 jeńców popędzanych batem przez konwojentów z NKWD. Ja w dniu Wielkiejnocy ciągnąłem beczkowóz z kilkoma innymi jeńcami – użyźniając tym pole. Między nami był ksiądz z Polski.

Jeszcze po powrocie do domu – mieszkałem w uliczce idącej pod górkę do Urzędowa – gdy widziałem jak koń ciągnie wyładowany ciężarem wóz – dostawałem gęsiej skórki, kręciłem się nerwowo – czułem jak ten koń się męczy, bo ja tam na wschodzie byłem w jego roli.

Przez cały 1945 rok były przesłuchania Polaków. Wyglądało to tak. Wieczorem po pracy komendant baraku ogłaszał listę nazwisk osób, które nazajutrz nie pójdą do pracy – a zgłoszą się do baraku nr 2 na przesłuchanie. Całe lato szli koledzy na przesłuchania – ale co tam było – nikt nikomu nie pisał ani słowa. Pod jesień dopiero przyszła kolej na mnie. Po wejściu do pomieszczenia kazano mi usiąść. Zapytali o imię, nazwisko i pseudonim – „pseudo”. No i żeby im opisać moją działalność w AK. Opisałem w kilku słowach, nie rozwodząc się. Wówczas jeden z oficerów powiedział do drugiego: „Wot, maładoj. Tolko muczytsa” (Ot młody, tylko się męczy). I kazano mi odejść.

Życia kulturalnego w praktyce w obozie nie było. W początkach mojego pobytu w Ujściu Niemcy zorganizowali dwa wieczorki rozrywkowe. Jeden raz Polacy zrobili coś podobnego i to było wszystko. Gdy przyszła zima, a z nią siarczyste mrozy w połączeniu z głodem i ludziami marli jak muchy, nikomu to nie było w głowie.

Stosunek konwojentów i ludności cywilnej do nas był różny. Początkowo nasi konwojenci to byli ludzie starzy – dziadkowie. Nie byli źli. Poczęstowali skrętem z gazety, nieraz dozorcując nas zdrzemnęli się – a wówczas czuwaliśmy my, by w razie kontroli oficera NKWD nasz konwojent stał nad nami z groźną miną i karabinem skierowanym w naszą stronę. Nie trwało to jednak długo. W miejsce starych dziadków dowództwo NKWD dało młodych, 18-letnich chłopców. Ci dopiero dawali nam w skórę w straszliwy sposób. Na przykład – opisane poprzednio zdarzenie – w czasie budowy przez kartofliśko drogi od jednej szachty do drugiej „podpuszczenie” Polaka i zamordowanie go z kilkoma kartoflami w rękę, to dzieło takiego młokosa. Był to zresztą nie jedyny przypadek. Między innymi tak zginął warszawski powstaniec (nazwiska nie pamiętam), z zawodu elektryk. Czy mój przypadek – za jednego kartofla kąpiel w kałuży podczas trzaskającego mrozu.

Żyliśmy w silnie strzeżonym obozie. Do pracy chodziliśmy pod silnym konwojem najeżonym „szytkami”. Z ludnością cywilną stykaliśmy się tylko ukradkiem



podczas wspólnej pracy. Początkowo ludność ta była dla nas nieprzychylna, wręcz wroga. Ja stosunkowo szybko nauczyłem się języka rosyjskiego i w rozmowie, gdy nas brano za Niemców mówiłem, że jesteśmy partyzantami, którzy walczyli z Niemcami, że swój rząd mieliśmy wówczas w Londynie. Nie chcieli wierzyć. „Nu, nu – powiedział mi jeden z rozmówców – jeśli by ty był niewinowat, tak by ciebie nie wzięli”.

W początkowym okresie, gdy nas pędzono do pracy przez wieś czy ulice miasta Borowicze, a szliśmy trójkami w mundurach niemieckich – ludność cywilna przejść nam nie dawała. Czym kto mógł rzucał w nas, bił nas. „Kuda mój mąż?” – krzyczała jedna kobieta. „Kdzie atiec?” – wtórowała druga. „Wy mojewe syna ubili” – wrzeszczała trzecia. I tak dalej. Każda czymś rzucała, chciała uderzyć. Konwojenci kolbami odpędzali te kobiety. Raz pracowaliśmy na ulicy Borowicz. Obok przechodziła grupa dzieci szkolnych w wieku 12 lat z nauczycielką. Dzieci przechodząc krzyczały: „Kamrat, kamrat, szwaine”. Nauczycielka coś do nas powiedziała po niemiecku z groźną miną. Ja, chcąc uratować sytuację, odezwałem się do kolegów pracujących łopatami i kilofami, ale głośno, żeby i ona słyszała: „Ana dumajet szto my Niemcy”. Nauczycielka ta nie odezwała się więcej.

„Pan, zuby prodoj. Chleba dam”. Często spotykałem się z tą propozycją od ludności cywilnej. W użębieniu na przodzie miałem mostek z białego metalu. Rosjanie myśleli, że to srebro. Stąd ta propozycja.

Dam świadectwo prawdzie, gdy powiem, że gdy ludność cywilna przekonała się, że jesteśmy Polakami, była trochę łagodniejsza dla nas. Nie podała kawałka chleba, bo i sama niewiele miała, ale już się tak wrogo nie odnosiła. Raz w rozmowie z pewną kobietą, ta mi powiedziała: „Nu, nu! Wy toże charoszyj narod. A kak było w dwatcatnym gadu?” (No, no. Wy także dobry naród. A jak było w dwudziestym roku?).

Jeszcze lepiej mówił rosyjski dowódca obozu, starszy lejtnant Rodin: „Szto eto za narod etije Polaki, eto huze Niemcow” (Co to za naród ci Polacy. Toż to gorsi od Niemców).

Reżim w obozie był bardzo ostry. Za niewielkie przewinienia była przewidziana kara pobytu w karczerze. Były dwa karczerze w obozie: ciężki i lżejszy. Ja dobę siedziałem w karczerze lżejszym za to, że podczas „prewierki” zmieniłem miejsce pobytu, skutkiem czego nie byłem policzony – jednej osoby było brak i przewierka musiała się odbywać jeszcze raz.

Jedzenie w karczerze lżejszym dostawało się raz na dzień, ale było znośnie ciepło. Gorzej było w karczerze ciężkim. Była to nora w ziemi obudowana grubymi okrągłakami z solidnymi drzwiami. Bez żadnego legowiska. Ściany z tych okrągłaków posiadały szpary, że ręka mogła wyjść na wylot. W lecie można było wytrzymać, ale w zimie, gdy mróz dochodził do  $-45^{\circ}$  i  $-50^{\circ}$ , w tej dziurawej norze było tak zimno, jak i na dworze, na zewnątrz. Siedziało tam kilku znajomych, już nie pamiętam ich nazwisk i za co siedzieli. Opowiadali, że przez cały czas pobytu oka nie zmrużyli, bo by zamarzli. Siedzieli po dwa, trzy dni.

Ucieczki z obozu zdarzały się. Żadna się nie udała. Organizowane były w okresie zimowym, najtrudniej-

szym. Wszystkich uczestników ucieczek po dwóch, trzech tygodniach przywożono na saniami na teren obozu. Organizowano zbiórkę obozu i przed całą załogą obozu, jeńcami i strażą przejeżdżały sanie z trupami kolegów. Po ich przejeździe dowódca pytał: „Nu, kto iścio choczet ubieżat?” (No, kto jeszcze zechce uciekać?).

Z językiem polskim zetknąłem się tylko dwa razy podczas dwuletniego pobytu w Rosji. Pierwszy raz to było, gdy pracowałem w „zwodzie”, który pod Borowiczami nakładał żwir rzeczny na samochody. Wspomniana brygadzistka Beczkowa, od której zabieraliśmy łopaty, miała syna – chłopaka w wieku około 13 lat. Gdy pod konwojem przechodziliśmy koło ich domu do pracy czy z pracy, chłopak ten krzyczał: „Pan, cholera”. I tu następowały liczne przekleństwa polskie. Kto, skąd, jak i dlaczego on trochę mówił po polsku? Pomału rzecz się wyjaśniła. Jego matka pochodziła z Wileńszczyzny, z językiem polskim się stykała. Od niej nauczył się trochę po polsku jej syn. Ale prócz przekleństw niewiele umiał.

Drugi raz było tak. Wracaliśmy w zwartym szyku z pracy. Już w pobliżu obozu mijala nas grupa kilku elegancko ubranych mężczyzn i jedna młoda kobieta. Gdy zrównaliśmy się ze sobą, kobiecie tej upadła rękawiczka w śnieg. Schyliła się, podniosła ją i powiedziała najczystsza polszczyzną: „Ojej, moja rękawiczka!”. A nas znów ciarki przeszły po plecach. Każdy spojrział na nią, spojrzeliśmy po sobie z niemym pytaniem – kto zacz? Mężczyźni z tą kobietą poszli w swoją stronę, nas konwojent kolbą od karabinu popędził w stronę obozu – i tak się to zakończyło. Ale to niespodziewane zetknięcie się z językiem polskim było tak szokujące, że wspomnienie tego tkwi we mnie do dziś.

Opiszę jeszcze krajobraz, jaki otaczał nas zarówno w okolicach Jegolska, jak i Ujścia i Borowicz. Teren był lekko pagórkowaty, mieszany, dziki. Co to znaczy? U nas w Polsce gdy są pola – to ciągną się dłużej lub krócej. Potem jest las lub łąki, lub wieś. Tu inaczej. Wszystko pomieszanane. Kawałek pólka, potem krzaki (las wycięto), łączka, domek, znów krzaki, pólko itd. Wsie są wyłącznie drewniane, niewielkie, rzadkie. Pisałem już, że ich cechą charakterystyczną są piękne, rzeźbione w drzewie ażurowe ozdoby drzwi, okien itp. Wioski te dodatkowo mają jeszcze dziwny, niespotykany u nas wygląd. W czasie, gdy tam byłem (1945 i 1946 r.) było to kilkanaście lat po upaństwowieniu gospodarstw rolnych. Wskutek tego upaństwowienia dom mieszkalny na wsi i jakaś komórka były własnością chłopca, kolchoźnika. Ale już takie zabudowania, jak chlewy, obory, stodoły zostały uspołecznione. Skutek był taki, że domy i te komórki wyglądały jako tako – zaś w głąb podwórza rząd chlewów i stodoł był w całkowitym opuszczeniu. Niektóre budynki jeszcze stały, inne już się rozsypały, ale widać było, że od czasów upaństwowienia nie były tknięte ręką ludzką. Były jakieś siwe, spopielale, sprawiały dziwne, przygnębiające wrażenie.

W wiosce polskiej od rana jest ruch: pies szczeka, kogut pieje, krowa ryczy, koń rży. W rosyjskiej wsi panowała cisza, martwota, pustka. Codziennie widać było osobę wychodzącą z domu i biegnącą do pracy, do odległego kolchozu.

Raz jeden wszedłem do środka rosyjskiego domu. To było wtedy, gdy wysłano nas do pracy w kolchozie. W mieszkaniu straszliwie brudno, chłodno i głodno. Ściany oblepione gazetami, które częściowo odklejone, podarte zwisały ze ścian. Przy zimnym kominie siedziało dwoje 6- i 8-letnich dzieci. Zajrzałem do garnka stojącego na kominie. Zobaczyłem w nim kilka gotowanych kartofli – widocznie żywność dla dzieci na czas nieobecności matki. Zapytałem po rosyjsku starsze dziecko: „Gdzie otec?”. „Nie znaju” – odpowiedziało mi. „A mat?” – „W kolchozie”. Kolega, z którym byłem, coś się do dziecka odezwał po polsku. Dziecko milczało. Ja zapytałem znowu: „Czto ty jewo nie ponimajesz, szto on gawarił?”. Dziecko pokręciło przecząco głową. Dopiero ja przetłumaczyłem o co chodziło. O czym była mowa – już nie pamiętam. Zobaczyliśmy, że wartownik zbliża się do zagrody, więc my z drugiej strony wybiegliśmy w pole do pracy.

Do pracy w kolchozie brali nas rzadko. Zaledwie kilka razy w czasie mojego dwuletniego pobytu. Ale też i znęcali się nad nami w drodze powrotnej, gdy każdy niósł w kieszeni po kilka kartofli.

Pamiętam, raz wprowadzili nas do wąwozu i rewidowali dokładnie, bili, szydzili z nas. Za znalezienie pół kartofla w kieszeni bili karabinami.

Klimat tam był ostry, cechował się tym, że zima trwała do siedmiu miesięcy. Lato około trzech. W zimie mróz dochodził do  $-45^{\circ}$ , a nawet do  $-50^{\circ}$  przy padającym śniegu. Wiatru nie było prawie wcale. Lato było bardziej gorące niż w Polsce. Typowo polskiej wiosny i jesieni nie było. Mimo tak krótkiego okresu wegetacji roślin – zboża, okopowe wyrastały i rosły normalnie i na czas. Ziemia była tam dobra i wszystko rosło w oczach. Pamiętam okres zniw. Wykoszono żyto kosami, powstało w mendlach jeden dzień i już je zabrali. Ziemię natychmiast zaorali, za dwa dni patrzę, a rola już jest zasiana. Świeżo zasiane żyto ledwo wzeszło, ledwo rola się zaczerwieniła – pierwszy przymrozek zważył wszystko. Sadów nie było. Tylko raz za domkiem od południa widziałem rosnące dwie małe jabłonie. Czy owocowały – nie wiem. W terenie tylko cztery gatunki drzew widziałem: sosna, świerk, brzoza i olcha. Innych drzew nie było.

Z ptaków dzikich w zimie widziałem tylko wrony. W jednej wiosce było kilka ogromnych starych brzoź. Na nich wielkie stada wron i kilka tych ptaków latających obok. Była to duma mieszkańców wsi, że to u nich zimują ptaki. Dożywiała je cała wieś.

Ciekawostką geograficzną były białe noce i zorza polarna w tym rejonie. Rejon naszych obozów był mniej więcej 250 km na południowy wschód od Leningradu. Białych nocy to ja się nie naoglądałem, bo albo pracowaliśmy wtedy w kopalni na dole, albo gdy normalnie pracowałem w dzień, wyniszczony młody organizm sprawiał, że w nocy spałem snem kamiennym. Niemniej jednak kilka razy, gdy musiałem wyjść w nocy z baraku, ze zdumieniem widziałem, że jest widno jak w dzień i słońce stoi nad północnym horyzontem. Ale znów gdy przyszła zima świt wstawał około dziesiątej, a mrok zapadał o trzynastej. Resztę doby panowała noc.

Zorza polarna! Obserwowaliśmy ją i podziwiali bardzo często. Jest to zjawisko jedyne w swoim rodzaju. Wy-

stępuje tam często i jest niezwykle różnorakie, barwne i piękne. My Polacy, którzy je oglądaliśmy po raz pierwszy – mimo śmiertelnego zagłodzenia i wyczerpania nie mieliśmy słów do określania jego piękna. Raz były to jakby słupy, innym razem fale, jeszcze innym coś w rodzaju kłębow dymu itp. Wszystko różnokolorowe, barwne, świetliste.

#### 4. Powrót

Przez pierwszy rok pobytu w niewoli nie było żadnej mowy o powrocie. Gdy jeden z Polaków zapytał raz rosyjskiego komendanta obozu kiedy nas wypuszczą – ten odpowiedział: „Nada rańsze szachty pastroić” (Najpierw trzeba kopalnie zbudować). Przez ten czas wojna się skończyła, do pracy w kopalniach zaczęli wracać Rosjanie z niemieckiej niewoli. Też dogadywali naszym konwojentom, żeby nas nie żalowali, żeby dobrze nam dawali w skórę. Jakoby i ich Polacy w Niemczech bili.

Zapytałem raz jednego z nich, jakoś bardziej mi przychylnego: „Kak tam w Polszy?” „W Polszy charaszo – odpowiedział – Bielyj chleb predojut na bazarie”. Dziwiło nas to jego stwierdzenie. My myśleliśmy, że skoro tu u ludności cywilnej jest taka nędza, to chyba i w Polsce jest tak samo. Dopiero po powrocie przekonaliśmy się, że w Polsce jest bez zmian. Dla zobrazowania nędzy ludności cywilnej opiszę następujący fakt. Pracowaliśmy na ulicy w Borowiczach. Była zima. Kuliśmy kilofami zmarzłą ziemię. Obok przechodził młody chłopak, wyjmował coś z kieszeni i wrzucał sobie do ust. W pewnym momencie to coś nie trafiło do ust, upadło w śnieg. Zręcznie manewrując, żeby konwojent nie zauważył, chwyciłem w rękę garść śniegu razem z tym czymś. Przebierając w rękę śnieg, wysuplałem zeń kartofelka wielkości orzecha laskowego. Taki „rarytas” nosił w kieszeni ów chłopak i tym się żywił.

Po roku pobytu w niewoli zaczęły dochodzić słuchy od ludności cywilnej, że wkrótce wrócimy do domu. „Nu, pany. Wy uże w damoj pajedietie”. Tak mówiły nam kobiety na budowie w kopalni. Początkowo wierzyliśmy w to, cieszyliśmy się. Ale upływały tygodnie i miesiące, a w naszej sytuacji nic się nie zmieniło. W każdy dzień ludzie umierali, Polaków ubywało. Ponieważ ludność miejscowa nadal uparcie twierdziła, że nas stąd wywiozą do Polski – my śmialiśmy się z tego, mówiąc po rosyjsku: „Da, da, skoro pojedem, bystro pojedem, uże pojedem”. Muszę zaznaczyć, że po półtorarocznym pobycie w ZSRR już między sobą zaczęliśmy w rozmowie wtrącać rosyjskie słowa. Chcąc – nie chcąc, rusefikacja wśród nas zaczęła robić postępy.

Trwało tak kilka miesięcy. Nikt nie wierzył w rychły powrót do Polski. A jednak pod koniec lutego 1946 roku, gdy jak zwykle wypędzano nas pod konwojem do pracy przy naprawie torów kolejowych jakieś trzy kilometry od obozu (było to w godzinach przedpołudniowych), przychodzi do nas goniec – żołnierz NKWD z wiadomością, żebyśmy szli do obozu, bo wracamy do Polski! Zaniemówiliśmy z radości. To naprawdę dożyliśmy tej chwili? Zebrawszy narzędzia, szliśmy torami w stronę obozu zataczając się, przewracając jak pijani, śmiejąc się i płacząc z radości.



W obozie sprawy potoczyły się szybko. Uformowano nas w kolumnę (sami Polaków) i wyprowadzono nas w kierunku Borowicz. W odległości 2 km od obozu spotkał się inna kolumnę – idącą do obozu. Gdyśmy się mijali, zobaczyliśmy, że to są Niemcy. Szli na nasze miejsce pracy w kopalniach. Daliśmy upust naszej nienawiści do nich. Wyzwiskom, pogrożkom nie było końca.

Już pod niewielkim konwojem doszliśmy do Borowicz. Po prawej stronie, na skraju miasta był niewielki obóz przejściowy. Niewielkich rozmiarów, słabiej strzeżony. Tu rozlokowano nas po barakach. Do pracy już nas nie pędzili. Według alfabetu uformowano nas w grupy po 40 osób. Coraz niecierpliwiej czekaliśmy odjazdu. Co dzień po 40 osób, w asyście dwóch żołnierzy już bez broni prowadzono nas do łaźni miejskiej, gdzie po umyciu się – o dziwo – po raz pierwszy dostaliśmy c z y s t ą b i e l i z n ę o s o b i s t ą. Wyczuli koledzy, że dyscyplina jest trochę rozluźniona i niektórzy z nich pospieszili się z myciem, potem bocznym wyjściem wymykali się na miasto.

Wreszcie przyszła kolej i na mnie. Wcześniej przygotowałem się do wymknięcia się z łaźni na miasto. Kurtkę mundurową niemiecką i płaszcz niemiecki, w którym normalnie chodziłem, zamieniłem z kolegami na rosyjski, żeby się nie rzucać w oczy na ulicy. Szybko umyłem się, ubrałem i bocznym niestrzeżonym wyjściem wymknąłem się do miasta. Idę ulicą, za mną jedzie chłopak na łyżwach. Mijając mnie pyta: „Kuda idiesz, pan?” – „Idę w pierot. Odkuda ty uznał szto ja pan?” – „Patomu szto zdzieś remieniok imiejesz”. Pokazuje mi wąski pasek, którym przepasałem się w pasie. Pasek schowałem do kieszeni, upodabniając się do Rosjan, którzy faktycznie chodzili w wojskowych płaszczach, ale nie przepasanych niczym. „Kurisz?” – pyta chłopak. „Da, kuriu” – odpowiadam. Częstoje mnie kawałkiem peta w gazecie. Nieco dalej inny pyta: „Pan, nie zabłudisz?” – „Niet, nie zabłudzu – odpowiadam – znaju darogu w banii”. Idzie kobiecina ulicą, zobaczywszy mnie rozgląda się, czy nikt nie widzi – podchodzi szybko do mnie, mówiąc: „Na”. Podaje kawałek gotowanego pieroga z kaszą i ucieka szybko ode mnie.

Wlokę się w przeciwnym kierunku, trafiam na bazar. W nim widzę kilka kramów z guzikami, tasiemkami itp. Dalej widzę kobiety z porcjami chleba w ręku: „Kto chlebca pokupit, kto chlebca pokupit?” – słyszę.

Zobaczyła mnie milicjantka pilnująca porządku na bazarze. „Uchadi, ty job twaju...” itd. – krzyczy na mnie zamierzając się kolbą karabinu. Uciekłem z bazaru, dołączyłem do kolegów w łaźni i w grupie wróciliśmy do obozu. To był jedyny raz w czasie dwuletniego pobytu w ZSRR, że pochodziłem sobie sam „na wolności” nie otoczony zewsząd karabinami ze „sztykami” zwróconymi w moją stronę.

W obozie Kabanka pobyliśmy jeszcze około trzech tygodni, zaczynając wątpić w prawdziwość wyjazdu.

W ciągu tego czasu zmieniono nam ubrania z zimowych na letnie, mimo że na dworze była jeszcze zima. Marzliśmy. W tym też czasie rosyjski dowódca z Ujścia został już z nami w obozie Kabanka. Zmienił też stosunek do nas, stał się grzeczny, uśmiechnięty. Dwa razy w tym czasie,

już całkowicie bez konwoju, sam jeden wybrał się z nami na spacer wokół obozu, rozmawiał, śmiał się z nami.

Pewnego popołudnia dowództwo ogłosiło zbiórkę całego obozu na placu apelowym. W kącie obozu nasi rozbili magazyn żywnościowy (rzecz nie do pomyślenia) i zabrali chleb i kaszę. Na placu apelowym pojawił się dowódca obozu – st. lejtnant Rodin w towarzystwie jeszcze dwóch oficerów NKWD. Wyczytał nazwisko jednego jeńca. Ten wystąpił z szeregu. Oddali mu zegarek ręczny zabrany podczas aresztowania w Polsce. Wyczytali drugie nazwisko, podobnie oddając zegarek. Potem pytali czy się coś jeszcze komuś należy. „Nie! Nie!”, krzyczymy głośno ile sił. „Nu tak, ładna” – powiedział dowódca obozu – „Tiepier pajdiom w eszałony” (Teraz pójdziemy do pociągu). Jak później dowiedzieliśmy się, oba zwrócone zegarki były zepsute, nie nadające się do naprawy.

Zwarta kolumna jeńców zaczęła wychodzić z obozu pod niewielkim konwojem i kierować się w stronę dworca w Borowiczach. Niedaleko obozowej bramy stał młody chłopak, Rosjanin, który na szachcie dał mi kilka razy kawałek chleba. Był trochę młodszy ode mnie. Ja znałem jego, a on mnie. „Do widzenia Wania – mówię mu – Ja uże w Polsce jedu”. On uśmiechnął się i kiwnął mi głową na do widzenia. A koledzy powsiedli z gębą na mnie: „Co, widzimy, że tu zostawiłeś dużo przyjaciół. To może zostań tu, nie wracaj do Polski, skoro ci tu tak było dobrze”. Nic na to nie odpowiedziałem.

Na stacji umieścili nas również w wagonach bydłych, ale już czystych, w których były nary z desek. Spaliliśmy już nie na podłodze po węglu, a na czystych deskach na pewnej wysokości. Piecyk żelazny w wagonie był, węgiel też.

Ściemniło się, pociąg powoli ruszył. W nocy mało kto spał. Wzruszenie, radość – i nadal niedowierzanie – targło nami. Jeść dawali już trochę lepiej. Już niezadrutowanym okienkiem patrzyliśmy na świat, po nazwach stacji starając się dociec, w którym kierunku jedziemy. Pamiętam: wjechaliśmy w strefę wojny. Mijaliśmy wsie i miasteczka zdruzgotane straszliwie. W jednym miejscu w lesie stał ogromny czworobok dział niemieckich, widocznie pozostawionych przez Niemców po ich ucieczce. Mijając Wielkie Łuki przekonał się, że jedziemy w stronę Polski. Miasta nie widziałem, ale stacja Wielkie Łuki to jedno wielkie rumowisko, nie licząc kilku ziemianek, w których urzędowali kolejarze. Obok torów leżał rozbity samolot niemiecki. Trudno mi powiedzieć, od którego miejsca zobaczyliśmy, że drugi tor – biegnący obok – jest dziwnie zniszczony. W miejscu styku dwu szyn wybuch zniszczył ich końce. Prócz tego podkłady kolejowe, drewniane, były w dziwny sposób pęknięte na pół i wyrwane na wierzch. I drugi tor, po którym jechaliśmy też był niewątpliwie w ten sam sposób zniszczony przez wycofujących się Niemców, by opóźnić pochód wojsk rosyjskich, ale został już naprawiony. Tory te były niszczone na przestrzeni dziesiątków kilometrów.

Po wielu latach, mieszkając już w Warszawie, kupiłem ciekawą publikację NRD-owską pt. *Der zweite Weltkrige* (Druga wojna światowa). Zobaczyłem tam zdjęcie ogromnej maszyny wielkości lokomotywy niemal, z ogromnym sprężynowym zaczepem rozrywającym podkłady. Z tego

zdjęcia dopiero dowiedziałem się, jak te tory były niszczone.

A my wracaliśmy w kierunku Polski. Na stacjach kolejowych często brano nas z pociągu do przyniesienia wody dla transportowanych ludzi lub drewna do naszych piecyków. Wówczas rzucał się w oczy straszliwy brud. Ludzkie odchody na torach i peronach tak były częste, że dosłownie nie było gdzie stanąć, nie było jak przejść. Był to okres ogromnych ruchów ludności i to było częściowo powodem tego brudu.

Pamiętam raz, obserwuję szparą krajobraz. Zimno, koń ciągnie sanie z drewnem. Kształtu sań nie zauważyłem, ale idący obok chłop miał na sobie kozuch o polskim kroju. „Chłopaki! – wrzasnałem – Tu już musi być Polska, chłop kozuch miał polski”. Koledzy doskoczyli do szpary w ścianie, ale sanie z chłopem już zostały w tyle. Niedługo potem zobaczyliśmy krzyż przydrożny stojący na rozstajach. Byliśmy już niemal pewni, że jesteśmy na dawnych ziemiach polskich.

Podczas krótkich postojów na stacjach kolejowych spotykaliśmy transporty repatriantów jadących do Polski z całym dobytkiem. Rozmowom nie było końca. Czasem dali i kawałek chleba. Pamiętam, jak przejeżdżaliśmy przez Lidę – mijaliśmy opuszczony cmentarz polski.

Nie pamiętam jak długo wracaliśmy, ale któregoś dnia wjechaliśmy na jakąś ogromną stację kolejowo-towarową. Po obu stronach torów ciągnęły się ogromne sterty różnego towaru. Maszyny, meble, urządzenia, ziemniaki i inna żywność. Były tego ogromne ilości. To były trofea wojenne wywożone z Niemiec przez Polskę na teren ZSRR. Wywożone tuż za granicę, za Bug. Składowane były byle jak, niszczone na śniegu. Wreszcie pociąg wtoczył się na wolną przestrzeń, stanął. Tu dano nam jeść, dołączono inną grupę jeńców, Polaków. Wśród nich poznałem Leona Geneję z moich stron. Wycalowali się i już razem wsiedliśmy do polskich wagonów o węższym rozstawie kół. Pociąg ruszył i po pół godzinie przejechaliśmy most na Bugu. Po drugiej stronie mostu widzę dwóch żołnierzy polskich! Wzruszenie ścisła gardło, z oczu lecą łzy. My patrzymy na nich, oni patrzą na nas.

Jesteśmy w Polsce!

Około półtorej godziny jeszcze jechaliśmy pod konwojem do Białej Podlaskiej. Tu miejscowa ludność dowiedziawszy się o nowym transporcie Polaków z Rosji przynosiła nam chleb, zupę i inną żywność. Konwojenci dopuszczali do wagonów kobiety z żywnością, ale nas z wagonów nie wypuszczali. Trwało tak trzy dni. Ludności już i żywność się wyczerpywała (w Białej Podlaskiej byliśmy już szóstym transportem ze wschodu).

W pewnym momencie zaczęły się gromadzić koło pociągu większe grupy kobiet. Nagle wszystkie naraz pod-

biegły do poszczególnych wagonów i zaczęły je otwierać. Konwojenci kolbami od karabinów zaczęli bić te kobiety, wiele z nich pokrwawili. Ale nie dali rady. Kobiet było więcej. Podczas gdy nieliczni konwojenci zajęci byli walką z kobietami – inne zaczęły otwierać wagony. My nie czekając wyskakiwaliśmy z wagonów.

Trudno mi opisywać, co było dalej. Zawsze, gdy to opowiadam, ze wzruszenia mam trudności z mową. Tego momentu ja do śmierci nie zapomnę.

Każdy z nas zeskoczywszy na ziemię ukląkł i pocałował ją. Pokłękaly i kobiety z Białej Podlaskiej, które nas oswobodziły i wspólnie płacząc, śpiewaliśmy jakąś religijną pieśń. Jaka – już nie pamiętam. Klęczę, płacząc i śpiewam i ja. Obok klęczy młode małżeństwo, on kolejarz.



**Dokument tożsamości wydawany w Białej Podlaskiej przez Urząd Bezpieczeństwa członkom i sympatykom Armii Krajowej wracającym z obozu jeńców wojennych z terenu ZSRR do kraju w 1946 r. wystawiony dla Jana Cieślickiego (brata Kazimierza)**

Słyszę jak ona mężowi mówi: „Weźmy tego, tego, tego”. Podchodzi do mnie i pyta: „Może pan do nas przyjdzie na nocleg?”. „Dobrze” – odpowiadam. Zabrała jeszcze dwóch i poszliśmy do ich domu. Mieszkali w pobliżu stacji. „Ale proszę państwa, my mamy wszy” – mówimy im. „To nic” – odpowiadają. Dali nam jeść, zrobili posłanie na podłodze. Ja po zjedzeniu kolacji dostałem strasznych bólów brzucha. Wyszedłem za dom i w sadzie przesiedziałem pół nocy z bólu.

Dwie noce nocowaliśmy u tych państwa, aż wreszcie dopchnęliśmy się do okienka PZR-u – Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, gdzie zrobiono nam maleńkie zdjęcie oraz zaświadczenie, wypisane na szarym, pakowym papierze, tej treści: „Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zaświadcza niniejszym, iż Ob. Kazimierz Cieślicki przybywa z terenu ZSRR i udaje się do swego miejsca zamieszkania”. Dalej następowała data, pieczęć, podpis. Każdy z nas otrzymał też 200 złotych. Otrzymawszy to, nie czekając na nic, każdy z nas urzędowiaków biegł na stację, wsiadał do pociągu i jechał przez Lublin do Kraśnika.



Był to początek marca, okna w pociągu powybijane, w nocy kulimy się po kątach wagonu, marzniemy. Rano jesteśmy w Lublinie. Tu idziemy zwartą grupą ulicami, szukając jakiejś restauracji, żeby coś zjeść, rozgrzać się. Ubrani jesteśmy cudacznie. Ja mam płaszcz wojskowy niemiecki, porwany. Marynarkę – mundur niemiecki, spodnie rosyjskie. Koledzy poubierani w mundury z całej Europy. Ludzie w Lublinie oglądają się za nami. Co śmielsi pytają: „Ludzie! Coście za jedni? Skąd jesteście?”. Odpowiadamy, że jesteśmy Polacy z Lubelszczyzny wywiezieni do niewoli do ZSRR. Nasza czysta polszczyzna utwierdza ich w przekonaniu, że mówimy prawdę.

W restauracji zamawiamy posiłek – chcemy płacić – nie chcąc pieniędzy. Chcę kupić kawałek kielbasy – sklepy jeszcze były prywatne – właściciel nie chce pieniędzy.

Dalej już bez przygód przyjechaliśmy do Kraśnika, skąd okazynym wozem chłopskim dojechaliśmy do Urzędowa – do domu!

Był wieczór, w naszym domu paliło się światło. Otwieram drzwi do mieszkania, wchodzę – wszyscy patrzą jak na zjawę. Potem następuje powitanie, płacz radości. Brat – Janek – wrócił dzień wcześniej do domu.

Potem stanąłem na środku mieszkania i mówię: „Jeszcze nie wierzę, że jestem w d o m u!”.

W domu przez około miesiąc dochodziliśmy z bratem do zdrowia i sił. Pamiętam, że przez miesiąc czasu miałem silną obstrukcję. System trawienny dopiero stopniowo, powoli wracał do normy. Początkowo – nie mogliśmy się z bratem najeść. W domu po śniadaniu każdy z domowników szedł do swojego zajęcia. My z bratem po godzinie czy po dwóch już byliśmy bardzo głodni. Po prostu, domowników wstydziliśmy się, ale znów zaczynaliśmy coś jeść. Pamiętam, wchodzę do mieszkania brata, zobaczyłem na kuchni garnek z ugotowaną jakąś kaszą. Stałem jak wryty, oczy wlepiłem w garnek i jak nie krzyknę: „Och, kasza!”. Stojąca za mną bratowa spojrzała na mnie ze zdziwieniem. A ja, zawstydzony, spuściłem głowę, czerwony na twarzy jak burak. Nie od razu potrafiłem wrócić do rzeczywistości.

## 5. Następstwa pobytu w niewoli

Następstwa mojego pobytu w niewoli na wschodzie były dla mnie różnorakie, na wielu płaszczyznach i ciągnące się przez całe moje życie.

**Po pierwsze: utrata zdrowia.** Miałem 19 lat, gdy mnie tam wywieźli. Jest to przecież wiek, gdy organizm jeszcze się rozwija. Ja będąc w niewoli jeszcze trochę urosłem. Po powrocie znany lekarz dr Hevelke aplikował mi wapno, powodując gojenie się dziur w płucach i ich zwapnianie. W wojsku pierwszy raz zrobiono mi prześwietlenie płuc. Widniało na nim wiele miejsc zwapnionych. Od piętnastu lat choruję na nerki. Przyczyna: przeziębienie nerek. Mam chroniczny, obfity katar – wynik nieustannego przeziębienia w Rosji.

**Po drugie: następstwa polityczne.** Po powrocie przez pół roku dochodziłem do siebie, a gdy to nastąpiło, poszedłem do wojska. Tam mi też część zdrowia odebrano. Służyłem w Wojsku Ochrony Pogranicza. Po powrocie

z wojska przez 5 lat pracowałem w Kraśnickiej Fabryce Wyrobów Metalowych. Zakład wytypował mnie na kurs przygotowawczy na wyższe uczelnie – widocznie zasługiwałem na to. Egzamin zdałem, przyjęty zostałem. Po dwóch tygodniach zostałem zwolniony „z powodu braku miejsc”. Widocznie doszukano się w mojej przeszłości „ciemnych punktów”: przynależność do AK i zsyłka w głąb ZSRR.

**Po trzecie: następstwa psychiczne.** Młody chłopak z małego miasteczka, trochę odczytany, trochę działający w ruchu oporu – Armii Krajowej został z domu wzięty do więzienia, stamtąd do obozu w Lublinie, gdzie włosy mu zgolono i przebrano w mundur niemiecki. Na rękawie nosił opaskę jeńca wojennego. Po długiej podróży do łagru był tam traktowany nawet nie na równi z Niemcami, ale znacznie gorzej.

Jak na jednego młodego chłopca to było grubo za dużo. To było nie do pomieszczenia się w głowie.

Jak to? Dlaczego? Za co? Na jakiej podstawie? Tam – w obozie wielokrotnie zadawałem to pytanie niejednemu starszemu, mądrzejszemu ode mnie człowiekowi. Dostałem wymijające odpowiedzi. Albo sami nie wiedzieli, albo nie chcieli mi prawdy wyjawić. „Za AK” – mówili – „ale to jeszcze nie wszystko”. W rezultacie wiedziałem tylko, że coś jest nie w porządku.

Dopiero po powrocie, gdy zacząłem czytać gazety, interesować się życiem politycznym kraju – sam sobie odpowiedź wydedukowałem. Front stał na Wiśle. W kraju decydujący głos miała nadal Armia Krajowa. Kraj był o krok od wojny domowej. Rosjanie, chcąc mieć zabezpieczone tyły frontu, chcąc zabezpieczyć się przed wojną domową w Polsce, wojną przeciwników nowego ustroju z przedstawicielami nowej władzy, woleli „element niepewny” usunąć na pewien czas z kraju. Do czasu aż sytuacja się unormuje, a nowa władza umocni swoje rządy. Zgoda, uważam to rozumowanie, a nawet postępowanie za logiczne. Mam tylko jedno „ale”. Dlaczego ten „element niepewny” czasowo usunięty z kraju przebywał w tak nieludzkich warunkach? Dlaczego chodziliśmy ubrani w niemieckie mundury, w szyku trójkowym, jak wojsko niemieckie? Tego ja nigdy nie zrozumiem, ani nie znajdę wytłumaczenia. Dlaczego tylu z nas dziennie umierało z głodu i chorób? Nie! Tak sojusznik nie postępuje!!!

Przez całe swoje życie w środowisku, gdzie przebywałem, nie tailem swego pobytu w niewoli w ZSRR, chociaż celowo tego nie rozgłaszałem. Ot, gdy się zgadało o tym – opowiadałem jak było. Nie wszyscy moi słuchacze chcieli w to uwierzyć.

Do Partii się nie zapisałem, gdyż po tym, co ja przeżyłem, co ja wycierpiałem, nie mogłem tego uczynić. Być może, gdybym się zapisał – lżej by mi było w życiu. Ale ja tego nie mogłem zrobić.

W międzyczasie zapisałem się do ZBOWiD-u – celowo przemilczając moją niewolę w ZSRR.

Dostałem odznaczenia wojskowe: Medal Wojska – z Londynu, Krzyż Partyzancki oraz Medal Zwycięstwa i Wolności, dwukrotnie. Wkrótce mam otrzymać z Londynu Krzyż Armii Krajowej.

Kiedy otrzymałem Krzyż Partyzancki w lokalu ZBOWiD-u na Żeraniu w Warszawie – wracałem do domu i płakałem. Ludzie się za mną oglądali. Płakałem i myślałem: „Koledzy, którzyście na zawsze pozostali na tej górcie za obozem w Ujściu – dostaliśmy razem Krzyż Partyzancki. O, ja i Wy! Dzielę się nim z Wami. Ja doczekałem tej chwili. Wy nie”.



Legitymacja kombatancka Kazimierza Cieśllickiego

Do końca mojej pracy w fabryce (Fabryka Samochodów Osobowych), a pracowałem w niej 29 lat, trafiali się co gorliwsi towarzysze, którzy mi przygadywali: „No co! Darmo cię nie wzięli. Musiałeś niejednego żołnierza rosyjskiego zabić”.

Ale ja już miałem się czym bronić. „Tak – mówiłem – za to otrzymałem Krzyż Partyzancki”. Wtedy oni milkli.

Kończąc swoje, jakże przykre, wspomnienia młodości, chciałem swojemu ewentualnemu czytelnikowi powiedzieć, że przeżycia, które były moim udziałem, były udziałem całego mojego pokolenia Polaków owego czasu. Z mojego miasteczka prawie wszyscy moi rówieśnicy mieli podobne przeżycia, dzieląc los całego Narodu.

W dziesięć lat po zakończeniu wojny ostatni z moich kolegów wrócił do Urzędowa.

Opisałem to wszystko, jak umiałem. Nie przesadziłem nic. P r z e c i w n i e. Wiele spraw i zdarzeń miało przebieg bardziej dramatyczny, niż mi się udało opisać.

\* \* \*

Już jako kuriozum podam na zakończenie rzecz następującą: W „Trybunie Ludu” nr 196 z lipca 1964 r. przeczytałem artykuł Wojciecha Sulewskiego, zatytułowany „Z pola walki” – na Dwudziestolecie. Fragment owego artykułu brzmi:

„Nieprawdą jest, że istniał wówczas jakiś problem akowski. Ludzi z tego obozu ocenialiśmy według ich postawy wobec władzy ludowej i konkretnych czynów. Nie było mowy o jakimkolwiek upośledzeniu czy uprzedzeniu ze względu na byłą przynależność”.

Artykuł ten posiadam do wglądu.

Tu – nic dodać, nic ująć. Fakty mówią, co o tym sądzić.

Warszawa, listopad 1981 r.

## Wykaz mieszkańców Urzędowa

deportowanych do ZSRR w 1944 r., gdzie przebywali dwa lub trzy lata:

### wrzesień 1944

Aresztowani i wywiezieni do obozu w obwodzie riazańskim:

1. Hipolit Cieszkowski (zmarł w 1945 r. w obozie),
2. Józef Mazurkiewicz (zmarł w 1967 r. w domu).

### 6 IX 1944

Aresztowani i wywiezieni do obozów w rejonie miasta Borowicze w obwodzie nowogrodzkim, około 250 km na południowy wschód od Leningradu – Jegolsk, Ujście, Kabanka, Szepetówka, Sztadtlager, Waldlager i inne:

1. Jan Cieśllicki,
2. Kazimierz Cieśllicki,
3. Longin Cieśllicki (zmarł w 1945 r. w obozie Sztadt-lager-Borowicze),
4. Zygmunt Gajewski (zamordowany po powrocie w 1952 r. przez UB),
5. Leon Geneja (zmarł w domu na gruźlicę),
6. Edmund Goliński,
7. Ignacy Gozdalski (zmarł w domu w 1981 r.),
8. Jan Grzebulski,
9. Jan Jagiełło,
10. Franciszek Kasprzak,
11. Hipolit Mazik,
12. Bogdan Nowicki (zmarł w domu na gruźlicę),
13. Eugeniusz Podrygalski (zmarł w domu na gruźlicę),
14. Aleksander Przysucha,
15. Kazimierz Tomaszewski,
16. Rafał Wośko,
17. Jan Wójtowicz (zmarł w domu w 1978 r.),
18. Witold Wysoki (zmarł w domu na gruźlicę).

### 6 XII 1944

Aresztowani i internowani przebywali w obozach Jajna, Nagornaja w obwodzie permskim, Reż Krutielia w obwodzie świerdłowskim, Altynaj w górno-ałtajskim obwodzie autonomicznym:

1. Karol Dzikowski,
2. Józef Pomorski.

Spośród wymienionych mieszkańców Urzędowa, Kazimierz i Longin Cieśllicy, Leon Geneja i Hipolit Mazik mieli w czasie aresztowania po 18–19 lat.

### Z najbliższych okolic Urzędowa deportowano do ZSRR:

Ze wsi Leszczyna:

1. Józef Błażej,
2. Bolesław Misztal,
3. Jan Sapała (zmarł w obozie Ujście),
4. Dominik Wołoszyn (zmarł w domu w 1979 r.),
5. Józef Wołoszyn.

Ze wsi Wandalin:

1. Henryk Lankamer.

Ze wsi Wierzbica:

1. Piotr Szewc.



Marian Surdacki

## Urzędowski wrzesień 1939 r. w oczach Tadeusza Wośkowskiego

Przeglądając spuściznę pisemną po Tadeuszu Wośkowskim, natknąłem się na Jego list z 17 sierpnia 1989 r. adresowany do Tadeusza Surdackiego, wówczas członka Zespołu Redakcyjnego „Głosu Ziemi Urzędowskiej”, w którym przesłał swoje wspomnienia z września 1939 r. oraz spis żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Zapewne nadawca myślał o opublikowaniu tego tekstu na łamach urzędowskiego periodyku, jak się jednak okazało, z niewiadomych przyczyn do tego nie doszło; list został odłożony *ad acta* i zapewne nie ujrzałby światła dziennego, ze stratą dla lokalnej historii. Wprawdzie w 2009 r. zostały już wydrukowane podobne, bardziej obszerne wspomnienia Kazimierza Cieślckiego *Wrzesień 1939. Niemcy w Urzędowie*, lecz każda inna relacja z tego czasu posiada bezcenne znaczenie, tym bardziej że żyjących świadków historii sprzed 85 lat już w Urzędowie praktycznie nie ma. W takiej sytuacji jesteśmy teraz zdani wyłącznie na zachowane pisemne świadectwa, z których każde stanowi subiektywną, osobistą (autorską) kliszę fotograficzną rejestrującą to, co wówczas się działo. Każde zapisane tu zdanie, z dokumentalnego punktu widzenia, wydaje się na wagę złota. Autor relacji, podobnie, jak inny urzędowski „kronikarz” – wspomniany Kazimierz Cieślcki, zamieszkiwał w samym centrum Urzędowa, więc znajdował się w doskonałym punkcie obserwacyjnym, umożliwiającym utrwalanie tego, co działo się w samym centrum miasteczka. Szczególnie sugestywne i oryginalne poznawczo są tu sceny z przemarszu i przegrupowania wojsk, przepływu uciekinierów, przewozu rannych, czy ostrzelania niemieckich samolotów.

### Wspomnienia T. Wośkowskiego

Wojna dla Urzędowa rozpoczęła się 3 września (niedziela) 1939 r., kiedy to nad Urzędowem przeleciały niemieckie samoloty w kierunku fabryki Dąbrowa-Bór, zrzucając tam bomby, na szczęście niewypały. Oddano do nich serie z karabinów maszynowych, ale okazały się niecelne. Samoloty te wywołały popłoch wśród ludności. Dużo rodzin zaczęło uciekać z Urzędowa na wschód (uciekali wśród nich student V roku medycyny Ludwik Barwa, który zmarł z wycieńczenia). Przez Urzędów przepływa masa uciekinierów. Jednego dnia na rynku obserwuję takie zdarzenie. Góral na małej furce zajeżdża drogę jakiemuś dobrze ubranemu osobnikowi na wozie o dwóch koniach – ów człowiek wykrzykuje na Górala jakimś niezrozumiałym językiem, a ten zapewne nic go nie rozumiał. Zszedł z wozu ów jegomość i idzie do Górala, przeklina go, ale już po polsku – Góral zrozumiał go i zjechał z drogi. Jak trudno było porozumieć się Polakom, nawet w biedzie, gdyż Góral nie mógł zrozumieć Kaszuba jadącego z Chojnic. Między 10 a 11 wrze-

śnia przegrupowuje się polska Armia Lublin do obrony Wisły, a 12 września obserwuję przemarsz oddziałów od Opolo na Dzierzkowice. Jestem świadkiem, jak na polecenie żandarmerii wojskowej zjeżdżają samochody z oddziałami, by umożliwić przejazd czarnej limuzyny wiozącej pułkownika Roweckiego, który zatrzymał się w leśniczówce u Żurawskich. 13 września Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa stoczyła walkę z Niemcami pod Księżomierzą. Słychać było strzały artylerii. Późnym popołudniem obserwowałem, jak furmankami wieziono najpierw lekko rannych, a następnie ciężko (przeróżający to widok). 14 września opuściły Urzędów wojska polskie, a jedynie 15 września trzy czołgi od strony Dzierzkowic przejechały polami ul. Wodnej, udając się w kierunku Kraśnika. Tego samego dnia wkroczyły do Urzędowa wojska 10. Armii niemieckiej. Tak rozpoczęła się okupacja, która trwała do 28 lipca 1944 r. Ponure dwa dni przynosiła wiadomość, że wojska od wschodu 17 września napadają Polskę.

### Nazwiska żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych z Urzędowa walczących na Zachodzie:

- plk Aleksander Nowaczyński w Brygadzie gen. Maczka
- kpt. Jerzy Pajdowski, II Korpus gen. Andersa
- Natalia Pajdowska, służba pomocnicza
- por. Julian Gozdalski
- plut. Stefan Gajewski
- ppor. Wacław Sadowski
- Stefan Więckowski
- Karol Rola
- Ludwik Marecki
- Heliodor Cieszkowski
- Czesław Cieślcki
- Wacław Grzebułski, mechanik lotniczy
- Kazimierz Gładkowski
- Edward Łukanty
- Bolesław Goliński
- NN z Przedmieścia Zakościelnego



Joanna Fortuna

## Pory roku w dawnym Urzędowie

*Jedno pokolenie odchodzi, drugie przychodzi,  
a ziemia trwa na wieki.  
Słońce wschodzi i zachodzi  
i zmierza pospiesznie na miejsce, z którego znowu wschodzi.  
[...] Wszystko porusza się ciągle,  
a człowiek nie jest w stanie opowiedzieć wszystkiego.  
Oczom nigdy dość patrzenia,  
a uszom – słuchania.  
[...] Tylko, że zapomina się o tych, co już kiedyś żyli,  
tak jak zapomni się o tych, którzy kiedyś żyć będą.  
Po nich też nie pozostaną wspomnienia  
wśród pokoleń, które po nich przyjdą.*

(Koh 1, 4–11)

To zadziwiające, jak bardzo zmienił się świat i Urzędów na przestrzeni ostatnich siedemdziesięciu lat. Dawniej ludzie funkcjonowali bez telefonów, Internetu i nawet bez zegarków, za to rytm ich życia ściśle wyznaczały pory roku. Na podstawie wspomnień mojej mamy, Anny Depy, a także na bazie wielogodzinnych rozmów z jej przyjaciółmi z Mikuszeńskiego, Zakościelnego i Gór, powstała poniższa historia przedstawiająca życie w Urzędowie w latach 50. XX wieku. Wspomniane osoby były wtedy zaledwie kilkuletnimi dziećmi. Oto, jak zapamiętali oni swoje dzieciństwo. Oddaję im teraz głos...



Dziewiętnastoletnia Helena Ciężczyk, z domu Paszkowska, mama Anny Depy. Dziewiętnastoletni Hieronim Ciężczyk, tata Anny Depy. Fot. archiwum prywatne

### PRZEDWIOŚNIE I WIOSNA

#### Wyczekiwana „piórnia”

W dzieciństwie, odmierzając sekundy, liczyliśmy powoli: „121, 122, 123”. Dziwne, że gdy dziś mówimy to samo, mija dużo więcej czasu. Siedemdziesiąt lat temu mało kto nosił zegarki, a mimo to udawało się ludziom spotkać w określonym miejscu o umówionej porze. Po świętach Bożego Narodzenia w dłużące się zimowe wieczory gospodynie chodziły „po domach” na tzw. darcie

pierza, nazywane w Urzędowie „piórnią”<sup>1</sup>. W kuchni jednej z kobiet popołudniami rozstawiano stół do pracy i krzesła. Zbierało się tam kilka sąsiadek, by z gęsich lub kaczych piór ręcznie oddziierać chorągiewki od twardych stosin oraz puch, co trwało niekiedy do późnych godzin nocnych. Zapłata za taką kilkudniową pracę był poczęstunek, któremu towarzyszyły przyśpiewki, kawały, opowiadania, wspomnienia, a także pieśni religijne. Po zakończeniu robót w jednym domu przenoszono się do kolejnej gospodyni, a później do następnej. Z uzyskanych piór wytwarzano poduszki oraz pierzyny. „Piórnię” uważano za formę sąsiedzkiej pomocy. Ten wyczekiwany moment ożywionych kontaktów towarzyskich trwał do Wielkiego Postu.



„Piórnia” była doskonałą okazją na sąsiedzką integrację. Początek lat 80. XX w. Fot. archiwum prywatne

#### Cepy, kierat i płachty

Kiedy nasze mamy zajęte były darcie pierza, ojcowie zimą wciąż młócili zalegające w stodołach zboże, najczęściej cepami<sup>2</sup>, na prostą słomę, niezbędną do krycia dachów strzechą. Bogatsi gospodarze, którzy mieli konie, posiadali także kierat<sup>3</sup>, znacznie ułatwiający pracę. Niektórzy uprawiali len lub zakazane obecnie konopie. Z przygotowanego z nich włókna nasze mamy i sąsiadki kręciły na kołowrotku sznurki, a nawet nici różnej grubości, które służyły do wyrobu chodników. Te nici kupowali m.in. szewcy jako dratwę<sup>4</sup> do szycia butów. Znany w Urzędowie i okolicach pan Szociński gręplował<sup>5</sup>

<sup>1</sup> „Piórnia” – inaczej „darcie pierza”. W zależności od regionu mówiono też: „wyskubki”, „pierzajki”.

<sup>2</sup> Cep – narzędzie rolnicze służące do ręcznego młócenia zboża.

<sup>3</sup> Kierat – urządzenie wykorzystujące siłę pociągową koni do napędu maszyn rolniczych, np. młocarni.

<sup>4</sup> Dratwa – mocna i gruba nić z włókien konopnych lub lnianych, impregnowana woskiem albo smołą.

<sup>5</sup> Gręplowanie – rozplątywanie i czyszczenie włókna za pomocą specjalnego urządzenia.



węlnę pozyskiwaną z licznie hodowanych owiec. Z kolei pani Szocińska wykonywała z lnianych nici na krosnach tzw. płachty, którymi przykrywano słomę w łózkach. Były także przydatne w gospodarstwie do noszenia różnych rzeczy. Nasi ojcowie przynosili w nich z pola chwasty oraz liście buraczane, a mamy używały płacht do zabierania prania nad rzekę. Dziś ciężko wyobrazić sobie życie bez pralki elektrycznej, tymczasem kilkadziesiąt lat temu pranie odbywało się raz w tygodniu nad rzeką, także zimą, kiedy woda nie była zamrznięta. Kobiety chodziły tam wspólnie, by wyczyścić ubrania za pomocą specjalnych kijanek<sup>6</sup>.

### „Oddzielne garnki” na Wielki Post

W dawnej Polsce Wielki Post był okresem, do którego przygotowywano się bardzo skrupulatnie pod wieloma względami, także kulinarnymi. Do dziś pamiętamy widok naszych mam, które zawzięcie szorowały garnki na te szczególne dni. W Wielkim Poście do przygotowania potraw służyły wyłącznie owe dokładnie wymyte (niekiedy nawet wyparzone) oddzielne garnki, gdyż nie mogło na nich być nawet śladu tłuszczu zwierzęcego. Pozostałe naczynia wynoszono do innych pomieszczeń. W trakcie Wielkiego Postu jedliśmy przeważnie ryby, potrawy mączne i mleczne. Często na obiad były śledzie, ziemniaki lub kluski z serem z cebulką przysmażaną na oleju rzepakowym. Na Bęczynie znajdowała się olejarnia i kaszarnia, gdzie wyrabiano kaszę gryczaną i jaglaną, a najdłużej działającą olejarnią była ta u pana Grabowskiego na Mikuszewskim. Tam z nasion rzepaku tłoczono olej, a resztki, czyli prasowane w koła makuchy<sup>7</sup>, rodzice dodawali później zwierzętom do karmy. Makuchy były wielkości talerzy, grube jak garnuszek i z dziurką w środku. Leżały poukładane na podłodze pod kanapą, jedne na drugich, niczym klocki do zabawy.

### Zapomniane dziś środopóście

Tradycja chrześcijańska mieszała się ze zwyczajami ludowymi. Przed Środą Popielcową, w ostatnie dni karnawału, obchodzono kusaki<sup>8</sup>, inaczej zapusty. Niektórzy z nas chodzili po Urzędowie razem ze swoimi rodzicami przebranymi w co tylko się dało. Przemierzaliśmy grupami dróżki od domu do domu i wszędzie częstowaliśmy się przygotowanym przez gospodarzy jedzeniem i herbata. Tak kwitło życie towarzyskie w czasach, gdy nie było Internetu, telewizorów ani nawet radia. Za to okres Wielkiego Postu był czasem skupienia, wstrzemięźliwości i modlitwy. Wyjątkiem było jedynie środopóście, czyli noc w połowie postu, kiedy tradycja ludowa nakazywała bieleńie wapnem okien w domach, gdzie mieszkaly panny. Najczęściej „kawalerka” podchodziła późną nocą, kiedy wszyscy domownicy spali. Rano wyschnięte na oknach wapno (bywało że wymieszane z farbą) było trudne do

<sup>6</sup> Kijanki – narzędzia używane do prania w rzekach i jeziorach. Miały postać kija lub deszczulki, a pranie polegało na wielokrotnym uderzaniu zmoczonej odzieży kijanką i splukiwaniu ubrania wodą.

<sup>7</sup> Makuchy – inaczej „wytłoki”. Powstawały podczas tłoczenia oleju na zimno. Były to odcisnięte i sprasowane koła z części ziarna lnu, rzepaku, maku i wielu innych. Zawierały węglowodany, białka, tłuszcze i sole mineralne.

<sup>8</sup> Kusaki – huczne zabawy odbywające się w ostatnie dni karnawału.



Marianna i Jan Depowie, rodzice Jana Depy, męża Anny. Zdjęcie ślubne z 1928 r. Fot. archiwum prywatne

usunięcia, więc dziewczyny na wydaniu miały nie lada problem z domyciem białych szyb. Podobnie jak dzisiaj, Wielkanoc poprzedzał okres rekolekcji, które prowadził zaproszony do parafii ksiądz. Parafianie bardzo licznie gromadzili się w kościele przez cały post, uczestnicząc w naukach, drodze krzyżowej i gorzkich żalach. W Niedzielę Palmową święcono palmy własnoręcznie zrobione z zasuszonych latem kwiatów, ziół i traw.

### Wielki Tydzień

W Wielki Czwartek chodziło się do Świętej Otylii przed wschodem słońca, by nabrać wody ze źródła. W tym czasie otwierana była kaplica, gdzie dyżurowała jedna z siostr zakonnych z ulicy Wodnej. Wielki Piątek był dniem, kiedy każdy bezwzględnie przestrzegał postu ścisłego, i jakościowego, i ilościowego. Faktycznie jedliśmy tylko trzy posiłki, dwa skromne i obfity obiad bez tłuszczu. Dozwolone były ryby, ziemniaki, chleb i woda. Za grzech uważano nawet przejrzenie się w lusterko, co mogło uchodzić za pychę. W Wielką Sobotę tłumnie święciliśmy pokarmy. Dawne święconki różniły się od obecnych pisankami oraz zielonym żytem zamiast rzeżuchy. Wzory na pisankach wykonywaliśmy ciepłym naturalnym woskiem wyciskany z metalowej tubki.

Wymalowane w ten sposób jajka były następnie gotowane w łuskach cebuli i odstawiane do przestygnięcia. Później zdrapywaliśmy wosk i ukazywały się wzory. Przed sobotnią wieczorną mszą świętą paliło się przed urzędowskim kościołem ognisko. Parafianie przynosili w szklanych butelkach wodę ze swoich studni i z ostudzonego już ogniska brali kawałki drewna, by włożyć je do wody. Ksiądz wcześniej poświęcał ogień, więc woda z kawałkiem drewna służyła mieszkańcom do samodzielnego poświęcania domu i pola w Wielki Poniedziałek. W Wielką Niedzielę gromadnie udawaliśmy się rano na rezurekcję, po której orkiestra strażacka grała uroczyste melodie pieśni wielkanocnych. W trakcie procesji wokół kościoła panny w woalkach na głowie niosły poduszki i chorągwie. Święta wielkanocne kończyła msza święta w Wielki Poniedziałek i tradycyjne oblewanie się wodą na Rynku. Nie było to jednak symboliczne, tak jak teraz, przyskanie się perfumami, lecz wylewanie na siebie całych wiader wody z pompy. Kawalerowie oblewali znajome dziewczyny także w domach, gdzie zapraszano ich do stołu na świąteczny poczęstunek.



Anna Depa, 1953 r. Fot. archiwum prywatne

## PRZEDNÓWEK I LATO

### Przednówkowa oszczędność

Dziś mało komu znane jest słowo „przednówek”, a nawet gdybyśmy je gdzieś usłyszeli, to czy skojarzylibyśmy je z oszczędnością? Tymczasem dawniej przednówek był określeniem czasu na wsi, liczonego od momentu skończenia się ostatnich zapasów mąki i kasz z poprzednich zbiorów, aż do chwili pojawienia się następnych plonów. Uciążliwość tego okresu była wprost proporcjonalna do majątności gospodarza. Jeśli był on bogaty i miał dużo zapasów żywności, właściwie nie odczuwał zmian. Jeśli

jednak był biedny, przednówek oznaczał dla niego kilka tygodni głodowych porcji jedzenia lub pracę u innych w zamian za produkty rolne. Stąd też przysłowie dotyczące 25 kwietnia: „Na Świętego Marka nie ma co włożyć do garnka”. W Urzędowie mieszkańcy ratowali się wówczas nabiałem, jajkami, suszonymi grzybami i przetworami z jagód uzbieranych w lesie. Nasze mamy przyrządzały często kluski z jagodami, zupy grzybowe, dania na bazie ziemniaków z zapasów (o ile takowe jeszcze były) oraz zupy z kapusty kiszonej. Rano, jeszcze przed obrządkiem<sup>9</sup>, gospodynie wstawiały do garnków na kuchni węglowej wodę i wrzucały do środka garść kapusty z beczki. Takie beczki stały w sieni<sup>10</sup> na klepisku<sup>11</sup> i wydziały specyficzny zapach, za to sama zupa, okraszona skórką ze słoniny, była pyszna i niezmiennie kojarzy się nam ze smakami dzieciństwa.

### Wianki na powitanie lata

Gdy jedynym dostępnym „oknem na świat” było wiszące na ścianie radio, tzw. kołchożnik<sup>12</sup>, ludzie umilali sobie czas spotkaniami na ławeczkach przed domami. Gospodarstw nie dzieliły płoty ani zasadzone tuje, więc sąsiedzi swobodnie wpadali do siebie w odwiedziny, idąc wydeptanymi ścieżkami między domostwami. Starsi wieczorami wspominali z przyjaciółmi dawne dzieje, natomiast młodszy wykorzystywali każdą możliwą okazję do grupowych spotkań, śpiewów i tańców. Jedną z nich było powitanie lata, czyli puszczenie wianków na Urzędówce w nocy z 23 na 24 czerwca. Własnoręcznie przygotowany kwietny wieniec panna umieszczała na tekturce, a w środku ustawiała zapaloną świecę, po czym kładła taki „stroik” na wodę. Ułańska fantazja podpowiadała niektórym kawalerom także podpalanie kopek siana, które później płynęły rzeką obok wianków lub zatrzymywały się na brzegu i trzeba było gasić płomień. Oczywiście, że było to niebezpieczne, ale kto wtedy o tym myślał. Natomiast widok odbijających się w wodzie świeczek i zapach kwiatów, na które patrzyło się przy melodii wspólnie nuconych pieśni i przy dźwiękach gitary tworzył jedyny w swoim rodzaju klimat tamtych beztrudnych dni, które już nigdy nie powrócą.

### Powróśla, pokosy i mendle

Co prawda Fabryka Łóżysk Toczyńskich w Kraśniku produkowała łożyska już od 1948 r., jednak siedemdziesiąt lat temu wielu urzędowian utrzymywało się głównie z roli. Oznaczało to dwa miesiące intensywnej pracy podczas żniw, przed którymi nasi ojcowie robili z prostej słomy z żyta powróśla<sup>13</sup>, służące potem do zawiązywania snopków ściętych zbóż. Każdy z nas wiedział, jak zrobić powróśla „na zakładkę”. Przed żniwami obowiązkowo odbywało się też świniobicie. Gospodarze pożyczali sobie nawzajem ćwiartki ubitego zwierzęcia i później

<sup>9</sup> Obrządek – codzienne prace gospodarskie związane z hodowlą zwierząt.

<sup>10</sup> Sień – małe pomieszczenie w budownictwie wiejskim, łączące podwórze z domem, z którego można było przejść do dalszych izb.

<sup>11</sup> Klepisko – rodzaj podłogi wykonanej z ubitej i wyschniętej gliny.

<sup>12</sup> Kołchożnik – prosty odbiornik radiowy, pozbawiony możliwości zmiany pasma.

<sup>13</sup> Powróśla – sznur skręcony ze słomy.



oddawali, gdy świniobicie było u nich. A wszystko to w ramach sąsiedzkiej życzliwości. Największym trudem okresu letniego było na pewno wykonywanie wszystkich prac (koszenie, żęćie<sup>14</sup>, zbieranie pokosów<sup>15</sup>, układanie ich w snopki i składanie w mendle<sup>16</sup> lub dziesiątki) ręcznie i w pełnym słońcu. W kolejnych dniach trzeba było zwozić furmanką z pola wysuszone zboże i układać je w zapolu<sup>17</sup> w stodole. Umyć można się było w rzece lub domowej misce, gdyż nikt nie posiadał łazienki z bieżącą wodą. Dla najmłodszych wakacje nie oznaczały żadnych wyjazdów na kolonie, tylko całodzienne pomaganie rodzicom. Od samego świtu paśliśmy krowy na łąkach lub chodziliśmy do lasu zbierać grzyby, jagody albo poziomki. Do jedzenia zabieraliśmy ze sobą chleb i mleko w kankach. Na urzędowskim cmentarzu nie było murowanych grobów, tylko wysoka trawa, więc trzeba było uważać, by jakaś krowa się tam nie wybrała. Jak to dzieci, mieliśmy różne pomysły na zabawę. Najczęściej jedna osoba dyżurowała przy wypasaniu, a reszta bawiła się w chowanego. Za stodołami ojcowie ustawiali latem wysokie sterty słomy, w których robiliśmy tunele na wylot. Jedna z prawdziwych historii z Kraśnika Starego głosi, że dzieci planowały na takiej stercie rozpałić sobie ognisko, jednak na szczęście w ostatniej chwili ustrzegła je przed tym zapobiegliwa sąsiadka, która, mimo sędziwego wieku, jakimś cudem przeskoczyła przez tamtejszy płot i rozgoniła kreatywne towarzystwo.

### Święcenie ziół, kłosów zbóż i kwiatów

Święta kościelne latem obchodzono podobnie jak dzisiaj. W Boże Ciało również przystrajano ołtarze gałązkami, choć dużo skromniej niż obecnie. W święto Zesłania Ducha Świętego odbywał się u nas odpust, na który przyjeżdżali furmankami okoliczni rzemieślnicy, by zaprezentować własnoręcznie wykonane garnki. Dla nas, wtedy dzieci, największą atrakcją była oczywiście ustawiona na Rynku karuzela, stragany i domowe lody przygotowane przez jedną z mieszkańek Rynku. Tradycją, która nie przetrwała do dzisiaj, było wyściełanie na Zielone Świątki ulic, podwórek i okolic kościoła tatarakiem<sup>18</sup>, z którego mieszkańcy układali przeróżne wzory. 15 sierpnia, w święto Wniebowstąpienia Najświętszej Maryi Panny (Matki Boskiej Zielnej), szliśmy gromadnie do kościoła z bukietami do święcenia, które nasze mamy komponowały z gorzycy, kopru, bławatków, polnych ziół, kłosów zbóż, maciejki i dziurawca. Później ojcowie zawieszali te bukiety na rogach domów, żeby chroniły domowników od piorunów. Gdy jakieś zwierzę z gospodarstwa zachorowało, parzyliśmy mu na bazie owej święconki napar, który, trzeba przyznać, rzeczywiście pomagał. W tamtych czasach urzędowanie w każdym wieku bardzo żyli życiem parafii, niekiedy też pomagali na chórze. Ponieważ organy nie były jeszcze zasilane prądem, potrzeba było ochotników do dmuchania w nie



Dożynki w Urzędowie, lata 80. XX w. Fot. archiwum prywatne

miechem<sup>19</sup>. Nie było z tym problemu, bo zawsze znalazł się ktoś chętny. Tłumnie chodziliśmy do kościoła na gorzkie żale, nieszpory, różaniec i czerwcowe Nowenny do Serca Pana Jezusa. Okres letni na wsi wieńczyły dożynki z okazji zakończenia zniw, hucznie obchodzone w Urzędowie dopiero od lat sześćdziesiątych XX wieku.

## JESIEŃ

### Wykopki i sąsiedzka integracja

Kiedy przypominamy sobie jesienne dni naszych młodości, na myśl od razu przychodzi nam samopomoc sąsiedzka. Była szczególnie widoczna przy wykopkach, gdyż nikt nie zabierał się do pracy samotnie. W zależności od wielkości gospodarstwa pomagać przychodziło od kilku do kilkunastu osób, po czym rolnicy znów szli grupami na tzw. odrobek<sup>20</sup>. Na takim sąsiedzkim wsparciu korzystał każdy i była to czynność niezwykle integrująca urzędowską społeczność. Pamiętam jeszcze czasy, gdy ziemniaki wykopywało się gracą<sup>21</sup>, dopiero kilka lat później pługiem, a w końcu kopaczką konną<sup>22</sup>. Pracy przy tym było mnóstwo, bo maszyna

<sup>19</sup> Miech – przyrząd do tłoczenia powietrza w różnego rodzaju urządzeniach i instrumentach muzycznych.

<sup>20</sup> Odrobek – spłacanie przyjętych zobowiązań pracą.

<sup>21</sup> Graca – ręczne narzędzie rolnicze. Rodzaj motyki służący do wykopywania ziemniaków.

<sup>22</sup> Kopaczka konna – maszyna rolnicza do kopania jednej redliny (nie dużego wału ziemi pomiędzy dwiema bruzdami) i wydobywania kartofli.

<sup>14</sup> Żęćie – ścinanie zboża kosą, a w dawniejszych czasach sierpem.

<sup>15</sup> Pokos – pas skoszonego zboża, koniczyny lub trawy.

<sup>16</sup> Mendel – zwyczajowa miara liczbowa, inaczej: 15 sztuk.

<sup>17</sup> Zapole – przedział w stodole, gdzie składano zżęte zboże.

<sup>18</sup> Tatarak – gatunek byliny wodnej. W dawnych czasach nazywany „lepichem”.

wyrzucała z ziemi ziemniaki na sporą odległość. Jak tylko trochę podrośliśmy, biegaliśmy co sił, by zdążyć zebrać wszystkie. Następnie nasi ojcowie zwozili je furmankami i zsypywali do przydomowej piwnicy z opoki<sup>23</sup>. Do tej czynności używali rafki<sup>24</sup>, która – ustawiona między wozem a luftem – sortowała ziemniaki. Mężczyźni jeździli w pole po kartofle nawet kilka razy dziennie. Zawsze z utęsknieniem czekaliśmy na dostarczony przez tatę podobiadek<sup>25</sup>, na który były gorące strucle z jabłkami lub kaszą i serem, a do tego biała kawa. Na obiad na okrągło jedliśmy pomidorówkę, a na drugie zapieczony ze śliwkami ryż na mleku lub bigos. Schowany w sianie, jeszcze parował. Siadaliśmy na miedzy i pałaszowaliśmy go wspólnie z jednego garnka. Nikt nie miał czasu rozkładać się z talerzami, a poza tym tak podany smakował najlepiej. Podobnie jak zapiekane ziemniaki na ognisku wieńczącym wykopki, często urządzanym 15 października na Świętej Jadwigi.



Prace w polu dawniej, 1943 r. Fot. archiwum prywatne

## Zbiór buraków i codzienny różaniec

Październik mijał na modlitwach różańcowych oraz wykopkach buraków. Prace te były wyjątkowo mozolne, ponieważ zdarzało się, że ziemia zamarzała, a wtedy gospodarze musieli wykopywać warzywa za pomocą kilofów. Układali je w ogromne pryzmy, po czym gospodyni, wraz z przybyłymi w ramach samopomocy sąsiedzkiej kobietami, ścinała buraczane liście nożem. Dopiero tak oczyszczone i obrane z liści warzywa mężczyźni zwozili furmankami na skup. Początkowo mieścił się on na dworcu kolejowym w Kraśniku Starym, a w późniejszych latach powstał na Mikuszewskim. Bywało, że kolejki do niego były bardzo długie, składające się nawet z 40–60 furmanek i ciągnące się w różne strony Urzędowa, przez co czekanie trwało dobrych kilka godzin. Na skupie buraki były ważone i dostawało się za nie pokwitowanie. Po zakończeniu odstawy rodzice otrzymywali rozliczenie, ile im przysługuje z cukrowni pieniędzy, cukru oraz wysłod-

ków<sup>26</sup>. W pamięci wciąż mamy widok, jak ojcowie wnoszą te worki z cukrem na strych i ustawiają obok worków z mąką, solą, kaszą gryczaną i jęczmienną. Zimą co jakiś czas przemieszczali lniane worki z mąką, żeby ta „nie stanęła w słup”, czyli nie zbiła się w twardą masę i nie zepsuła się. W zimne październikowe wieczory szliśmy tłumnie na mszę świętą oraz poprzedzający ją różaniec. Kościół codziennie był pełen modlącej się młodzieży.

## Suszenie śliwek i kiszenie kapusty

Dawniej ludzie starali się być samowystarczalni. W Polsce nie było jeszcze ani jednego dyskontu spożywczego<sup>27</sup>, a do niewielkich lokalnych sklepów chodziło się sporadycznie. Zgromadzenie zapasów na zimę było więc niezmiernie ważne. Oprócz wspomnianych ziemniaków i buraków, staraliśmy się wykorzystywać jak najwięcej „darów ogrodów”. Dziś nazwalibyśmy to modnym terminem *zero waste*<sup>28</sup>, a wtedy dla każdego oczywistością

było, że jedzenia się po prostu nie marnuje. W myśl tej zasady wielu przetwarzało także jabłka, kapustę i śliwki. Z suszenia tych ostatnich słynął na Mikuszewskim Wojciech Paszkowski<sup>29</sup>. Miał on w swoim gospodarstwie specjalnie do tego celu wykopany dół, a w nim palenisko z kamienia. Na konstrukcję wykonaną z podpory i drewnianych listewek wysypywał ciekłą warstwę śliwek węgierek, które następnie suszył nad niewielkim ogniem przez kilka dni. Ową suszarnię zabezpieczał przed wiatrem i deszczem dach schodzący nisko do ziemi z jednej strony. Dogłądanie całego procesu było czynnością wymagającą niemal anielskiej cierpliwości, gdyż owoce trzeba było często przekreślać i jednocześnie pilnować, by ogień nie zgasł ani nie wzniecił się zbyt mocno. Do suszarni Paszkowskiego przychodzili

mieszkańcy z całego przedmieścia, a wszystko odbywało się w ramach słynnej samopomocy sąsiedzkiej. Także w jej zakresie wypożyczano nieodpłatnie szatkownicę do kapusty z koła gospodyń wiejskich. Poszatkowaną kapustę rodzice przysypywali warstwami soli i ubijali drewnianym tłuczkiem. Niekiedy na dno dębowych beczek kładli jabłka lub całe główki tych warzyw, które przydawały się zimą do robienia gołąbków.

## Krzyże ze śnieguliczki

Siedemdziesiąt lat temu groby na urzędowskim cmentarzu nie były murowane, tak jak teraz, lecz przeważnie ziemne. Przed Wszystkimi Świętymi kobiety dekorowały je zwykłymi świeczkami bez osłonek lub glinianymi podstawkami wypełnionymi naturalnym woskiem,

<sup>26</sup> Wysłodki – produkt uboczny powstający podczas produkcji cukru spożywczego z buraków cukrowych. Wysłodki podawano razem z liśćmi i kartoflami jako paszę dla bydła.

<sup>27</sup> Pierwszy polski sklep samoobsługowy powstał w 1956 r. w Białymstoku. Tego typu rozwiązanie traktowano wtedy jako nowość i eksperyment.

<sup>28</sup> *Zero waste* – inaczej „zero marnowania”. To styl życia, zgodnie z którym człowiek wykorzystuje jak najwięcej zasobów, a jak najmniej marnuje.

<sup>29</sup> Wojciech Paszkowski – dziadek Anny Depy.

<sup>23</sup> Opoka – twarda skała osadowa używana jako materiał budowlany.

<sup>24</sup> Rafka – sortownica do ziemniaków.

<sup>25</sup> Podobiadek – posiłek między śniadaniem a obiadem. Obecnie „drugie śniadanie”.



w którym zatopione były knoty. Taki żywy ogień stwarzał niesamowite wrażenie zwłaszcza po zapadnięciu mroku, kiedy łuna światła rozpościerała się w jesiennej mgle, a my we Wszystkich Świętych udawaliśmy się całymi rodzinami na wieczorną mszę świętą na cmentarzu. W Dzień Zaduszny braliśmy udział w procesji z kościoła parafialnego na cmentarz, gdzie odprawiana była msza św. z wypominkami. Aby uczcić pamięć zmarłych, nasze mamy tworzyły na ziemnych mogiłach piękne krzyże ze śnieguliczek białych<sup>30</sup>, zaś mogiły okładały gałązkami świerku. Ponieważ krzew ten jest odporny na mróz, ozdoba z jego owoców była w stanie przetrwać nawet wiele tygodni. Jesienny okres wieńczyły domowe prywatki andrzejkowe, po których nastawał pełen zadumy adwent. Zaczynały się już też przygotowania do świąt Bożego Narodzenia.

## ZIMA

### Zapachy, obrazy i odgłosy dzieciństwa

Święta naszego dzieciństwa siedemdziesiąt lat temu to zapach wybielonego wapnem domu i wspomnienie naszych ojców, którzy nieśli na plecach słomę ze stodoły, by wypełnić nią sienniki<sup>31</sup>. To wspomnienie matek, które brały wiechcie słomy i rozpałały nimi ogień w węglowych kuchniach z fajerkami, żeby ugotować kaszę gryczaną z pachnącym sosem grzybowym. Święta dawniej to też odgłos szurania butów w głębokim śniegu, który budził nas w Wigilię przed północą, gdy tłumy ciągnęły ze wszystkich ulic, przedmieść i okolicznych wsi na pasterkę w urzędowskim kościele. Gros osób docierało tu z Kraśnika Fabrycznego, gdzie wówczas nie było kościoła<sup>32</sup>. A że nie było też samochodów<sup>33</sup> ani autobusów, wierni przybywali pieszo lub ewentualnie saniami. W kościele jeden człowiek stał obok drugiego, taki był ścisk.



Fabryka Łożysk Toczących w Kraśniku dała miejsca pracy wielu urzędowianom. Na zdjęciu Hieronim Cięższyk. Lata 70. XX w. Fot. archiwum prywatne

<sup>30</sup> Śnieguliczka biała – ozdobny krzew. Od połowy XX w. w Polsce pielęgnowany był zwyczaj dekorowania grobów owocami śnieguliczki, które przypominają białe kulki.

<sup>31</sup> Siennik – duży płócienny worek wypchany słomą lub sianem. Dawniej służył jako materac.

<sup>32</sup> Kościół św. Józefa w Kraśniku wybudowano dopiero w latach 1979–1986.

<sup>33</sup> Samochody zaczęły pojawiać się w Urzędowie w latach 60. XX w. W 1968 r. było ich w naszej miejscowości zaledwie osiem.

### „Dziady” i organista z opłatkiem

Przed świętami chodziły po domach „dziady”, czyli biedacy zebrzący o jedzenie. Klękali przed progiem i pytali, za kogo mają się modlić. Rodzice dawali im jedzenie (słoninę, jajka, podpłomyki) i wymieniali, za jakie dusze proszą o modlitwę. Chodził też oczywiście po domach organista, roznosząc opłatki. Wśród nich jeden był kolorowy – przeznaczony dla zwierząt. W Wigilię przed północą mamy kładły te opłatki pomiędzy kromki chleba, a ojcowie szli do obory i częstowali nimi zwierzęta, by przez kolejny rok były zdrowe i by krowy dawały mleko. Legenda głosiła, że w tę jedną noc zwierzęta mówią ludzkim głosem. Wtedy na Rynku nie było szopki, tylko pastwisko, na którym pasły się owce. Mieliśmy w Urzędowie jeden sklep spożywczy. Kupowało się tam przeważnie produkty wyjątkowe, np. cukierki, pieprz lub kakao zawinięte w tubkę papieru. Ludzie prowadzili własne gospodarstwa, więc byli samowystarczalni. Żeby mieć mleko, szło się do obory wydoić krowę. Po jajka biegaliśmy do kurnika. Z mleka zbierano śmietanę i robiono masło oraz ser<sup>34</sup>. Gospodynie piekły chleb w domu, a bochny kładły na belkach pod sufitem, żeby dzieci nie zjadły wszystkiego naraz. Niekiedy dawały jeszcze ciepły chleb sąsiadkom, zaś kolejne gospodynie oddawały im później własne wypieki. Tym sposobem stale miały do dyspozycji świeże pieczywo.

### Sianko i złotka

Dziś niektórzy dziwią się, że przygotowania do świąt Bożego Narodzenia zaczynają się zaraz po Wszystkich Świętych. Jednak siedemdziesiąt lat temu myślało się o świętach jeszcze wcześniej, bo już późnym latem. Gospodarze po żniwach zachowywali prostą słomę, by w grudniu wymienić ją w siennikach i zrobić z niej snopki. W dzień Wigilii mężczyźni w Urzędowie ustawiali jeden snopek słomy żytniej w kącie dużej izby, natomiast w Kraśniku Starym rozścielali słomę po podłodze w domu. Sianko oraz źdźbła słomy kobiety umieszczały pod białym i wykrochmalonym lnianym obrusem, a wszystko to na pamiątkę żłóbka Pana Jezusa w Betlejem. My, wtedy najmłodszy, praktycznie przez cały rok kolekcjonowaliśmy papierki po cukierkach, tzw. złotka, których potrzebowaliśmy do udekorowania choinki. Papierki te najpierw prasowało się żelazkiem<sup>35</sup> lub prostowało za pomocą paznokci, a później wkładało się między kartki książek i tam przechowywało. Przed świętami złotka wypełnialiśmy bibułą i tak powstawały „oszukane cukierki” do zawieszenia na choince. Nie dostawaliśmy prezentów takich jak dzisiaj, ale czasami Święty Mikołaj przynosił

<sup>34</sup> Ser wyrabiano z mleka zsiadłego. Gospodyni wlewała „owarzone” mleko do płóciennego woreczka i wkładała go do drewnianej praski przyciśniętej kamieniem. Dzięki temu ser nabierał charakterystycznego owalnego kształtu. Pod praską znajdowała się miska, do której ściekała serwatka.

<sup>35</sup> Żelazka dawniej były na tzw. dusze, czyli żelazne sztabki rozpalane w piecu do czerwoności, a później wkładane szczypcami do środka żelazka i tam zamykane. Nie wszystkich stać było na takie luksusy, więc co niedzielę chodziło się do sąsiadów wyprasować ubrania do kościoła. Trzeba było uważać, gdyż łatwo dało się spalić tkaninę. Kiedy później w Urzędowie zbierano materiały na kościelny dzwon, parafianie oddali większość tych żeliwnych żelazek do przetopienia.



**Choinka w dawnym Urzędowie musiała być przyniesiona bezpośrednio z lasu. Lata 70. XX w. Fot. archiwum prywatne**

wydziergane przez mamę rękawiczki albo szalik, a także zeszyty i przybory szkolne. Największą frajdą było jednak zjedzenie ciastka prosto z choinki.

### Jabłka z orzechami

Choinki z rodzinnych domów były niepowtarzalne, bo udekorowane własnoręcznymi ozdobami. W Wigilię nasi ojcowie razem z sąsiadami wybierali się do lasu po świeży świerk. Przystrajaliśmy go nie tylko wspomnianymi „cukierkami” ze złotek, ale także tym, co można było znaleźć w sadzie (jabłkami, orzechami włoskimi), lesie (szyszkami) i w kuchni mamy (ciastkami z dziurką do wieszania czy domowej roboty krówkami). Łańcuchy robiliśmy w szkole. Mogły być wykonane z kolorowego papieru lub bibuły. Łączyliśmy drobne paski za pomocą kleju zrobionego z mąki pszennej i wody. W orzechy wbijaliśmy zapalki i przewijaliśmy je pętelkami – w ten sposób powstawały małe bombki. A światełka? Nikt wtedy nie słyszał o elektrycznych ani tym bardziej ledowych. Choinka była przystrojona świecami z żywym ogniem, a świece te rodzice mocowali do gałązek za pomocą tzw. żabek. Nie przypominamy sobie, by ktokolwiek obawiał się pożaru, mimo że mieszkaliśmy w drewnianych domach, a w izbach była słoma.

### Pierwszy gość i pierwsza gwiazda

Podobnie jak w Wielkanoc, tradycja chrześcijańska mieszała się z podaniami ludowymi. Wierzono, że w Wigilię pierwszym gościem w domu ma być mężczyzna. Dlatego też mężczyźni odwiedzali się nawzajem w wigilijny poranek pod byle pretekstem, by „przynieść innym do domu szczęście”. A jeśli jakaś sąsiadka wybrała się do kogoś z wizytą, nawet niechcący stając się tego dnia pierwszym gościem, mówiło się, że „baba idzie na nie-szczęście”. I niekiedy nawet nie wpuszczano jej za próg. Tak było rankiem, bo wieczorem po wieczery wigilijnej spotkaniom towarzyskim nie było już końca. Najpierw jednak zasiadano do stołu w gronie domowników – koniecznie po ujrzeniu pierwszej gwiazdy, symbolu Gwiazdy Betlejmskiej, której pojawienie się zwiastowało naro-

dziny Pana Jezusa. Jako dzieci z nosem przy szybie, na której mróz wymalowywał przeróżne wzory, wypatrywaliśmy na niebie gwiazdki, aby można było w końcu zacząć świętowanie.

### Wigilia w kilku lub kilkunastu domach

Po odmówieniu pacierza i podzieleniu się opłatkiem, zasiadało się do wieczery, koniecznie zostawiając jedno puste miejsce dla zbłąkanego wędrowca. Na urzędowskich stołach królowały: śledzie z beczki, kasza gryczana z sosem z leśnych grzybów, kapuśniak z kiszonej kapusty z dodatkiem oleju rzepakowego (z ziemniakami gotowanymi w mundurkach i przypiekanymi na blasze kuchennej), barszcz czerwony z uszkami grzybowymi, kluski z makiem ucieranym w makutrze<sup>36</sup>, smażone bliny<sup>37</sup> oraz pączki i ciasta drożdżowe zawijane z jabłkami lub makiem. W Dzierzkowicach można było też zjeść szczodroki<sup>38</sup>. Do picia – obowiązkowo polewka z suszonych jabłek, śliwek i gruszek. Ucztowanie nie trwało długo, bo sąsiedzka tradycja nakazywała odwiedzić wszystkich wokół. Zatem po niewielkim poczęstunku i odśpiewaniu kolęd, domownicy zabierali ze sobą talerzyki i łyżki i ruszali w dalszą gościnę. Do sąsiadów, ciotek, wujków. Wszędzie dzielili się opłatkiem, jedli przysłowiowego śledzika i śpiewali kolędy, po czym ruszali do następnego domostwa. Nikt nikogo specjalnie nie zapraszał, po prostu było przyjęte, że dobrym sąsiedzkim zwyczajem jest wizyta w Wigilię. Tym sposobem w jeden wieczór można było odwiedzić kilka lub kilkanaście rodzin, a świętowanie zawsze kończyło się pasterką.

### Herody i owies

25 grudnia szliśmy całymi rodzinami na uroczystą mszę świętą, a po południu rodziny zbierały się w domach na wspólne śpiewanie kolęd i pastorałek. Z kolei w drugi dzień świąt odbywało się w kościele święcenie owsa, symbolu ukamienowania św. Szczepana, opiekuna wdów i ubogich. Przypadający na 26 grudnia dzień tegoż świętego obchodzono na wsi w wyjątkowy sposób. Młodzi kawalerowie stali na chórze zaopatrzeni w owies, by po mszy świętej obrzucać nim głowy wychodzących parafian. A jak już się wyszło z kościoła, można było dostać owsem po nogach. Dziewczyny, które zostały nim obsypane najbardziej, czuły się wyróżnione, bo świadczyło to o tym, że mają największe powodzenie. Od pierwszego dnia świąt do Trzech Króli chodzili po parafii pięknie przebrani kolędnicy, zwani herodami. Byli wśród nich m.in. Herod, Żyd, Koza, Śmierć, Marszałek i Anioł, który grał na harmonii. Kolędnicy za zaśpiewane kolędy dostawali od mieszkańców pyszne ciasto i dobre słowo. Siedemdziesiąt lat temu ich wizyta była zwieńczeniem okresu świąt Bożego Narodzenia. Skończył się jeden dobrze przeżyty rok liturgiczny i zaczynał kolejny.

<sup>36</sup> Makutra – gliniana misa z porowatą powierzchnią wewnątrz. Przy pomocy drewnianej pałki ucierało się w niej mak.

<sup>37</sup> Bliny – niewielkie drożdżowe naleśniki z mąki gryczano-pszennej lub gryczano-żytniej.

<sup>38</sup> Szczodrok – ciastko drożdżowe. Nazwa tych rogalików pochodzi od określenia „szczodry wieczór”, jak w średniowieczu określano Wigilię Bożego Narodzenia.



## OSOBY ZNANE I MNIEJ ZNANE

*Anna Wnuk-Bednarczyk*

# Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy) i jego portrety

Malarz, rysownik i fotografik, dramaturg i powieściopisarz, filozof, teoretyk i krytyk sztuki urodził się 24 lutego 1885 r. w Warszawie. Był jedynym synem znanego pisarza, krytyka i malarza Stanisława Witkiewicza oraz jego żony Marii z Pietrzkiwiczów, nauczycielki muzyki. Ojciec Stanisław Witkiewicz był szermierzem realizmu w sztukach plastycznych. Stał się jednocześnie twórcą i popularyzatorem zakopiańskiego stylu w budownictwie oraz projektantem przedmiotów użytku codziennego nawiązującym do podhalańskich wzorów. Kiedy Witkiewicz zamieszkał na Krupówkach, przez jego dom przewijali się m.in. Tadeusz Miciński, Stefan Żeromski, Władysław Orkan, Leon Wyczółkowski, Jacek Malczewski, Helena Modrzejewska ze swoją siostrą. Stanisław był znanym artystą i dlatego również z terenu Lubelszczyzny popłynęły do Zakopanego prośby o projekty budowli i wnętrz w stylu zakopiańskim. Wymienić tu możemy, m.in.: **majątek Kluczkowice**, gdzie Maria z Jarocińskich Kleniewska zamówiła w 1899 r. u twórcy stylu zakopiańskiego dwór, szkołę oraz bibliotekę.

Ukochany synek Witkiewicza, Staś, dzieciństwo i młodość spędził w Zakopanem, gdzie uczył się prywatnie pod kierunkiem ojca, rozwijając wcześniej obudzone zainteresowania i uzdolnienia. W styczniu 1891 r. teatralnie i na ludowo zaaranżowano jego chrzciny, które odbyły się w Zakopanem. Do chrztu trzymali go aktorka Helena Modrzejewska i bazarz góralski Jan Krzeptowski Sabala. Kiedy miał piętnaście lat, zaczął wyjeżdżać na plenery, później – ku oburzeniu ojca – zapisał się na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie studiował w latach 1904–1905. Od około 1900 r. do zainteresowań i pasji młodego Witkacego doszła fotografia. Wiele fotografii zastępowało mu szkice do prac olejnych, które malował na podstawie zdjęć. Wychowany w środowisku elity intelektualnej i artystycznej przyjaźnił się m.in. z K. Szymanowskim i T. Micińskim oraz B. Malinowskim i L. Chwistkiem.

W 1914 r., po śmierci narzeczonej, razem z przyjacielem Bronisławem Malinowskim wyjechał do Australii. Po otrzymaniu wiadomości o wybuchu I wojny światowej i wskutek nieporozumień z Malinowskim Witkacy podjął decyzję o samodzielnym powrocie do Europy. Jako obywatel rosyjski, z racji urodzenia w Warszawie, nie mógł w tej sytuacji wracać do Galicji, pojechał więc do Petersburga, gdzie znalazł oparcie w mieszkającej tam od lat rodzinie ojca. Wstąpił do szkoły oficerskiej, a po jej ukończeniu został wcielony do ekskluzywnego Pawłowskiego Pułku Lejbwardii. Los zadrwił z artysty, czyniąc go uczestnikiem jednego z najbardziej okrutnych

wydarzeń – Wielkiej Wojny. 17 lipca 1916 r., jako podporucznik Pawłowskiego Pułku armii carskiej, brał udział w krwawej bitwie pod Witonieżem nad rzeką Stochod w zachodniej części Ukrainy. Wskutek wybuchu pocisku dużego kalibru został ranny. Za wykazane męstwo mianowano go porucznikiem i odznaczono Orderem św. Anny IV klasy. W bitwie tej po stronie austriackiej walczyła Druga Brygada Legionów... Po bitwie artysta trafił do szpitala i na front już nie wrócił. Poświęcał czas na twórczy rozwój i pracę artystyczną. Był świadkiem rozkładu carskiego imperium i rewolucji. Wówczas też uformował się w zasadniczych rysach jego katastroficzny światopogląd. Od dziecka interesował się astronomią, co zaowocowało malowanymi pastelami kompozycjami astronomicznymi. W końcu czerwca 1918 r. Witkacemu udało się wrócić do Polski. Dotarł do Warszawy, następnie do Krakowa i w końcu do Zakopanego, gdzie jego matka prowadziła pensjonat. Poza niezwykle aktywną twórczością artystyczną – malarską i dramaturgiczną – Witkacy przeżył w 1923 r. przełom w życiu osobistym. 30 kwietnia 1923 r. ożenił się z Jadwigą Unrug, wnuczką Juliusza Kossaka.

Stanisław Ignacy to wizjoner wyprzedzający epokę, a zarazem dotkliwie rzeczowy prześmiewca. Przenikliwość jego sądów i katastroficznych przepowiedni pozwala potomnym odkrywać go wciąż na nowo. Jest jednym z niewielu polskich twórców, których znaczenie w historii sztuki światowej wciąż trwa i nie słabnie. Jego dokonania można śmiało obdzielić kilka pracowitych życiorysów. Stał się klasykiem, jednym z najczęściej tłumaczonych autorów polskich – jego teksty doczekały się przekładów na ponad 30 języków we wszystkich krajach Europy, w Stanach Zjednoczonych, Ameryce Południowej i Japonii. Jest najczęściej granym polskim autorem na zagranicznych scenach. Witkiewicz był katastrofistą, obdarzonym jak Orwell zadziwiającą jasnością i ostrością widzenia. Powiedział, że cywilizacje równych, sytych i zautomatyzowanych zagrożone będą nie tylko naporem „niwelatorów” ze Wschodu, z Azji i z Afryki, jak również, że cywilizacje zmechanizowane są nie tylko kruche i podatne na szaleństwo, ale też bezbronne wobec szaleńców i psychopatów.

Około 1925 r. Witkacy zarzucił malarstwo olejne i założył „Firmę Portretową S.I. Witkiewicz”, stanowiącą główne źródło utrzymania („Za 100 złotych robię portret w całej figurze. Nędza i twórczość się kończy i życie”). Klient musiał się stosować do zasad „Regulaminu”, z których ostatnia oznajmiała: „Nieporozumienia wykluczone”. Przez kilkanaście lat namalował kilka tysięcy portretów.

Nie każdy jednak mógł dostąpić zaszczytu uwiecznienia. Niektóre prośby o wizerunek były odrzucane bezapelacyjnym: „Nie widzę powodu!”. Wiele seansów portretowych trwało mniej niż godzinę. Całość dzieła stworzonego przez witkacowską Firmę Portretową to nie tylko szereg wizerunków pojedynczych ludzi, ale przede wszystkim obraz świata, który skończył się we wrześniu 1939 r. Ale jest też Firma, jako całość, zapisem przemyśleń Witkacego o sztuce jako procesie twórczym, którego wyniki zależą od przyjętej konwencji, od warunków, w jakich powstaje dzieło, od psychiki artysty, jego doświadczeń i możliwości w danym momencie<sup>1</sup>.

Tajemnicze symbole zawarte na portretach zdradzają rodzaj używek stosowanych przez artystę tuż przed pracą, jednak poza odosobnionymi przypadkami zażycia narkotyku oznaczają zazwyczaj spożycie herbaty, kawy, czasem wręcz abstynencję alkoholową i nikotynową, niekiedy kilkumiesięczną. Rysowaniem portretów Witkiewicz junior reperował nie tylko własny budżet, lecz wspierał także podupadający pensjonat matki i regularnie posyłał pieniądze do Warszawy żonie. Tak więc zachowane na zdjęciach groźne miny artysty były jedynie maską na pokaz, skrywającą naturę uczciwego i wrażliwego człowieka, jakim był w rzeczywistości.

Czerwone tekturowe koło wywieszona na drzwiach pracowni świadczyło o tym, że Witkacy rysuje. W mieszkaniu powinna panować cisza. Seans portretowy mógł potrwać kilka godzin. Przeważnie kończył się na jednym spotkaniu – półtorej godziny i gotowe, czasami jednak trzeba było paru sesji. Wśród inteligencji i mieszczan zaczęła się w latach dwudziestych moda na portrety Witkacego. Zawsze można było się pochwalić, że było się w pracowni u „tego” Witkacego, zacytować regulamin jego Firmy Portretowej, opowiedzieć anegdotę o artyście i zaprezentować swój wizerunek. Robił czasem dwa portrety dziennie po 50 zł lub jeden za 100 zł. Po takim dniu był niezdolny do niczego. Zanim zaczął rysować, wypijał filiżankę mocnej herbaty. Bywało, że rysował pod wpływem alkoholu i narkotyków. Dla eksperymentu, dla widzenia głębiej. Czasami odsłaniał w portretach nie tylko zewnętrzne, ale i wewnętrzne cechy charakteru osoby portretowanej. W regulaminie Firmy Portretowej zakładał: „W ogóle firma nie zwraca wielkiej uwagi na wykonanie ubrania i akcesoriów”, i dłonie. Niechętnie malował ręce – klientom kazał za nie dodatkowo płacić, każda ręka podnosiła cenę portretu o jedną trzecią<sup>2</sup>.

Witkacy zmarł śmiercią samobójczą – na wieść o zbrojnej napaści Armii Czerwonej na Polskę – 18 września 1939 r. we wsi Jeziory na Polesiu (dziś Ukraina).

Witkacy namalował kilka portretów osób związanych z naszym regionem.

Portret **Antoniego Piaseckiego** (1867–1937), właściciela majątku Popkowice. Namalowany na podstawie fotografii, z pamięci. Malarzowi towarzyszyły: fajka bez zaciągania się, alkohol i kawa. Rok namalowania maj-czerwiec 1938 r. Właściciel: rodzina Piaseckich. Podczas okupacji obraz przechowywany był u Antoniego Stelmaszczyka w Ostrowie. Potem rodzina go straciła i był w rękach prywatnych. Ostatecznie zakupiło go Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.



Portret Antoniego Piaseckiego



Portret gen. Jana Hempla

Portret generała **Jana Mariana Hempla** (1879–1932), wnuka Józefa Hempla pochodzącego ze Skorczyc. Rysunek pastel, 28 października 1927 r. Obraz zniszczony w 1944 r. podczas powstania warszawskiego.

Portret **Ilony Łozińskiej** (1913–1992), później żony Zdzisława Hempla z Wałowic nad Wisłą, a synowej

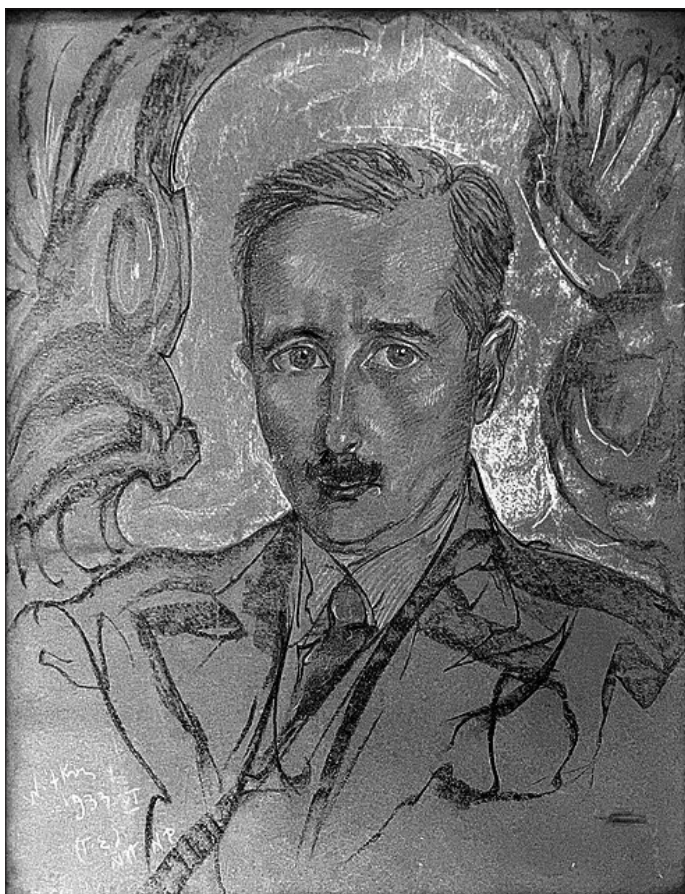




Portret Iłony Łozińskiej z 27 grudnia 1927 r.



Portret Iłony Łozińskiej, styczeń 1928 r.



Portret Władysława Tatarkiewicza

Antoniego Hempla ze Skorczyc. Namalowany 27 grudnia 1927 r., papier, pastel, właściciel: Maria Łozińska-Hempel. Portret nieodzyskany po II wojnie światowej.

Drugi portret panny **Iłony Łozińskiej**. Namalowany w styczniu 1928 r., papier, pastel. Właściciel: gen. Jan Marian Hempel. Obraz nieodzyskany po wojnie.

Charakterystyczne, ostre rysy Iłony Łozińskiej utrwalił Witkacy we właściwy sobie sposób na swoich portretach. Artysta darzył ją dużą sympatią i w 1928 r. wpisał się nastolatce do jej sztambucha, kreśląc niezwykle sugestywną historyjkę o chorym kotku, będącą nawiązaniem do wiersza, którego jako dziecko nauczył się kiedyś na pamięć: „Kulawy kotek szedł sobie drogą, a ktoś niebaczny trącił go nogą. Co ci zawinił biedny kocina? [...]”<sup>3</sup>.

Portret **Władysława Tatarkiewicza** (1886–1980), polskiego intelektualisty, filozofa, historyka filozofii i historyka sztuki, etyka i estetyka, członka Polskiej Akademii Umiejętności i Polskiej Akademii Nauk. Tatarkiewicz był kuzynem rodziny Hemplów ze Skorczyc przez Emilię Morchonowicz, żonę Joachima Hempla. Portret namalowany został w listopadzie 1933 r. Pastel na papierze. Własność prywatna.

Przypisy:

<sup>1</sup> A. Żakiewicz, *Witkacy [1885–1939]*, Warszawa 2006.

<sup>2</sup> M. Czyńska, *Witkacy i kobiety. Harem metafizyczny*, Warszawa 2022, s. 13–14, 193, 247, 305.

<sup>3</sup> J. Grzeszczak, *Elitka. Młodość w dniach grozy*, Poznań 2017, s. 106.



Bożena Mazik

## Losy Stefana Cieślickiego w świetle zachowanych listów

Stefan Cieślicki, urodzony w 1909 r., był czwartym spośród dziewięciorga dzieci Marianny i Józefa Cieślickich. Z wielkim wysiłkiem, ze względu na trudną sytuację ekonomiczną rodziny, ukończył w 1937 r. Uniwersytet Poznański, uzyskując stopień inżyniera rolnictwa. Pierwszy rok studiów zaliczył na wydziale medycyny, ale po analizie i namowie brata Zygmunta, który ukończył w 1929 r. warszawską SGGW, przeniósł się na wydział rolnictwa. Do września 1939 r. pracował jako starszy asystent w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego w Bydgoszczy. W 1939 r. jako oficer rezerwy został zmobilizowany do 8. Pułku Piechoty w Lublinie.

Dostał się do niewoli niemieckiej, gdzie zmarł w oflagu w 1943 r. i pochowany został w mogile zbiorowej w Tanagerhutte koło Magdeburga.

Pozostały po nim pieczętowane przechowywane przez rodzinę listy z okresu przedwojennego, a potem z obozu do rodziców i rodzeństwa. Zachowały się też listy od pani Wawrzyniak, gospodyni, u której Stefan mieszkał w Bydgoszczy do momentu wybuchu wojny. W listach z okresu przedwojennego dzieli się z bliskimi troskami finansowymi związanymi ze swoim utrzymaniem w Poznaniu, troszczy się o finanse na naukę dla młodszego brata Tadeusza. Z korespondencji z siostrą rysuje się jego duże zaangażowanie w sprawy społeczne wsi.

### Wybrane listy Stefana z okresu studiów w Poznaniu

*Kochani Rodzice!*

*Ze względu na to, że mamy już ferie świąteczne od dnia 17 bm. do 20 kwietnia chcę cośkolwiek napisać. Prawdopodobnie na święta nie przyjadę Tutaj, na miejscu cośkolwiek może zrobię z egzaminem. Muszę Wam zakomunikować, że po trzecim roku, to znaczy gdzieś koło połowy września, idę do wojska, a to z tego względu, że zależnie od pracy końcowej studia mogą trwać trochę dłużej niż 4 lata, a wtedy wojsko by mi przeszkodziło. Zresztą przez wojsko człowiek traci kontakt z życiem. Zresztą mi się optaca zostać, gdyż mam nieduże zajęcie w Poznaniu, prawie co drugi dzień wyjeżdżam w teren. Za jeden wyjazd płacą 10 złotych oprócz kosztów podróży. Same święta spędzę przypuszczalnie u kolegi, którego rodzina pochodzi z Lubelskiego, zresztą jest tu więcej naszych ziomków. Ciekaw jestem co u Was słyszę, gdyż mi nic nie piszecie. Oprócz Feli nikomu się nie chce napisać. A ona teraz zajęta nowym gospodarstwem, roboty ma dużo. Czy mąż Feli często do niej pisuje i jak mu się powodzi, czy jest w tej samej miejscowości co poprzednio? Powiedźcie Feli, żeby do mnie napisała, bo na Zochę to nie ma co liczyć, gdyż pod tym względem to jest leniem potężnym*

*pomimo tego, że ma łatwość pisania. Czy Zygmunt do Was pisuje, bo do mnie to i owszem, choć dosyć rzadko. Gdy będzie ładnie i drogi będą dobre to przypuszczam, że do Was przyjedzie na swojej maszynie, gdyż musicie chyba już wiedzieć, że kupił sobie motocykl i powiada, że do kompletu brakuje mu tylko żony. Pisał mi również, że będę mógł podczas wakacji odbyć porządną praktykę w jego okolicy, mianowicie u jego kolegi, tego Greka, który jest z nim na jednej fotografii w domu. Na ogół mu się dobrze powodzi jak zawsze. W Poznaniu robi się już wiosna. W mieście szybciej przychodzi, na wsi trochę takiego uroku jak zimowe. Poza tem u mnie nic nowego nie słyszę, napiszcie co u Was. Życzę więc Wam Wesołych Świąt, jak również i Feli. Chciałbym się dowiedzieć, czy Fela jest zdrowa i czy głowa ją ciągle boli w tem mieszkaniu. Teraz wiosna, więc trzeba ciągle wietrzyć.*

*Poznań 26 III 1934 r.*

**STEFAN**

*ul. Szamorzeńskiego 27 m. 20*

*Kochani Rodzice!*

*Na pewno już otrzymaliście kartę adresowaną do mnie. Szczęśliwie się więc złożyło, że otrzymałem stypendium, tzn. 60 zł na miesiąc. Dzisiaj dostałem 120 zł. Zapłaciłem 70 zł opłat akademickich, a reszta na życie. Żeby nie opłaty to nawet mógłbym coś odesłać, ale jak Wam wspomniałem mam 200 zł do czerwca wpłacić do uniwerku, tak żeby już nie kłopotać ani Zygmunta, ani Was. To co tu mam wystarczy mi zupełnie. Ponadto mam spłacać ten dług, na który przyszło pismo do Urzędowa, ale w jaki sposób to sam nie wiem, gdyż 60 zł to poważna suma. Winien jestem Jasiowi, ale będę musiał się wymówić z tego długu przynajmniej na pewien czas. Na razie jednak jest w porządku. Jak z Tadzikiem będziecie sobie radę dawali to sam nie wiem. Pisałem dzisiaj do Zygmunta i wspomniałem mu, że gdyby kiedyś miał pieniądze to żeby wysłał coś Tadzikowi. Porządnie mu wszystko opisałem jak nigdy dotąd co było i co jest. Chyba nie wiecie, że kucharkę odprawił, a na jej miejsce ma teściową i prowadzą wspólnie z żoną gospodarkę domową. Nie wiem, może korzystniej to zrobił, zresztą co to mnie może obchodzić, niech robi jak mu się podoba. Ja do niego nie mam żadnych pretensji, gdyż mnie dał dużo więcej niż Wam wszystkim razem, a może po równo tak licząc z grubsza. Ponieważ mam zamiar być w Poznaniu do przyszłego Bożego Narodzenia, więc będę musiał jeszcze wytrzasnąć jakąś pożyczkę czy zasiłek, dlatego w tych dniach wyślę podanie do sejmiku, może by dali, zwłaszcza że wiedzą kogo popierają, bo do rozliczenia mam niedużo czasu. Gorzej, gdy ktoś zaczyna. W każdym razie 600 zł drogą nie chodzi i trzeba by na to mógł ziemi sprzedać.*



P.S. Zocha! Wysłałem pisma do Urzędowa, jest już opłacone. Rób tam reklamę niech prenumerują. Co rozsądniejszym daj do przeczytania, wychowankom szkół rolniczych i.t.p. Żyłem nadzieją przez Święta, ale nie zawiodłem się. W Poznaniu jakoś łatwiej można coś wykombinować. Kto nie dostał stypendium to otrzymał pożyczkę od dziekana 200 zł lub 300 zł itp. lub ma odroczone połowę opłat. Człowiek siedząc w mieście nie zdaje sobie sprawy nawet jak trudno wykołować pieniądze na wsi. Nie trąbcie tylko w Urzędowie o stypendium, bo gdyby wiedzieli o tem w powiecie to trudno by było mi tam coś uzyskać. Na razie więc wszystko dobrze, jestem zdrow itd. Wy ze swej strony dążcie do zgody między sobą, zwłaszcza ojciec z Jankiem i na wiosnę niech gospodarzy w domu, gdyż na ojca będzie za ciężko, a zdrowie to ważniejsza rzecz niż wszystko. Co po majątku jak nie ma zdrowia. Na tem kończę.

16 I 1936 r.

Droga Zochol!

Wysyłam Wam dla Tadzika sześćdziesiąt złotych. Na razie są mi niepotrzebne, gdyż opłaty koło kwietnia będą regulował. Rozumiem, że gospodarka się rujnuje, dlatego wysyłam, gdyż właściwie pieniędzy na zbyciu nie mam i sam skromnie muszę żyć. Bardzo mnie cieszy, że jesteś kierowniczką Koła Gospodyń. Ojciec tych spraw dobrze nie rozumie i dlatego niechętnie na to patrzy. Swego czasu dowiedziałem się, że Centralne Towarzystwo Organizacji i Kółek Rolniczych w Warszawie, gdyż ono zajmuje się temi sprawami, popiera ludzi ściśle ze wsi, a zwłaszcza z „Wici”, daje stypendia w miarę środków. Nie zaszkodzi zając się sprawami społecznymi, byle każdą podjętą pracę doprowadzić do końca jak n.p. wszelkiego rodzaju kursy. Właśnie przez taką pracę prędzej będziesz mogła się gdzieś zacząć, wyróżnić i.t.d. W każdym razie nie trać nadziei, staraj się jak możesz, to Ci na pewno nie zaszkodzi, a pomoc może b. wiele. Zwłaszcza że obecnie robią wszędzie szum, by wieś podnieść i organizować. Wszystkim się oczy nareszcie otwały, ale już za późno, że główne zło leży w tem, że zamiast dźwignąć gospodarczo wieś przez całe lata wypychano w nędzę. Dlatego dzisiaj w każdym dzienniku – gazecie krzyczy się na gwałt „frontem do wsi”. Poważny głos w tej sprawie zabrał minister rolnictwa Poniatowski, mianowicie podniósł sprawę polityki gospodarczej, która przez kartele i inne popierała przemysł, handel, a na tem cierpiało tylko rolnictwo. Piszę Ci o tem dlatego, że przyszłe lata będą pod znakiem organizowania na wsi spółdzielczości, przysposobienia rolniczego, kółek rolniczych i innych, a do tej pracy potrzebni są przodownicy. Jeżeli Ci były potrzebne jakieś książki czy pisma to napisz, mógłbym Ci coś od czasu do czasu przysłać. Zresztą instruktor Wam dobrze objaśnił cel i sposoby pracy. Najważniejsza rzecz to dobrać sobie kilka chętnych rozumnych koleżanek do pomocy, dopiero sprawa może ruszyć naprzód. W prowadzeniu zebrań, notatek i.t.p. może posłużyć Ci zielona książka, którą Ci zostawiłem „Pomocnik dla Kół Młodzieży”. Przede wszystkim trzeba dużo czytać i to razem, a praca będzie łatwiej szła. Tyle co do ogólnych rzeczy. Zygmunt jeszcze do mnie do Poznania

nie pisał, więc nie wiem co się u niego dzieje. Osobiście czuję się dobrze, nie mam poważniejszych kłopotów. Złożyłem podanie do Janowa, może coś kiedy dadzą. Przez lato będę w Poznaniu robił pracę, tak że w domu nieprędko się pokażę. Pisałem do Feli o tem i owem, gdyż krepował mnie dług u szwagra. Na razie mu nic nie oddaję. Do Tadzika jeszcze nie pisałem, może się kiedyś zbiorę, żeby mu się bardzo nie przykrzyło. Co do Janka to źle robicie. Trudno z Wami dojść do ładu. Nie wiem kto się będzie troszczył o gospodarke, przynajmniej o zewnętrzny wygląd. Tadzika to warto by trochę lepiej ubrać, ale za co to sam nie wiem. Na razie jakiś czas przetrzymacie, potem może Zygmunt coś przyśle. Na razie kończę i zasyłam Wam serdeczne pozdrowienia!

8 II 1936 r. Poznań

STEFAN

Zocha!

Piszę do Ciebie oddzielnie, gdyż chcę się dowiedzieć co słycać w Kole Gospodyń, czy coś robicie, gdyż nie warto tych spraw zarzucać. Może to pieniądze nie daje żadnego dochodu, ale zadowolenie zawsze jest, jeżeli się robi coś dla ogółu. Najgorzej tylko z tem, że przydałoby Ci się parę złotych na własne wydatki, gdyż przy takiej pracy społecznej trzeba załatwiać różne sprawy, wyjeżdżać, a więc i dobrze się prezentować i.t.d. Może bym ja jeszcze napisał kilka słów w tej sprawie do Dzikowskiego, bo widzę spółdzielczość się rozwija, brak pracowników odpowiednich, a Ty masz na to dane i siedzisz na niczem. Brak po prostu poparcia i zrozumienia u starszych ludzi, gdyż należy liczyć się z tem, że do pracy organizacyjnej n.p. spółdzielczej trzeba przygotować i młodych ludzi, a więc młode pokolenie, które przejmuje na siebie pracę, którą dzisiaj wykonują starsi ludzie. Zależnie od tego jak to młode pokolenie będzie do życia przygotowane taka będzie i spółdzielczość i wszelka inna gospodarka rolnicza w przyszłości. A przez to, że na stanowiska w spółdzielczości pchają się nieodpowiedni ludzie bez żadnej idei, więc z tego dzieją się różne złodziejstwa, niechęć, brak zaufania do organizacji, upadek. W tym więc sensie napiszę list do Dzikowskiego, może to poskutkuje. Niedawno byłem z wycieczką na kursie żeńskim tutaj w Poznańskim. Jest to wędrowna szkoła żeńska 3-miesięczna, która w programie ma przede wszystkim gospodarstwo domowe, trochę ogrodnictwo i.t.p. Widziałem b. ładne wzory do wyszywania na płótnie lnianym, to często ludowe, które pochodzą z Kurpiów, Wołynia i.t.d. Dlaczego o tem piszę, że gdybyście kiedyś urządziły jakieś kursy to należy uwzględnić nie tylko wypiek pieczywa (lepiej nauczyć się dobrze gotować) do czego się najwięcej rwą kobiety miejskie, ale i takie rzeczy jak urządzanie sobie mieszkania zupełnie w stylu ludowym. Mam na myśli właśnie wyszywanie makat, obrusów, firanek, podomek, gdyż te rzeczy cudownie wyglądają jeżeli zastosuje się sztukę ludową. Potem w lecie bardzo ważna jest sprawa przetworów owocowych, na co u gospodyń miejskich prawie wcale nie ma. Nie potrzeba do nich nawet wiele czasu (nie do wszystkich), a potem w zimie jest czem chleb posmarować. Będziesz się śmiała, że Ci o tem piszę, ale chodzi mi o to, że w tych sprawach winno się zwracać do odpowiednich

czy to do Izby Rolniczej, czy do C.T.O. i K.R. (Centralne Towarzystwo Organizacji i Kółek Rolniczych), żebyś wykonała pewną inicjatywę, że umiesz robić, a wtedy i łatwiej będzie się gdzieś zaczepić. Jeżeli będziesz miała czas to napisz mi o tych sprawach cośkolwiek, a ja przy najbliższej okazji fundnę Ci małe radio!

1936

STEFAN

*Kochani Rodzice!*

List otrzymałem. Widzę, że jakiś nietęgi nastrój u Ojca. Stale wylaży na wierzch strona materialna. Trudno, nie urodziliśmy się żadnymi bogaczami, a więc trzeba o wszystko walczyć, tak sam ojciec, jak i my, tu i tam po świecie. Na pewno Wam się wydaje, że moja nauka się przedłużyła. Właściwie to już skończyłem kilka miesięcy temu swoje studia. Jak Wam już pisałem dawniej, pozostaję w dalszym ciągu w Poznaniu, a na jak długo to sam nie wiem dokładnie. Chodzi tutaj o to, że z chwilą, gdy się obejmie gdzieś trochę lepiej płatną posadę na prowincji to człowiek straci kontakt z samą nauką, a przez to dużo się traci. Poszukiwani są dobrze płatni specjaliści ze znajomością języków obcych i.t.d. Dawniej, za czasów, gdy Zygmunt kończył, dawali im od razu dobre stanowiska, gdyż było brak ludzi. Dzisiaj posada za 200 złotych uważana jest za dobrą, a w dodatku o nią niełatwo. Dlatego celem mojego pobytu w Poznaniu jest zaangażowanie się (specjalne zajęcie się) pewnym działem pracy w rolnictwie, aby potem mocniej stanąć na nogach i mieć jakie takie wynagrodzenie. W jakim stopniu uda mi się tego dopiąć trudno przewidzieć. Z drugiej strony z tych samych powodów nie mogę na razie pomagać n.p. Tadzikowi w tym stopniu w jakim by należało i to jest najważniejszy szkopuł. Zarabiam sto kilkadziesiąt złotych, więc niewiele z nich mogę wysyłać. I na przykład w tym miesiącu będę mógł wysłać tylko 20 zł jak zawsze, chociaż wiem, że przydałoby się 60 zł. A właśnie taką sumę musiałem wyłożyć za egzamin inżynierski i wykupno dyplomu. Z moich kolegów, którzy pokończyli i kończą, żaden nie robi specjalnych interesów. Zdaje się, że Kazik po 3 miesiącach praktyki będzie miał 250 zł pensji (nie trąbcie o tym w Urzędowie) w Poznańskiej Izbie Rzemieślniczej, a poza tem dostają posady płatne od 150–200 zł, a więc za kłopskie w stosunku do wydanych pieniędzy za naukę. Nawijając do mojego pobytu w Poznaniu, to przewiduję, że pobędę tutaj co najmniej rok, a więc do przyszłej wiosny. Dalej trudno mi powiedzieć. Z listu ojca wynika, że rzeczywiście wyludniło się w domu. Ciekaw jestem tylko na jakie warunki poszła Zocha do Bobów, może przez to trafić jej się lepsza partja do zamążpójścia. Poza tem nie wiem, jak Tadek w końcu stoi ze swoją nauką, czy w dalszym ciągu kulawo, czy się wyrównał. Pisał do mnie kiedyś, ale mu nie odpisałem. Właściwie płaszcz mógłbym mu przesać. Chodziłem w nim na deszcz, gdyż nowego było mi szkoda. Do Zygmunta dawno już nie pisałem, ale na ogół trzymamy łączność. Wątpię czy Zygmunt rzeczywiście ma zamiar budować jakiś dom, gdyż to jest unieruchomienie pieniędzy, których za wiele nie ma. Na tem kończę, przesyłając Wam wszystkim pozdrowienia.

31 V 1937 r. Poznań

STEFAN

Po ukończeniu studiów i otrzymaniu posady starszego asystenta w Bydgoszczy Stefan zaczął pomagać i wspomagać rodzinę w Urzędowie. Poprzednio to starszy brat Zygmunt pomagał Stefanowi finansowo i radą. Teraz zaczął to robić Stefan. Zachowały się z tego czasu przekazy pieniężne dla młodszego brata Tadeusza, matki i siostry Zofii. U Stefana w Bydgoszczy zamieszkał też najmłodszy brat Longin. Z Bydgoszczy Stefan pisał do brata Tadeusza:

*Drogi Tadziku!*

Przesyłam Ci dobrą parę butów. Gatunek jest pierwszorzędny. Dla mnie były trochę za szczupłe, ale innych lepszych nie miałem, więc tako spóźniłem się z wysyłką. W piątek idę na ćwiczenia. Nie wiem jeszcze, czy będę siedział w Bydgoszczy, czy gdzie indziej. Adres podam później. Można by jednak i pisać na obecny adres, toteż na pewno list by do mnie doszedł. Pisałeś o pobycie Zygmunta i różne inne uwagi na temat jego żony i.t.d. Niestety są to uwagi słuszne i ja Zygmunta też nie poznaję. Nie pisał on już do mnie ze trzy miesiące czasu. Nie wiem, co go tak zajmuje teraz, że nie ma chwili na napisanie listu. Co do Zygmunta to jeszcze napiszę. W każdym razie niech się szykuje na 1-go września. Nie wiem, czy kupił sobie ubrania, czy nie, bo nic nie pisaliście o tem. Co do Ciebie to nie wiem, jak Ci radzić. Może byś na ochotnika starał się do marynarki, bo teraz zgłaszają się lub może poszedłbyś gdzieś na praktykę na pocztę albo coś w tym rodzaju. Teraz jest brak sił w urzędzie, gdyż dużo ludzi starszych jest w wojsku. Poza tym u mnie nic specjalnego nowego nie ma. Jestem zdrow i.t.d. Niedawno wysłałem matce parę złotych oraz drobny upominek w postaci ciastek od mojej gospodyni. Na tym na razie kończę, a napiszę jeszcze do Was. Załączam dla wszystkich pozdrowienia.

17 VIII 1939 r. Bydgoszcz

STEFAN

1 września 1939 r. Niemcy napadły na Polskę. Stefan Cieśllicki został zmobilizowany. Rodzina otrzymała wiadomość wysłaną 19 września 1939 r., że dostał się do niewoli. W tym momencie zapewne ani Stefan, ani jego bliscy nie przypuszczali, że już nigdy się nie zobaczą i że całe dotychczasowe życie rodziny legnie w gruzach. Rozpoczęła się korespondencja i pomoc rodziny dla osadzonego w obozie jeńca.

### Wybrane listy Stefana z obozu w Woldenbergu (dzisiejszy Dobiegniew) oraz z lazaretu w Tangerhutte

*Kochani Rodzice!*

Żyję, jestem zdrow. Dostałem się do niewoli niemieckiej. Co słyhać u Was. Proszę napisać co się dzieje z Zygmuntem, Jankiem i ewentualnie z Tadzikiem, no i z Wami wszystkimi. Czy mama jest zdrowa. Czy gospodarstwo Wasze i Feli jest całe. W miarę możliwości proszę przesać mi paczkę żywnościową. T.zn. chleb suszony (mało waży) i smalec lub słoninę (nic więcej). Proszę o mnie napisać do mojej gospodyni w Bydgoszczy pl. Weyssenhoffa 3 m. 7 (Marta Wawrzyniak) i do Łucji Szulkiewicz pl. Weys-





**Ppor. Stefan Cieśliski**

*senhoffa 3 m. 5 o zaopiekowanie się moimi książkami i rzeczami, które zostawiłem w Bydgoszczy. Zasyłam Wszystkim serdeczne pozdrowienia.*

6 XI 1939 r. Deutschland STEFAN

*Moi Kochani!*

*Pisałem do Was kilkakrotnie. Niestety nie otrzymałem jeszcze od Was żadnych wiadomości. Natomiast otrzymałem 15 XI list od gospodyni, z którego dowiedziałem się, że Tadzik zabrał część moich rzeczy do Urzędowa. Gospodyni przysłała mi ciepłą bieliznę i trochę czekolady. Obecnie czekam od Was na paczki żywnościowe (smalec, słonina, suszony chleb – niepsujące się rzeczy). Wysyłajcie paczki jak najwcześniej. Wysłane przed 15 XII otrzymam dopiero gdzieś na święta. Proszę pisać wyraźnie i regularnie bez względu na moje odpowiedzi. Na kopercie oprócz adresu proszę pisać słowa: Kriegsgefangenenpost. Wtedy list jest bezpłatny. Zasyłam dla Wszystkich serdeczne pozdrowienia.*

3 XII 1939 r. Deutschland STEFAN

*Kochani Rodzice!*

*Mieszkamy w zupełnie nowych budynkach, w głębi Niemiec. Pokoje są ciepłe, czuję się zupełnie dobrze. Koledzy otrzymują paczki nawet do 5 kg. I to bez znaczków pocztowych, a więc nieopłacone. Poczta dla jeńców wojennych jest bezpłatna wg prawa międzynarodowego. Nie wkładać do paczek listów. Dotychczas otrzymałem 6 paczek, w tem 3 z ciastkami, koszulką i cukrem. Ostatni list (5-ty) był z opłatkiem. Słonina była b. dobra, masło świeże. Proszę przysyłać więcej niesuszonego chleba i jedne krótkie kalesony. Z Bydgoszczy otrzymałem 6 pa-*

*czek i 4 listy, również od Kazi. Mogę pisać najwyżej raz tygodniowo. Nie pisać nr. 3001. Obszerność listu do mnie dwie strony. Serdecznie Was pozdrawiam.*

29 XII 1939 r. Deutschland STEFAN

W styczniu 1940 r. Stefan dowiaduje się o wysiedleniach ludności polskiej z ziem włączonych do Rzeszy. W związku z tym prosi rodzinę w Urzędowie o pomoc dla znajomych z Bydgoszczy, których wysiedlenia mogą dotknąć. W liście pisze:

*Możliwe jest, że moi znajomi będą musieli wyprowadzić się z Bydgoszczy do Lubelszczyzny. Proszę im zaofiarować przynajmniej tymczasowe schronienie, gdyż w innym wypadku będą wystawieni na tułaczkę. Dotychczas otrzymałem od nich 9 paczek, bieliznę itd. Jest dużo miejsca u Feli. Po wojnie starałbym się wynagrodzić Feli czy komukolwiek za tę przysługę. Od Was przed Świętami otrzymałem 6 paczek, po nowym roku 2½ kg masła, cukier, ciastka oraz ½ kg masła z Lublina. Proszę o 3 kg chleba tygodniowo i nie czekać na odpowiedź. Jestem zdrow, co z Zygmuntem?*

28 I 1940 r. STEFAN

*Moi Kochani!*

*W tych dniach otrzymałem 3 listy (z końca kwietnia), a mianowicie Tadzika, Longina i Stefana. Proszę Stefanowi podziękować w moim imieniu. Niestety pierwszego jego listu nie otrzymałem dotychczas. Natomiast pisał już dwukrotnie Stach. Rozumiem dobrze, że różne względy przemawiają za ograniczeniem korespondencji. Ja również mogę obecnie wysłać tylko 3 listy (list i 2 kartki) miesięcznie. Stąd do Was będę pisał mniej więcej co 3 tygodnie. Na ogół trafiłem do dość dobrego obozu, przynajmniej jak dotychczas. Co miesiąc otrzymuję 72 marki. Część gotówki posyłam do Bydgoszczy, a reszta potrzebna mi jest wewnątrz obozu na różne dożywianie i inne imprezy. Do Was nie posyłam pieniędzy, gdyż wobec panującej tam drożyzny i nieregulowanych stosunków nie miałyby one większego znaczenia. Paczek na przyszłość mi nie przysyłajcie. To co otrzymuję z Bydgoszczy zupełnie mi wystarcza. Poza tym otrzymujemy od czasu do czasu paczki francuskie (konserwy, czekolada, mleko kond., pierniki itp.), więc z odżywianiem jest b. dobrze. Co do winogron, to starsze dobrze zakorzenione b. szybko się odnawiają, mimo przemarznięcia górnych pędów. Na miejsce zupełnie zmarzniętych dobrze by było posadzić zdrowe. Z obciętych pędów można by zakładać szkółkę i byłby materiał na rok przyszły (obcięte pędy ukorzeniają się jak wierzba). Kupcie zawczasu siniego kamienia (siarczan miedzi) i wapna. Wasze fotografie, listy, spis paczek i wszystkie paczki do ostatniego czerwonego pudełka – otrzymałem. Dziękuję Wam za przesyłkę paczki do Bydgoszczy. Załączam dla Was najserdeczniejsze pozdrowienia, jak również dla paczki brydżowej z plebanem Rollą na czele.*

15 V 1940 r. STEFAN

W połowie 1940 r. Niemcy wprowadzili ograniczenia w korespondencji skierowanej do jeńców. Rodzina otrzymała o tym informację na karcie wydrukowanej przez

Niemców, a podpisanej przez Stefana. Korespondencja stała się trudniejsza. Mimo to Stefan usiłuje dowiedzieć się co dzieje się z bratem Zygmuntem, o którym nie ma wieści od czasu wybuchu wojny.

*Moi Kochani!*

List Zochy o bratowej i moją kartkę otrzymałem. Dlaczego wcześniej nie pisaliście do Jagielnicy? Teraz może być za późno z paszportem. Przeniesiono nas do innej miejscowości – b. blisko mam do Pani M. Mieszkamy w tymczasowo pobudowanych z cegły barakach, jest więcej miejsca do spaceru wśród pól. Proszę zwrócić uwagę na inny adres. Jestem zdrowy; wyglądam b. dobrze, a co u Was słychać? Czy o Zygmuncie nic nie wiecie?

6 VII 1940 r.

STEFAN

*Moi Kochani!*

List Zochy obszerny z 9 IX otrzymałem 19 IX. Czekam na adres bratowej, gdyż będę mógł napisać do niej. Bardzo źle się stało, że musiała wyjechać, ale są pewne oznaki, że i dla niej warunki mogą się tam polepszyć. Najważniejsze, by przetrzymali ten ciężki czas i jako tako wyszli ze zdrowiem. Co do Zygmunta, to dotychczas nie udało mi się nic dowiedzieć. Wielu oficerów po przekroczeniu granicy węgierskiej czy rumuńskiej znalazło się we Francji, potem dostali się do niewoli na francuskim froncie i niektórzy z nich są u nas w obozie. Przyjechali tutaj gdzieś w lipcu–sierpniu. Ale dotychczas z batalionu Zygmunta nie ma nikogo. Najprawdopodobniej była to wdzięczność „Ukraińców” za tyle pracy, ile Zygmunt włożył dla tamtych terenów. Spróbuję jeszcze napisać do Urzędu Gminnego w Dolinie koło Katusza, Małopolska wsch. Z.S.S.R., z zapytaniem czy nie natrafiono przy grzebaniu poległych na ppor. piech. Zygmunta Cieślickiego. Wy również możecie to zrobić na swoją rękę i to osobno do Doliny i Katusza. Podać przynależność do pułku i krótki rysopis. Średni wzrost, budowa szczupła, szatyn, wiek 36 lat – pracownik Polsk. Monop. Tyt. w Jagielnicy – inż. rolnik. 2 X otrzymałem od Was 2-gą paczkę – miód, kiełb., wędlina, placek, ciastka. Wszystko świeże i b. dobre. Ucieszyłem się również, że Zocha otrzymała parę drobiazgów od mej Pani. Rzeczywiście ludzie ze złotem sercem. Również i mnie jak mogą tak ostadzają niewolę. Na paczkach pisać drugi adres oprócz nalepki. Do paczek listów nie kłaść. Ślę najserd. pozdrowienia.

17 X 1940 r.

STEFAN

*Moi Kochani!*

Ostatni list Zochy z 1 XI otrzymałem, o czym wspominałem już w kartce z 17 XI. Już 2 miesiące upływa jak pisałem do bratowej o Zygmunta i nie mam jeszcze żadnej odpowiedzi. Tak że nie wiadomo co się tam u nich dzieje. Odległość jest b. duża – bo wynosi około 5 tys. km i to na granicy chińskiej. Nawet nie wiadomo co tam ludzie uprawiają – zdaje się, że bawełnę, a nie wiem, czy uprawiają n.p. nasze zboża. Okazuje się że wielu oficerów podobnie jak Zygmunt zaginęło w nieznanymi okolicznościach. Do Doliny pisałem, ale nie mam na razie żadnych wiadomości. Co do mnie to jestem zdrowy. Miałem trochę kłopotu z zębami, ale pousuwałem korzenie, a kilka zębów

nawet sobie zaplombowałem. Z Bydg. otrzymuję stale listy i paczki. Prawdopodobnie dostanę nawet koldrę, gdyż nie mam własnego koca oprócz obozowych. Jak widzicie za pieniądze, które jakbym Wam wysłał niewiele moglibyście kupić np. z takich rzeczy, które Zocha otrzymała. A poza tym pomoc dla mnie od mej Pani przewyższa w ogóle te drobne sumy, które ja tam wysyłam, tak że muszę stwierdzić, że robią to dla mnie ze szlachetności swojego serca. Obawiam się tylko, żeby nie wyrzucono ich na zimę. Przed świętami powinniście otrzymać ode mnie 60 marek. Poza tym wysłałem blankiety żywnościowe – 3-ci z kolei 7 XI, 4-ty 25 XI, 5-ty z kolei 2 XII, na które to blankiety oczekuję od Was paczek, jeżeli możecie coś wysłać. Jak stoicie wszyscy ze zdrowiem, co u Feli słychać, czy jej córeczka wreszcie mówi? Dn. 3 XII otrzymałem kartkę z adresem tego Pana z Węgier. Czy rzeczywiście taki krótki adres podał? Napisałem do niego. Rzeczywiście zdarzają się wypadki, że z zagranicy dochodziła zaledwie jedna wieść o kimś w ciągu roku czasu. Życzę Wam wszystkiego najlepszego z okazji świąt Bożego Narodzenia.

11 XII 1940 r.

STEFAN

*Moi Kochani!*

Dziś otrzymałem po miesięcznym czekaniu Wasz list z 22 XII. B. się ucieszyłem z wiadomości, które otrzymujecie z Węgier w sprawie Zygmunta i że istnieją pewne możliwości niesienia pomocy dla rodziny Zygmunta. Nawet tutaj w obozie wiele osób otrzymuje paczki n.p. z Anglii, a nawet z Ameryki. Dlatego starajcie się utrzymać kontakt z tym panem, może tam znajdują się i inni znajomi Zygmunta?, gdyż z Węgier może będzie łatwiej jakąś pomoc przez Amer. Czerw. Krz. uzyskać. Ja sam pisałem już dwa razy do bratowej i raz na Węgry. Nie mam dotychczas żadnej odpowiedzi. Czy na Chruślankach znajduje się więcej rodzin z Poznańskiego? Starajcie się w czemkolwiek im dopomóc. Co do paczek to otrzymałem w porządku wszystkie, na które wysłałem blankiety (4 + 1). Czwartą z kolei – miód, ciastka, masło, makowiec otrzymałem 30 XII. Nic się nie zepsuło. Na dłuższy czas będziecie mieli ode mnie spokój pod tym względem. Razem ze mną jest najmłodszy z Brożków (Antek) z Bobów. Często się odwiedzamy. Zaczęła się ostrzejsza zima, bo powyżej 10 st. Jestem jednak zabezpieczony w ciepłą bieliznę, swetry, mam długi nowy płaszcz wojskowy – tak że zimno nie dokucza na razie. Święta spędziliśmy w dobrym nastroju – mieliśmy choinki itp. Z Bydg. otrzymałem kilka paczek na święta oraz list z życzeniami. Napiszcie mi co słychać u Zimowskich w Świdniu. Proszę przy okazji załączyć dla nich ode mnie serdeczne pozdrowienia, a szczególnie dla chrestnej matki. Mile zawsze ją wspominał za jej gościnność itd. Na razie na tem kończę i Wam wszystkim najlepszego roku 1941-go.

6 I 1941 r.

STEFAN

*Moi Kochani!*

Ostatnio pisałem do Was kartkę dn. 30 I. Natomiast ostatni Wasz list datowany był 13 I, tak że czekam na jakiegokolwiek wiadomości. U mnie nic się nie zmieniło. Warunki mamy w dalszym ciągu te same. 5 lutego skończyłem 29 lat. Na urodziny otrzymałem koldrę, nowy termos,



pończochy i inne drobiazgi. Pisałem żeby nie przysyłać kołdry, ale zlekli się widocznie mrozów. Poza tym regularnie otrzymuję paczki i to z białym pszennym chlebem, z czego się b. cieszę, gdyż trochę nie dopisuje mi żołądek. Jeżeli byście mogli przy następnej okazji przysłać mi zrobionego w domu (uszonego w piecu) chleba, makaronu, trochę fasoli, grochu polnego, to by mi się przydał, gdyż nie mogę jeszcze [jeść] wszystkich obiadów np. kwaśnej kapusty itp. W normalnych warunkach b. łatwo można by sobie uregulować żołądek np. zsiadłem mlekiem, ale tutaj zapomniałem jak mleko wygląda. Ogólnie jednak jestem zdrowy i dobrze wyglądam. Niech Jaś zrobi mi prosty, lekki, składany stołek do siedzenia, w którym zamiast blatu byłoby mocne płótno, nast. mocne lniane nici, a ja bym go sobie tu złożył. Nogi stołka (2 skrzyżowane ramki) nie dłuższe niż 60 cm. W tym celu wysyłam Wam różowy paczkowy blankiet. Do tej paczki możecie dołączyć trochę nasion ogórków, pomidorów, cebuli dymki. Poza tym do każdej żywn. paczki włóżcie kilka cebul. Blankiet do Kazika wysłałem. W ciągu najbliższych dni wyślę do Was również niebieski blankiet. Jak przetrzymujecie zimę? U nas śniegi już znikły, po 20-stopniowych mrozach. Cieszymy się, że zbliża się wiosna. W lecie jest tu całkiem przyjemnie. Obecnie za dużo ludzi siedzi jeszcze w barakach. Ślę pozdrowienia!

21 II 1941 r.

STEFAN

List ojca z 27 III, kartkę Zochy z 3 IV i Tadzika z 10 IV otrzymałem. Dużą przyjemność sprawił mi własnoręczny list ojca. Zorientowałem się trochę co słycać w gospodarstwie itd. Niech ojciec z Zochą się nie kłóci o treść listów, bo rzeczywistość w tych warunkach trudno obszerniej się rozpisywać. Najważniejsze, że wszyscy żyją i są zdrowi. Toteż zmartwiłem się ostatnią kartką Tadzika, że matka niedomaga na zdrowiu. Paczkę ze stołkiem i nasionami otrzymałem. B. ładny i wygodny, tylko płótno słabe. Podszycłem go drugim mocniejszym. Zasiałem sobie rzodkiewkę, pomidory, dymkę na szczypiorek. Na ogórki za mało mamy miejsca. Paczkę z 3 IV na Mack. otrzymaliśmy 19 IV. Nic się nie zepsuło, bo było dobrze zakonserwowane. Świetna wędlina. Ciastka się pokruszyły, ale b. dobre. Podzieliliśmy się również i tą paczką. Teraz będą mi pomagali inni koledzy, a ja będę wysyłał Wam blankiety wyłącznie dla siebie. Z Bydgoszczy otrzymałem naczynia do gotowania i smażenia. Można odnosić i na kuchnię, ale lepiej przyrządzić sobie samemu co też teraz prawie codziennie robię. Nie wiem czy to z braku owoców, czy czegoś świeżego np. mleka – w ostatnich miesiącach miałem kłopoty z żołądkiem (obstrukcja). Mocno schudłem. Dlatego zapytuję o powidła ze śliwek, innych owoców czy chociażby z pomidorów, czy suszone śliwki – choć wiem, że o te rzeczy trudno wszędzie. W maju wyślę Wam 50 marek. Czy poprzednie 40 marek otrzymaliście? Będę wysyłał częściej. Jajka surowe byłyby świetne, wysyłać świeże, koledzy niektórzy otrzymują, ale trzeba dobrze pakować w drewniane lekkie skrzyneczki. Tak że najpewniejsze są w makaronie, jest świetny, przysyłajcie jak najwięcej przy każdej paczce. Dziś otrzymałem boczek, makaron, ciastka (całe i dobre), groch, fasolę. Można tatarczaną kaszę!

25 IV 1941 r.

STEFAN

Moi Kochani!

Nie pisałem do Was dłuższy czas, ponieważ musiałem odpowiedzieć na listy z Węgier i ze Stanisławowa. Z Węgier nic nowego. Ze Stanisławowa otrzymałem list od ciotki bratowej. Przypadkowo dowiedziała się, że pisałem do Doliny (miasto na Ukrainie, stolica rejonu w obwodzie iwanofrankińskim) i zapytywałem o Zygmunta. Pytała mnie co mi odpowiedzieli. A ja dotychczas żadnej odpowiedzi z Doliny nie otrzymałem. Z listu jej wywnioskowałem, że koresponduje z bratową i że o Zygmuncie tak samo mało wie, jak i my, mimo tego, że rozmawiała na temat Zygmunta z jakimś jego kolegą. Poza tym otrzymałem przykrą wiadomość z Bydg. A mianowicie, że 29 V zabrano gdzieś moją Panią. Nie wiem czy do pracy, czy jak, bo b. szczupłą kartkę otrzymałem od jej matki. Czekam na następną wiadomość. Obawiam się o nią, bo krucho ostatnio stała ze zdrowiem, a tak zacna niewiasta. Co do mnie to całkiem nastąpiła poprawa i już dużo lepiej wyglądam. Ostatnią paczkę z suszonymi owocami, smalcem, makaronem, boczkiem i got. słoniną otrzymałem 30-go maja. Wysłałem poza tym 14 V blankiet i wysłał 1 VI jednorazowo mój dobry kolega Piotrowicz, którego rodzinie w Warszawie b. trudno jest coś konkretnego nabyć. Ma stryjów w Ameryce i czekamy od nich na paczki, a szczególnie na kondensowane mleko i inne konserwy. Ci którzy b. wcześniej podali swoje adresy – już otrzymują. Piszcie zawsze co wysyłacie i kiedy. Opiszcie jak wyglądają zboża na urzędowskich polach. Jak stoicie ze zdrowiem, jak Zocha z Kraśnikiem załatwiła, jak się trzymają młodzi chłopcy, co u Feli, czy mama zdrowa, jak winorośl rośnie itd. Na razie ślę Wam najserdeczniejsze pozdrowienia! Przyślijcie mi główkę czosnku!

11 VI 1941 r.

STEFAN

Moi Kochani!

List Zochy z 27 X otrzymałem 4-go b.m. Również otrzymałem list obszerny od mej Pani. Nie spodziewaliśmy się, że tak wcześniej zacznie się zima. Zulekałem długo z pisaniami do Was po kołdrę, ale wobec tego, że jest za zimno pod kocem, wysyłam Wam dzisiaj różową naklejkę na przystanie mi mojej kołdry. Chcę Was również powiadomić, że paczki do nas nadawać do 30 listopada. Od 1-go do 27 grudnia poczta ma nie przyjmować paczek do jeńców. Dlatego wysyłam do Was dwie niebie. naklejki, a miano. jedną 28 X, a drugą 8 XI. Poza tym jeszcze 24 X wysłałem różową naklejkę na jabłka (można i inną żywność kłaść). Jeżeli chodzi o bieliznę ciepłą, sweter to mam. Niedawno otrzymałem z Ameryki piękny, duży i ciepły na zimę szal, który starcza za drugi sweter i parę innych drobiazgów. Z Węgier p. Świder przysłał mi jeszcze przed 2 miesiącami jednorazowo 1 kg paczuszkę, ale od tamtej pory nie mam od niego żadnych wiadomości. Poza tym ze Stanisławowa odpisała do mnie ciotka Zygmuntowej w odpowiedzi na mój list wysłany do niej przed wojną wsch. Nie ma ona z nikim kontaktu. Jeszcze kiedyś otrzymała wiadomość z Kazachstanu, że bratowa dostała jakiś kawałek ziemi pod kartofle i jarzyny i nic więcej. Co do mnie to jestem zdrowy, dobrze wyglądam. P. Juszce też się niewola trochę przyda. Piszcie zawsze co kiedy wysyłacie do mnie, niech o to ciągle nie proszę. Nawet można wkładać do paczki

kartkę ze spisem zawartości. Następnym razem wkładać do paczki kartkę ze spisem zawartości. Następnym razem będę pisał w grudniu. Ślę Wam wszystkim najserdeczniejsze pozdrowienia!

14 XI 1941 r.

STEFAN

Zimą 1942 r. Stefan poważnie zapadł na zdrowiu. Pisze o tym do rodziny, jednocześnie starając się nie martwić najbliższych. Został przewieziony do lazaretu dla chorych na gruźlicę w Tangerhutte.

*Moi Kochani!*

Dzisiaj otrzymałem Zochy kartkę z 20 b.m. Paczkę natomiast otrzymałem 27-go w zupełnym porządku, tak jak pisała Zocha. Pierwszorzędna paczka i bardzo na czasie, bo jestem po chorobie. Mianowicie tuż przed Bożym Narodzeniem zapadłem nagle na zapalenie płuc. Baraki są zimne i wilgoć leje się po ścianach, więc nic dziwnego. Zapalenie płuc szczęśliwie przeszło, ale wg opinii lekarza nie mogę wracać do baraku i dlatego na razie mieszkam w suchym i ciepłym pomieszczeniu Izby Chorych. Ponieważ jest nas tu takich więcej, więc władze starają się nam o lepsze warunki mieszkaniowe, gdzie byłaby kontrola nad zdrowiem itd. Stąd możliwość wyjazdu w krótkim czasie do innej miejscowości. W czasie choroby koledzy opiekowali się mną b. dobrze. Znosili mi puszki z mlekiem, pierniki, wędlinę itp. Poza tym byłem dobrze zaopatrzony przez Was i przez mego anioła opiekuńczego z Bydgoszczy. Dzięki dobremu odżywianiu przychodzę prędko do siebie, bo np. w ciągu 10 dni przybyło mnie 4,5 kg na wadze i ważę obecnie 64,5 kg w bieliźnie i dobrze wyglądam. – Co słyhać z Jasiem – Zocha nic nie wspominała. Pani z Bydgoszczy przysłała mi paczkę urodzinową z różnymi frykasami, babkami itp. Listy i paczki adresowane na Woldenberg – gdyby mnie już nie zastały – na pewno będą mi doręczone, tak że nie miejcie obawy. Takie silne mrozy, a Tadzik w podróży, lepiej niech nie ryzykuje zdrowia. Załączam serdeczne pozdrowienia!

6 II 1942 r.

STEFAN

*Moi Kochani!*

Zapewne zdziwicie się, że tak często ostatnio piszę. Otóż przed wyjazdem wykorzystuję po prostu tutejsze formularze i chcę dać Wam możliwość, szczególnie Tadeuszowi, żeby mi napisał o różnych drobiazgach, jakie zebrał o Zygmuncie, następnie jak przedstawia się sprawa z Jasiem, co słyhać u Feli, no i u wszystkich naszych bliźszych z rodziny. Jak miewają się Zimowscy, proszę zawsze chrzestną matkę ode mnie pozdrowić, gdyż jest to kochana niewiasta – zawsze najlepiej i najmilej ją wspominam. Co słyhać u ciotki Brożkowej, co Karol porabia, czy Stach Surdacki jest u siebie na gospodarstwie. Czy macie jakieś wiadomości o Kostku, no i w ogóle napiszcie mi po trochu o wszystkim. U nas zima zelżała. Jutro wyjeżdżam. Będę po drodze w Szczecinie i Berlinie. Na otrzymane naklejki nie wysyłajcie zaraz paczek, lecz gdzieś za miesiąc-półtora, w większych odstępach czasu. Wysłałem do Was kołdrę, 2 prześcieradła, 1 poszewkę i 2 koszule. Tam gdzie jadę niektóre z wymien. rzeczy nie będą mi potrzebne, a Wam w domu mogą się przydać. I tak mam 2 walizki. W żyw-

ność jestem zaopatrzony dobrze. Wyglądam dobrze i życzę sobie, abym tak zawsze wyglądał jak teraz. Serdecznie Wszystkich pozdrawiam!

17 II 1942 r.

STEFAN

*Moi Kochani!*

List z 12 II otrzymałem 28-go lutego, a kartkę z 20-go otrzymałem 4 b.m. Cieszę się, że Jaś powraca do zdrowia. Nie będę już do niego pisał, bo na pewno w najbliższym czasie powróci do domu, więc mój list już mógłby go nie zastać w Warszawie. Ogromnie żał mi Jagiły. Czy ostatnio mieszkał u rodziców? Często o nim myślałem, ale nigdy nie pytałem o niego z różnych powodów. Tak serdecznie żegnałem się z nim w 39 r. – odjeżdżając z urlopu jeszcze przed wojną – i już niestety nie będę mógł się z nim zobaczyć. Z ostatniego listu wywnioskowałem, że widziałeś się Tadeuszu w Stanisławowie z ciotką Lili, Dumanowską – ul. Radzymińska 11. Otrzymałem od niej dwa listy. Przy okazji podaj ode mnie dla niej i dla siostry Lili najserd. pozdrowienia. B. chętnie wybiorę się do nich po wojnie. Między oflagami mogą korespondować tylko bracia, wzgl. syn z ojcem. Obóz w Murman jest jednym z lepszych obozów oficerskich. Niemożliwe żeby por. Wit do nikogo nie pisał. Ze składu paczek jestem zadowolony. Zamiast mąki czy ciasta wolę makaron. Paczkę z jabłkami otrzymałem w porządku, a z sokiem spodziewam się w tych dniach. Gdybyś Tadeusz wystarał się o książkę p.t. „Młode Pokolenie Chłopów”, cztery tomy, autor dr Chałasiński – wydaną przez Instytut Kultury Wsi w Warszawie 36 r. W tym miesiącu wysyłam Ci 50 mk. I różowy blankiet. Łączę serdeczne ucałowania dla Staruszków.

16 III 1942 r.

STEFAN

*Moi Kochani!*

List i kartkę z 12 III otrzymałem. Również otrzymałem paczkę z babką, ciastkami, makaronem i smalcem, ale dopiero 8 kwietnia. Dobrze, że nie było rzeczy łatwo psujących się, bo nastaly ciepłe dni. Wszystko przyszło w dobrym stanie. Również pamiętają o mnie w Bydgoszczy, jakkolwiek tam niewesoło, bo matka jest poważnie chora, no i inne przyczyny ogólnej natury. Czekam właśnie na wiadomości od nich. – Cieszę się, że Jaś wraca do zdrowia. Czy może już cośkolwiek robić przy gospodarstwie? Dla Karola, ciotki, Stacha i Stefana przesyłam serd. pozdrowienia. Co do Twego Tadeusz wyjazdu do winnicy Zygmunta to może niezła myśl. Tylko uważaj na Ukraińców, bo mogą Ci nogę podstawić. Mam duże podejrzenia, że Zygmunt nie zginął za granicą lecz z rąk tych hajdamaków. U mnie nie ma żadnych zmian. Stan zdrowia znacznie się poprawił. Nie jestem tu sam. Już zaprzyjaźniłem się z kilkoma młodymi oficerami, nawet z jednym Stasiakiem chodziłem do tej samej klasy w Kraśniku. Każdemu prawie ktoś zginął na wojnie, a nawet po kilka osób z rodziny. Czekamy tylko z niecierpliwością na rozwiązanie. Zauróciłem Tadeuszowi głowę tą książką, trzeba się czems rozerwać. Na święta wysłałem Wam 50 mk. I w tych dniach również wysyłam 50 mk. Wysyłam różowy blankiet na książki ewnt. na pidżamę. Całuję Wszystkich mocno i ściskam serdecznie!

19 IV 1942 r.

STEFAN



*Moi Kochani!*

List Tadeusza z 31 III otrzymałem 16 IV. W końcu kwietnia otrzymałem 2 paczki – w jednej był spis przysłanych rzeczy z datą 10 IV. Połudwica przyszła dobra, lecz kielbasę dla pewności musiałem przesmażyć ze smalcem i również jest dobra. Teraz w lecie trudniej takie rzeczy przysyłać. Świetne są obwarzanki i z jednej, i drugiej paczki. Poza tym wszystko w porządku. – Nadeszła już wiosna i w normalnych latach w gospodarstwie jest miła praca – ale w obecnych warunkach na pewno Wam wszystkiego brak do obsiania i obsadzenia, a tu wojna się ciągnie. Zdawałoby się, że w ciągu lata obydwie siły powinny się zetrzeć na proch. Nam też się sprzykrzyło tu siedzieć. Ciekaw jestem, czy uda się Tadeuszowi wystarać się o książkę. Tutaj mamy zbyt małą bibliotekę w porównaniu do Woldenbergu – więc się człowiekowi i trochę dłużej bez zajęcia.

Pidżamę otrzymam z Bydgoszczy, gdyż już dawno kupili ją dla mnie, o czym nie wiedziałem. Czy otrzymaliście 50 mk wysłane do Was na święta. Niedawno wysłałem znowu 60 mk. Dla Waszych warunków to są grosze, ale np. na książki się przydadzą. Poza tym ciekawi mnie za kogo wyszła za mąż Sułkówna. Myślałem, że może ktoś z miejscowej inteligencji pokusi się na to cacko. Przymuszam, że miejscowi ludzie może z początku patrzyli na byłych urzędników jako ludzi już bez znaczenia, ale ja jestem głęboko przekonany, że taki Kostek Jag. gdyby się uchronił, to na pewno po wojnie w krótkim czasie mógłby zostać starostą i to dobrym starostą, oczywiście po dopełnieniu studjów prawniczych. Szkoda chłopca. Jak tam trzyma się Longin. Matka powinna mieć tam z niego pociechę. Tylko za długi urlop zrobiła mu wojna. Co słyhać u Feli, Zimowskich, no i innych znajomych. Serd. pozdrowienia!

12 V 1942 r.

STEFAN

*Moi Kochani!*

W końcu maja wysłałem do Was kartkę z fotografią. Jeżeli otrzymacie to mi napiszcie. O paczkach pisałem poprzednio. Ostatnią otrzymałem 12/5 z boczkim, połudwicą, ciastkami i makaronem. W tych dniach przyszły dwa tomy Chałasińskiego. Jestem Tadeuszowi bardzo wdzięczny. Jest to po prostu moja biblia w niewoli. W Woldenbergu mieliśmy całą bibliotekę o wsi. Do Pawliny napisałem już kartkę. Tadeusz mi wspominał o Instytucie w Bydgoszczy. O ile wiem to funkcjonuje, ale nie ma tam ani jednego Polaka. Zresztą nie potrzebuję tłumaczyć, że oficera w niewoli obowiązują pewne prawa moralne, których nie może przekroczyć pod żadnym pozorem. – Co u Was słyhać? Jak się mają mate berbecie Jasia, Zochy i Feli. Czy macie jakiegokolwiek wiadomości o naszym Kostku. Przynajmniej niech Longin i Tadeusz trzymają się dobrze Urzędowa, żeby tylko przetrwać szczęśliwie wojnę. Dla Stacha łączę serd. pozdrowienia i życzę pomyślności. Czy bywa u Was? Jak tam trzymają się starszankowie, a szczególnie matka? Już chciałbym Was wszystkich nareszcie zobaczyć, bo to już trzy lata upływa, a tu końca nie widać. Tym razem przysyłam dwie okolicznościowe fotografie. Żałuję, że nie mogę wysłać większej i pojedynczej. Napiszcie mi po

otrzymaniu tego listu. W żywność zaopatrzony jestem dobrze. Apetyt mam średni. Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia!

12 VI 1942 r.

STEFAN

*Moi Kochani!*

Paczkę z 5 VII otrzymałem w porządku. Jeżeli możecie to przyślijcie kawałek dobrze wysuszonego sera, poza tym cebuli, no i pomidorów zaczynających dopiero dojrzewać (w osobnym opakowaniu). W czasie drogi dojrzewają. Ze zdrowiem stoję tak jak poprzednio. Tutaj dopiero zaczęło się lato, a jak u Was? Chyba ciężkie macie żniwa. Chciałbym jednak być teraz w Urzędowie, najpiękniejsza pora. Wysyłam blankiet. Serd. pozdrowienia.

10 VIII 1942 r.

STEFAN

*Moi Kochani!*

Ostatnio pisałem do Was 8 czerwca i 13 lipca. Nie mogłem częściej, gdyż chciałem i gdzie indziej parę słów przestać. Przed paroma dniami otrzymałem od Was paczkę z 5-go lipca. Wszystko było wg spisu. Poziomki są świetne. Obwarzanki dobre, ale wolałbym jednak np. makaron, gdyż rzeczy gotowane bardziej mi smakują. Mam również apetyt na jajka, ale widzę, że po tej nieudanej próbie więcej nie ryzykujecie. Jeżeli się jednak dobrze zapakuje to przychodzą całe. Koledzy otrzymują, ale w dobrym opakowaniu (nawet tekturowym). Najlepiej w mniejszym pudełku z przegródkami na 8–10 jajek, które się wkłada do paczki żywnościowej. – Cieszę się, że otrzymaliście moje fotografie. Trudno o lepsze. Na jednej jestem z oficerami serbskimi. Przed paroma dniami otrzymałem list od kol. Pawliny. Żeni się wkrótce. Widzę, że dość dużo ludzi młodych żeni się. Ciekaw jestem czy Tadeusz jest w domu jeszcze. Macie na pewno już żniwa. W tut. okolicy kłosa żyta jeszcze zielone (na zachód od Berlina). W początku lipca wysłałem 60 mk. Napiszcie gdy otrzymacie i w ogóle opiszcie mi jak się przedstawia teraz praca w gospodarstwie. Tutaj mamy chłodne i pochmurne lato. Czy u Was jest tak samo? Jak tam trzyma się Józef Właźlak, czy zachodzi jeszcze na pogawędki. Jest teraz o czym mówić. Napiszcie mi o tem i owem. Tymczasem przysyłam dla wszystkich najserd. pozdrowienia!

18 VIII 1942 r.

STEFAN

*Moi Kochani!*

Dziś otrzymałem list od Zochy z 19 X. Nie bądźcie naiwni w sprawie zwalniania jeńców, zwłaszcza oficerów. Inwalidzi bez rąk i nóg siedzą już po 3 lata w niewoli. W dodatku ja nie robiłem żadnych starań (to nie jest prosta sprawa), a poza tym 3/4 roku przebywam już w szpitalu. Żadnych chorych nie zwalnają, chyba Volksdeutschow. Potrzebują ludzi zdrowych do roboty i to za cenę pewnych zobowiązań. Następnie co za narzeczoną w Poznaniu Zocha wykombinowała? Nie rozumiem! Wynioskowałem, że byliście również zatrwożeni wywiadem. Nikt już większej krzywdy nie jest w stanie wyrządzić niż bakterie Kocha. Toteż żadnych wywiadów się nie lękajcie. Może to o Zygmunta chodziło. Najbardziej mi żal tych gęsi. Był to zwykły szantaż na bojaźni ludzkiej. To ja 3 lata w niewoli siedzę i nie zjadłem w tym czasie ani skrzydeł-

ka z drobiu, a tu naraz 2 gęsi. A Tadeusz i Wy musicie pracować o chłodzie i głodzie. Trudno to sobie wyobrazić wszystko. Ale nareszcie raz się wykorzeni to pojęcie, że za cara i za Niemca było tak i tak. Ostatnio otrzymałem paczkę amerykańską. Nie wysilajcie się sami na paczki, bo i tak już Was objadłem przez całą niewolę.

Dla Stefana. Jeżeli Cię dotknąłem przykro w ostatnim liście jakimś ogólnikiem to najmocniej przepraszam. Pisząc pod adresem kolegów nie myślałem o Tobie, gdyż jesteś dla mnie więcej niż kolegą, bo bliskim moim krewnym. Motyw mej wypowiedzi: rodzinie mej z tytułu wojennych uszkodzeń należy się pewna ochrona ze strony miejscowego społeczeństwa!! Obowiązuje to i w czasie wojny!!

3 XI 1942 r.

STEFAN

Moi Kochani!

Na pewno dziwicie się, że w ostatnich czasach tak często do Was piszę. Chcę się po prostu wypowiedzieć w różnych sprawach czy to dotyczących mego zdrowia, czy domowych stosunków. Zdaję sobie sprawę, że obecny mój stan zdrowia pozostawia dużo do życzenia. O ile się orientuję, nie ma prawie żadnych widoków na poprawę. Od trzech miesięcy trapi mnie gorączka, na skutek czego straciłem na wadze i w ogóle na odporności. Nie wiadomo, którego dnia może nastąpić kryzys i właśnie dlatego staram się jeszcze napisać o tem i owem. Przede wszystkim miejcie na oku dwu młodych chłopaków, bo jak widzicie ja i Zygmunt praktycznie biorąc odpadliśmy od rodziny. Żałuję, że tak wcześnie przerwana została nauka Longina. Nie miałem nawet możliwości spłacić długu zaciągniętego wobec Was wszystkich, a do tego przyszła ta przykra niewola. Poza tym nie wiadomo, co się dzieje z dziećmi Zygmunta. Ostatnio słyszałem z gazet, że Polacy z Kazachstanu mieli być przewiezieni do kolonii angielskich w Płdn. Afryce. Być może, że dadzą znać o sobie, o ile przetrwali pierwszy, ciężki okres wojny. Nic mi nigdy nie piszecie o Kostku, co się z nim dzieje, a jak Jaś czuje się ze zdrowiem po dawniejszej operacji. Tyle co do spraw ogólnych. Ostatnio otrzymałem od Was 2 paczki (z tych 3 blankietów). Wszystko było w porządku. Niech Zocha napisze jakie listy, z jaką datą, otrzymaliście ode mnie w ostatnich tygodniach. Specjalnie mi na tem zależy. – Tymczasem Wszystkich najserdeczniej pozdrawiam: Zimowskich w Świdniu, a szczególnie chrestną matkę.

30 XI 1942 r.

STEFAN

Oprócz listów do domu Stefan pisał też do brata, który był w obozie w Sonnebergu. List z 9 stycznia do Tadeusza był ostatnim listem od Stefana.

Kochany Tadeuszu!

Twoją kartkę otrzymałem 29 XII 42 r. Byłem informowany o Tobie przez Zochę. O przyjeździe do mnie wcale nie myśl. Stan zdrowia słaby. Nie sądziłem, że uchwycę rok 1943. Myśl o sobie i kontroluj zdrowie u lekarza. Listy z domu otrzymałem. Po wojnie nie siedźcie z Longinem w Urzędowie. Myślę, że nabrałeś już pewnego doświadczenia. Ściskam Cię serdecznie!

9 I 1943 r.

STEFAN

2 lutego 1943 r. Cieśliccy otrzymali z lazaretu list od ppor. Waclawa Chmielewskiego, w którym zawiadamiał ich o śmierci syna.

Drodzy Państwo!

Stefan zmarł w nocy na 23 bm. Ciężko mi po tym pisać do Jego Rodziców, lecz zdaję sobie sprawę, iż te smutne wiadomości są dla Państwa drogim. Powodem jego śmierci była gruźlica jelit i dlatego ratunek dla Stefana nawet przy najlepszych warunkach był niemożliwy. Do ostatniej chwili zachował pełną świadomość, trzeźwość, i równowagę umysłu i ducha. 22 bm. wieczorem usnął i już się nie przebudził. Pochowany został w zbiorowej mogile na szpitalnym cmentarzu wojskowym, wśród Polaków. Wszelkie sprawy Stefana zostały zlikwidowane w myśl dyspozycji pozostawionych przez Niego na piśmie. Na adres Państwa została wysłana (przesyłka urzędowa) walizka z nast. zawartością: 11 par skarpet, 3 koszule, 2 p. kaleson, 1 pidżama (komplet), 1 sweter, 1 szal, 1 p. rękawiczek, 1 spodenki, 1 powłoczka na poduszkę, 4 chusteczki oraz 26 fotografii. Poza tym po zlikwidowaniu rzeczy nienadających się do wysyłki, uzyskana kwota 305 mk została również przekazana na adres Państwa. Jeżeli Drodzy Państwo macie jakieś pytania proszę pisać w odpowiedzi jak również proszę o wiadomość o otrzymaniu wymienionych przesyłek. Pozostaję z szacunkiem

2 II 1943 r.

Waclaw Chmielewski

17 marca 1943 r. Józef i Marianna otrzymali list od ppor. Feliksa Piłata, z którym Stefan przebywał do lutego 1942 r. w obozie w Woldenbergu.

Szanowni Państwo!

Prawdopodobnie otrzymaliście już smutną wiadomość o śmierci Waszego syna Stefana. Zmarł na gruźlicę w szpitalu w Tangerhutte w dniu 21 I 1943 r. Był on naszym serdecznym kolegą i stratę jego odczuliśmy b. boleśnie. Zbliżyliśmy się do siebie w organizacji ideowo-społecznej pod nazwą Koła Kultury Wsi, w której Stefan był członkiem zarządu. Gdy był jeszcze zdrowy, a nawet podczas początku choroby, dużo rozmawialiśmy o życiu na wolności, nie tylko osobistym, ale i o zadaniach społeczno-kulturalnych na wsi. Do 20 II 1942 r. był w naszym obozie w Izbie Chorych i mogliśmy się nim opiekować. Chory miał możliwe odżywianie, lekarstwa i cieszył się bardzo okazywaniem mu dużo serdeczności przez odwiedzających go wielu kolegów. Podczas choroby zachowywał się spokojnie i po męsku. Nie tracił nadziei na wyzdrowienie, chociaż rozumiał dobrze, że jest chory poważnie. Nie pisał do Was o chorobie, nie chcąc Was martwić. Potem wyjechał do szpitala dla gruźlików i odtąd rzadko mogliśmy korespondować i to pośrednio przez znajomych w kraju. W dniu 6 bm. (1943 r.) odprawiła się msza św. za spokój duszy. W pamięci naszej pozostanie on na zawsze. W imieniu grupy kolegów i własnym wyrażam Państwu głębokie współczucie i łączę serdeczne pozdrowienia.

17 III 1943 r.

Ppor. Piłat Feliks



W styczniu 1944 r. rodzice otrzymali wiadomość z PCK dotyczącą śmierci i rzeczy pozostawionych w obozie przez zmarłego syna.

Warszawa, dnia 14 stycznia 1944

Polski Czerwony Krzyż  
Biuro Informacyjne  
Warszawa

W Pan  
Józef Cieślcki  
Urządów koło Kraśnika  
pow. Janów Lub.

Dotyczy depozytu Nr 13716  
Ppor. Cieślckiego Stefana  
Biuro Informacyjne Polskiego Czerwonego Krzyża  
(Warszawa, ul. Smolna nr 17)

Niniejszym uprzejmie zawiadamia, że jest w posiadaniu depozytu Nr 13716 – należącego do syna Pana – ppor. Stefana CIEŚLICKIEGO.

Depozyt ten zawiera: walizkę, portmonetkę, szereg fotografii, obrazek św., zasuszone kwiaty, 3 chustki, 3 koszule, piżamę, 2 pary kałesonów, kąpielówki, pulower, szalik, 1 para rękawiczek, 10 par skarpetek, poszewkę na poduszkę, 1 grosz i zgodnie z obowiązującymi przepisami może być wydany w pierwszym rzędzie żonie i dzieciom deponenta, następnie rodzicom, a jeżeli ci nie żyją – rodzinie. O ile syn Pana nie był żonaty, wyżej wymieniony depozyt może być Panu wysłany bez odpowiedzialności z naszej strony za całość jego doręczenia, po nadesłaniu urzędowego zaświadczenia, stwierdzającego, że jest Pan ojcem ppor. Stefana Cieślckiego, który zmarł w niewoli niemieckiej. W zaświadczeniu tym należy zaznaczyć numer jego jako jeńca oraz że ppor. Stefan Cieślcki nie był żonaty. W wypadku, gdyby Pan ze względu na pewne ryzyko wysłania depozytu pocztą życzyłby sobie, aby depozyt był wydany komuś z rodziny lub znajomych Pana, należy, aby osoba zgłaszająca się po depozyt posiadała upoważnienie do jego odbioru wystawione przez Pana, przy czym w upoważnieniu tym winny być uwzględnione wyżej wspomniane szczegóły i podpis Pana musi być poświadczony przez władze administracyjne. Zawiadamiając o powyższym, pozwalamy sobie wyrazić Panu serdeczne współczucie z powodu bolesnej straty jaką jest dla Pana śmierć syna.

Dyrektor  
Polskiego Czerwonego Krzyża  
Dr Wł. Gorczycki

Przez cały okres niewoli Stefan otrzymywał pomoc ze strony Marty Wawrzyniak – gospodyni, u której mieszkał w Bydgoszczy przed wybuchem wojny. Utrzymywała ona stały kontakt zarówno z nim w obozie, jak i z rodziną Cieśllickich w Urzędowie. Zarówno Wawrzyniakowie, jak i Cieśllicki starali się na miarę swoich możliwości, pomagać sobie w tych trudnych czasach. Ostatni z zachowanych listów Pani Wawrzyniak pochodzi z 1953 r.

Zamieszczamy tutaj trzy listy z różnych okresów pobytu Stefana w niewoli oraz list dotyczący wiadomości o jego śmierci w Tangerhutte.

Szanowni Państwo!

Donoszę jako w tych dniach otrzymałam wiadomość od pana Stefana, że jest zdrowy i przebywa w niewoli w Niemczech. Równocześnie zapytuję się, czy pan Tadeusz powrócił szczęśliwie, bo myśmy dotychczas żadnej nie otrzymali wieści. Serdecznie Państwa pozdrawiam.

16 XI 1939 r. (Bromberg) Bydgoszcz

M. Wawrzyniak

Szanowni Państwo!

Ostatni list od Państwa otrzymałam 4/3 – serdecznie dziękuję. Bardzo to smutne, że jeszcze Państwo nie mają pewności co do miejsca pobytu syna. Bardzo proszę napisać do Internationales Rotes Kreis – Genef (Schwaiz), podać szczegóły ostatniego miejsca pobytu. O ile znałabym wszelkie dane to napisałabym z Bydgoszczy do aibajcajgu, ale nie mogę. Pan Stefan teraz otrzymuje znowu paczki od Państwa. Na kopercie proszę zawsze podawać nadawcę, bo z tego powodu miał trudności w odbiorze listów. Na razie wszystko po dawnemu. Zdrowie na razie nam dosyć sprzyja, ale czy długo będzie można tak przetrwać tego nie wiem. Co słychać u Państwa? Niemcy mogą większe paczki wysyłać, ponieważ jest dozwolone. W ostatnim liście pisał p. Stefan jako czuje się zdrowy i dobrze wygląda, ale w to wszystko trudno mi uwierzyć. Jeśli czas pozwoli to proszę napisać choć kilka słów, bo bardzo cieszymy się każdą wiadomością i listem. Przesyłam Państwu szczere pozdrowienia.

11 III 1940 r.

M. Wawrzyniak

Sza. Państwo!

Za ostatni list serd. dziękuję. Treść już była tak przygnębiająca, żeśmy obie z mamusią płakały jak dzieci. Ze czcią po prostu całuję te drogie ręce „matki”, której los zgotował tyle cierpień za swe koch. dzieci. Pana Stefana w tej 3-letniej niewoli pokochałyśmy i jest nam drogi i płaczymy również jak wróci. Tak Boga proszę o Jego zdrowie i powrót, ale nie wiem, czy zdołam uprosić. Dzisiaj dzień Bożego Narodzenia, a ja wróciłam ze szpitala po operacji. Przez 8 tygodni męczyłam się bardzo, po prostu do obłędu miałam bliżej. Mieliśmy 3-ch lekarzy, ostatecznie 3 zaraz przekazał do szpitala na operację. Okazało się miałam wtedy wrzody na kiszki. Jeszcze długo będę musiała leżeć. Mieliśmy dużo kłopotów, bo nie było miejsca w żadnym szpitalu i tak 2 dni wozili w wozie chorych z miejsca na miejsce. Już Bogu dziękuję, że jestem w domu. Żeby tak Pana Stefana zwolniono, byłaby opieka i pomoc inna. Nieraz dostaję od znajomych jabłuszka i wszystko chowamy dla chorego. Żeby tak można trochę drobiu dostać, ale to już zupełnie wykluczone u nas. Może Pani ma możliwość upiec dobrze z tłuszczem mąkę bez wody, coś z drobiu kości wyjąć, włożyć do puszki, zalać tłuszczem. Dawniej tak wysyłałam, ale teraz nic nie ma. Uważam, że na wsi większa możliwość, a p. Stefanowi trzeba teraz wysyłać rzeczy tłuste, bo biedny chory, więc nie ma ochoty dopiero przyrządzić, a na pewno z mięsa nic nie dostaje, a potrzeba mu sił do przetrwania choroby – dlatego musimy go ratować. Jak otrzymam blankiet – to zaraz wysyłam trochę konfitur, jabłek i różnych innych

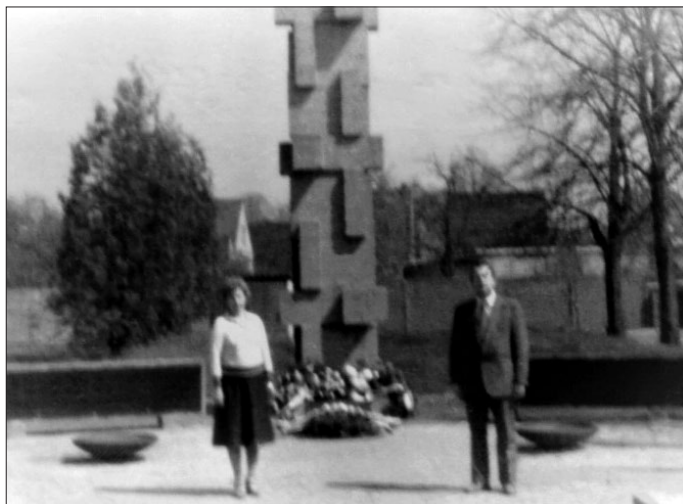
rzeczy gotowych. Pan Tadzio do nas pisał już 2 razy. Uważam, że bardzo dobrze zrobił. Był to krok poważny i ostateczny. Mało rodzin w tej wojnie nie ucierpiało, ale Państwo dotknięci są najsrodzej. Z Longina mojego to teraz wyrósł na pewno kawaler. Dzięki Bogu, że jeszcze on jeden z rodziną. A Basieńka małutka czy dobrze się chowa? O przyszłości w ogóle się nie myśli tylko żyje z dnia na dzień. Na dzisiaj kończę, bo trudno w łóżku pisać. Z okazji Świąt i Nowego Roku tylko jednego życzę. Dla całej rodziny zdrowia! Szczęśliwego przetrwania wojny. Pozdrawiamy wszyscy serd. Proszę o odpis!

24 XII 1942 r.

M. Wawrzyniak

Ukochani Państwo!

Jak mi dzisiaj ciężko pisać ten list, bo litery we łzach się mieniają. Nawet nieco wcześniej otrzymałam tę chyba najsmutniejszą wiadomość, bo 5 II 43, w dzień urodzin zmarłego. Pisał mi kolega ś.p. Stefana, wypełniając ostatnią wolę, ażeby mnie zaraz powiadomić. Jak ja tę wiadomość przyjąłam, tego na papier przelać nie można. Moja Mamusia tak płakała, jak gdyby to jej syn był. Ja do ostatniej chwili łudziłam się, że może jeszcze jakiś czas przetrwa, a potem złączy się wszystkie siły, nie zważając zupełnie na koszt, byle tylko uratować Pana Stefana. Wszystkie marzenia i wysiłki o naszego kochanego jeńca spełzły na niczym. Bóg go przestał do siebie, nie zważając na nasze wołania i cierpienia rodziców, a ziemia nieubłagana jego drogie szczątki okryła na wieki i już nigdy nie wyda. Jedyną moją pamiątką pozostała fotografia Zmarłego, ciągle milcząca i spokojna. Nie mogę się z myślą pogodzić, że już nigdy paczki nie będę wysyłać, że już jemu nic nie potrzeba, a robiłam to tak chętnie, a drobnostki które otrzymywałam, wszystko chowałam dla naszego „Bohatera”, ażeby choć w małej mierze uprzyjemnić życie Jego w niewoli na obczyźnie. Nie pisał nam zmarły nigdy jaki faktyczny stan jego zdrowia, nie chciał martwić, ale z drugiej strony więcej byłabym przygotowaną na śmierć, w którą uwierzyć nie mogę. Co do mego zdrowia to jeszcze nic dobrego napisać nie mogę. Możliwe, że będę jeszcze raz operowana. Ostatnie dni ogromnie schudłam, chodzę jak lunatyczka. Dlaczego ja nie mogłam zastąpić swoją śmiercią p. Stefana. Ja przyszłości mniej będę potrzebna – może wcale, ale takich jak nasz Koch. Zmarły będzie brakować i dlatego Jego strata jest ogromną – nie tylko dla nas. Dzisiaj kochani Państwo pocieszyć Was nie zdołam, bo cierpienie za przegromne, jedynie czas przynosi ukojenie, ale nigdy zapomnienie. Droga Pani Zosiu! Dziękuję Pani serdecznie za wszystkie listy tak serdeczne i szczerze i proszę o mnie nie zapominać teraz i nadal będziemy wypowiadać sobie troski i dolegliwości. Proszę mnie po prostu nazwać „Martą” bo nie lubię tego słowa „Pani”, ono takie obce i myślę, że zrozumiemy się dobrze. Wszystkie pozostałe przedmioty należące do zmarłego prześlę, ale po wojnie, bo teraz wysyłać ich nie można. A może przyjedzie ktoś z Państwa do nas. Są prawie nie noszone buty polowce, może już teraz potrzebne p. Tadcowi? Jak patrzę na rzeczy Zmarłego to mi serce chce pęknąć, że już nigdy go nie zobaczę i do nas nie powróci. Mając tyle



zmarwień jeszcze Państwo o nas pomyśleli, przysyłając drugą paczkę, tak kosztowną. Kiedy wyrównam mój dług wobec Państwa? Czy zdołam to przeżyć wszystko? Longinku! Ty jeden teraz pozostałeś, napisz do twej dawnej „Paniusi” jak ją nazywałeś, a ucieszę się bardzo. Twój rówieśnik Longinku Jurek Kowalski na pewno pójdzie do wojska!!!

Proszę już nie wysyłać nic ujmując sobie, ażeby do nas przestać. Rodzicom Pani i Pani rów. dziękuję. Paczkę otrzymałam w całości, ale poprzednio słoninę zaplombowano w urzędzie celnym i trzeba było pójść do rzeźni do badania trychniny. Wszystko oddano z powrotem. Nowe rozporządzenie. Czy Basiunia już zdrowa? Zmartwiła mnie bardzo choroba tej małej roślinki. Muszę jeszcze i to donieść, że równocześnie z wiadomością o śmierci ś.p. Stefana nadszedł telegram z Poznania – ojciec mej mamusi zmarł. Były trudności ogromne, ale jakoś udało się Mamusi mej pojechać na pogrzeb ojca i właśnie wczoraj powróciła. Dziwne to zdarzenie losu prawda? Dziadzius mój miał lat 86 – trzymał się dobrze, dopiero teraz już brak odpowiedniego odżywiania położył kres jego życiu. List ten tak długi piszę urywkami. Przyznam, że najchętniej chciałabym teraz być u Państwa i poznać całą pozostałą rodzinę Drogiego Zmarłego i wzajemnie wypowiedzieć mój smutek i wyplakać się do reszty. Czy to kiedyś się w ogóle spełni? Już w nic nie wierzę i na nic nie czekam, jedynie jedno najpewniejsze śmierć. Jakie myśli moje smutne



*i list mój i na pewno niechętnie będą Państwo czytać, ale inaczej nie mogę. Bardzo proszę o list obszerny jeżeli czas pozwoli. Żegnam mych Koch. Państwa pogrążonych w głębokiej żałobie.*

16 II 1943 r.

Wdzięczna Marta

Oryginały listów Stefana Cieślckiego zostały przekazane przez Andrzeja Cieślckiego do Muzeum Obozu w Dobiegniewie, w czasie wojny Oflag II C Woldenberg.

Opracowano na podstawie biografii rodziny autorstwa Andrzeja Cieślckiego *Jedni z wielu*, Pabianice 2022.

Tadeusz Moch

## Wojenne dzieje Jerzego Jacniackiego

Jerzy Tadeusz Jacniacki, syn Macieja i Marii z Pytlakowskich, urodził się w Urzędowie w 1913 r.

W 1942 r. Wołyń sphywał polską krwią. Oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii przeprowadziły to, co się dzisiaj nazywa czystką etniczną, paląc polskie osady i mordując ich mieszkańców. Powstawały samorzutne ośrodki samoobrony wspierane przez struktury organizacyjne Armii Krajowej bronią i instrukcjami. Łucki inspektorat AK „Osnowa” sprawował pieczę nad obwodami: Horocków, Kiwerce, Łuck, Włodzimierz. Najsilniejszym z ośrodków były Przebrąże w obwodzie Kiwerce, gdzie do końca okupacji niemieckiej skupiło się 20 tysięcy przebrążan i mieszkańców mniejszych, słabszych skupisk polskich. W 1943 r. znalazł się tam również plutonowy rezerwy Jerzy Jacniacki, który w 1941 r. po zajęciu Wołynia przez armię niemiecką wyjechał z Urzędowa do rodziny posiadającej gospodarstwo rolne z nadania za zasługi ojca w okresie zdobywania niepodległości.

20 stycznia 1944 r. dowództwo inspektoratu AK zarządziło, aby oddział z Przebrąża udał się na koncentrację tworzącej się 27. Wołyńskiej Dywizji AK na północny wschód od Włodzimierza. Temu rozkazowi oddział nie podporządkował się, nie mogąc pozbawić ludności miejscowej i uciekinierów dostatecznej ochrony. Na koncentrację odszedł tylko niewielki pluton. 30 stycznia dotarły do Przebrąża pierwsze zwiady nacierającej armii radzieckiej, a po paru dniach wkroczyły oddziały regularne. Załoga Przebrąża została zdemobilizowana – pozostawiony kilkudziesięcioosobowy oddział miał bronić Przebrąża przed napadami Ukraińców, a wielu żołnierzy zasililo szeregi I Armii WP, która wkroczyła na te tereny. Część, wśród której znalazł się dowódca ochrony Przebrąża Henryk Cybulski oraz Jerzy Jacniacki, wstąpiła do organizującej się pod dowództwem Józefa Sobiesiaka „Maksa” Brygady Desantowej „Grunwald”.

Załączkiem brygady był samorzutnie powstały oddział partyzancki „Maksa”. W jego skład wchodził Polacy, Ukraińcy oraz Rosjanie – uciekinierzy z obozów jenieckich. Powstał w pierwszych miesiącach 1942 r. i był wtedy jedynym oddziałem partyzanckim w rejonie na wschód od Kowla. W listopadzie tegoż roku, gdy na Wołyniu znaleźli się partyzanci radzieccy, wszedł w skład radzieckiej brygady partyzanckiej, a w niespełna rok później został przekształcony w samodzielną brygadę

partyzancką imienia Frunzego – liczyła około 400 ludzi – prowadzącą akcję sabotażowo-dywersyjną w obrębie swego działania. Nawiązała w tym zakresie również współpracę z załogą Przebrąża. Po wkroczeniu na teren Wołynia Armii Czerwonej brygada im. Frunzego została rozwiązana, a „Maks” po zwolnieniu z niej obywateli Związku Radzieckiego wcielonych w szeregi tej Armii miał zorganizować z pozostałych Polaków i zwerbowanych ochotników brygadę dywersyjną, która miała działać na tyłach wojsk niemieckich. Znaczną ilość żołnierzy brygady noszącej nazwę „Grunwald” stanowili żołnierze samoobrony Przebrąża i innych polskich wsi – w maju 1944 r. ich liczba sięgała 900 osób, z których utworzono trzy bataliony. W batalionie drugim służył plutonowy Jerzy Jacniacki. Pomimo że na Wołyniu znajdowała się już znaczna ilość wojsk radzieckich, działania UPA nie osłabiły się. Brygada prowadziła walki i potyczki ze „strilcami”.

W działaniach partyzanckich nie zawsze się sprawdzają oficerowie służby czynnej. Tak było w przypadku dowódcy 2. batalionu brygady „Grunwald” kapitana D. Postanowiono przenieść go do sztabu, a na bojowe stanowisko dowódcy znaleźć odpowiedniego kandydata.

Tak pisze o tym Józef Sobiesiak w swych wspomnieniach *Brygada „Grunwald”*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1964, s. 44–47 [lekko koloryzując – przyp. T. M.]:

*Wpadł mi w oko pewien plutonowy rezerwy z tegoż drugiego batalionu. Nazywał się Jerzy Jacniacki. Zanim trafił do nas był dowódcą samoobrony w swojej wsi w powiecie horochowskim na Wołyniu. Wyróżniał się wyjątkową zaradnością, dbałością o ludzi i autorytetem, który dość szybko pozyskał sobie wśród partyzantów. [Po naradzie w sztabie] zdecydowaliśmy się mianować go dowódcą batalionu.*

*Wezwałem Jacniackiego do siebie. Przyjechał na swojej klaczy, pieszczośliwie nazywanej Lalką. Zrećnie zeskokczył z siodła, wyprężył swoją wysoką, smukłą sylwetkę i energicznie się zameldował. Przyjrzałem się mu z zadowoleniem. Był czysty, gładko ogolony, miał świetnie dopasowany mundur.*

*– „No, no” – zamruczałem. W naszych warunkach nie był to częsty widok. – „Aleś się bracie wyelegancił!” – zauważyłem, przyglądając się chłopcu z leciutkim uśmiechem.*

W odpowiedzi wyszczerzył radośnie zęby i podkreślił zawadiackiego wąsa.

– „Niczym pan oficer” – ciągnąłem, nie spuszczać z niego wzroku. – „Czy aby te belki pasują do takiego munduru?”

Jeszcze się uśmiechnął, ale w jego żywych, niebieskich oczach pojawił się niepokój.

– „Mnie się wydaje, że bardzo nie pasują” – powiedziałem z dezaprobatą. „Ano bracie, zdejmuj mundur!”

Uśmiech na jego twarzy przekształcił się w żalony grymas.

– „Kiedy ja naprawdę...” – zaczął.

– „Zdejmuj!” – przerwałem mu zdecydowanie.

Teraz już bez słowa wykonał polecenie. Stał przede mną jakoś nieporadnie, wyciągając zdjęty mundur w moją stronę, wyglądał jak uczeń złapany na gorącym uczynku.

– „Odpruj belki!” – rozkazałem.

Zupełnie zdezorientowany, przestraszony, przygarnął mundur do piersi i znieruchomiał.

– „No już!” – ponagliłem go. – „Na co czekasz?”

– „Za co?” – wystękał. – „Służę... jak umiem. Dlaczego? Ja naprawdę nic złego... Za co? Mundur mogę zmienić, ale belki?”

– „Właśnie belki” – powiedziałem. – „No już! Zrywaj!”

Był do głębi poruszony. Spojrzał na mnie z niewystawionym żalem, po czym pochylał głowę nad mundurem i drżącymi rękoma odpruł naszywki.

– „Jak Boga kocham, nic nie rozumiem!” – wybuchnął nagle.

I wtedy na mojej wyciągniętej dłoni zobaczył gwiazdki. Gapił się na nie jak sroka w gnat, byłby nigdy nie oderwał od nich oczu, gdybym go nie popędził:

– „Jeszcze nic nie rozumiesz? No, przyczepże je, u licha!”

Powoli wyciągnął rękę, zgarnął z mojej dłoni gwiazdki, zerkając na mnie spode łba, wciąż ponury, niepewny, umieścił je na naramiennikach.

– „A teraz” – powiedziałem – „włóż mundur i zapnij go porządnie!”

Włożył mundur, zapiał się.

– „Pięknie” – uznałem z satysfakcją. – „Zupełnie co innego. Teraz już jesteś prawdziwym dowódcą batalionu. Poruczniku, gratuluję nominacji”.

– „Chryste!” – jęknął. – „To nie żarty?”

– „Jakie żarty” – odpowiedziałem poważnie, wyciągając do niego rękę. – „Zostałeś mianowany dowódcą drugiego batalionu i od dzisiaj obejmujesz funkcję”.

Mógłbym przysiąc, że widziałem tży wzruszenia w jego oczach. Trudno mu się zresztą dziwić – po obawach przed degradacją taki... żart w gruncie rzeczy zabawny, ale i trochę okrutny.

Zrozumiałem to, kiedy jechaliśmy z Jacniackim do jego batalionu, a on się przyznał, że w pewnej chwili czuł się tak, jakby go ktoś w głębie strzelił. Po prostu nie widział najmniejszych powodów, do tak wysokiej nominacji.

– „Trudna będzie robota” – powiedział. – „I cholera wie, czy chłopcy to dobrze przyjmą”.

– „Przyjmą, przyjmą” – zapewniłem go.

Kiedy zarządziłem zbiórki i stanęliśmy przed frontem batalionu, na wszelki wypadek dałem chłopakom do

zrozumienia, że żadne lekceważenie rozkazów nowego dowódcy nie będzie tolerowane.

– „Słuchajcie” – powiedziałem na zakończenie. – „Macie nie tylko słuchać we wszystkim porucznika Jacniackiego, ale i pomagać mu. Koleżeństwo koleżeństwem, ale nie jesteśmy na majówce, chłopaki, i myślę, że zawsze będziecie o tym pamiętać. Życzę powodzenia Wam i waszemu nowemu dowódcy”.

Sprawa wcale nie była łatwa. Jacniacki początkowo miał niemało kłopotów z opanowaniem batalionu, ale potem, wyrobiwszy sobie należyty autorytet, doprowadził swoją jednostkę do stanu wzorowego i radził sobie z nią w sposób znakomity.

W połowie maja brygada została podporządkowana Polskiemu Sztabowi Partyzanckiemu, który zaniechał pierwotnego planu skierowania jej na Lubelszczyznę, po sforsowaniu linii frontu na północ od Kowla, lecz w rejon na południowy wschód od Kielc. Wyłoniona została kilkudziesięcioosobowa grupa desantowa pod dowództwem majora „Maksa”. Był w tej grupie również por. Jerzy Jacniacki. Tę kadrową grupę zrzucono na miejsce nocą z 1 na 2 lipca 1944 r.

Był to na ziemiach polskich największy zrzut grupowy. Wylądowali w rejonie dużego kompleksu leśnego między Rakowem a Daleszycami, na styku powiatów kieleckiego i stopnickiego.

Desantowcy bardzo szybko rozpoczęli działalność dywersyjną. Szybko też oddział zaczął powiększać swe szeregi, przeważnie o członków i sympatyków Batalionów Chłopskich zgrupowanych w terenie.

Pod koniec swojego 6-tygodniowego pobytu brygada osiągnęła stan około 600 ludzi, podzielona była jak poprzednio na trzy bataliony – 1. batalionem dowodził Jerzy Jacniacki.

Józef Sobiesiak we wspomnieniach *Brygada „Grunwald”* opisuje jedno z działań zakończonych sukcesem – 22 lipca 1944 r. dokonano z zasadzki ataku na niemiecki oddział stanowiący część załogi stacjonującej w majątku Szczecno, a zdążającej szosą z Borkowa do Kielc. Wzięto do niewoli dwóch jeńców. Byli to młodzi własowcy służący w armii niemieckiej, zwerbowani spośród radzieckich jeńców. Za cenę rehabilitacji obiecali współdziałać w ataku na dwór Szczecno.

Dwór Szczecno położony był opodal wsi Szczecno, przy szosie biegnącej do Kielc, majątek był żywnościową bazą zaopatrzeniową dla potrzeb okupanta. Stacjonująca w nim załoga składająca się z własowców i niemieckiej starszyny była postrachem okolicy. W karnych ekspedycjach grabiła dobytek i mordowała ludność. Na błagania gnębionych chłopów dowództwo „Grunwalda” zadecydowało rozprawić się z garnizonem Szczecna, wykorzystując współpracę z pochwyconymi jeńcami.

Tak to wspomina Sobiesiak [*Brygada „Grunwald”*, s. 215–226]:

*Studwudziestoosobową grupą dowodził por. Jacniacki. Dobrał sobie ludzi z rozmysłem, trochę skoczków, dużo miejscowych. Znaleźli się wśród nich doświadczeni partyzanci. Był to zatem zespół ludzi wyjątkowo dzielnych, mogłem mieć pewność, że jeśli tylko nie staną im na dro-*





**Por. Jerzy Tadeusz Jacniacki**  
– dowódca batalionu

dze jakieś nadzwyczajne okoliczności zadanie zostanie wykonane pomyślnie.

W wyznaczonym dniu po południu oddział zanurzył się w las i krętymi ścieżkami wśród dolin i wzgórz rozpoczął marsz w kierunku zachodnim w stronę Szczecna.

[...]

Nim druga grupa Jacniackiego dotarła do Szczecna, jej stan osobowy wzrósł dwukrotnie. Ludzie z okolicznych wsi [...] wydobywali ukrytą broń i dołączali do partyzantów równie naturalnie, jakby to miało być polowanie na zające. Początkowo Jacniacki cieszył się ze wzrastającej siły oddziału, potem zaczął się trochę niepokoić. [...] Nie mógł im jednak odmówić satysfakcji wzięcia udziału w rozgromieniu bandy hitlerowskiej. Jednych powtęczał do poszczególnych drużyn partyzanckich, z innych utworzył nowe, zostawiając w spokoju tylko tych, którzy meldowali się w sposób zorganizowany, już jako jednostka bojowa z własnym dowódcą. W lesie pod Szczecnem każdy pododdział otrzymał szczegółowe zadanie, po czym zarządzono dłuższy postój dla sprawdzenia broni, dokonania ostatecznego rozpoznania terenu.

Wysłany zwiadowca ustalił, że własowcy nie spodziewali się żadnego niebezpieczeństwa, a wcześniej już zamieszkały w pobliżu wywiadowca wyśledził wszystkie gniazda karabinów maszynowych załogi Szczecna, godziny zmian wart, posiłków itp. Sąsiadujących z majątkiem mieszkańców wsi Szczecno zawiadomiono, by o świcie schronili się wraz z inwentarzem w pobliskim lesie, aby uniknąć ewentualnej zemsty Niemców spieszących na pomoc załodze. Zniszczono również linię telefoniczną.

Teraz Jacniacki mógł rozpocząć czynności przygotowawcze. Na szosę po obu stronach Szczecna wysłał dwie drużyny wyposażone każda w dwa erkaemy i rusznice przeciwpancerne. Mieli zadanie zatrzymać wszystkie oddziały niemieckie idące z odsieczą lub przypadkowo w stronę Szczecna.

Kilka silnych grup uderzeniowych rozpoczęło otaczanie parku. Kolejno zanurzały się w zboża i dochodziły

na wyznaczone stanowiska. Było ciemno i przewodnicy prowadzili partyzantów tak, by nie zauważyli ich i nie usłyszeli wartownicy w parku.

Jacniacki zatrzymał przy sobie pięćdziesięciu ludzi i zaległ z nimi w zbożu w odległości mniej więcej dwustu metrów od głównej bramy. Ledwie szarym świtem zabarwiło się niebo Jacniacki dał znak swoim zwiadowcom, a ci zaczajeni naprzeciw bramy pchnęli do przodu jeńców. Jeńcy, Kola i Stioipa, ujęli zaskoczonego wartownika przy wejściu do parku oraz zlikwidowali dwa dalsze posterunki. Nie padł ani jeden strzał, żaden z wartowników nie odważył się nawet krzyknąć.

Jacniacki otrzymawszy sygnał, że droga do parku jest wolna, podciągnął grupę uderzeniową do bramy, a potem ostrożnie, pod osłoną starych drzew, skierował ją w stronę budynku, omijając wskazane przez Kolę zaminowane miejsca. Partyzanci zalegali na wygodnych pozycjach wśród drzew. Minerzy, rozciągnąwszy się wzdłuż muru budynku, pośpiesznie zakładali ładunki wybuchowe.

Nieco wcześniej Jacniacki wysłał łączników do grup otaczających park z innych stron i przydzieliwszy im Stiope, który miał wskazać zaminowane pola nakazał rozpocząć oblężenie. Wkrótce cały budynek był już dokładnie obstawiony przez partyzantów, a minerzy kończyli rozkładanie ładunków wybuchowych. Jeszcze chwila, a Jacniacki da rozkaz otworzenia ognia.

Tymczasem Kola, który miał być z minerami i nadśluchiwać uważnie, czy ktoś w budynku nie obudził się i nie spostrzegł tego niezwykłego ruchu za oknami, znalazł się nieoczekiwanie przed dowódcą. Uprosił, aby mu Jacniacki zezwolił wejść do środka i uniemożliwić oblężonym dopaść do karabinów na stojakach z bronią.

Okna budynku lśniły matowo w szarym świetle świtu. Był pod bardzo czujną obserwacją, jak tylko by się ktoś w nich pojawił, natychmiast przesyłoby go celny krzyżowy ogień. Kola ściskając w rękę granat bezszelestnie wszedł do budynku, porwał ze stojaka karabin i zarepetował go, ściskając jednocześnie w lewej ręce jajko granatu. Ktoś się poruszył, obudzony szczękaniem zamka, ktoś otworzył oczy.

– „Padjom” – wrzasnął Kola, kierując luźną karabinu w stronę prycz. – „Jesteście okrążeni”. Forma pobudki była tak zaskakująca i brzmiała tak niewiarygodnie, że niektórzy wciąż nie zdawali sobie sprawy, co się naprawdę stało, a inni przyjęli to jako głupi żart.

– „Ruki w wierch! Hande hoch! Strielat budu”.

Kola usłyszał za sobą kroki i zerknąwszy do tyłu spostrzegł za swoimi plecami partyzantów.

Teraz wszystko potoczyło się błyskawicznie. Kilku chłopców z bronią maszynową ustawiło się przed pryzami, inni sprawnie pozgarniali ze stojaków broń. Kiedy broń została wyniesiona, padł rozkaz:

– „Wychodzić w pojedynkę!”.

Na wieść o opanowaniu hitlerowskiego gniazda wokół budynku zawrzało. Dowódcy byli zadowoleni z tak łatwo odniesionego zwycięstwa.

Ludzie aż się rwali, żeby od razu rozprawić się z pojmanymi. Ale Jacniacki kategorycznie zabronił znęcania się nad jeńcami, zaraz zresztą zapędził wszystkie grupy do roboty.

Mieszkańcy okolicznych chatup opuszczali już swoje zagrody i wraz z całym dobytkiem kierowali się w stronę lasu. W samym majątku partyzanci ustawili się przy stajniach, przy oborach, przy magazynach. Wypędzali krowy i owce, zaprzęgali konie do wozów, a na wozy ładowali zboże, mąkę, kaszę, sól, mięso wędzone, mięso w beczkach. Z magazynów wojskowych wynosili zapasową broń hitlerowców, amunicję, mundury, obuwie. Niemało tu było bogactw, które mogą się przydać partyzanckiej brygadzie. Jacniacki promieniał.

O kilkaset metrów dalej partyzanci zaczajeni przy szosie wiodącej z Piestrzenicy ujrzeni czołgi. Wytoczyły się z zakrętu. Dowódca zasadzki zamarł. Szturchnął chłopca z rusznicą przeciwpancerną, ta jednak nie wypaliła. Dowódca jęknął: „Puszczamy po jednej serii i chodu!”.

Czołgi były już blisko, ale cóż złego mogły im zrobić te drobne kawałki metalu z automatów. Nikt z partyzantów nie łudził się, zresztą chodziło po prostu o zaalarmowanie Jacniackiego w majątku.

Jacniacki rzeczywiście usłyszał tę krótką strzelaninę. Spostrzegł chłopców z ubezpieczenia biegnących w jego stronę. – „Czołgi, czołgi!”.

Nim Jacniacki zdążył wydać odpowiednie dyspozycje partyzanci nie wytrzymali nerwowo i rozbiegli się... Jacniacki aż ochrypl od krzyku, usiłując za wszelką cenę zmontować jakąś prowizoryczną chociażby obronę. Kłął, machał pistoletem, wyzywał swoich ludzi od najgorszych – na nic się to zdało. Zobaczył duże, ciężkie maszyny wygruzające się groźnie z zakrętu szosą i pomyślał z przerażeniem, że ta cała tak zreżymowana, zdawałoby się, przeprowadzona operacja rozsypuje się w ciągu minuty.

Po akcji mówił „Maksowi”:

No, myślę sobie, kłeska, absolutny kłops, choć w łeb sobie strzelaj. Postawcie się na chwilę w mojej sytuacji, wyobraźcie sobie tę całkowitą panikę i nieszczęsnego dowódcę, który stracił panowanie nad swoimi ludźmi i został sam na sam z czołgiem.

Cofnąłem się za murek bramy, zerknąłem za siebie, ale nawet chłopcy pilnujący jeńców pochowali się gdzieś ze swymi podopiecznymi. I wtedy usłyszałem wściekłe serie z pepesów... to nasze dziewczęta, Jadzia i Rena, które brały udział w akcji, waliły po czołgach. Jeszcze żadnej krzywdy nie mogły im zrobić, kule odbijały się od pancerzy bezsilnie jak groch, czołgi w ogóle nie reagowały na tę babską zawziętość, parły do przodu. Złakłem się, że któryś z czołgów grzmotnie raz drugi po rowie, w którym się kryły, no i że... aż skóra mi cierpła.

Cheąc odciągnąć uwagę czołgistów od tych śmiałych dzierlatek, zacząłem pruć po czołgach od strony bramy, ale czołgi... całkowicie zlekceważyły nasze pukanie i toczyły się środkiem szosy jak gdyby nigdy nic. Tymczasem ludzie ochłonęli, a zobaczywszy, że to właśnie baby zostały na posterunku i zajadły strzelaninę próbując odstraszyć Niemców, zaczęli szybko zwracać i atakować.

Walnął z hałasem partyzant leśny rusznicą w pobliżu bramy wprost w gąsienicę jednego z czołgów. Czołg zakręcił się w miejscu, sturlał do rowu, tam dołożono mu kilka granatów i znieruchomiono na amen. A pierwszy czołg minął już bramę i pędził szosą w stronę Borkowa.

Wyleciał na minie założonej przez ubezpieczenie z tamtej strony. Odetchnąłem z ulgą.

W czasie akcji „Maks” przebywał w Ocięsekach.

Ktoś jechał rowerem w naszą stronę. Rozpoznałem w nim miejscowego nauczyciela.

– „Panie majorze!” – wołał. – „Wasi chłopcy zdobyli Szczecno. Jadą, zaraz tu będą. Cała kolumna. Mnóstwo jeńców, tabuny bydła. Dziewczęta rzuciły się partyzantom na szyje. Dowódca pozwolił wydzielić co biedniejszym rodzinom jakieś koce wojskowe, pościel, czasem barana zostawił, świniaczka. Z serca to dowódca, panie majorze, a wygląda jak malowany, szczupły, z pięknym wąsem, na wspaniałym koniu”.

– „Oj, Jacniacki, Jacniacki” – pomyślałem z rozbawieniem. – „Zostałeś się tu za bohatera narodowego, bo jeśli mężczyzna tak mówi, to co dopiero dziewczęta...”.

Ten zwycięski przemarsz rzeczywiście wpłynął na niego uszlachetniająco. Na wysokim, morowistym rumaku zagarniętym ze szczecińskiej stajni trzymał się godnie niczym napoleoński marszałek. Zobaczywszy nas, osadził konia w miejscu, zręcznie zeskoczył na ziemię i wręczyszy lejce jednemu ze swych chłopców ruszył ku nam. Zbliżywszy się, zameldował:

– „Obywatelu majorze, porucznik Jacniacki melduje wykonanie rozkazu. Garnizon hitlerowski w Szczecnie przestał istnieć. Zdobyto około stu sztuk rozmaitej broni i amunicję do niej. Wzięto do niewoli kilkudziesięciu jeńców, zarekwirovano w majątku pięćdziesiąt sztuk bydła, ponad dwieście owiec oraz jedenaście parokonnnych wozów żywności, bielizny i obuwia. Straty własne – żadne. Podczas akcji wyróżnili się: Kola oraz partyzantki Jadzia i Rena”.

Podziękowałem serdecznie Jacniackiemu i uściskałem go, podziękowałem też partyzantom. Byłem dumny, że mogłem dowodzić tak dzielnymi ludźmi...

Brygadę stanowiącą duży, dobrze zorganizowany oddział będący znaczącą siłą bojową zamierzał podporządkować sobie Mieczysław Moczar, dowódca kieleckiego obwodu Armii Ludowej. „Maks” nie ulegał namowom, oświadczając, że podlega jedynie rozkazom Polskiego Sztabu Partyzanckiego działającego w ramach Armii WP. Należy mniemać, że ta odmowa była przyczyną skierowania brygady „Grunwald” na Lubelszczyznę. Budzi też podejrzenie śmierć pod koniec lat siedemdziesiątych Józefa Sobiesiaka w prawdopodobnie sprowokowanej awanturze. 30 lipca 1944 r. Armia Czerwona utworzyła przyczółek na wysokości Baranowa na lewym brzegu Wisły, a brygada znalazła się w obszarze pomiędzy wycofującymi się na zachód Niemcami a jednostkami Armii Radzieckiej operującymi na przedpolu przyczółka, z którymi współpracował na ruchliwym froncie. Tam zastał ich rozkaz przekroczenia Wisły i skierowania się do Lublina, dokąd grunwaldczycy dotarli około 15 sierpnia. Żołnierze, wśród nich por. Jerzy Jacniacki, zostali wcieleni do I Armii WP. Jerzy Jacniacki zdobył w wojsku opinię wzorowego dowódcy. Awansowany do stopnia kapitana, dowodził batalionem 16. p.p. I Armii Wojska Polskiego. Brał udział w walkach o przełamanie Wału Pomorskiego i o zdobycie Kołobrzegu, gdzie został ciężko ranny.



Tadeusz Wośkowski

## Inż. Edmund Gruchalski

Urodził się 5 listopada 1894 r. w Urzędowie. Rodzicami jego byli Roman Gruchalski i Magdalena z Golińskich. W 1908 r. zmarła matka Magdalena; Edmundem i jego młodszym bratem Wacławem opiekowała się starsza siostra Felicja (braci i siostrę przedstawia załączone



Rodzeństwo Felicja, Edmund (siedzi) i Wacław Gruchalscy, około 1910 r.

zdjęcie). Szkołę powszechną ukończył w Urzędowie, natomiast średnią – osiem klas realnych – w lubelskim Gimnazjum imienia Stanisława Staszica w 1913 r., zdając maturę. W tym samym roku rozpoczął studia na Politechnice Lwowskiej. Zawierucha wojenna I wojny światowej uniemożliwiła mu kontynuowanie studiów. W 1915 r. Urzędów został spalony, w tym również szkoła „Jagiellonka”. W latach od 1915 do 1918 objął kierownictwo szkoły, podejmując się bardzo trudnego zadania: organizacji szkoły od podstaw, jak i nauczania w niej. Brakowało izb lekcyjnych, które trzeba było organizować w trzech domach prywatnych. Zaszła konieczność zakupu wyposażenia: ławek, krzeseł, stołów i sprzętu do nauczania, jak książki, mapy i in. Z własnej inicjatywy, przy udziale nauczycieli, stworzył teatrzyk uczniowski, który

występował w okolicznych miejscowościach z przedstawieniami teatralnymi. Przychody uzyskane ze sprzedaży biletów przeznaczone były na zakup wyposażenia. W celu rozładowania ciasnoty w klasach zorganizował naukę w systemie dwuzmianowym oraz świadczenie prac na rzecz szkoły przez starsze roczniki uczniów i rodziców. Wyniki nauczania były zadowalające, co potwierdzały przychylne opinie wizytatorów wskazujące na rozwój czytelnictwa i początki organizowania biblioteki. W 1918 r. kontynuował studia na Politechnice Warszawskiej. W listopadzie 1918 r. brał udział w obronie Lwowa.

Na przełomie 1918 i 1919 r. ukończył szkołę oficerską w Lublinie i uzyskał stopień podporucznika w zakresie intendencji w Komendzie Okręgu Wojskowego w Lublinie. Pracując w wojsku na stanowisku oficera gospodarczego w Domu Garnizonowym w Lublinie, korzystał z urlopów akademickich. Po zwolnieniu z wojska w 1921 r. podjął dalsze studia na Wydziale Leśnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Studia ukończył 18 listopada 1922 r., uzyskując dyplom inżyniera leśnictwa. Znał dwa języki obce w mowie i piśmie – niemiecki i rosyjski.



Edmund Gruchalski w Wenecji, 1938 r.

Na początku 1923 r. rozpoczął pracę w Wydziale Lasów Ordynacji Zamojskich w Zwierzyńcu z grupą uposażenia czwartą, piątą i szóstą. Był odznaczony Krzyżem Leśnym.

W styczniu 1925 r. zawarł związek małżeński z Heleną z Brandtów. Małżeństwo Edmund i Helena miało dwoje dzieci – Ewę, urodzoną 17 grudnia 1925 r., i Jana Kantego, urodzonego 10 listopada 1936 r. W czasie okupacji rodziny Gruchalskich i Brandtów brały czynny udział w ruchu oporu AK. W domu Gruchalskich w Zwierzyńcu przebywał oficer wywiadu Komendy Obwodu Zamojskiego AK „Rafał” Jan Grygiel. Helena i Ewa brały czynny udział w akcji pomocy dzieciom Zamojszczyzny z obozu w Zwierzyńcu. W wyniku tej działalności Ewa zaraziła się tyfusem i omal nie przypląciła tego życiem. Helena organizowała komplety tajnego nauczania. W domu Gruchalskich odbywały się egzaminy maturalne. Edmund Gruchalski, jako inspektor Lasów Ordynackich pod kuratelą niemiecką, wykorzystując możliwości wyjazdów do nadleśnictw i leśniczówek, przewoził meldunki i rozkazy do placówek AK na terenie Lubelszczyzny. W dowód uznania za działalność w AK, po wojnie Helena Gruchalska została mianowana podporucznikiem i odznaczona Krzyżem za Wolność i Niepodległość z Mieczami oraz Krzyżem Zasługi z Mieczami przez Rząd Rzeczypospolitej w Londynie. Z przechowanej opinii w Dyrekcji Lasów Państwowych w Lublinie podpisanej przez kierownika Działu Personalnego J. Korczyńskiego dowiadujemy się,

że inż. Edmund Gruchalski pracował w byłej Dyrekcji Lasów Państwowych na stanowisku inspektora leśnego w okresie od 10 lutego 1945 r. do 12 stycznia 1949 r. Na zajmowanym stanowisku dał się poznać jako pracownik zdyscyplinowany, pilny i obowiązkowy. Pod względem politycznym, jako długoletni pracownik w lasach Ordynacji Zamojskich miał poglądy sanacyjne. Jego stosunek do ówczesnej rzeczywistości był negatywny, dlatego była Dyrekcja Lasów Państwowych czyniła starania o przeniesienie Edmunda Gruchalskiego na inne tereny. Z Lublina Edmund przeniósł się do pracy w Dyrekcji Lasów Państwowych w Węgorzewie, a następnie od końca 1949 r. pracował w Oddziale Głównym Centralnego Biura Projektów Architektonicznych i Budowlanych Biura Urbanistycznego Warszawy – zajmował się organizacją odbudowy drzewostanu w podwarszawskich lasach. Przed emeryturą powrócił do Zwierzyńca i tam pracował w Browarze Zwierzynieckim, gdzie został wybrany na przewodniczącego Rady Robotniczej. Zmarł 8 marca 1970 r. i został pochowany na cmentarzu w Puławach, zaś jego żona Helena zmarła 13 maja 2000 r. i została pochowana na cmentarzu w Piasecznie.

Potwierdzenie danych z czasów okupacji można znaleźć w książkach: Jan Grygiel, *Związek Walki Zbrojnej AK w Obwodzie Zamojskim*, Warszawa 1985 oraz Halina Matławska, *Zwierzyniec, Zwierzyniec 1991*. W opracowaniu wykorzystano również relacje córki inż. Ewy Gruchalskiej i syna inż. Jana Gruchalskiego.

**Ks. Feliks Turbiarz**

## Ks. Jan Surdacki

Urodził się 24 grudnia 1893 r. w Kępie (parafia Urzędów, diec. lubelska) jako syn Adama i Anny z Knysiów. Do szkoły podstawowej uczęszczał w Urzędowie, a cztery klasy szkoły średniej ukończył w Warszawie. W roku 1913 wstąpił do Seminarium Duchownego w Sandomierzu, święcenia kapłańskie otrzymał 29 maja 1919 r. w kościele św. Michała w Sandomierzu z rąk ks. biskupa M. Ryxa.

Pracę duszpasterską rozpoczął w Szewnej, a następnie pracował jako wikariusz w Magnuszewie, Zwoleniu, Przysusze, Ciepeliowie i Bałtowie, był również uzdolnionym prefektem szkół. W roku 1932 został administratorem w Wojciechowicach, pracował z zapalem, pięknie prowadził oddziały Akcji Katolickiej. Tu przeżył okupację, organizując pomoc dobroczynną w szerokim zakresie dla wysiedlonych. Mimo że zapadał na zdrowiu, po wyleczeniu pracował dalej z zapalem i właściwym sobie optymizmem. Miał zdolności reżysersko-aktorskie.

Po zakończeniu wojny czuł się wyczerpany i prosił władzę o urlop, który spędził u kolegów we Wrocławiu (Sępolno) i we Wrzosie. Na wezwanie ks. bp. Lorcka objął w 1948 r. probostwo w Skrzyńsku, gdzie pracował do 1959 r., podnosząc stan duchowy parafii przez pogłębienie czci Matki Bożej Staroskrzyńskiej i częste rekolekcje.

W roku 1959 przeniósł się do Stromca, mimo osłabienia pracował ofiarnie. Gdy przechodząc gripę spowiadał w zimnym kościele, stracił władzę w nogach. Dlatego zrezygnował z parafii i przeniósł się do Domu Księży Emerytów w 1963 r. Ks. bp J. Lorek dziękując mu za gorliwą pracę zaznaczył, że „nie oglądał się na względy ludzkie, nie szukał pochwał”. W pracy był bezkompromisowy.

W roku 1969 obchodził 50-lecie kapłaństwa, poza uroczystością liturgiczną zabłysnął jeszcze – właściwą sobie – gościnnością. Z okazji tego Jubileuszu ks. bp Gołębiowski skierował do niego pismo, podkreślając m.in. „krzyż choroby tak często nawiedzającej Czcigodnego Ks. Jubilata przyjmował” zawsze z poddaniem się woli Bożej ku zbudowaniu drugich. Głównymi jego cechami był zapal, szczerza pobożność, optymizm i wielka życzliwość dla kapłanów.

Zmarł 6 stycznia 1978 r., eksportacja do kościoła św. Pawła w Sandomierzu odbyła się 9 stycznia. Nabożeństwo żałobne odprawił ks. bp W. Wójcik, który żegnając zmarłego zaznaczył, że był on jednym z najwybitniejszych duszpasterzy swego pokolenia, a swą postawą i pracą uratował parafię Bałtów przed hoduryzmem. Pochowany został na cmentarzu parafii św. Pawła w Sandomierzu.



Marian Surdacki

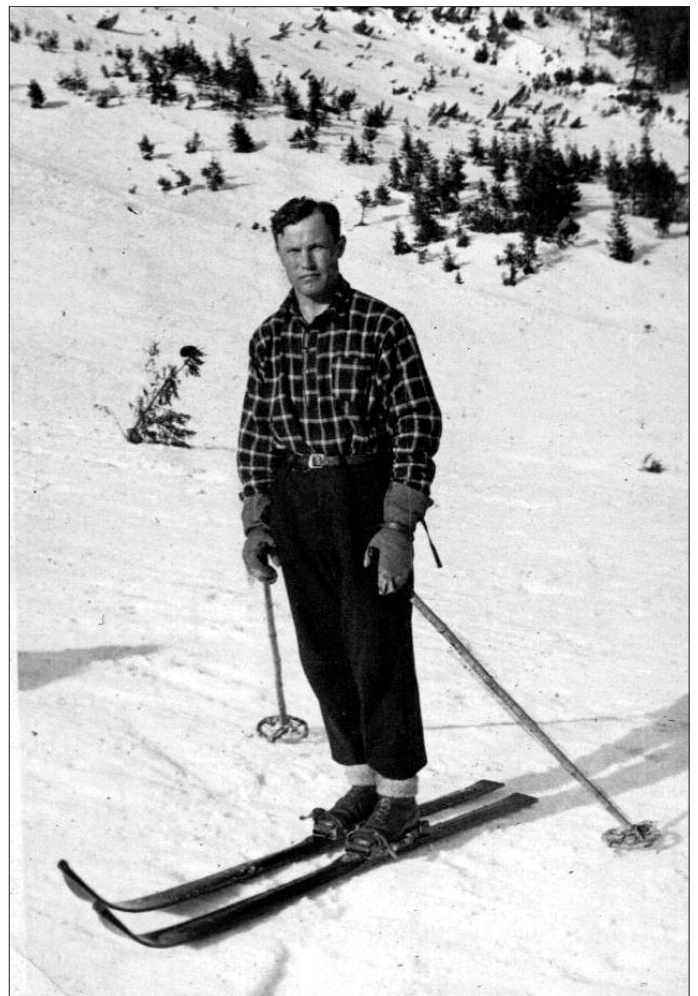
## Odkrywanie niezwykłych Postaci. O Julianie Gozdalu

Studiując w ostatnich tygodniach dzieje Kraśnika, opracowane w kilku tematycznych działach przez Mirosława Sznajdera, brata mojego szkolnego kolegi z Technikum Mechanicznego śp. Bogdana (Pokój Jego Duszy), szczególną uwagę zwróciłem na historię sportu kraśnickiego. A że od wczesnego dzieciństwa w sposób rzadko spotykany fascynowałem się sportem i regularnie jeździłem w latach 1967–1975 na mecze bardzo silnej wtedy drużyny piłkarskiej „Stali” Kraśnik, znałem i znam do dzisiaj na pamięć niemal wszystkich jej zawodników z tego okresu. Grał w niej między innymi nasz urzędowski rodak Jerzy Paszkowski. Byłem nawet na początku wakacji 1967 r. na meczu sparingowym „Stali” z reprezentacją – kadrą olimpijską Polski. Padł wtedy bezbramkowy remis w meczu, w którym występowali z jednej strony m.in. Włodzimierz Lubański, Andrzej Jarosik czy Robert Gadocha, zaś w drużynie „Stali” wystąpił wspomniany J. Paszkowski (w następnym numerze „Głosu” spróbuję zaprezentować jego sylwetkę). Te etapy kraśnickiego piłkarstwa, jak też siatkówki, pływania czy lekkiej atletyki znałem z autopsji, natomiast niewiele wiedziałem o początkach kraśnickiego sportu, zwłaszcza z lat 50. XX w. Przeglądając jego dzieje, nieustannie spotykałem nazwisko mojego rodaka Juliana Gozdala, urodzonego na krańcu Przedmieścia Bęczyn (w tzw. Betlejem), o dwie-trzy minuty od mojego domu.

Dorosłe życie Pana Juliana opisał w swoim tekście Mirosław Sznajder. W tym miejscu warto poświęcić nieco uwagi jego dzieciństwu i uwarunkowaniom rodzinnym i środowiskowo-społecznym, w których wzrastał. Jego ojcem był Stanisław – bezrolny, sezonowy robotnik leśny, który założył rodzinę w 1890 r. w Urzędowie – Bęczynie. Sam wybudował dom, wychował siedmioro dzieci, z których czworo ukończyło w okresie międzywojennym szkołę średnią, co było na owe czasy niebywałym sukcesem. Julian urodzony 10 lutego 1905 r. był czwartym dzieckiem w rodzinie. Po ukończeniu Szkoły Powszechnej i Progimnazjum w Urzędowie zdał egzamin do odpłatnego Gimnazjum Sejmiku Powiatowego w Janowie Lubelskim, które ukończył w 1927 r. W czasie nauki mieszkał na prywatnej stancji, za którą również trzeba było płacić. Julian był zdolnym i niezwykle pracowitym uczniem, dlatego też korzystał z pewnych ulg w opłatach szkolnych oraz sam zarabiał korepetycjami. W nauce pomagali mu też wspomociele: Leon Hempel, ziemianin ze Skorczyca, oraz ksiądz Edward Fijołek. Ale największy wysiłek w kształceniu Juliana spoczywał na ojcu. Co najmniej raz w miesiącu ładował na taczkę z drewnianym kołem zapasy żywności i pchał 43 km do Janowa Lubelskiego.

Wracając do zasadniczego tematu i Bohatera, ten powojenny fragment jego kraśnickiego życiorysu nie był mi znany – życiorysu sportowego, trenerskiego i pedago-

gicznego, choć wiedziałem o jego wojskowej przeszłości, i że uczył gdzieś wychowania fizycznego. Gdy chłonałem wiadomości o dokonaniach Pana Juliana, na myśl mi przyszła od razu postać legendarnego trenera i wychowawcy Feliksa Stamma. W tej sytuacji zapytałem autora jego biografii, czy nie mógłbym jej wydrukować w „Głosie Ziemi Urzędowskiej”. Zgodził się bez wahania, dając mi wszelkie prawo do skracania tekstu. Ostatecznie całą narracyjną część zamieszczam bez żadnych skrótów czy zmian, dokonałem tylko wyboru fotografii, których w oryginale było dużo więcej. Tytuł opracowania zamieszczonego w Internecie brzmi następująco: *Ludzie kraśnickiego sportu – Julian Gozdał*. W rozmowie prywatnej ze mną Mirosław Sznajder, zachwycając się historią wspaniałego żołnierza, sportowca i wychowawcy, stwierdził, że w swych dokonaniach i wizji rozwoju kraśnickiego sportu i kultury fizycznej wyprzedził on swoją epokę. I taki też tytuł nadałem wspomnieniom M. Sznajdera o tej słabo znanej w Urzędowie, a nawet na Bęczynie, Postaci.



Julian Gozdał

Miroslaw Sznajder

# Człowiek, który wyprzedził epokę – Julian Gozdał

Julian Gozdał to nauczyciel-legenda dla wielu roczników uczniów szkół średnich z dzielnicy lubelskiej Kraśnika. Ceniony za ogromne zaangażowanie i wyjątkowy dar pedagogiczny. Opiekował się zespołem piłkarzy „Spójni” Kraśnik. Popularyzował siatkówkę i koszykówkę. Zachęcał do uprawiania boksu, lekkoatletyki, sportów zimowych, gimnastyki, szachów i kolarstwa. Lata 50. i 60. cechował brak sprzętu sportowego. Kraśnik nie posiadał obiektów sportowych, a z uprawiania sportu nie płynęły żadne profity. Mimo przeciwności Julian Gozdał potrafił zaszczerpić w młodych ludziach ogromną pasję do sportu.

Warto zaprezentować ważniejsze wydarzenia z życia nauczyciela, gdyż to one ukształtowały jego charakter, decydowały o podejściu do pracy i ludzi.

Julian Gozdał urodził się 10 lutego 1905 r. w Urzędowie. Ukończył 8-letnie gimnazjum w Janowie Lubelskim, gdzie aktywnie działał w harcerstwie. Ta forma aktywności przyczyniła się do rozwoju fizycznego, dzięki zdobywaniu różnego rodzaju sprawności. Być może już wtedy zrodziło się jego zamiłowanie do sportu. Gimnazjum w Janowie Lubelskim ukończył w 1927 r., uzyskując świadectwo dojrzałości.

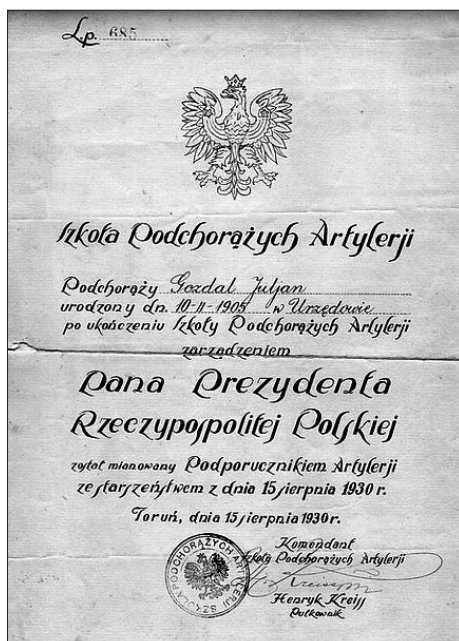
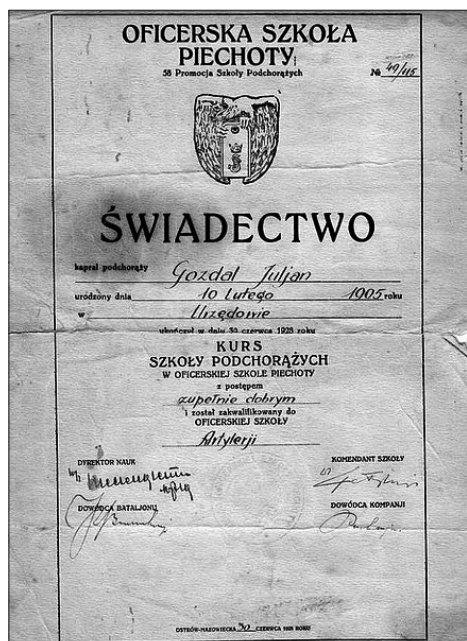
30 czerwca 1928 r., z wynikiem „zupełnie dobrym” (ówczesne nazewnictwo), ukończył Kurs Szkoły Podchorążych w Oficerskiej Szkole Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej i został zakwalifikowany do dalszej nauki. Po ukończeniu Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu 13 sierpnia 1930 r. został mianowany „podporucznikiem artylerii ze starszeństwem” (zdjęcie poniżej). Do wojny Julian Gozdał pełnił służbę jako żołnierz zawodowy. W trakcie służby poświęcał dużo czasu zajęciom sporto-



Przeszkodę pokonuje J. Gozdał

wym, w tym głównie jeździe konnej, odnosząc znaczące sukcesy w WKKW. Uprawiał ponadto gimnastykę, narciarstwo i szermierkę. W turnieju szermierczym zorganizowanym przez DOK II (Dowództwo Okręgu Korpusu) w Lublinie, zajął II miejsce (szabla).

Przed wojną porucznik Julian Gozdał dowodził plutonem artylerii w 24. Pułku Piechoty w Łucku. W czasie służby zawarł związek małżeński. Jako oficer zawodowy musiał uzyskać zezwolenie władz wojskowych na zmianę stanu cywilnego. Warunkiem otrzymania zgody była pozycja materialna przyszłej żony oficera. Wybranka, Aleksandra Wojtuszkiewicz, nie była jednak wystarczająco majątna, choć jej matka prowadziła restaurację w Urzędowie. W tej sytuacji matka Aleksandry zwróciła się do swojego brata, Jana Radzimowskiego, właściciela młyna







Zdjęcie ślubne Juliana Gozdała i Aleksandry Wojtuszkiewicz

w Skarbcie Dolnej, żeby „podaował” młyn Aleksandrze. W ten sposób „właścicielka” młyna została żoną oficera.

W kampanii wrześniowej pułk J. Gozdała, w składzie macierzystej 27. Dywizji Piechoty, walczył w ramach Armii „Pomorze”. W dniach 3–4 września 1939 r. urzędowanin był świadkiem akcji dywersyjnej Niemców w Bydgoszczy, nazwanej później „Krwawą niedzielą” (J. Gozdał zdał po wojnie relację z tych wydarzeń). W trakcie walk nad Bzurą por. Julian Gozdał 19 września 1939 r. dostał się do niemieckiej niewoli. Podczas wojny przebywał w niemieckim obozie jenieckim (oflagu) dla oficerów polskich ułokowanym w Bawarii, w mieście Murnau am Staffelsee, który został wyzwolony 30 kwietnia 1945 r. przez szpicę pancerną armii generała Pattona. W lipcu 1945 r. na rozkaz władz obozowych wyjechał do oddziałów polskich we Włoszech, gdzie w okolicach Ascoli Piceno (w pobliżu wybrzeża Adriatyku) przebywał do 5 sierpnia 1946 r., tj. do czasu wyjazdu na demobilizację do Anglii.

Na święta Bożego Narodzenia 1946 r., po ponad siedmiu latach wojennej tułaczki, powrócił do rodzinnego Urzędowa. Żona Aleksandra, wraz z ich córką, przebywała wówczas u swojej matki Marianny Wojtuszkiewicz. Po wybuchu wojny Aleksandrze szczęśliwie udało się wydostać z Wołynia i dotrzeć do rodzinnej miejscowości.

Po wojnie porucznik Julian Gozdał został uhonorowany za udział w czynie zbrojnym podczas II wojny światowej. 12 sierpnia 1946 r. otrzymał legitymację uprawniającą do posiadania i noszenia pamiątkowej odznaki Strzelców Karpackich.

Po powrocie do Urzędowa zamieszkał z żoną i córką w domu teściowej przy ul. Rynek 23. W latach 50. ub. wieku Gozdałowie mieszkali w Kraśniku przy ul. Urzędowskiej, w domu przy tartaku i młynie Morszczyzny, za Szkołą Podstawową nr 2.

1 września 1948 r. Julian Gozdał został zatrudniony jako nauczyciel wychowania fizycznego w Państwowym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym w Kraśniku (od 1949 r. Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Licealnego w Kraśniku), gdzie pracował do przejścia na emeryturę w 1973 r. Miał duże doświadczenie w prowadzeniu zajęć sportowych. Jeszcze w latach 1934/1935 por. Julian Gozdał ukończył roczny kurs wychowania fizycznego w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego im. Marszałka Piłsudskiego na warszawskich Bielanach. W pierwszych latach zatrudnienia uzupełnił kwalifikacje, pokonując kolejne stopnie na wakacyjnych kursach wychowania fizycznego organizowanych przez Ministerstwo Oświaty. W sierpniu 1953 r. uzyskał „III stopień dla niewykwalifikowanych nauczycieli szkół średnich” na AWF w Warszawie.



Gozdał na część etatu uczył w również w Technikum Mechanicznym nr 1 w Kraśniku. Wychowania fizycznego uczył również w szkole handlowej, stąd pomysł „kojarzenia” ze sobą na ringu uczniów trzech lokalnych szkół średnich. Mecze bokserskie odbywały się m.in. w Domu Ludowym przy ul. Mostowej. Na przełomie lat 40. i 50. organizował też w dni targowe walki bokserskie na kraśnickim rynku lub w lokalnym kinie. Celem organizowania walk, w których uczestniczyli młodzi mieszkańcy Kraśnika, była popularyzacja tej dyscypliny sportu. Między liniami wyróżniali się: Jerzy Szczawiński, Zygmunt Małek, Basak, Zenon Łukawski. Dla wymienionych zawodników była to także zaprawa przed poważnymi turniejami, na które jeździli z nauczycielem. W pierwszych latach po wojnie popularny był cykl turniejów „1. krok bokserski”.

– Profesor Julian Gozdał był miłośnikiem sportu i poświęcał dużo pracy dla jego rozwoju. Na małym dziedzińcu szkolnym przy ul. Klasztornej 3 powstało boisko do koszykówki i siatkówki oraz skocznia do skoku wzwyż i w dal. Korzystaliśmy również z boiska do piłki nożnej, jakie urządził w koszarach. Biegi trenowaliśmy po alejkach koszar 24. Pułku Ułanów, które na początku lat 50. były ogrodzone parkanem i niezagospodarowane. W okresie zimy zajęcia odbywały się na wolnym powie-

trzu lub w małej salce widowiskowo-gimnastycznej. Tam również prowadzone były pod okiem profesora treningi sekcji bokserskiej, do której należałem. Sekcja zaprezentowała się publiczności Kraśnika w 1949 roku w sali widowiskowej Domu Ludowego, na piętrze – wspominał pracę nauczyciela wychowania fizycznego Zdzisław Latos.

Z grona najbardziej wysportowanych pracowników Kraśnickiej Fabryki Wyrobów Metalowych i uczniów szkół średnich stworzył reprezentację miasta w lekkoatletyce, z którą startował w zawodach szczebla powiatowego i wojewódzkiego. Na zawody lekkoatletyczne, a także narciarskie, wyjeżdżał również z grupą uczniów, którzy reprezentowali Szkolny Klub Sportowy „Sztubak”, działający przy Szkole Ogólnokształcącej Stopnia Licealnego w Kraśniku. Gozdał sam był organizatorem imprez masowych, m.in. popularnych w pierwszych latach po wojnie „Biegów narodowych”. W okresie rosnącej w Polsce popularności kolarstwa organizował wyścigi dla młodzieży, by wyszukać talenty w tej dyscyplinie.

– Gozdał przez dwa lata uczył mnie wychowania fizycznego w Technikum Mechanicznym, które mieściło się w dawnych budynkach koszarowych. Sala sportowa była tam niewielka, nie miała nawet wymiarów boiska do siatkówki, a pomimo to trenowaliśmy koszykówkę i siatkówkę. Nauczyciel często organizował sparingi w obu dyscyplinach, między technikum i liceum. Rywalizacja między szkołami, z jego inicjatywy, odbywała się w różnych dyscyplinach, nawet w szachy. Gozdał był wielkim entuzjastą sportu – wspominał Leszek Muszyński.

W ramach SKS „Sztubak” działała grupa gimnastyczna. Umiejętności organizacyjne nauczyciela pozwoliły szerzej prezentować sprawność młodzieży szkolnej zdobytą na zajęciach pozalekcyjnych. W trakcie pochodów pierwszomajowych grupa prezentowała się na urządzeniach zamontowanych na samochodzie ciężarowym STAR.

Pod koniec lat 50. popularna stała się rywalizacja drużyn piłkarskich Kraśnika oraz dzielnicy przyfabrycznej Dąbrowa-Bór (od 1954 r. Kraśnik Fabryczny), na terenie której istniała drużyna występująca pod szyldem „Metal”, wspierana przez Kraśnicką Fabrykę Wyrobów Metalowych. Za tworzenie reprezentacji miasta powiatowego odpowiadał Julian Gozdał. Grali w niej także uczniowie liceum, m.in.: R. Krupka, L. Biegaj, Z. Żaba, B. Szymański. Ci sami pod okiem Juliana Gozdała uprawiali siatkówkę. Krupka i Szymański po ukończeniu studiów osiedli w Kraśniku Fabrycznym i znacząco przyczynili się do rozwoju tej dyscypliny w przemysłowym mieście. Gozdał popularyzował siatkówkę nie tylko w Liceum Ogólnokształcącym, również w Liceum Handlowym (przemianowanym na Technikum Administracyjno-Gospodarcze), a następnie Technikum Mechanicznym nr 1. Gozdała można uznać za współtwórcę potęgi tej dyscypliny na terenie osiedla powstającego przy KFWM, bowiem kilku czołowych siatkarzy „Stali” z lat 50., w tym dwóch trenerów, wywodziło się z Kraśnika Lubelskiego.

Jeden z czołowych siatkarzy KS „Stal” Zygmunt Malek tak wspominał tamten okres: *Siatkówkę poznałem w trakcie nauki w liceum handlowym. Szkoła mieściła się w budynkach poklasztornych, tych samych co liceum ogólnokształcące. Uczyliśmy się jednak po południu. Przychodząc do szkoły, obserwowaliśmy zajęcia prowadzone przez nauczyciela ogólniaka, Juliana Gozdała. Na placu klasztornym było boisko do siatkówki, na którym często grano. Spróbowałem sił i dyscyplina spodobała mi się bardzo. Stopniowo sam, lub z kolegami, częściej włączałem się do rywalizacji na boisku szkolnym.*

Aż trudno uwierzyć, że Gozdałowi udało się w bardzo surowych warunkach wychować takich siatkarzy, jak Bogdan Szymański, który w czasie studiów w Warszawie grał w II-ligowym AZS i był powoływany do kadry



**Pokaz grupy gimnastycznej Juliana Gozdała w pochodzie pierwszomajowym (zdjęcie z archiwum rodziny Koper)**

narodowej LZS, czy Leszek Biegaj, również grający w II i I lidze podczas studiów na ART w Olsztynie. Zajęcia wychowania fizycznego i treningi siatkarskie odbywały się w niewielkiej sali gimnastycznej (jej powierzchnia była mniejsza od wymiarów boiska do siatkówki) oraz na placu o wymiarach 48 × 41 m, otoczonym budynkami szkoły i parafialnymi.

– *Wyprostowana sylwetka, sprężysty krok, postawny mężczyzna przekracza drewnianą, solidną bramę w murach dawnego klasztoru Kanoników Regularnych w Kraśniku* – tak Roman Lewaszow rozpoczął wspomnienia o Julianie Gozdału – *W drugiej połowie lat sześćdziesiątych był już mężczyzną w sile wieku, ale widać było, jaką miał za sobą przeszłość. Ten, kto spędził całe życie w cywilu takich nawyków w poruszaniu się nie miał. Na pierwszy rzut oka widać było, że na pewno jest to były wojskowy. Wyrażał się w sposób zwięzły i wyraźny, jakby wydawał polecenia. Był nauczycielem wychowania fizycznego w ówczesnym Liceum Ogólnokształcącym. Szkoła mieściła się w budynkach poklasztornych. Faktycznie przez okres 50 lat funkcjonowania szkoły nie zbudowano sali gimnastycznej. Zajęcia fizyczne w lecie odbywały się na dziedzińcu szkoły albo trochę niżej, wzdłuż obecnej*



ulicy Oboźnej, wtedy mówiło się „przy księżym ogrodzie”. Oba te miejsca to były klepiska. W okresie pozaletnim zajęcia fizyczne odbywały się na sali przylegającej do muru klasztornego od ulicy Klasztornej, bądź na sztucznym lodowisku, w tym miejscu, gdzie teraz jest Targowisko Miejskie. Mówiąc wprost, warunki do uprawiania sportu były fatalne. A jednak profesor Julian Gozdał radził sobie nadzwyczaj dobrze. Do południa prowadził zajęcia z uczniami szkoły, a po południu w Szkolnym Klubie Sportowym. Najbardziej jest znany z trenowania siatkarzy, ale naprawdę był trenerem wszechstronnym. Na zajęcia popołudniowe przychodzili sztangiści z Januszem Bąkiem, były też osoby ćwiczące luczniectwo, biegi, szczególnie średnie, skoki w dal i trójskok. Cały dziedziniec był zajęty. Oprócz tego opiekował się pracownią modelarską, w tych zajęciach brał udział między innymi Jasio Grządka, późniejszy chorąży Marynarki Wojennej. Kiedy do szkoły doprowadzono wodę, powstała pompa wodna z widocznym hydrantem. Możliwości uprawiania sportu zmniejszyły się. Wtedy do prowadzenia zajęć pozalekcyjnych profesor Julian Gozdał wykorzystywał salę gimnastyczną przy Szkole Podstawowej nr 2 przy ul. Urzędowskiej. Pamiętam jak poszczególne zespoły ćwiczące wymieniały się, ponieważ chętnych było więcej niż sala mogła pomieścić. Siatkówkę ćwiczyły także dziewczęta. W okresie zimowym Julian Gozdał organizował także kuligi. Pamiętam taki na prawdziwych saniach z zaprzęgami konnymi, do Zakrzówka. Tam w szkole rozgrywaliśmy mecze siatki. Organizował także wycieczki w ramach PTTK. Jednym słowem to był pasjonat sportu, ale także tytan pracy, w tym także pracy społecznej. Już po ukończeniu szkoły spotkałem kiedyś profesora, poznał mnie. Rozmawialiśmy i wtedy powiedział, że jest na emeryturze, ale nie siedzi beczynnie, był kuratorem społecznym opiekującym się tzw. trudną młodzieżą. Na pewno wielu jego wychowanków ciepło i z sympatią wspomina profesora Juliana Gozdała.

Pracował we wszystkich szkołach średnich Kraśnika Lubelskiego, najsilniej był związany z Liceum Ogólno-



**Julian Gozdał z wychowankami**

kształcącem. Za swoją pracę w 1956 r. został odznaczony Srebrnym, a w 1976 r. Złotym Krzyżem Zasługi.

Z czasów, kiedy w szkole pracował profesor Julian Gozdał, pochodzi wielu kontynuatorów jego dzieła. Jednym z nich jest Tomasz Rubaszko, który zastąpił swo-



**Julian Gozdał z żoną i dziećmi**

jego nauczyciela w krzewieniu kultury fizycznej wśród kraśnickiej młodzieży. Tomasz Rubaszko, po ukończeniu AWF w Białej Podlaskiej, na wiele lat został nauczycielem wychowania fizycznego w kraśnickim liceum. Innym wybitnym uczniem był Janusz Bąk, sztangista, trener podnoszenia ciężarów, sędzia międzynarodowy w tej dyscyplinie sportu i nauczyciel wychowania fizycznego w Szkole Podstawowej nr 5 w Kraśniku.

Niewątpliwie wybitnym wychowankiem Gozdała jest Leszek Pasieczny. Wieloletni działacz sportowy, współzałożyciel klubu sportowego LKS „Tęcza” i jego wieloletni prezes. Propagator sportu w Kraśniku, najsilniej związany z tenisem stołowym, jako zawodnik i szkoleniowiec. Opisywał sukcesy kraśnickich sportowców w miejscowej prasie. Pasieczny wspominał J. Gozdała z wielkim sentymentem: *Pasjonat sportu, kiedy był nauczycielem wuefu prawie nie wychodził ze szkoły. Spędzał w szkole czas od rana do wieczora.*

Julian Gozdał zmarł 5 czerwca 1979 r. Został pochowany na cmentarzu w Urzędowie.

Zdjęcia i dokumenty pochodzą z archiwum rodziny Gozdałów. Pełny tekst oraz więcej zdjęć: <https://krasnikfabryczny.home.blog/2021/04/26/ludzie-krasnickiego-sportu-julian-gozdal/>



**Elżbieta Kamyk**

Profesora Juliana znałam w latach 1968 - 1972.

Mieszkałam u Państwa Gozdałów na stacji. Traktowali mnie jak członka rodziny. Wspaniali ludzie. Dziś w dowód wdzięczności opiekuje się ich grobem, a z dziećmi Państwa Gozdałów, Bożenką i Jackiem pozostaje w przyjaźni. Dobrych ludzi nigdy się nie zapomina

Lubię to! · Odpowiedz · Wiadomość · 2 dni



Marian Surdacki

## Tadeusz Woškowski, jakiego nie znaleźmy

O zmarłym w 2018 r. Tadeuszu Woškowskim ukazały się na łamach „Głosu Ziemi Urzędowskiej” dwa teksty. Pierwszy to jego własne wspomnienia (2011), drugi natomiast to krótka pośmiertna notka biograficzna jego żony Anny (2023). Dla dzisiejszej generacji mieszkańców Urzędowa i czytelników naszego wydawnictwa jest to postać już nieznaną, nieco zapomnianą i niedocenianą, moim zdaniem zupełnie niesłusznie. Po powstaniu Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej i „Głosu Ziemi Urzędowskiej” Tadeusz Woškowski należał do grupy najważniejszych, pionierskich osób, kształtujących oblicze stowarzyszenia i czasopisma. W latach 1987–1993 wchodził w skład pięcioosobowego, kolegijskiego zespołu redakcyjnego „Głosu”, zaś do 1997 r. włącznie był stałym autorem artykułów publikowanych na jego łamach, zwłaszcza biograficznych. Ja nigdy nie miałem okazji osobiście go spotkać czy korespondować z nim; tylko raz przeprowadziliśmy rozmowę telefoniczną, blisko 20 lat temu (2007?).

Z bogatych materiałów przechowywanych w archiwum parafialnym w Urzędowie, mieszczącym się na plebanii, wynika, że inż. Tadeusz Woškowski przez całe dorosłe życie pasjonował się historią Urzędowa, gromadząc przez czterdzieści lat dokumenty, różne notatki i bibliografię z myślą o opracowaniu monografii Urzędowa, na wiele lat zanim na poważnie zaczęto o niej myśleć w Towarzystwie. On też podsunął Zarządowi pomysł jej napisania. Sam też starał się opracowywać różne wątki, zwłaszcza biografie osób zasłużonych dla urzędowskiej małej ojczyzny. Kiedy już nie mógł osobiście przyjeżdżać do Urzędowa, kontaktował się i prowadził listowną korespondencję z Domicelą Pomykalską-Woško, powierzając jej szereg misji do wykonania i spełnienia w rodzinnym Urzędowie.

Panią Domicelę, gdy jeszcze „była na chodzie”, w ostatnich latach jej życia dość często odwiedzałem na ulicy Dubois. Gdzieś około 2015 r. przekazała mi dwie koperty z kilkoma listami lub notatkami od Tadeusza Woškowskiego skreślonymi bardzo zniekształconym pismem (z powodu choroby Parkinsona, jak zaznaczył), przesłanymi na jej adres. Nie wszystkie były datowane, lecz wynikało z nich, iż napisane zostały w 2009 i 2011 r., a jeden przed 2007 rokiem<sup>1</sup>. W kopertach były informacje od Pana Tadeusza do Pani Domiceli, jak i do mnie, które miały mi być przekazane. Ich zawartość treściowa w dużym stopniu się pokrywała, gdyż dotyczyła wspólnych spraw urzędowskich, a w zasadzie troski o Urzędów i uwiecznienie pochodzących z niego postaci. Przejrzałem te pisma, które początkowo nie wydawały się nadzwyczaj ważne, jako nieco zbyt osobiste. Odłożyłem je więc do rezerwy na potem. Dopiero po przejrzaniu spuścizny T. Woškowskiego, dotyczącej planów stworzenia mono-

grafii Urzędowa, listy te postanowiłem wydrukować, gdyż są one doskonałym przyczynkiem do ukazania Postaci nietuzinkowej, lokalnego patrioty, zamiłowanego we własnej ziemi rodzinnej, która może stanowić przykład dla młodego pokolenia.

W jego pismach przewija się szereg dezyderatów oraz próśb odnośnie do Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej i „Głosu”, ale także skierowanych do władz gminy, mających na celu przeprowadzenie nowych inwestycji, zagospodarowanie niektórych obiektów i terenów, jak i przyspieszenia rozwoju gospodarczego miejscowości. Po latach nie wszystkie jego oczekiwania można spełnić, niektóre natomiast zostały już zrealizowane, jak np. wydanie monografii Urzędowa (główne marzenie naszego bohatera), uzyskanie statusu miasta, opracowanie niektórych biografii. Wiele innych postulatów nadal jednak czeka na realizację, jak choćby renowacja Wałów, sfotografowanie i opisanie nagrobków zasłużonych osób spoczywających na miejscowym cmentarzu parafialnym. Kilka kolejnych pomysłów wydaje się mało realnych do spełnienia przez władze dzisiejszego już miasta, np. budowa cegielni czy odtworzenie stawów rybnych, założenie winnic, choć takie próby jeden z mieszkańców (Stanisław Skórski), zamierzał w ostatnim czasie podjąć. W zawieszeniu pozostaje idea budowy wiatraków, która wśród mieszkańców budzi duże kontrowersje i opory.

Chciałbym przynajmniej w części zadośćuczynić ideom i projektom zmarłego przed sześcioma laty Rodaka. Jestem mu to winny, tym bardziej że przez Panią Domicelę Pomykalską-Woško zwracał się w tych sprawach wprost do mnie. W związku z tym spełniam po części jego życzenie przedrukowania artykułu o Wałach, umieszczenia w „Głosie” wykazu słynnych osobistości odwiedzających Urzędów, podziękowania ks. Aleksandra Bacy za zostawienie w archiwum parafialnym zbieranych przez cztery dekady materiałów historycznych, jak też wydrukowania biogramu Edmunda Gruchalskiego, organizatora szkoły urzędowskiej po jej spaleniu w 1915 r. W listach do Pani Domiceli ich Autor pisze, że przesyła życiorys E. Gruchalskiego, jak też kilka rodzinnych zdjęć. Obu tych załączników jednak nie otrzymałem, a kopię życiorysu śp. Edmunda odnalazłem w teczkach zdeponowanych przez T. Woškowskiego w parafii. Nie został mi też przekazany opracowany przez niego życiorys Seweryny Kałużyńskiej, tak że trudno będzie kiedykolwiek go zrekonstruować. Nigdy też nie doszły do moich rąk artykuły o działaczach i organizatorach konspiracji w Urzędowie. Swoją drogą ich biogramy zostały już opublikowane w „Głosie” dużo wcześniej. Pan Tadeusz upominał się też ciągle o umieszczenie na okładce wewnętrznej „Głosu” listy słynnych osobistości z Urzędowa oraz pochodzących z niego profesorów wyższych uczelni – uniwersytetów.

Wspomniane listy T. Woškowskiego mają też walor poznawczy, niektóre ich fragmenty zawierają nową, niezna-

<sup>1</sup> Pośrednio prosił w nim Małgorzatę Ciosmak, jako ówczesnego redaktora naczelnego „Głosu Ziemi Urzędowskiej”, o opublikowanie życiorysu Edmunda Gruchalskiego. Wymieniona funkcję tę pełniła w latach 2001–2006.



na dotąd wiedzę, w jednym wypadku hipotetyczną albo opartą na nieudokumentowanej tradycji i obiegowych przekazach. Chodzi o potomków Szwedów, rzekomo zamieszkujących na Bęczynie. Badając gruntownie historię Urzędowa w XII–XVIII w., nie natknąłem się nigdzie na jakiegokolwiek ślady na ten temat, również analiza funkcjonujących nazwisk urzędowskich w tamtych czasach nie wykazała mian nordyckich. Mimo to zasiane przez Autora tajemnicze ziarno będzie zapewne nadal drażyło naszą świadomość. Bardzo sugestywny jest też opis uroczystości pogrzebowych Piotra Pomykałskiego. Szczególną uwagę zwraca apel Autora listów o poprawne używanie historycznych form nazw dawnych części Urzędowa, jakimi było sześć przedmieść. Jego zdaniem coraz częstsze używanie pod koniec XX w. skróconych nazw dzisiaj już odrębnych miejscowości było niesłuszne, gdyż, jak pisał, zgodnie z wielowiekową konwencją i tradycją, winno się mówić np. nie Bęczyn, lecz Przedmieście Bęczyn. Całkowicie się zgadzam ze stanowiskiem T. Wośkowskiego, dlatego koniecznością jest, dla zachowania tożsamości kulturowej i historycznej, przywrócenie byłym częściom administracyjno-geograficznym Urzędowa nazw rozszerzonych o słowo „Przedmieście” (Mikuszewskie, Bęczyn, Rankowskie, Góry). Takie starania o zmianę nazw dawnych przedmieść podejmiemy niechybnie.

Bardzo intensywna korespondencja Tadeusza Wośkowskiego dotyczyła nie tylko starań o stworzenie monografii Urzędowa i spraw z nim związanych. Starał się on także propagować swe rodzinne miasto w świecie, wysyłając do różnych patriotycznych ośrodków i instytucji za granicą istniejące już na jego temat drobne publikacje. Zachowało się kilka listów zwrotnych z polskich instytucji w Nowym Jorku czy Londynie, które były odpowiedzią na wysłaną wcześniej przez niego korespondencję, a w zasadzie przesyłki z broszurami urzędowskimi.

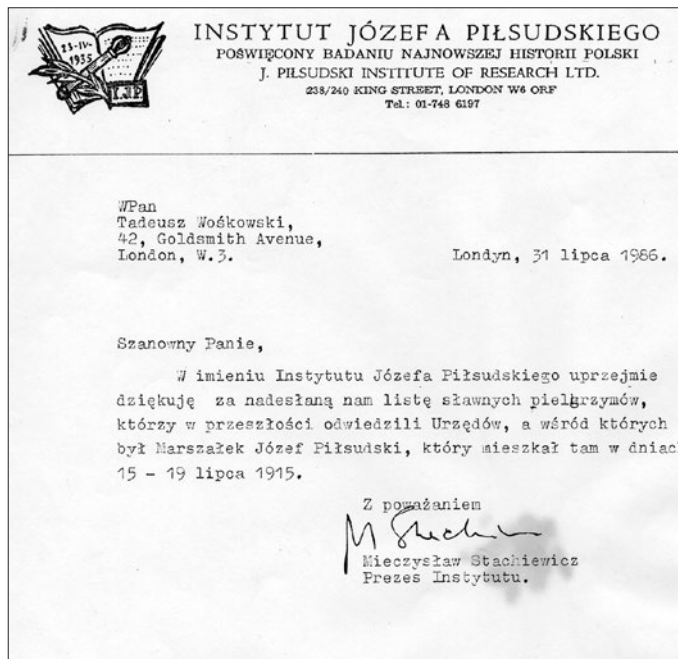
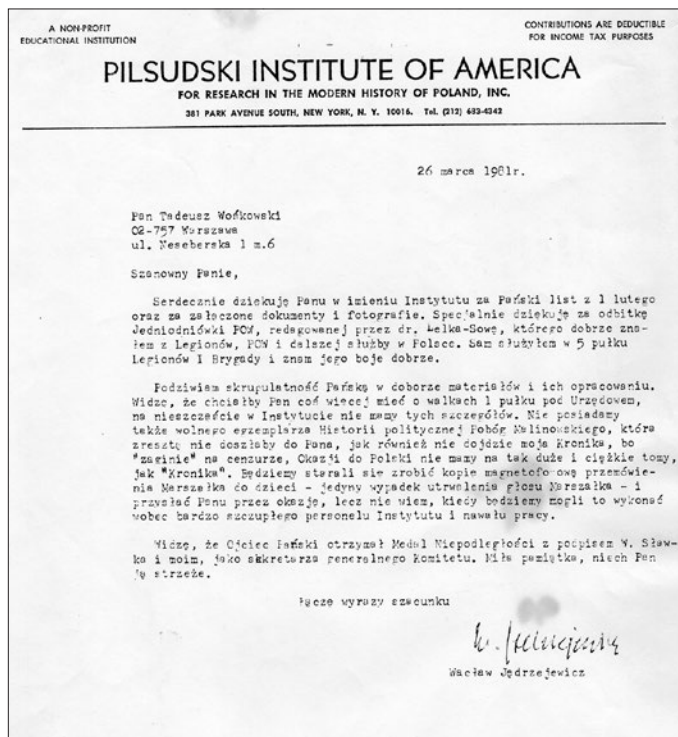
W liście z 26 marca 1981 r. Waclaw Jędrzejewicz<sup>2</sup> z Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku (Piłsudski Institute of America) pisał:

Szanowny Panie,

Serdecznie dziękuję Panu w imieniu Instytutu za Pański list z 1 lutego oraz za załączone dokumenty i fotografie. Specjalnie dziękuję za odbitkę jednodniówki POW, redagowanej przez dr. Lelka-Sowę, którego dobrze znałem z Legionów, POW i dalszej służby w Polsce. Sam służyłem w 5 pułku Legionów I Brygady i znam jego boje dobrze. Podziwiam skrupulatność Pańską w doborze materiałów i ich opracowaniu. Widzę, że chciałby Pan coś więcej mieć o walkach I pułku pod Urzędowem, na nieszczęście w instytucie nie mamy tych szczegółów. Nie posiadamy także wolnego egzemplarza Historii politycznej Pobóg Malinowskiego, która zresztą nie doszłaby do pana, jak również nie dojdzie moja kronika, bo „zaginie” na cenzurze. [...] Widzę, że ojciec Pański otrzymał Medal Niepodległości z podpisem Walerego Sławka i moim, jako sekretarza generalnego Komitetu. Miła pamiątka, niech Pan ją strzeże. Łączę wyrazy szacunku

Waclaw Jędrzejewicz

<sup>2</sup> Waclaw Jędrzejewicz – polski działacz niepodległościowy, dyplomata, polityk, historyk, generał brygady Wojska Polskiego, brat Janusza Jędrzejewicza, majora Wojska Polskiego i premiera II RP.

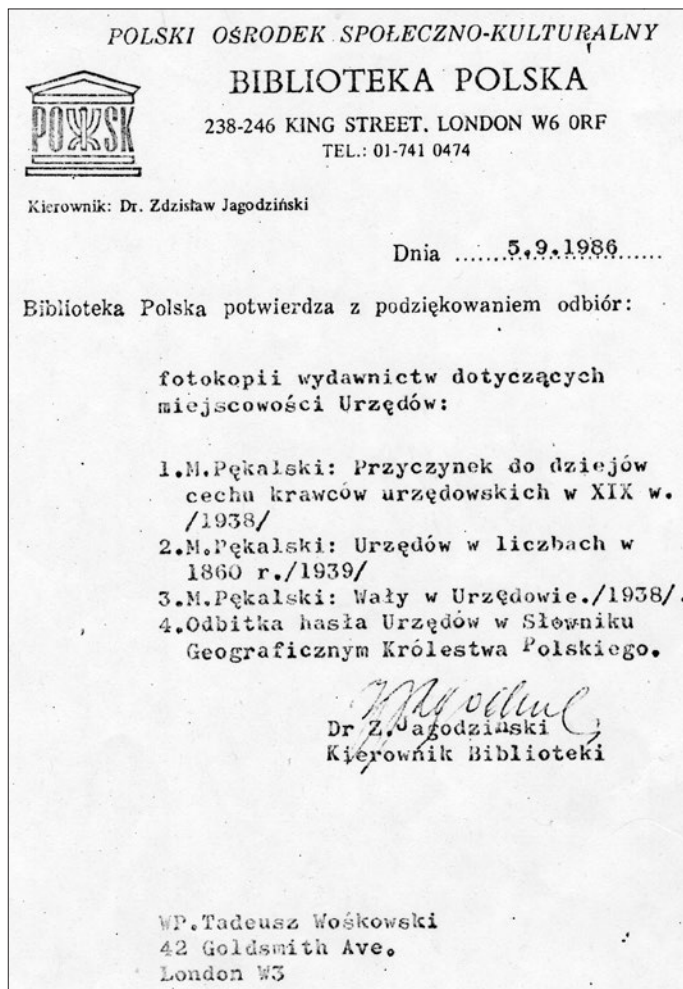
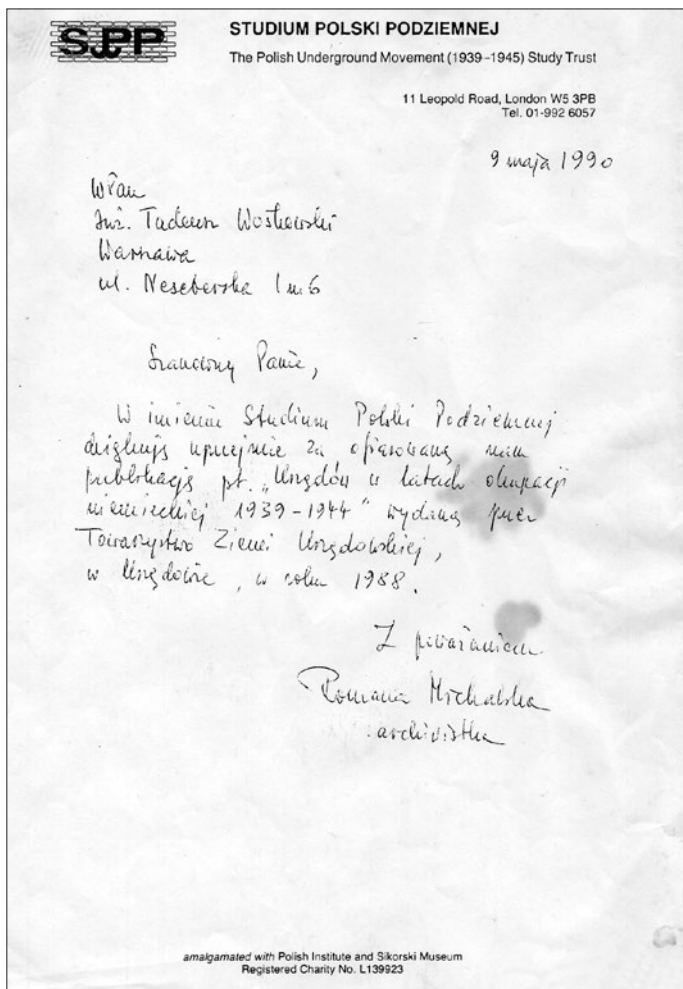


Tadeusz Wośkowski wysyłał też kilkakrotnie publikacje o Urzędowie do Londynu, zawsze otrzymując informacje i podziękowania zwrotne. Tak więc 31 lipca 1986 r. Mieczysław Stachewicz, prezes Instytutu Józefa Piłsudskiego – Poświęconego Badaniu Najnowszej Historii Polski, pisał z Londynu do T. Wośkowskiego:

Szanowny Panie. W imieniu instytutu Józefa Piłsudskiego uprzejmie dziękuję za nadesłaną nam listę sławnych pielgrzymów, którzy w przeszłości odwiedzili Urzędów, a wśród których był marszałek Józef Piłsudski, który mieszkał tam w dniach 15–19 lipca 1915.

Z poważaniem Mieczysław Stachewicz

Podobne podziękowanie napłynęło do T. Wośkowskiego ze Studium Polski Podziemnej w Londynie – The Polish Underground Movement (1939–1945) Study Trust:



Szanowny Panie. W imieniu Studium Polski Podziemnej dziękuję uprzejmie za ofiarowaną nam publikację pt. „Urządów w latach okupacji niemieckiej 1939–1944” wydaną przez Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej w Urzędowie, w roku 1988. Z poważaniem Romana Michalska, archiwistka.

Inne pismo nadesłane 5 września 1986 r. z Biblioteki Polskiej, Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie zamieszczamy obok.

Tadeusz Wośkowski był autorem jeszcze wielu innych niepublikowanych tekstów na temat Urzędowa. Zwraca uwagę przede wszystkim 10-stronicowy maszynopis, któremu Autor nadał tytuł *Propozycja do Jednodniówki traktującej o udziale Urzędowian w walkach z najeźdźcą hitlerowskim w latach 1939–1945*. Maszynopis ten wysłał 20 sierpnia 1985 r. do ówczesnego redaktora „Głosu Ziemi Urzędowskiej” Tadeusza Mocha. Jak pisał: *Jednodniówka powinna być wzorowana na jednodniówce POW, w której rzetelnie i prostym językiem (nie prostackim) przedstawiono działania POW z przepięknie napisanym tekstem przez Stefana Lelka*. Trzy lata później powstało zbiorowe, wspomniane wyżej opracowanie *Urzędów w latach okupacji niemieckiej...*, które w pewnym sensie zaspokoilo oczekiwania i plany Tadeusza Wośkowskiego, dotyczące wydania *Jednodniówki*. Niemniej jednak w jego maszynopisie znajduje się szereg informacji i osobistych obserwacji z czasów II wojny, które warto będzie upublicznić na łamach następnych numerów „Głosu”.

## Listy Tadeusza Wośkowskiego do Domiceli Pomykalskiej-Wośko w sprawie Urzędowa

W uzupełnieniu zamieszczonych wyżej tekstów dotyczących Tadeusza Wośkowskiego przytaczam w dosłownym brzmieniu wysłaną przez niego korespondencję do śp. Domiceli Pomykalskiej-Wośko, która pośrednio kierowana była również do piszącego te słowa. Przepisałem ją z mało czytelnych czasem oryginałów rękopiśmiennych. Cechuje ją prawdziwy autentyzm i zatroskanie o umiłowany Urzędów, którego w czasach, gdy pisał te listy, nie mógł już osobiście odwiedzać, ze względu na ciężką chorobę (m.in. Parkinsona).

### List I

*Droga Domicelo*

Nadesłanym „Głosem Ziemi Urzędowskiej” sprawiłaś mi nadzwyczajną przyjemność. Przez niemal dwa tygodnie zapoznawałem się z wiadomościami tam podawanymi. Dziękuję Tobie bardzo serdecznie, jak również prof. Surdackiemu. Z jego życiorysem zapoznałem się bardzo dokładnie. Powiedz mi, że zazdroścę mu, że poznał nadzwyczajną Polkę Prof. Karolinę Lanckorońską. Ja osobiście tylko słyszałem o jej działalności i studiowałem jej książki. Jeśli następcą, bo tak mogą napisać, po twoim mężu został prof. Marian Surdacki, to składam gratulacje.



Ja przeczytałem w jednym z numerów „Głosu” o 20-leciu działań wójta gminy Woźniaka. Przesłałem mu najlepsze życzenia dalszej pracy dla Ziemi Urzędowskiej i wzorowania się na Krajanie Leonie Hemplu, o którym napisałem w jednym z nr. „Głosu” (warto przeczytać). Mając długoletni staż w pracy Inspekcji resortowej Ministerstwa Rolnictwa oraz w Centralnym Związku Kółek Rolniczych, gdzie byłem łącznikiem zarządu z Radami Wojewódzkiego Związku w Krakowie, Radomiu, Bydgoszczy, Olsztynie, podałem mu propozycję załatwienia dla Urzędowa następujących spraw: 1. Poczynienie starań o przyznanie praw miejskich poprzez Zarząd Główny PSL, tj. marszałka Sejmu Józefa Zycha, który załatwia takie sprawy oraz sprawy gospodarcze poprzez prezesa Zarządu Głównego PSL Waldemara Pawlaka – wicepremiera; 2. Budowy stawów rybnych (które istniały według kronikarza Gwagnina w Urzędowie); 3. Budowy dwóch cegielni polnych na Górach w Urzędowie i Wierzbicy, które produkowałyby cegłę dla potrzeb gminy; 4. Założenie na tzw. Wygonach plantacji winogron oraz drzew orzecha włoskiego, który udaje się dobrze i plonuje na tzw. opoce urzędowskiej (w grę wchodzi skłony koło drogi do Urzędowa z Warszawy oraz na Przedmieściu Zakościelnym w kierunku domostwa Grabowskiego. Po stronie wschodniej z wystawą południową – krzewów winogron, z wystawą zachodnią – drzew orzecha włoskiego); 5. Budowy wiatraków na Górze tzw. Lubelskiej oraz na najwyższym terenie, na Leszczynie. Tu można się starać o pieniądze w Unii Europejskiej w celu produkcji energii elektrycznej; 6. Podjęcie starań o konserwację zabytkowych wałów w Urzędowie (Unia Europejska przekazuje chętnie środki na zabezpieczenie zabytkowych obiektów).

Przesyłam mój artykuł zamieszczony w czasopiśmie „Chrońmy Przyrodę Ojczyznę”, napisany przed laty, a do dziś aktualny. Drugi to księdza Bacy podziękowanie za złożenie w Archiwum Parafialnym moich zbiorów, które gromadziłem przez 40 lat. Przekonaj Prof. M. Surdackiego, by dokonał publikacji tych dwóch artykułów, jako reprint powtórzonych. Przekaż uwagi zasłużonych Urzędowian, którzy prosili, by nie pisać „Syn Bęczyna” a „Syn Urzędowa – Przedmieścia Bęczyn” (podawał i pisał o tym Mikołaj Pękalski w jednym z numerów „Głosu Ziemi Urzędowskiej”).

W kronice „Głosu” z 2009 r. podano o odejściu trzech mieszkańców Urzędowa, a między innymi o moim Koleździe Kazimierzu Sable, którego zachęcałem do Liceum Rolniczego w Wierzbicy koło Wrocławia. Był działaczem ZMP wytypowanym na studia. Obroniłem go przed oskarżeniem o to, że miał dwu braci w konspiracji (groziło mu wyrzucenie). Autor wspomnienia o nim zapewne się pomylił, bo jak pamiętam nie uczestniczył w pracy Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej. Nic nie wiem o pracy politycznej na uczelni. Jeśli podało się życiorys K. Sable, to zapytaj, dlaczego nie wydrukowało się życiorysu wielce zasłużonego Edmunda Gruchalskiego, kierownika Szkoły Podstawowej po spaleniu w 1915 r. Borykał się z odbudową nauki, która odbywała się w domach prywatnych. Od początku organizował wyposażenie szkoły i księgozbiór w bibliotece. Poziom nauki był wysoki. O powyższym opowiadali moi rodzice – Mama i Ojciec. Na tej

podstawie opracowałem połowę życiorysu. Przebieg pracy w Leśnictwie opracowałem na podstawie nadesłanych akt z Zarządu Leśnictwa w Lublinie. O działalności konspiracyjnej podali syn i córka.

Przepraszam za charakter pisma (ale za to winię Parkinsona), w dodatku piszę to w łóżku. Seweryna była serdeczną przyjaciółką Twojej Ciotki Sabiny Pomykałskiej-Pomorskiej. Zasluguje na utrwalenie jej pamięci w „Głosie”. O co bardzo serdecznie proszę. Za okazaną mi opiekę w czasie okupacji, gdy chorowałem bardzo często. Przeczytaj list do Prof. Surdackiego i przekonaj o słuszności wydrukowania obu listów, które Ci przesłałem oraz wydanie II-giej części o osobach zasłużonych „Cmentarz w Urzędowie” [tu myśl urwana – M. S.].

Proszę o skontaktowanie się z Tadeuszem Gruchalskim, który potwierdzi wiarygodność podanych faktów. Nie można pominąć milczeniem zasług Edmunda Gruchalskiego dla Urzędowa (chyba, że w tym przeszkadzają trzecie osoby zawistne mojej osobie). A to co innego. Tak samo nie można pominąć mojej Cioci Seweryny Kałużyńskiej, zasłużonej w działalności niepodległościowej i społecznej. Przesyłam zdjęcie ksero jej brata Ignasia Kałużyńskiego, który z Tadeuszem (?) Łatą i Mikołajem Gałkowskim spotykali się w Chicago u kuzynki Franciszki z domu Kałużyńskiej i z Woltańską i innymi osobami z Urzędowa. Przesyłam poprawiony życiorys Seweryny Kałużyńskiej [takiego nie otrzymałem – M. S.]. Proszę, Ty dopilnuj jego wydrukowania.

Mój stan zdrowia nie pozwala na pisanie obszerniej, ale ten list mój skierowany do wójta gminy należy moim zdaniem powielić i przestać członkom Rady Gminy, by zajęli się wprowadzeniem w życie moich postulatów do rozwoju gospodarczego Urzędowa.

Z poważaniem. Tadeusz Wośkowski.

PS. Przesłany numer „Głosu” przeczytałem od deski do deski. Podobały mi się artykuły Kazimierza Cieślkiego o cmentarzach i Architekta Wojewódzkiego [Jadwigi Jamiołkowskiej – M. S.].

PS. Poproś prof. M. Surdackiego, by umieścił na okładce wewnętrznej „Głosu” słynne osobistości w Urzędowie oraz Profesorów Wyższych Uczelni pochodzących z Ziemi Urzędowskiej.

## List II

Droga Domicelo!

Przesyłam list do Ciebie i Profesora Mariana Surdackiego. Dostarczysz mu przy okazji. Celowo nie zamykam koperty dla niego, byś miała okazję przeczytać to, co napisałem i o co go proszę, by wydrukował w „Głosie”, tj.: – 1) Słynne osobistości odwiedzające Urzędów, – 2) Profesorowie wywodzący się z Urzędowa, – 3) O Watach w Urzędowie, – 4) O moim darze dla T.Z.U. (materiał historyczny). Przekonaj go o słuszności tych postulatów.

## List III

Domicelo!

10.11. 2011

Przesłałem informację Synowi Robertowi – Ireny Bieżeńskiej, że została odprawiona msza za nią oraz że „Głos Ziemi Urzędowskiej” umieścił wiadomość o jej śmierci.

Prosiłbym o sporządzenie odbitek kserograficznych z jej wspomnień i brata Józia, którzy tak barwnie opisali młode lata spędzone na Wołyniu i późniejsze lata oraz borykanie się z trudnościami językowymi w Wielkiej Brytanii i przysłanie mi, a ja przekażę Synowi w Kanadzie. Bardzo się ucieszył moją wiadomością i przyrzekł, że całą rodziną przyjedzie do Polski.

Serdecznie proszę przekonaj prof. M. Surdackiego, by wydrukował wreszcie życiorys Edmunda Gruchalskiego, zastępowanego nauczyciela w Urzędowie i leśnika. Życiorys ten przepisałem, omijając zdania polityczne. Poproś o to, znając rodzinę Gruchalskich i dr Lucynę, inżynierów: Tadeusza, z którym chodziłaś zapewne do szkoły, oraz Ludwika lotnika. Porusz Niebo i Ziemię bym otrzymał wreszcie Monografię Urzędowa. Przekaż życiorys Edmunda Gruchalskiego za pokwitowaniem Prof. Surdackiemu, że otrzymał.

Tadeusz Wośkowski

#### List IV

Szanowny Panie Profesorze!

Bardzo proszę o posłuchanie mojego głosu. Bardzo pożyteczne, że zamieszczono w „Głosie” artykuł Kazimierza Cieślkiego o cmentarzu w Urzędowie. Pominęto tam zasłużone postacie dla Urzędowa: Aleksandra Golińskiego i Piotra Pomykalskiego, który przystąpił do odbudowy Urzędowa po I wojnie światowej. Pamiętam pogrzeb. Przemawiali przedstawiciele z Warszawy, Lublina, Janowa, Kraśnika. Najpiękniejsze przemówienie wygłosił student III roku KUL z Leszczyny. Na zakończenie powiedział: „Niebo płacze po stracie syna zasłużonego z Urzędowa”. Zaczął padać deszcz. Widziałem szloch, płacz niewiast zebranych na uroczystości żałobnej. Cały Urzędów wyległ na pogrzeb. Obserwowałem, że matki z dziećmi przybyły tam. Uroczystość znalazła się w specjalnej oprawie. Trumnę ze zwłokami nieśli na ramionach tylko członkowie byłej Polskiej Organizacji Wojskowej w Urzędowie, której był komendantem. Też mieszkał na Bęczynie. Takich osób należy znaleźć zdjęcia z nagrobków i wydać w „Głosie” jako II część cmentarza. Dokona tego artysta fotografik z TZU. Proponuję następujące pomniki następujących osób: Aleksandra Golińskiego, Piotra Pomykalskiego, Adolfa Pomykalskiego, Stefana Peimela – kierownika szkoły, Piotra Trojanowskiego, Wójtowiczowej – nauczyciela „Gimnazjum”, Genowefy [błędne imię, powinno być Jadwigi – M. S.] Serbynówny, Pufowej, Aleksandry Decyusz – nauczyciela „Jagiellonki”. Następnie: zasłużeni księża parafii Urzędów według spisu podanego w pracy ks. Bacy o ks. bpie Golińskim. Pokazać pomniki bardzo okazałe: Sabiny Pomykalskiej-Pomorskiej, komendantki Sekcji Żeńskiej POW; organizy zasłużonego Franciszka Barwy; zasłużonych lekarzy: Ściegiennego, Hewelke; tablice nagrobkowe powstańców 1863 r. czy wreszcie tablice uczestników walk z Niemcami oraz prof. Ignacego Wośko, mgr. Tadeusza Mocha. Może innych, których pominąłem.

Jeszcze raz zwracam się z prośbą o wydrukowanie w „Głosie” słynnych osobistości odwiedzających Urzędów oraz listy profesorów wywodzących się z Urzędowa. To

duma dla Urzędowa; jak i mojej Cioci Seweryny Kałużyńskiej oraz Edmunda Gruchalskiego – to nagroda za mój trud 40-lecia gromadzenia materiałów historycznych o Urzędowie. [Dalej podaje znaczenie kilku terminów według Herbarza Marcina z Urzędowa oraz z Encyklopedii Staropolskiej Zygmunta Glogera – M. S.).

Tadeusz Wośkowski, 17 IX 2009

**List V** [List niedatowany, prawdopodobnie z 2009 r. – M. S.]

Pan Redaktor „Głosu Ziemi Urzędowskiej”

Profesor Marian Surdacki

Składam gratulacje z okazji objęcia Redakcji „Głosu Ziemi Urzędowskiej”. Przedstawiam się. Jestem ze stryja wnukiem Marianny z Jagiellów, zamieszkałej w Urzędowie – w Betlejem na Bęczynie, jak podawała ciotka Kazimierza Grzebuły. Proszę zawsze pisać w „Głosie”: Syn Urzędowa – Przedmieścia Bęczyn. Píše o tym Pękalski w „Głosie” przed laty. Zazdroszczę, że poznał Pan wielką Polkę Karolinę Lanckorońską. Proszę serdecznie o wydrukowanie w „Głosie” osób i postaci odwiedzających Urzędów oraz ludzi – profesorów wyższych uczelni wywodzących się z Ziemi Urzędowskiej. Moje propozycje, co należy zrobić dla rozwoju Urzędowa, przedstawiłem członkom Rady Gminy. Zwracam się do Pana o napisanie o potomkach Szwedów, którzy zamieszkiwali na Bęczynie. Blondyni, np. Kazimierz Grzebuła, bardzo zdolni ludzie. Pańską pracę wykorzystałem do opracowania życiorysu dr. filozofii Władysława z Urzędowa.

Serdecznie pozdrawiam

Tadeusz Wośkowski

**List VI** [Luźna kartka, brak daty – M. S.]

Prof. Marian Surdacki

Bardzo proszę o zapoznanie się z moimi artykułami, w których przedstawiłem działaczy organizatorów konspiracji w Urzędowie: M. Pajdowskiego, R. Bijasiewicza, Hieronima Cieszkowskiego, J. Pyza, ks. Zygmunta Surdackiego, Bolesława Grabowskiego. Dużo wiadomości przekazałem do życiorysu Bolesława Mitala.

Tadeusz Wośkowski

**List VII** [do Edwarda Ciosmaka – M. S.]

Edziu

Przesyłam życiorys Edmunda Gruchalskiego, który kierował szkołą zaraz po I wojnie światowej. Wniósł dużo do rozwoju szkoły w Urzędowie. Mama mi o tym wszystkim przekazała. Ja na podstawie tego napisałem życiorys, który zasługuje na wydrukowanie w „Głosie Ziemi Urzędowskiej”. Moim skromnym zdaniem społeczeństwu Urzędowa należy pokazywać takie postacie i ich działalność dla Urzędowa. Bardzo serdecznie proszę porozmawiaj z Małgorzatą Ciosmak, by umieściła ten tekst w „Głosie Ziemi Urzędowskiej”. Przepraszam za kłopot, jaki Ci sprawiam, ale cała rodzina Gruchalskiego Waclawa na to zasługuje. Troje dzieci ukończyło studia, mimo przydomku „kułackie”. A syn Ludwik ukończył, jako drugi wydział, „ukochany” Wydział Lotnictwa.

Tadeusz W.



## PODRÓŻE DALEKIE I BLISKIE

Michał Barabasz

# Majóweczka. Rumunia 2023

Apetyt na majówkę powrócił. Po kilkuletniej przerwie zbieramy ekipę i ruszamy. Tylko dokąd? „Kawałek świata już zwiedziłem, ale w Rumunii nigdy nie byłem – zawiadamia Lama – jedźmy tam. Kto chętny?”. Obowiązki, praca, brak urlopu w tym czasie komplikuje co poniektórym możliwość zabrania się na tę wyprawę. Uzbieraliśmy czterech: ja, Lama, Zygi i Król Julian. W sam raz żeby zapakować się w jedno auto. Peugeot Partner to pojemny samochód. Jak dobrze kombinujesz to wiele zapakujesz. Cztery rowery, czterech delikwentów, mandżur, tylko klapę zamknąć i można jechać. Noc. Eską do Rzeszowa (dzięki Jarek), krętą drogą do Barwinka (czekamy na dokończenie budowy) i Słowacja. Przez Madziary eską. Wstaje świt. Podróż, chociaż męcząca, to powoli budzą się emocje, bardzo pozytywne. Wjeżdżamy do Rumunii. Ciasna zabudowa, tuż przy ulicy, chałupa w chałupę. „Jak tu inaczej – zauważa Lama – już mi się podoba”. Wiosna z dnia na dzień zachwyca wybuchem swojego piękna.

Przed wyjazdem mieliśmy mniej więcej zaplanowaną trasę. Kierując się stereotypami o Rumunii, mieliśmy jakieś obawy o bezpieczeństwo zostawionego przez nas auta. Dojeżdżamy do Pietroasa. Miejscowość z ogólnej oceny wygląda na niewielką, mimo to oferuje dobrze zaopatrzone sklepy i fantastyczną restaurację. Poznajemy właściciela owego baru. „Nie martwcie się o swoje auto, jest bezpieczne na tym parkingu – zapewnia – życzę wam wspaniałej przygody w naszym pięknym kraju”. Rowery zapakowane – startujemy. Atmosfera sielska. Nawiguje

Julian. Z asfaltu w szutry. Naokoło coraz wyższe góry, lasy, strumienie, cisza i spokój zachęcają do... niejechań. Częste postoje, ciepło, trzeba przyjmować płyny. Na szczęście nie brakuje ich tu. Kupujemy „maciorki”, jeden litr bądź większe. Najbardziej cieszy to Juliana, że takie duże. Dojeżdżamy do rezerwatu. Strumień wartko płynie, prześlizguje się między dużymi kamieniami. Wzdłuż



jego koryta wyznaczono szlak turystyczny. Idziemy. Gimnastyka: łańcuchy – podciąganie, drabinki, liny, metalowe stopnie – ułatwiają przejście po pionowej ścianie, brodzenie w wodzie. Na końcu ścieżki kilkumetrowy wodospad wypływający z wnętrza góry, robi ogromny hałas. Umęczyła nas ta wspaniała eksploracja dzikiego terenu. Czas szukać noclegu. Julian zaginął, gdzie się odłączył i odjechał. Chodzą słuchy, że pojechał do Cyganów, robi z nimi szemrane interesy.



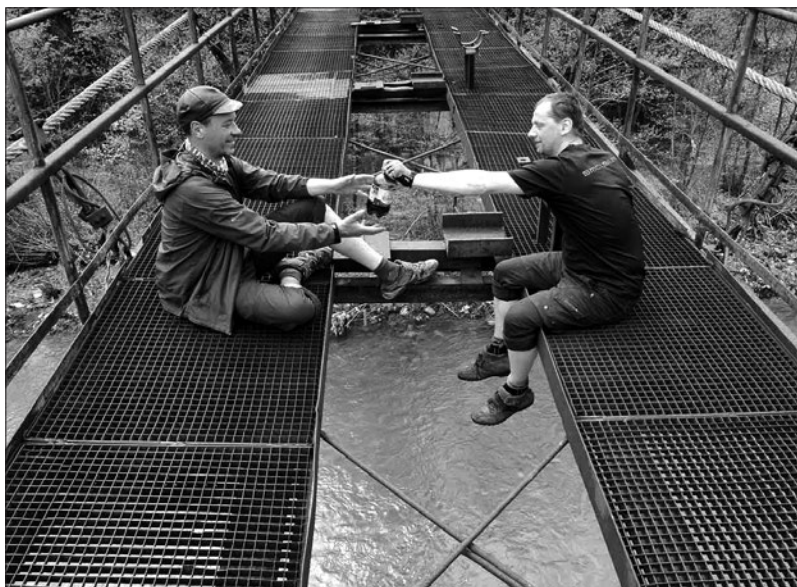
Zwiedzamy drewniany kościół z końca osiemnastego wieku w Garda de Sus. Boskość. Uciekamy z doliny w wyższe partie. O góry moje, obłoki, anioły, białe motyle, jak tu pięknie. To jest czas krokusów, są wszędzie, miliony, rozpostarły się na polanie niczym ogromne kwietne dywany. Nie można wyjść z zachwyty. Drewniany domek ogrodzony płotem. Siadasz pod ścianą na ławce i chłonisz to niesamowite miejsce, nie niepokojony przez nikogo, no chyba że kolega proponuje ci przepłukać gardło. Natrafiamy na sklep, chwila i było wiadomo, że my tu możemy polec. Z tutejszą młodzieżą delectujemy palinkę, duża moc. Szybko uwalnia w organizmie pozytywne





fluidy. Zapraszają na grilla, z którego – oprócz mięsa – spogląda na nas ryba. Dziwnie patrzy się, nie zna nas, pierwszy raz tu jesteśmy. Głos rozsądka, jeszcze jeden kieliszek i nie wystartowalibyśmy stąd. Rozbijamy się nad jeziorem. Zaginął kolejny wyprawowicz – Zygmunt – gdzieś został z tyłu. Jutro Go odnajdziemy. Zostaliśmy z Lamą we dwóch. Ogniska można tu palić bez końca, suchego opału jest ogrom, wszędzie.

Nazajutrz odnajdujemy Zygmunta, w jedy-nym słusznym miejscu – pod sklepem. Pogoda dopisuje, słońce grzeje. Czas na większy wysiłek. W wyższych partiach leży śnieg. Z rana po zamrzniętym idzie się dobrze. Słońce przemieszczając się ponad nami zmiękcza nie tylko śnieg, ale i nas. Z minuty na minutę pokonywanie drogi wymaga coraz większego wysiłku. Idzie się upocić. Dobrze, że mamy zapas „maciorek”. Kurczę, liczyliśmy na zaobserwowanie niedźwiedzia, nie udało się. Niespodziewanie za to natrafiamy na karawanę sześciu samochodów terenowych – Polaczki z Bielska-Białej. Była tam jedna dziewczyna, która namieszła Lamie w głowie. Achów nie było końca.



Ławeczka w parku w centrum miasteczka, siedzi na niej jakiś gość, z daleka wygląda jak kloszard, browar w rękę. Odnalazł się człowiek renesansu, nasz kochany Julian. Oburzony, że Go zgubiliśmy. Kilka kolejek i smaczny obiad załagodził niesnaski. Cała ekipa w komplecie.

Mamy zbyt dużą łatwość bratania się z miejscowymi. Przoduje w tym oczywiście Julian. To się z nimi napije, to coś wymami, ewentualnie kupi. Nie da się Go nie lubić, chyba że o czwartej nad ranem, jak śpi koło ciebie. Zno-



wu ledwo żywi wychodzimy z baru. A i Lama wzbudził zachwyty, zademonstrował miejscowym, jak pije się setkę. Duże oczy zrobili. Szybko znajdujemy miejsce noclegowe.

Strumień, opał, płasko, świetny teren, mogłoby się wydawać. Jednej osobie nie spodobało się. Dlaczego? Podobno kamienie w strumieniu jakoś dziwnie ułożone były, przeszkadzałyby w śnie, i trawa przechylona była nie pod odpowiednim kątem. Znowu jednego brakuje, jutro się znajdzie.

Czarujące są te tereny, szczególnie w górach. Nie można się nacieszyć tym miejscem. Czas zatrzymał się tu dawno, dawno temu. Można cofnąć się o kilkadziesiąt lat.

Dziewięć dni przeleciało, nie wszystko udało się zapamiętać, ta piekielna palinka. Auto stoi jak stało. Wszystko zagrało jak za czasów „szukania umiaru”. Powrót do wspólnej majówki okazał się dobrą decyzją. Czekamy do przyszłego roku. Może ktoś zdobędzie się na odwagę i pojedzie z nami? Dokąd? Gdzie tylko sobie wymyślimy. Do młodzieży świat należy.



Michał Barabasz

# Dokończona historia. Wyspy Kanaryjskie: Teneryfa–La Gomera–La Palma–El Hierro – 2024

Od dawna planowaliśmy tam powrócić, wreszcie się udało, jedziemy. Hola, hola, ale nie tak od razu. Najpierw trzeba było ogarnąć wiele rzeczy z tą wyprawą: bilety, ubezpieczenie, sprzęt, rowery. Mamy to. My z Lamą to już weterani, pasowałoby zabrać jeszcze kogoś. Ciężko kogokolwiek namówić. Na haczyk daje złapać się Sanchez, na jednej z imprez. „Ja mogę z wami pojechać” – na delikatnym rauszu rzuca mimochodem. Mamy pacjenta, więcej nikt niestety nie podjął wyzwania. Dobrze, że nie jest świadom jak trudny teren go czeka, bo raczej nie podjąłby się tego zadania. Jeszcze dwa miesiące do wyjazdu, trzymamy kciuki, żeby się nie wycofał. Skład trzyosobowy, w sam raz.

Będzie to drugi nasz pobyt w tym miejscu, mija równe dziesięć lat, gdy byliśmy tam. Ale zleciało! Wtedy zwiedziliśmy Lanzarotę, Fuerteventurę, Gran Canarię i Teneryfę. Chociaż nie wiadomo, która to już z kolei wyprawa, to w dniu wyjazdu dalej towarzyszą takie same emocje jak za gówniarza, gdy jechało się pierwszy raz. Trudno było usnąć, jeszcze ktoś mi po chałupie laził, pewnie Lama, bał się, że w swoim domu zaśpi i nie pojedzie. Sprzęt zapakowany, gotowi do startu. Na lotnisko zawozi nas nasz niezawodny i zawsze pomocny „taksówkarz” – Tomek. Wytnie, przystrzyże, wygoli, zadba o ogródek – tylko Tomek. Wyjeżdżamy o piątej nad ranem, ciemno i zimno, no cóż, taki mamy klimat. Lotnisko w Modlinie, ale kurnik, nie przystaje do rangi takiego państwa. Ważne, że „dostarczy” nas do naszego celu. Spozrzezenie: zaskakuje skład pasażerów w samolocie, niemal połowę stanowią Ukraińcy, to ciekawe. Lot trwał niemal sześć godzin, troszkę się dłużył. Okrążamy Gran Canarię, fantastyczny widok i „siadamy” na pasie lotniska na Teneryfie, tym południowym. Uśmiech i radość, jesteśmy. Na zewnątrz dwadzieścia parę stopni, na plusie, rzecz jasna. Rowery przygotowane do jazdy, jedynie Lamę zaskoczył jeden fakt, jest bardzo kreatywny, szybko rozwiązał problem. A gdzie schowamy pudełka? Będą potrzebne w drodze powrotnej. Szybko znajdujemy dobre miejsce i to bardzo blisko lotniska.

Super ciepło, bocznymi drogami w ciemnościach zmierzamy do miasta portowego, turystycznego – Los Cristianos. Po drodze zachwyca roślinność: kaktusy – ogromne, palmy – wszelakiej maści, banany – hektary tego i my wśród nich szczęśliwi jak dzieci. Miasto tętni nocnym życiem: restauracje wypełnione ludźmi, migające neony, muzyka. Rozsiadamy się wśród palm na ławce na plaży, dostosowując się do tej wspaniałej atmosfery.

Czas szukać noclegu. Wyczesany hotel z basenami, zostajemy tu. Znaczący się, my na trawniku, a raczej na skale wulkanicznej, przed tym hotelem, patrzymy z delikatną zazdrością na to ekskluzywne miejsce. Mimo to czujemy się wyjątkowo, śpiąc tu. Nikomu to nie przeszkadza, że trzech gości nocuje tutaj.

Świt wstaje późno, tuż przed ósmą. Szybko pakujemy się i dwa kapcie na dzień dobry. Trzeba uważać na sukulentę. Ładujemy się na prom. Kierunek – La Gomera, pierwsza z wysp. Krótki rejs, godzinny. W San Sebastian de La Gomera uzupełniamy zapasy żywnościowe na cały dzień. Rozpoczynamy pierwszy z licznych podjazdów. Słońce mocno grzeje, jedzie się ciężko. Jeszcze nie rozpoczął się na dobre taniec z gwiazdami, a nogi nie mają już sił. Brak kondycji. Robimy często przerwy, by chwilę odsapnąć, jedną dłuższą, bo o mało co nie zemdląłem ze zmęczenia. Trasa kręta, zachwyca pięknem, z typowo



pustynnej przechodzi wraz z wysokością w coraz bardziej zieloną, z bujną roślinnością. Restauracja na szczycie, mocna kawa na pobudzenie, zimny browar na ugaszenie pragnienia i hamburger na uzupełnienie kalorii. Mamy to – Mirador Degollada de Peraza – niepowtarzalny widok. Było ciężko pod górę, czas odpocząć na zjeździe. Jedzie się do granic własnych możliwości, zachowując cienką granicę bezpieczeństwa, nie można z tym wygrać, im większa prędkość tym większa radość i satysfakcja, trudno nad tym zapanować. Koniec zjazdu. Okrzyk triumfu. Jedziemy nad ocean chwilę odpocząć – Playa de Santiago. Obserwujemy kraby między skałami, chyba nas nie lubią, bo na nasz widok szybko się chowają. Czas

szukać noclegu. Wyjeżdżamy z miasta, po drodze napotyamy Orszak Trzech Króli. Oj, zdziwilibyście się kto brał w nim udział. Korowód otwierały postacie z bajek: Kaczor Donald, Myszką Miki, Mario, Batman, Kapitan Ameryka i Pluto. Na końcu szła kapela, grając świąteczne nuty, a z samochodów ku ucieście dzieci i naszej, kierowcy oraz pasażerowie rzucali cukierki. Kto nie lubi słodczy ten nie zbiera, my lubimy i kieszenie napelniamy. Nieopodal miasta miejsce jakby dla nas przygotowane. Typowy zajazd żeby odpocząć. Bierzymy w ciemno, bo już ciemno. Ławkę ze stołem obejmujemy w całości, jest też huśtawka i przyrządy do ćwiczeń jeśli masz ochotę. Chłoniemy wieczór, bo warunki na to pozwalają.

Znowu od samego rana w górę, obserwujemy lądujące samoloty na mijanym lotnisku. Troszkę lżej się jedzie, organizm powoli przyzwyczaja się do dużego wysiłku. Alajero, przepiękne miasteczko, architektura współgra idealnie z naturą. Z każdym kilometrem coraz wyżej, znad oceanu pędzą chmury, przesłaniają krajobraz, najbliższe otoczenie pojawia się, to znika w chmurach. Koloryt otoczenia. Dobrze umęczeni zdobywamy najwyższy punkt. Mrugnięcie okiem i każdy wie, że teraz będzie super zabawa w dół. Panuje tu bardzo mały ruch samochodowy, to jest duży atut tego miejsca. Prawy, lewy, nawrotka, można ciąć. Idealnie. W Chipude jedna z restauracji, w centrum, czas na posiłek. Odpoczęci, dożywieni, w drogę. Na chwilę wpadamy do Parku Narodowego Garajonay. Jeszcze chwilę zjazdu do Arure. Tutaj mocna kawa, bo będzie w górę. Im wyżej, tym bardziej zielono i mgliście, przetaczające się chmury dodają magii temu miejscu. Wracamy do Parku Narodowego Garajonay. Rosną tu między innymi największe na świecie lasy wawrzynowe. Są tak stare, że drzewom urosły wąsy. Zieleń otacza nas z każdej strony. Tworzy to klimat jak z filmów Hitchcocka, nie wiadomo co wydarzy się za najbliższym zakrętem i wydarzyło się. Brak mi słów, raczej liter, żeby opisać emocje, których dostarczył widok, ogarnął nasze zmysły. Startuje narkotyczny proces, organizm z ogromną prędkością wytwarza hormony szczęścia: oksytocynę, dopaminę, serotoninę, endorfiny, zabrakło tylko kokainy i byłby cały skład. A to tylko w Ameryce Południowej, może kiedyś. Napawamy się tym miejscem. Żadne najnowsze iphony tego nie uchwycą. Kilkanaście kilometrów w dół, droga przemyślana i dobrze poprowadzona w dół/górę, żeby można ją było szybko i bezpiecznie pokonywać. Z Lamą pędzimy na maksa, co chwilę mijając się, nieprzeciętna zabawa, o to chodzi. Emocje opadły. Potrzebujemy coś zjeść. Vallehermoso. Klimatyczne miejsce. Kolacja. Szybkie zakupy i mamy dobre miejsce na nocleg, z widokiem na Roque Cano, spiczastą górę.

Dzień rozpoczynamy krótkim podjazdem, widok na Teide i znowu ostro w dół. Kto nie kocha jechać w dół na prędkości. Dojeżdżamy do Agulo, uroczego miasteczka wciśniętego między wysokie zbocza, posadowionego na małym skrawku płaskiego wybrzeża. W przydrożnej restauracji śniadanie. Słoneczna pogoda i świetny humor. Dziś bardzo trudne wyzwanie, pierwszy szutr na trasie. Droga wspina się w zawrotnym tempie. W czasie jazdy trzeba robić ciałem przeciążenie na przednie koło, bo tak to go podrywa i grozi to wywrotką na plecy. Zmęczenie

przychodzi szybko. Przerwa na małe zimne i już lepiej. Fale uderzają o wysokie wybrzeże, chwila relaksu przed dalszą drogą. Po szybkim wydostaniu się z głębokiej doliny droga prowadzi trawersem, aż nagle kosa. Serpenty wija się po zboczu góry, a wraz z nimi żółta metalowa rura na poboczu. Co w niej płynie? Możliwe że słodka woda, która zaopatruje okoliczne miasteczka. Pchamy rowery, odpoczywamy i znowu do przodu. Pot płynie po tyłku, ale zabawa trwa w najlepsze. Dobrze umęczeni dojeżdżamy do przełamania. Dłuższa przerwa pożądana. Trzeba podejść na dalszą część trasy. Słońce



przypieka skórę – przyjemnie. Droga już tak nie męczy, bo ciągle trawers, a widoki sprawiają ogromną radość. To było duże wyzwanie, dwadzieścia kilometrów szutrem: ostre podjazdy, pchanie, kamienie, trawers – pokonane. Szczególnie dla mnie było to bojowe zadanie, z racji że jadę rowerem szosowym na cienkich oponach. Da się. Wracamy na asfalt. Kilka tuneli i lądujemy w niespodziewanym przydrożnym barze. Ratuje nas on z dużych opresji. Szutr tak nas umordował, że dramatycznie słabliśmy z każdą minutą. Nie ma z czym poszaleć, bierzemy co jest, zawsze jakiś zastrzyk energii. Ciecierzycą z mięsem. Takie sobie danie, ważne że ciepłe. Szukamy szybko miejsca na nocleg, ale gdzie tam. Jak potrzebujesz już znaleźć, bo jesteś mocno zmęczony, to jak na złość nie ma gdzie. Jest kawałek płaskiego przy pieszym szlaku, bierzemy bez zbędnej dyskusji. Leżąc na karimatach podziwiamy spadające „gwiazdy”, fajniutko. Spostrzeżenie: mimo że jesteśmy sporo na południe od Polski to tutaj również szybko robi się ciemno, tak po osiemnastej, staramy się nie jechać po ciemku. Rozbijamy się więc przed zapadnięciem zmroku, kilka głębszych i co teraz? W miarę młoda godzina, dopiero dwudziesta. Idziemy spać. Organizm nie jest przyzwyczajony do tak wczesnego snu, więc budzimy się czwarta/piąta i kręcenie się w śpiworze aż wstanie słońce, a ono nie chce wzejść. Z dużymi oporami pojawia się na horyzoncie przed ósmą. Czekamy na nie z niecierpliwością, gotowi do dalszej wspaniałej przygody.

„Wstawać, za chwilę będzie jasno” – wykrzykuje Lama. Jaka przeszedł przemianę przez te kilkanaście lat podróży. Jeszcze jakiś czas temu rano nie można było go dobudzić, a teraz on pogania wszystkich, taki z niego zrobił się ancymon. Poranny krótki czterokilometrowy pod-



jazd rozgrzał konkretnie nogi, aż piekły mięśnie. Szybki zjazd do El Cedro. Jak pech to pech, jedyna restauracja nieczynna, akurat dziś. Obeszliśmy się smakiem. Bagietka, salami i ser muszą wystarczyć na dalszą część trasy. Tym razem emocji będzie dostarczał szlak pieszy. Rowery jeszcze nie nosiliśmy, Zygmunt byłby z nas dumny. Z mozołem pokonujemy kolejne schodki. Udało się dojść do drogi, gdzie można już jechać. Znowu magiczny las, mroczno, chłodno i interesująco, i trawers, czyli bez wysiłku. Kolejny szutr zakończony. Ostrymi asfaltowymi zakrętami wbijamy się na grań. Bujny las chroni przed piekącym słońcem. Trochę w górę, trochę w dół, zbliżamy się do najwyższego szczytu La Gomery. Coś by na ząb wrzucił, przydrożny zajazd w tym pomoże. Szybko wraca energia. Jesteśmy podjarani, jeszcze kilkanaście minut i jest nasz cel. Ostatnie półtora kilometra wybrukowaną ścieżką, po drodze trzeba odpocząć, bo ostro w górę. Serce bije coraz szybciej, jeszcze parę mocnych naciśnień na korbę i jest – Alto de Garajonay – 1487 m n.p.m.



Ogromna satysfakcja, radość, spełnienie i że nie trzeba już jechać pod górę, bo wyżej się nie da. Ile trzeba było włożyć w to energii, żeby tu wjechać! Widać całą wyspę, miejsca, w których byliśmy, oraz inne wyspy, na których niedługo będziemy. Pierwsze odznaczenie zdobyte! Teraz nagroda, dwadzieścia pięć kilometrów w dół, po drodze chwilowe przerwy na fotografowanie tej niesamowitej wyspy. W czasie zjazdu głowa w prawo, lewo, prawo, lewo, jak najwięcej w pamięci zapisać tego co widzisz. Wracamy do miejsca, w którym wystartowaliśmy – San Sebastian de la Gomera. Wyspa ta dostarczyła najwspanialszych pozytywnych doznań, warto tu przyjechać i odkryć ją dla siebie po swojemu. To była super przygoda.

Wsiadamy na prom. Nie da się bezpośrednio stąd popłynąć na nasz kolejny cel. Wracamy na Teneryfę, chwilowe zamieszanie i wsiadamy na inny prom. Trzygodzinny rejs zabiera nas na La Palmę. Trzy godziny, mogłoby się wydawać, że to długo, ale jak się do tego odpowiednio przygotujesz to zleci w mig. Stół na promie zastawiony do granic możliwości. Odpowiednia ilość alkoholu i zagryzki nie spowoduje nudy w czasie rejsu. I tak było. Trochę rozchwiani wsiadamy na La Palmie o dwudziestej trzeciej. Parking nad samym oceanem pasuje jak ulał na nocleg. Piach koloru czarnego, budzi zachwyty.

„Wstawać pijaki – rychtuję Ich z rana – dziś dostaniemy w kość”. Delikatnie umęczeni wczorajszym melanżem zbieramy się do drogi. Przed nami największe wyzwanie tej wyprawy. Czterdzieści kilometrów pod górę i dwa i pół kilometra przewyższenia. Będzie super, ja o to zadbam. Powoli opuszczamy nadmorskie wioski, kolejnymi zakrętami zdobywamy wysokość. Przerwy robimy co pięć kilometrów. Po drodze udało się narwać awokado w czyimś sadzie, trochę nieładnie, ale pokusa była silniejsza. Dzień biegnie szybko, a kilometry ubywają powoli, taki paradoks. Każdy jedzie własnym tempem, bo tak najlepiej. Ja z przodu, mam najszybszy rower i robię rozpoznanie terenu, w środku Sanchez, a Lama jak to Lama jedzie z tyłu, fotografuje, nagrywa i pilnuje, żeby nikt nie zaginął. W czasie przerw odpoczywamy i posilamy się. Zbocza wulkanu porastają ogromne drzewa iglaste, jakaś tutejsza odmiana sosny, chyba. Nie są zbyt wysokie, ale pień u nasady rozpala zmysły. Można się przytulić i poczuć wyjątkowość. Nie uda się nam osiągnąć szczytu dziś. Podjazd dobrze wyssał z nas energię. Bujny las ustąpił miejsca magmie i popiołom wyrzuconym przez wulkany. Tu zostajemy. Przydrożny parking. Trzy karimaty, trzy śpiwory blisko siebie, w nocy będzie zimno, bo to dwa tysiące dwieście metrów powyżej oceanu. Znowu obserwujemy spadające gwiazdy. Spostrzeżenie: nie da się spać koło Sancheza, tak chrapie, że aż ziemia się trzęsie i sam w jakiejś dziwnej vibracji wpada. Zatykałem mu nos, ale to działało tylko na chwilę. Poranek dość chłodny, ale emocje rozgrzewają klimat. Nasz cel na wyciągnięcie ręki. Po drodze mijamy międzynarodowe obserwatoria astronomiczne. Sporo tego, pięknie lustra lśnią w słońcu. Jeszcze kilka obrotów kół i jesteśmy. Jak melodyjnie to brzmi – Roque de los Muchachos – 2426 m n.p.m. Najwyższy punkt La Palmy. Drugi medal zdobyty! To było trudne wyzwanie, podjechać tu. Wszyscy szczęśliwi, że się udało. Najbardziej chyba umęczyło Sancheza. Odzyska wigor. Wygrzewamy się w słońcu, podziwiając ogromny wulkan. Kawalek wracamy tą samą drogą i wbijamy się w szutr. Takich rzeczy nie przewidzisz, Paweł tak niefortunnie przejeżdża przez coś ostrego, najpewniej kamień, że rozrywa oponę. Mamy duży problem. Chwilę prowadzi rower na kapciu. Metodą chałupniczą w miarę naprawiamy koło. Da się jechać, tylko ostrożnie. Docieramy do północnej strony wyspy. Teraz główną drogą, która obiega La Palmę dookoła. Jej przebieg co chwilę pozytywnie zaskakuje. Nie chcesz się zatrzymywać, czy z góry, czy pod górę, ciekawość pcha do przodu. Zmierzch nastaje, zakupy w Fagundo, nocleg poza miastem, znowu trafiamy na wyczesany zajazd. Ławki, stolik, oświetlone, czysto. Niespodziewanie musieliśmy toczyć walkę z kotami, bo się marcowwały, chociaż to początek stycznia. Nie wiadomo, o co chodzi.

Kilka remontów nawierzchni drogi po drodze, stoimy na światłach. Przed nami przejazd przez bardzo głęboką dolinę, kilkaset metrów w dół i znowu do góry. Pokręcona ta droga, ale jak zbudowana, że myśmy tego nie nagrali? Zatrzymujemy się na zdjęcie, bo warto. Ściągam błuzę i komin, zaczyna grzać. W przyplwywie dużych emocji kładę na bagażnik i pstrykam zdjęcia. Dopiero wieczorem orientuję się, że nie przypiąłem bluzę odpowiednio,

spadła i została tam, na zawsze. Docieramy do większej aglomeracji. Potrzebujemy znaleźć sklep rowerowy, opona Pawła już długo nie pociągnie. Dopiero w trzecim miejscu realizujemy satysfakcjonujący nas zakup towaru, czyli odpowiednią oponę. Teraz można jechać o wiele spokojniej. Docieramy do miejsca, gdzie ponad dwa lata temu wybuchł wulkan Cumbre Vieja, był aktywny trzy miesiące, wyrzucał magmę, popiół i gazy. Wypływająca lava zniszczyła wiele domów, plantacji roślin, ale przede wszystkim wygoniła stąd ludzi, którzy tu żyli. Patrzysz na to i jesteś świadom, jak natura nie liczy się z człowiekiem, bierze co jej. Kolacja w pizzerii, dobre to było. Dwie serpenty w dół, zajazd przydrożny, będziemy tu spać.



Plan na dziś zakładał spacer po wulkanach. Pierwszy raz odkąd tu jesteśmy nie dopisała pogoda. Wszędzie chmury, widoczność znikoma. Bez sensu iść w góry. Opierniczamy się, siedząc na ławce w centrum miasteczka. Dzień taki luźniejszy. Pod wieczór docieramy do Santa Cruz. Nocleg na plaży, jak najbliżej portu, prom na Teneryfę o piątej nad ranem. Płyniemy. Jakoś tak wyszło, że w Los Cristianos musimy spędzić dwa dni, żeby popłynąć na kolejną wyspę. Leżakowanie, pływanie w oceanie, frisbee, jedzenie, picie i inne uciechy wypełniają wolny czas.

Kierunek – El Hierro, dopływamy po ciemku. Nocleg tylko na plaży, rozkładasz karimatę, wchodzisz w śpiwór i czekasz poranka. A tymczasem zaskakuje cię coś niespodziewanego w nocy. Przypływ. Obudziło mnie, coś mi na głowę chlapało. Patrząc, woda podeszła już pod karimatę. Lama biega i krzyczy. Spał najbliżej oceanu, podnoszący się poziom wody porwał mu buta. Przesuwamy się, idziemy spać wyżej. Rano jest problem, Krystian nie ma jednego buta, a pedały SPD. Niby śmiesznie, ale nie do końca, chociaż ubaw był niezły. Człowiek z jednym butem na nogach. Do najbliższego miasta mamy dziesięć kilometrów podjazdu, to będzie boleć. Na szczęście w Villa de Valverde były sklepy z obuwem, ogarnął temat i może jechać dalej. Coś dzisiaj chłopaczki słabo kręcą, na punkcie widokowym Mirador de la Peña dłuższa przerwa. Krajobraz przypomina trochę Szkocję, pola ogrodzone kamiennymi murkami. Wszędzie wulkany. Bajecznie to

wygląda. Nie ma co Ich katować, wcześniej kończymy. Szukamy miejsca za wysokim murkiem, wiatr się rozpełdza. W nocy darł z całych sił i delikatnie padało, ale nie chciało mi się namiotu rozbijać, to mokłem, to schłem, a Oni spali wygodnie w namiotach. Nie do końca wygodnie Im było. Podmuchy szarpały namiotem, że nie dało spać, a Lama to nawet trzymał stelaż, żeby nie odlecieć.

Te dwanaście dni dobrze dało Im w kość. Rano podejmują decyzję, że jeszcze kawałek podjadą w górę i wracają do portu. Ok. Rozstajemy się. Kończy się asfalt, podejście szlakiem pieszym, bardzo łatwe, jedynie półtora kilometra. Idzie się grzbietem wulkanu, w chmurach, na cieple skrapla się woda. Ostatni zakręt i trzeci szczyt zdobyty – Pico de Malpaso – 1502 m n.p.m. Najwyższy punkt El Hierro. Trzy korony zdobyte, trzeci medal. Szkoda, że nie pojechali ze mną, końcówka była bardzo lajtowa. Będzie brakować im jednego medalu, wyprawa nie zaliczona:-) Jest dopiero południe, mogę dojechać do nich do portu, ale tam będzie nudno, jadę jeszcze pozwiedzać. Krótki zjazd asfaltem, kilka kilometrów szutrem i ląduję nad oceanem. Jak inna jest ta część wyspy. Wszystko zalane lawą, wygląda na dosyć świeżo. Potężne fale uderzają w wysokie wybrzeże klifowe, modelując go powolutku. Słońce dogrzewa, ostatni kilkunastokilometrowy podjazd. Muszę trochę cisnąć, dużo kilometrów do przejechania i żeby przed nocą dotrzeć do nich. Dobrze szło. Do Villa de Valverde dolatuję tuż przed zmrokiem, zakupy i teraz już tylko w dół, dziesięć kilometrów. Nastala noc, w mieście świecą lampy, nie trzeba mieć oświetlenia. Co innego poza miastem. Jacyś totalnie przypadkowi ludzie robią

mi super niespodziankę, nie muszę się zatrzymywać i szukać światła. Cały dystans do portu jechali za mną samochodem w małej odległości, oświetlając drogę. Genialne. Gracias. Są moje gagatki, ładnie porobieni. No dzisiaj to namiot rozbiłem, nie żeby były złe warunki, ale żyje tu mnóstwo karaluchów, takich dobrze odżywionych. Nie lubię jak coś łązi po mnie w nocy. To jedyny raz, gdy w czasie tego wyjazdu użyłem namiotu. Bez problemu do noclegu wystarczy tu karimata i śpiwór.

Prom mamy dopiero po południu. Jadę jeszcze na jedną wycieczkę, wybrzeżem, chłopaczki będą odpoczywać. O czternastej lądujemy na promie. Razem z nami wsiada około stu pięćdziesięciu młodych Afrykańczyków. Skąd się tu wzięli? Wyłowili ich z oceanu? Coraz bardziej podejrzanie to wygląda, ta migracja. Na przemyśle ludzi ktoś robi dobre lody. W złym kierunku nasza Europa zmierza. Ostatni nocleg tam gdzie pierwszy, pod wyczesanym hotelem. Ciekawe czy są pudełka? Są, ale ktoś je z naszej kryjówki wyciągał. Możliwe, że ochrona lotniska widziała, że coś chowamy i sprawdzili co to. Dobrze, że nie zabrali, bo by nam skomplikowali powrót. Spakowani, kilka roślinek wzięłem. Zobaczmy czy się przyjmą. Powrót trwał o wiele krócej, cztery godziny z minutami, bo z wiatrem. Z lotniska odbiera nas Łukasz. Serdeczne dzięki. Nie przypuszczałem, że w czasie naszej wyprawy w Polsce będą takie mrozy, nawet minus dwadzieścia! Niemal wszystkie kwiatki mi padły – duży smutek. Tak pięknie rosły. Nasadzi się nowych.



Albert Surdacki

# Światowe Dni Młodzieży w Lizbonie – 2023

W 2023 r. miałem okazję wyruszyć w podróż, której głównym celem było uczestnictwo w Światowych Dniach Młodzieży w stolicy Portugalii – Lizbonie. Widziałem przejeżdżający samochód wiozący papieża Franciszka, widziałem Go na telebimie, starałem się słuchać Jego słów. Niewiele z nich zrozumiałem, ponieważ nie znam zbyt dobrze języka włoskiego oraz miałem problemy ze słuchaniem tłumaczenia na język polski.

Myślałem, że wróczę z tej pielgrzymki bardzo umocniony, że będę mógł cytować innym to, co usłyszałem z ust papieża. Jednak pomimo tych wszystkich wydarzeń oraz kilku miesięcy, które upłynęły od tego czasu, nie potrafię wygłosić katechezy na ten temat. Myślę, że słowo, które tam otrzymałem, zostało zasiane i muszę je pielęgnować, wracać do niego, aby ono mogło we mnie wzrastać.

Ostatni sierpień w Hiszpanii, Portugalii był bardzo gorący, był to akurat czas dotkliwej suszy. Plac, na którym gromadziła się młodzież całego świata, był bardzo gorący, wokół wznosił się pył i nie widziałem żadnego skrawka zieleni, na którym można byłoby odpocząć. Myślę, że ta pogoda bardzo odzwierciedlała to, co panowało również w naszych duszach. Każdy był spragniony Słowa Bożego, które jest zaczątkiem nowego życia. To Słowo zostało posłane do wszystkich, tak jak w przypowieści – jedno na drogę, drugie na skałę, trzecie wśród cierni, aż wreszcie czwarte na żywną ziemię. To, czego wszyscy



miał rację, powołując to wydarzenie po raz pierwszy. Myślę, że każdy, kto tam był, czuł ten entuzjazm, tę radość, która tam panowała. Każdy uczestnik, niezależnie, jakim językiem się posługiwał, czuł to samo, łączył nas jeden Duch.



potrzebowali, to była woda, lekki deszczyk. I nie tylko ten fizyczny, ale deszcz Ducha Świętego, przy którym Słowo może wzrastać.

Na pewno, oprócz usłyszanego Słowa bardzo ważne było także to, co działo się podczas ŚDM. Z późniejszych relacji dowiedziałem się, że mogło być tam nawet 1,5 mln uczestników. To dobrze pokazuje, jak bardzo Jan Paweł II

miał rację, powołując to wydarzenie po raz pierwszy. Myślę, że każdy, kto tam był, czuł ten entuzjazm, tę radość, która tam panowała. Każdy uczestnik, niezależnie, jakim językiem się posługiwał, czuł to samo, łączył nas jeden Duch.

Po mszy świętej kończącej obchody ŚDM nasza pielgrzymka została jeszcze w Lizbonie na spotkanie z założycielem Drogi Neokatechumenalnej – Kiko Arguello, które było w pewien sposób kontynuacją spotkania z papieżem. Tam również panowała niezwykła atmosfera. Były śpiewy, tańce, wśród tłumu widoczne były flagi wielu krajów świata. Widziałem kilka tysięcy młodych mężczyzn i kobiet, które zdecydowały się wstać podczas tzw. wołania. Polegało to na tym, że Kiko oraz inni założyciele Drogi Neokatechumenalnej pytali kto jest gotowy wstąpić do seminarium lub do innych posług z tym związanych. Bardzo miło było widzieć te tłumy, które zgłosiły swoją chęć takiej posługi.

Na koniec mogę powiedzieć, że to wydarzenie na długo pozostanie w mojej pamięci, będę je wspominał. Muszę także pamiętać, aby wracać do tego Słowa, które tam usłyszałem, aby nikt Go nie podeptał, aby nie uschło, ale by w przyszłości wydało plon obfity. Nie mam wątpliwości, że zostało ono zasiane, że przez te Światowe Dni Młodzieży zaczęło przychodzić do nas niewidzialne Królestwo Boże.

*Uczestnik Światowych Dni Młodzieży, Lizbona 2023*

## POEZJA URZĘDOWSKA

*Jan Stanisław Kamyk Kamiński*

# Nowe wiersze

### Zostało wspomnienie

To był przypadek, może przeznaczenie,  
trudno mieć teraz jakiegokolwiek zdanie,  
ma fascynacja tym pierwszym spotkaniem  
trwa nieprzerwanie, jestem pod wrażeniem.

Od tamtej pory upłynęły lata  
i dobijamy powoli do brzegu,  
pamięć już częściej gubi jakiś szczegół,  
miniony obraz z obecnym przeplata.

Czas robi swoje przed życia przesiadką,  
ubarwia włosy nitkami siwizny,  
zostawia w duszy jakieś życia bliźny,  
zmierza powoli ku życia okładkom.

Zachował ciepły, czuły dotyk dłoni,  
równy rytm kroków i naszych oddechów,  
usta złożone w radosnym uśmiechu,  
oczy patrzące, by nic nie uronić.

Szczęśliwą chwilę pragnę zapamiętać,  
choć młyn czasu potrafi to zmielić,  
mego wspomnienia nigdy nie rozdzieli,  
mimo że pamięć to rzecz niepojęta.



### Drugi brzeg

Zanikające ciemne noce  
blaskiem okryły sąsiedni brzeg,  
zmudnej wędrówki długi proces  
kończy powoli mozołu bieg.

Gwałtownie nikną nocne chłody,  
za rzeką widać wstający świt,  
gdy przekroczymy bród tej wody,  
ciemnej drogi nie wspomni nikt.

Woda obmyje tułaczki kurz  
nagromadzony przez życia wiek,  
brodu strzegący surowy stróż  
pozwoli wkroczyć na drugi brzeg.



### Kocham życie

Od pierwszej chwili i pierwszego krzyku  
do życia kresu i sosnowej deski  
robię co muszę, nabieram nawyków  
do tej groteski.

Uczę się ciągle smakować doznania,  
niekiedy słodkie, częściej jednak gorzkie  
i nieustannie dążę do poznania,  
co jest mym bożkiem.

Chwile radości przetykane smutkiem,  
raz jestem w dołku, niekiedy na szczycie  
i choć momenty szczęścia są zbyt krótkie,  
rozumiem życie.

Wszystko co ludzkie mnie też nie jest obce,  
więc ze wszystkiego korzystam obficie,  
choć to czasem wiedzie na manowce  
– cóż – kocham życie.



### Sonet XII

Obudzi wszystko co żywe i martwe  
– świt, gdy uderzy bezgłośnym promieniem,  
mroki, pomroki, majaki i cienie  
niepostrzeżenie zostaną rozdarte.

Noc przegra bitwę, odeśle swą wartę,  
ciemność nie będzie już więcej cierpieniem,  
brak barw zaniknie, spełni się marzenie,  
odcienie czerni zostaną wytarte.

Świt stworzy wszystko od nowa w kolorze,  
pozwoli pobiec boso w dal po łące  
i w kropkach rosy zobaczyć barw zorzę,

dotknąć i poczuć puls ziemi tętniącej,  
pławić się całym tych kolorów morzem  
i chwytać w dłonie promienie gorące.





*Katarzyna Tomaszewska*

## Wiersze

### Łagodność

Odnajdę ją  
wplątując melodię serca  
pomiędzy wiersze,  
otulając jasnym wzrokiem  
ciebie i siebie  
pośrodku wielkiej burzy.  
Odnajdę ją,  
kiedy ściagnę cugle słowom,  
łapiąc w biegu  
wyrwywający się do galopu krzyk.  
Pozwolę, by opadł  
mgiełką na łące umysłu.  
Odnajdę ją  
w muszlach dłoni, w każdym z nas.  
Bo chociaż  
różnymi kroczy my ścieżkami,  
wypływamy  
z tego samego Źródła  
i do niego na powrót zmierzamy.

### Nowy rytm

Bywa, że rąbek nieba  
przed człowiekiem  
się uchyla  
i rozlewa się ciepło  
w głębi piersi znienacka.  
Do nowej melodii  
próbuję  
układać nuty,  
niecodziennym  
rytmem biec,  
oddychać śmieiej.  
Biegnać tak  
bez wytchnienia  
w sztuce swej  
osiąga mistrzostwo,  
zmieniając na dobre  
fabułę istnienia.

### Lekkość

Zamieszkać pośród liści,  
by nozdrzami spijać  
prześiąknięty lasem wiatr.  
Nie martwić się  
stratą czy nadmiarem  
i z lekkością płaszać  
na czubkach, wędrujących  
ku światłu drzew.

### Bliskość

Chociaż  
w inne barwy  
obleczone jest  
nasze patrzenie  
i pod inny wzór  
podkładamy życie,  
jednak  
na wspólnej ścieżce  
wibruje nasza radość,  
ciepły dotyk miłości.  
Chłoniemy  
wspólne dni  
filtrując je przez siebie  
jak liście drzew  
słoneczne światło.  
Potrzebni jesteśmy sobie  
niczym bosej stopie  
dotyk rozgrzanej ziemi.  
Z kielichów  
wonných dni pijamy  
nasze szczęście do dna.

### W ukołysaniu

Światło  
często muzyką  
jest pisane,  
zmieniając kolor oczu,  
rytmy serc.  
Wypływa spod  
giętkich dłoni  
i drgających strun,  
by świeżym powiewem  
kołysać łąny  
zasłuchanych dusz.

### Stały punkt

Wprawia mnie w płas  
znajoma nuta  
z ukochanych, dalekich stron.  
Chwytam się dźwięków,  
niczym stałego punktu  
na wirującej planecie  
niepewnych zdarzeń.  
Nagle wszystko wokół  
zabawnie proste się staje  
i przejrzyste i pewne,  
że jeszcze zieleni  
w naszych oczach soczysta.

### Zrozumieć

To nic, że  
ostatnia iskra rozbłysła  
pośród gruzów  
niewykorzystanych szans  
i rozplynęła się  
w bezlitosnej paszczy  
głodnych lęków.  
Zmienny jest przecież  
zdarzeń bieg i z nowym  
przyływem mocy  
napiszesz siebie inaczej.  
Zatrzymasz  
karuzelę przegniłych myśli,  
by zawrócić jej bieg.  
Zrozumiesz, że  
samotność nie istnieje,  
a kres nowym początkiem  
może się stać.

### Po burzy

Nawet  
największy chaos,  
cierpienia krzyk,  
czy kreacji niemoc,  
odpłyną rzeką zdarzeń  
jak po nocy cicha łąa.  
Nawet  
przed największym  
wodospadem  
znajdziesz most,  
gdzie po drugiej stronie  
cichy twój dom.

### Możliwości

Spotkajmy się  
na styku dwóch racji,  
cierpliwi wobec siebie  
jak drzewa,  
znoszące kaprysy pogody.  
Ja poczytam ciębie,  
a ty mnie.  
Może zaskoczymy siebie  
niespodzianie?  
I wypłyniemy zwycięsko  
poza sprzeczności korzenie,  
zasiewając w swych ogrodach  
ziarna nowych możliwości.

Stanisław Gajewski

## Dola rolnika

\* \* \*

W świt poranny rolnik wstaje do swej ciężkiej pracy  
On swym trudem chleb nam daje, bądźmy i my tacy.  
Szczęść, szczęść, szczęść Wam Boże strudzeni rolnicy  
Dobrobytu, dostatku wierni bojownicy.  
Wczesną wiosną do zasiewów rolnik szybko spieszy  
Wczesny zasiew nie zna grzechów, plonem się ucieszy.  
Gdy w dni żniwne i upalne pot zalewa oczy  
Rolnik zwozi zboża snopy, by ich deszcz nie zmoczył.  
Rychło omlot, podorywka rolnika przypila  
Siew pszenicy, a i żyta, ważna każda chwila.  
Już wykopki okopowych wprost się na kark wała  
Wywóz buraków cukrowych jest poważną sprawą.  
Rychło zima suchym mrozem w skałę ziemię zmieni  
chłop nakupił już nawozów i pusto w kieszeni.  
Szczęść, szczęść, szczęść Wam Boże strudzeni rolnicy  
Dobrobytu i dostatku wierni bojownicy.

\* \* \*

Dziś w życiu rolnika dużo się zmieniło  
Bo zielone światło niby zaświeciło.  
Nauczył się chłopiek pisać i rachować  
Nie da się roztropek komuś wykolować.  
Lecz ekonomiści cuda wymyślają  
I jak im się przyśni chłopa wygłupiają.  
Ceny nawozowe większe co chwilę,  
A środki chemiczne wzrosły drugie tyle.  
Chłop chce kupić paszy, by utuczyć świnię  
Rachunek rozważy i chęć go ominie.  
Żeby gospodarzyć trzeba mieć maszyny  
Żeby je zakupić zadłużyć się trzeba.  
W rolnictwie bez maszyn nie wytrzymasz tempa  
Zdrowie szybko stracisz, próżna twa mitręga.  
Wymienionych trudów młodzi się lękają,  
nie chcą tworzyć cudów, ze wsi uciekają.

### Pan traktorzysta

Nad pracą rolnika się zastanowiono  
i rolnicze kółka śpiesznie założono.  
Kupiono traktory i różne maszyny  
Aby rolnikowi usługi świadczyły.  
Ucieszony rolnik poszedł po usługi  
Licząc, że mu przyjdzie ciągnik i zaorze na trzy pługi.  
Stał w kolejności od wczesnego rana  
Aż brały go złości, bo był bez śniadania.  
Stał do wieczora głodny jak psiaczyna  
Bo nie było traktora, psuła się maszyna.  
Wracał gniewny rolnik na ustach z łaciną  
Bo mu pan kierownik zamówień nie przyjął.  
I dnia następnego rolnik do dnia wstawał  
I znów na głodnego w kolejności stawał.  
Złożył zamówienie, idź chłopie do domu  
Dzisiaj bez wątpienia poczekaj na polu.  
Siedział chłop na miedzy, czekał na traktory  
I do późnej nocy nie przyszły potwory.  
Wracał biedaczysko i zębami zgrzytał  
Opowiem to wszystko w gminie u naczelnika.  
Dnia trzeciego z rana oczywista  
Zacpił młodzią, był to traktorzysta.  
Szepnął kilka słówek, sięgnął do kieszeni  
Wyjął kilka stówek, orką pole zmienił.  
W SKR-ach było setki urzędników  
Kilku dyrektorów, dużo kierowników.  
Kto tu był motorem, gdzie tu prawda czysta?  
Głównym dyrektorem był pan traktorzysta.



### W rocznicę zamachu smoleńskiego

Stanisław Gajewski  
Wiersz pisać zamierza  
Na początek zacznie  
od papieża.  
Na papieża  
Wybrano Polaka  
Który się okazał  
Wartym świata.  
Janem Pawłem Drugim  
Go nazwano  
Za jego mądrość  
Świętym obwołano.  
Stefan Wyszyński  
Kardynał polski,  
Więzień polityczny  
Czasów komunistycznych.  
Wielki przestępca  
Książd Popiełuszko  
Za prawdę torturowany  
I do Wisły wpakowany.  
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej  
Lech Kaczyński  
Zginął w zamachu smoleńskim  
Wraz z 96-cioma osobami, mózgiem Polski.  
Wymieniać by można  
Wiele osiągnięć Polski Ludowej  
Zastanawiam się tylko co może jeszcze nastać  
Po wyborach w Polsce nowej?

10.04.2024 r.





## ROZMAITOŚCI

Maciej Jastrzębski

# Idea powstania muzeum w Urzędowie

Muzeum regionalne stanowi oddolną i głęboko świadomą manifestację małych lokalnych społeczności, dlatego zyskujący coraz większą popularność patriotyzm lokalny związany z pojęciem „małych ojczyzn” nierozzerwalnie połączony jest z ideą zakładania i prowadzenia muzeów regionalnych<sup>1</sup>. Instytucje te mają chronić dziedzictwo i promować regionalną różnorodność oraz brać udział w łagodzeniu i hamowaniu negatywnych zjawisk globalizacji. Uważa się, że dbałość o zachowanie dziedzictwa i rozwój instytucji kultury pozostaje w ścisłym związku ze stanem kondycji społecznej i gospodarczej danego terytorium. Inwestycja w kulturę jest długoterminowa i nienastawiona na wymierny zysk<sup>2</sup>.

Koncepcja utworzenia muzeum w Urzędowie ma prawie stuletnią historię, już w latach trzydziestych XX wieku z inicjatywą utworzenia Muzeum Regionalnego w Urzędowie występowali Michał Pękalski – długoletni kierownik szkoły, badacz kultury, historii Urzędowa i Biłgoraja, oraz Aleksander Goliński – działacz społeczny, zbieracz zabytków i artefaktów dotyczących naszego miasteczka. Ponownie po 50 latach pomysł powstania muzeum zainicjowało Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej. W 1984 r. na zjeździe założycielskim TZU jako jeden z głównych celów obrano utworzenie placówki muzealnej. Plan ten udało się zrealizować w niewielkim stopniu, gdyż w 1994 r. co prawda utworzono Izbę Pamięci Garncarskiej, jednak brak stałego miejsca ekspozycji i rozproszenie jej zasobów spowodowało, iż faktycznie nie funkcjonuje. Na początku XXI w. pomysł ponownie powrócił. Tym razem zamiarem Towarzystwa było zorganizowanie jednostki typu skansenowego na terenie Urzędowa z zabytkami budownictwa wiejskiego i architektury przemysłowej. Temat ten jednak nie został podjęty w ówczesnym czasie. W 2023 r. Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej jako instytucja stojąca na straży lokalnej kultury, historii i tradycji podjęła kolejne rozmowy na temat utworzenia placówki muzealnej. Mając świadomość bogatej historii Urzędowa jako ośrodka o ponadlokalnym znaczeniu gospodarczym, który od zawsze skupiał na swoim obszarze wiele warsztatów rzemieślniczych, padł pomysł utworzenia parku etnograficznego pn. „Wioska ginących zawodów Lubelszczyzny”. Miejscowa ludność jeszcze do lat 80. XX w. korzystała z usług miejscowych specjalistów: kowali, stolarzy, cieśli, garncarzy, młynarzy, szewców i krawców. Miasto w XX w. było silnym ośrodkiem kowalstwa. Jeszcze na początku XXI w. istniało kilka budynków kuźni. Podobna sytuacja odnosi się do młynarstwa, gdzie w tak stosunkowo niedużym miasteczku jakim jest Urzędów istniało sześć młynów, z których do dzisiaj pozostały cztery, obecnie nieczynne. Najbardziej znanym rzemiosłem Urzędowa jest

garncarstwo, które posiada bogatą i odległą historię. Tradycje garncarstwa urzędowskiego sięgają XVI w. Obecnie tradycyjne i współczesne naczynia wykonują Zygryd i Cezary Gajewscy<sup>3</sup>. Tak jak zakładano, był to pomysł niezwykle ambitny, ponadlokalny, który bez wątplenia przyczyniłby się do rozwoju miasta i gminy, ale w obecnych warunkach niestety niemożliwy do zrealizowania dla małego samorządu, jakim jest gmina, nawet we współpracy z innymi jednostkami – powiatem czy województwem. Na terenie naszej gminy istnieją tylko dwa prywatne ośrodki muzealno-edukacyjne: Izba Garncarstwa w Bęczynie, założona i prowadzona przez wyżej wymienionych Cezarego i Zygryda Gajewskich, oraz „Józiowa Zagroda” Niepubliczny Dom Kultury Fundacji Ekspozat Nr 1 w Mikuszewskim prowadzona przez nieocenionego pasjonata Józefa Barana, który odtworzył zagrodę wiejską z wieloma cennymi ekspozatami. Dlatego nie porzucając idei utworzenia muzeum w Urzędowie, tym artykułem chcę rozpocząć dyskusję na temat utworzenia publicznej placówki muzealnej w naszej gminie.

Na początku tej drogi trzeba odpowiedzieć na szereg istotnych pytań, mianowicie: Czy samorząd jest w stanie udźwignąć ciężar utworzenia i prowadzenia muzeum? Być może szansą w tym wypadku byłoby pozyskanie funduszy zewnętrznych z UE lub innych źródeł. Po drugie, gdzie taka placówka miałaby powstać? Wybór miejsca może determinować wiele innych ważnych kwestii dotyczących przyszłego muzeum. Na potrzeby takiej jednostki są wymagane nie tylko sale wystawowe, ale również powierzchnia magazynowa w celu przechowywania zbiorów, zaplecze do pracy edukacyjnej, archiwum i oczywiście zaplecze socjalne. Z pewnością nie ma szans na budowę nowego budynku, trzeba więc opierać się na istniejącej infrastrukturze i ewentualnie dostosować ją do potrzeb muzealnych. Kolejną kwestią jest zakres tematyczny, czyli czego przyszłe muzeum miałoby dotyczyć? Naturalne jest odwołanie się do historii miasta i gminy, ich tradycji i kultury obejmujących nie tylko odległe czasy średniowiecza, ale cały XX wiek, bowiem lata 90. ub. wieku dla pokolenia urodzonego po 2000 roku to również już historia. Zakres tematyczny gromadzonych ekspozatów może być bardzo szeroki i obejmować wszelkiego rodzaju zbiory o znaczeniu historycznym dla regionu z zakresu sztuki, archeologii, etnografii, techniki, przyrody i innych dyscyplin, z uwzględnieniem zbiorów regionalnych i pamiątek historycznych. Jak również pamiątki prywatne, a także – co stało się szczególnie modne w ostatnim czasie – ekspozaty audiowizualne, tj. relacje świadków historii<sup>4</sup>. Upiływający czas nieubłaganie i bezpowrotnie zaciera pamięć, niszczy przedmioty i pamiątki, dlatego tak ważne jest zachowanie dziedzictwa poprzez

zorganizowanie badań terenowych, które pozwolą na zbiór pamiątek i eksponatów dla przyszłego muzeum, jeśli takie powstanie.

Utworzenie nowoczesnego muzeum to wyzwanie wymagające szerokiego spojrzenia. Wiedza o mieście i regionie musi zostać przekazana w sposób profesjonalny i atrakcyjny, tak aby przyciągnąć również młodych odbiorców. Poza tym ranga Urzędowa w przeszłości, pozycja historyczna, która musi zostać wyeksponowana, wielość aspektów życia kulturalnego oraz wybitne córki i synowie tej ziemi to argumenty, które przemawiają za poważnym potraktowaniem tej inicjatywy. Muzeum może stać się źródłem wiedzy o regionie, jego historii, kulturze i sztuce. Działalność takiej placówki ma bardzo duży wpływ na zachowanie relikwów kultury ludowej regionu. Może stać się obiektem zainteresowania społecznego, w szczególności nauczycieli i młodzieży szkolnej, pełnić ważną rolę zachowania dziedzictwa kulturowego i historycznego okolicy, w jednym miejscu zebrać dotychczasową wiedzę na temat Urzędowa i w sposób profesjonalny ją przechowywać i udostępniać. Taka jednostka może stać

się partnerem dla Ośrodka Kultury i innych instytucji, dzięki temu oferta turystyczno-kulturalna stanie się szersza i bardziej kompleksowa. Być może czynnikiem mobilizującym dla społeczności Urzędowa będzie fakt, że małe lokalne muzea ciągle powstają. Takim przykładem jest sąsiednia gmina Zakrzówek, w której powstaje Muzeum Ziemi Zakrzowieckiej w Bystrzycy, którego organizatorem jest co prawda prywatna fundacja, jednak muzeum będzie służyć lokalnej społeczności oraz promocji całej gminy. Głęboko wierzę, że prawie stuletnia idea powstania muzeum w Urzędowie w końcu doczeka się materializacji.

Przypisy:

<sup>1</sup> J. Świąch, *Czy potrzebne są jeszcze dzisiaj małe muzea regionalne?*, „Rocznik Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu”, t. 5, 2014, s. 7.

<sup>2</sup> D. Kasprzyk, *Muzeum regionalne w zmieniającej się Europie – potencjał i oczekiwania*, „Rocznik Towarzystwa Naukowego Plockiego” 2016, nr 8.

<sup>3</sup> Pomysł „Wioska ginących zawodów Lubelszczyzny” został opisany w artykule *Czy miasto Urzędów stać na nowoczesne muzeum z tradycjami?* w czasopiśmie „Bractwo”.

<sup>4</sup> [https://samorzad.nid.pl/baza\\_wiedzy/czym-jest-muzeum-regionalne-i-jakie-sa-jego-zadania/](https://samorzad.nid.pl/baza_wiedzy/czym-jest-muzeum-regionalne-i-jakie-sa-jego-zadania/) (dostęp: 15.03.2024).

Tadeusz Wośkowski

## Obronne Wały w Urzędowie

O Wałach w Urzędowie pisali już R. Przegaliński (1925), M. Pękalski (1938) i J. Teodorowicz-Czerepińska (1963). Ja chcę się zająć ich walorami przyrodniczo-krajobrazowymi. Wały stanowią niezwykle interesujący teren, nie mający odpowiednika w skali kraju. Największą ozdobę starych wałów stanowią sędziwe modrzewie, świerki i jodły. Wokół Wałów występują drzewa liściaste, co tworzy jak gdyby park o założeniu krajobrazowym. Na Wałach, jak i wokół nich rosną: modrzew europejski *Larix europaea*, modrzew polski *Larix polonica*, świerk pospolity *Picea excelsa*, jodła pospolita *Abies alba*, wiaź *Ulmus* sp., lipa *Tilia* sp., klon zwyczajny *Acer platanoides*, brzoza *Betula* sp., kasztanowiec zwyczajny *Aesculum hippocastanum*.

Uznając walory przyrodnicze Wałów, należy wspomnieć o ich historii. Już w 1405 r. przywilejem króla Władysława Jagiełły Urzędów został nazwany miastem *oppidum*. Jak podają kroniki, w 1499 r. w czasie napadu Tatarów był on obrabowany i spalony. Król Zygmunt Stary, w trosce o zabezpieczenie miasta przed zniszczeniem, w 1507 r. polecił usypać wokół niego wały, zaś w 1518 r. wydał przywilej, na mocy którego dochód z czopowego i prowentę z uboju zwierząt przeznaczył na utrzymanie Wałów. W 1543 r. dalsze dochody z propinacji przeznaczył na ich naprawę.

W słowniku geograficznym podano następujący opis Wałów: „Z zewnątrz miasta od poziomu na trzy sążnie od

pola, z dna fosy na pięć sążni wysoki wał zaopatrzony był w bastiony ziemne, od bramy południowej krakowskiej idąc ku wschodowi pierwszy bastion był o 70 sążni, od tego drugi w prostej linii o 75 sążni, dalej od tego bastionu, będącego narożnikiem, wał skręcał się ku północy w winkel mający 28 sążni, wreszcie załamywał się ku zachodowi i formował baterię na wzgórzu”. Dalszą granicę obronną stanowiły bagna i rzeka, natomiast od strony północno-wschodniej wzgórze.

Jak podaje Przegaliński, obwarowania te w osiemnastym wieku zostały zlikwidowane. Do dziś pozostała z nich jedynie niewielka część po stronie wschodniej. Obszar zachowanych Wałów wynosi około 1 hektara i stanowi własność Urzędu Gminy w Urzędowie. Na Wałach rośnie około tysiąca drzew i tyleż samo na pobliskich wzgórzach. Przeważają modrzewie. Najpiękniejszy, około 100-letni okaz przedstawiono na rycinie 1\*.

Stan zdrowotny drzewostanu był w okresie międzywojennym bardzo dobry, dzięki zapobiegliwości mieszkańca Urzędowa Aleksandra Golińskiego. Z jego inicjatywy Wały były ogrodzone, a drzewostan systematycznie pielęgnowany. Niezależnie od ogólnie niekorzystnej sytuacji drzewostanu, która odbiła się na naturalnych walorach tego obiektu, wiele zniszczeń spowodowali mieszkańcy Urzędowa, jak też wojska okupanta. Dziś stan drzew od-

\* Opisana w tekście ryc. 1 jest nieczytelna i nie nadaje się do reprodukcji – przyp. red.



biega znacznie od przedwojennego. Niszczą je szkodliwe owady i pasożytnicze grzyby.

W celu zabezpieczenia rosnących drzew oraz malowniczo położonych Wałów, które stanowią unikalny zespół przyrodniczo-historyczny, apeluję do Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego o uznanie Wałów i przyległych terenów za częściowy rezerwat przyrody, celem zachowania dla potomnych zabytkowego charakteru tego obiektu oraz rosnących tu drzew.

Piśmiennictwo:  
Przegaliński R., *Kraśnik i jego okolice*, Lublin 1925.  
Pękalski M., *Wały w Urzędowie*, Lublin 1938.  
Teodorowicz-Czerepińska J., *Z dziejów powiatu kraśnickiego*, Lublin 1963.

Artykuł pierwotnie był opublikowany w czasopiśmie „Chrońmy Przyrodę Ojczystą”, numer i rok wydania niezany.



## Uzdrowienie oczu za sprawą św. Otylii

Ta historia sama „przyszła” do „Bractwa” i to akurat w momencie, gdy przygotowaliśmy wydanie związane z Zielonymi Świątkami i kultem Świętej Otylii. Podczas przypadkowej rozmowy znajomych poznaliśmy niezwykle losy pani Renaty Tarnowskiej z Dysa, technika elektrowizji w jednym z lubelskich szpitali, która jest przekonana, że została cudownie uzdrowiona za sprawą wody z Sanktuarium Świętej Otylii w Urzędowie.



Renata Tarnowska,  
fot. archiwum prywatne

### Od czego zaczęły się Pani problemy z oczami?

Ta historia zaczęła się wiele lat temu, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Chodziłam do jednej z ostatnich klas szkoły podstawowej, więc mógł to być rok 1996 lub 1997. Wtedy zrobił mi się jęczmień na lewej powiece. Był przeogromny i nie chciał pęknąć. Udałam się z rodzicami do pani okulistki, która nacięła mi tę torbiel. Wszystkim wydawało się, że na tym sprawa się zakończy. Niestety, wkrótce dostałam ostrego zapalenia spojówek, na które nie pomagały żadne krople ani leki. Oczy ropiały mi do tego stopnia, że kiedy budziłam się rano po przespanej nocy, nie mogłam ruszyć powiekami. Może ciężko w to uwierzyć, ale musiałam wołać mamę, żeby pomogła mi usunąć zaschniętą ropę, aby w ogóle otworzyć oczy i pójść do szkoły.

### Jak długo to trwało?

Z przerwami kilka lat. Oczywiście bywały okresy, że mi się polepszało i na chwilę dolegliwości ustawały, ale później choroba powracała ze zdwojoną siłą. Z ostrego stanu zapalnego zrobił się stan przewlekły, którego nikt nie potrafił wyleczyć. Chodziłam od okulisty do okulisty. Od poradni do poradni. Stosowałam przeróżne leczenie: antybiotyki, zawiesiny, krople do oczu. Myślałam, że miałam na sobie przetestowane wszystkie farmakologiczne środki

do oczu, które były dostępne w tamtym czasie na rynku. I nic nie przynosiło trwałego efektu. Doszło do tego, że nie miałam ani jednej rzęsy, bo wszystkie mi wypadały. Powieki były stale czerwone, oczy zaropiałe. Gdy zaczęłam chodzić do liceum, początkowo niektórzy myśleli, że maluję sobie oczy czerwoną kredką. A taki wygląd nie był spowodowany makijażem, tylko chorobą. Nie muszę dodawać, jak to wpływało na zdrowie psychiczne dorastającej dziewczyny. Miałam ogromne kompleksy i byłam coraz bardziej zdesperowana.

### Skąd przyszedł ratunek?

Od mojej babci, która pewnego dnia podczas rozmowy z mamą przypomniała sobie, że jej znajomi mają działkę w Urzędowie i że wspominali jej o tamtejszym źródle Świętej Otylii, z którego woda leczy oczy. Przyznam, że jak się dowiedziałam o tym pomysle, byłam nawet trochę zła, bo odniosłam wrażenie, że rodzina się ze mnie śmieje. Nie mogłam pojąć, jak ma pomóc taka terapia, skoro nie zadziałały antybiotyki. Mimo to mój dziadek przywiózł tę wodę w butelce i powiedział, żebym sobie nią codziennie przemywała oczy. Byłam już u kresu desperacji, więc spróbowałam. Pomyślałam: „Co mi szkodzi?”.

### Pomogło?

Tak, i to bardzo szybko. Nalewałam sobie odrobinę wody na waciki i trzymałam na każdym oku przez około minutę, po czym je przecierałam. Po trzech dobach choroba minęła jak ręką odjął. To było bodajże w 2001 roku, a do dziś jestem zdrowa. Oczy nie łzawią ani nie ropieją, odrosły mi rzęsy. Kiedy później poszłam na kontrolę do okulistki, nie mogła w to uwierzyć. Zresztą wiele osób podchodzi sceptycznie do mojej historii lub uśmiecha się z niedowierzaniem, ale to mi nie przeszkadza. Przez ponad dwadzieścia lat codziennie przemywam oczy wodą z Sanktuarium Świętej Otylii. Poleciłam ją znajomej na zapalenie spojówek i zadziałało. Czasem przemywam oczy córce. Była wcześniakiem i miała zatłakany kanalik łzowy, na co też woda pomogła. Woda od Świętej Otylii stoi u nas zawsze w specjalnym baniaku, nigdy się nie psuje. Mocno wierzę w jej cudowną moc i polecam ją każdemu.

Rozmawiała Joanna Fortuna

*Stanisław Gajewski*

## Refleksje na temat sąsiadów

W moim życiu zawsze ważną rolę odgrywali sąsiedzi. Od ponad 70 lat, czyli od czasu, kiedy ożeniłem się z Ireną Turkowską i zamieszkałem na Zakościelnym, moimi sąsiadami są Zygmunt syn Antoniego i Sylwina z domu Gozdalska Krasieńscy. Przez te lata powodów żeby się pokłócić nie brakowało, ale zawsze zwyciężała mądrość sąsiedzka. Zygmunt jest człowiekiem mającym zdolności muzyczne, grał na harmonii na weselach i nigdy nie zasługiwał na spory.

Mam w pamięci krótki czas, kiedy inni sąsiedzi uważali mnie za wielkiego drania, bo nie pozwoliłem przekopać rowu na odprowadzenie wody po roztopach czy ulewach przez moją i mojej żony działkę. Podczas scalenia pól w Urzędowie można było powyższe wody przeprowadzić inną działką pola, niekoniecznie naszą. Jak wspomniałem wyżej, nie pozwoliłem kopać rowu w naszym polu. Zygmunt Krasieński nie awanturował się jak inni, lecz prosił, nawet przyklęknął na kolana. Ja szanując jego prośby obiecałem mu, że wszystko da się załatwić, ale bez przymusu i tak się stało. Sąsiedztwo nasze nie traciło na wartości. Kiedy małżeństwu Krasieńskim przyszedł na świat syn, mnie poprosili, abym został ojcem chrzestnym ich syna, na co z radością się zgodziłem.

Mijały lata, sąsiedzka zgoda nie zmieniła się. Przyszedł starszy wiek, zdrowie ucieka nam wszystkim. Zygmunt Krasieński ma obecnie 98 lat, jego żona Sylwina 95, a ja Stanisław Gajewski 93. Wszyscy na zdrowiu mocno podupadliśmy. Ja jeszcze jako tako o własnych siłach

chodzę, ale z laską. Krasieńscy są w gorszym zdrowiu. Żona Zygmunta od dwóch lat leży, nie poznaje osób, nie mówi, trzeba ją karmić. Zygmunt nie chodzi o własnych siłach, nie czuje nóg. Z jedzeniem również ma kłopoty, nie może połykać. Resztkami sił obsługuje ich obydwójka córka Grażyna, która codziennie o godz. 8 rano przyjeżdża



do rodziców własnym samochodem z Kraśnika i zajmuje się nimi do godz. 14.00. Grażynie pomaga w opiece nad rodzicami brat Witek, ale mniej, bo zajęty pracą. Po południu Krasieńskimi zajmuje się osoba wynajęta. Taki to los ludzi starszych, ni żyć, ni umrzeć. Pozostają tylko wspomnienia o wszystkim co przeżyliśmy przez całe nasze życie.

*Ewelina Mielniczek*

## Sala do terapii sensorycznej w ZSO

Oferta zajęć specjalistycznych w Zespole Szkół Ogólnokształcących im. Władysława Jagiełły w Urzędowie poszerzyła się o terapię integracji sensorycznej (SI). Od drugiego semestru roku szkolnego 2023/2024 nasza szkoła posiada salę sensoryczną przeznaczoną do prowadzenia zajęć terapeutycznych dla dzieci. Dołożyliśmy wszelkich starań, żeby sala integracji sensorycznej wyposażona została w odpowiednie sprzęty i pomoce, takie jak: huśtawki terapeutyczne, równoważnice, deskorolki, podwiesie stalowe wolnostojące, materace, piłki, maty do masażu stóp, drabinki sznurkowe, zjeżdżalnie.

SI to proces neurobiologiczny, który organizuje wrażenia ze wszystkich zmysłów w taki sposób, by mogły być

użyte do celowego działania. W procesie tym informacje otrzymane ze wszystkich zmysłów są przez mózg rozpoznawane, segregowane, interpretowane oraz łączone ze sobą. Jeśli tak się dzieje, to młody człowiek nie ma problemu z adaptacją ze środowiskiem szkolnym i rówieśniczym.

Istnieją jednak przypadki, w których dziecko/uczeń ma słabą równowagę, w nienaturalny sposób boi się wysokości, nie toleruje ruchu rotacyjnego, jest wyjątkowo wrażliwe na bodźce, ma trudności z opanowaniem pisania, czytania, liczenia, nie lubi określonych tkanin, zapachów, dźwięków, ma opóźniony rozwój mowy, nie lubi zabaw ruchowych, gier sportowych. Wówczas orga-





Fot. Andrzej Słowik

nizuje się dla dziecka zajęcia specjalistyczne prowadzone w ramach pomocy psychologiczno-pedagogicznej, których celem jest poprawa funkcjonowania ośrodkowego układu nerwowego odpowiedzialnego za odbiór i przetwarzanie bodźców zmysłowych.

Jednym z najważniejszych zadań terapii SI jest dostarczenie dziecku podczas jego aktywności ruchowej kontrolowanej ilości bodźców sensorycznych, które mają wywołać w końcowym rezultacie poprawę integracji bodźców docierających do dziecka zarówno z otoczenia, jak i z jego ciała. Zajęcia polegają na dostosowaniu trudności zadań i ćwiczeń do poziomu możliwości dziecka. Dzięki terapii dziecko może poprawić uwagę i koncentrację, zdolności wzrokowe i słuchowe, sprawność w zakresie małej i dużej motoryki, samoocenę oraz funkcjonowanie emocjonalne.

Autorka jest dyrektorem ZSO w Urzędowie.

*Andrzej Rolla „Miodek”*

## Przebudowa drogi Kraśnik–Chodel – odcinek urzędowski

Wstępem do artykułu będą słowa Aleksandra Golińskiego, który po odzyskaniu niepodległości Polski z rąk zaborców zabiegał o poprawę przejezdności drogi między Kraśnikiem a Urzędowem. Mimo iż upłynęło od tamtego czasu prawie sto lat, sprawa była ciągle aktualna. Do dzisiaj, kiedy to Urząd Marszałkowski wziął się za gruntowną przebudowę na odcinku od lasu dawnej Ordynacji Zamojskiej (dzisiaj Lasy Państwowe Nadleśnictwo Kraśnik koło Kraśnika Fabrycznego) do pól na wyjeździe z Mikuszewskiego. Jest to środkowy odcinek całej drogi wojewódzkiej nr 833, łączącej Kraśnik z Chodlem. W mojej pamięci droga ta była już asfaltowa, kilkakrotnie poprawiana, ale nigdy nie mogła się doczekać gruntownej przebudowy.

*Drogi w okolicy Kraśnika i Urzędowa.*

„Głos Lub.” pisał parę razy o złym stanie dróg w powiecie lubelskim. Śmiem jednak twierdzić, że tak złych dróg, po jakich trzeba jeździć między Kraśnikiem a Urzędowem, a także ku Józefowie i Opolu od tegoż, nie ma chyba na całym obszarze powiatu. – Najstarsi ludzie nie pamiętają tak złych dróg!

Nie widzę w tem nic dziwnego: po ustąpieniu zaborców ani Urzędy gminne, ani Sejmik powiatowy nie troszczą

się zupełnie o dobry stan dróg gruntowych. Ba! Nawet można usłyszeć z ust przedstawiciela samorządu zdanie, że im droga gorsza, tym lepiej. Za zaborców nad stanem dróg czuwała policja, czuwał naczelnik powiatu, który szczerze darzył karami sołtysów i wójtów za zły stan dróg i mostów. Dzisiaj o niektóre odcinki dróg nikt się nie troszczy, a ludność jeżdząc po nich męczy sama siebie i konie, niszczy wozy, uprzęż i towar, gdy wóz wywróci się. Podróżny przeklina Rząd i Polskę.

Taką jest droga przez wieś Budzyń (2,5 km), w lesie Ordynacji Zamojskiej od strony Urzędowa (2,5 km), w samym Urzędowie (na grobli, na przedmieściu Mikuszewskim [sic!], na przedmieściu Zakościelnem i koło cmentarza grzebalnego). O naprawę tych dróg zabiegano i w Urzędzie Gminy w Urzędowie i w wydziale pow. Sejmiku i w Starostwie, lecz na próżno: władze te powołane w pierwszym rządzie do nadzoru nad stanem dróg nie wydały nawet żadnego w tej sprawie zarządzenia. Śmieszna jest nawet rzecz, że sejmik nazwał drogę Kraśnik–Urzędów Sejmikową, poustawiał słupy kilometrowe i drogowskazy, lecz o stan drogi nie troszczy się zupełnie. A może sądzi, że ludność powinna tonąć razem z wozami i końmi na obecnej „polskiej” drodze, do czasu, aż przez te odcinki wybuduje drogę bitą.

*W sprawie tej drogi pewien zwykły śmiertelnik pisał nawet skargę do pana Wojewody, lecz dotąd nie wiadomo co przedsięwzięła Władza II instancji. W skardze tej zaznaczone było, że ani Gmina, ani Sejmik, ani Starostwo nie myślą o naprawie drogi, którą ludność części powiatu janowskiego i puławskiego dojeżdża do kolei (głównie w nocy), odstawia płody rolnicze, sprowadza dużo materiałów budowlanych.*

*Zły stan drogi tej fatalnie odbija się na życiu gospodarzem i społecznem okolic na północ od Kraśnika. Czy „polska” droga musi być koniecznie zła?*

Artykuł został napisany przez Aleksandra Golińskiego w październiku 1926 r., a wydrukowany w „Głosie Lubelskim” 1 stycznia 1927 r.

O dobrą drogę prowadzącą do Urzędowa zabiegano także później, po wojnie. Położono wtedy nawierzchnię asfaltową. W latach sześćdziesiątych w sprawę zaangażował się inż. Stefan Rolla – urzędownianin z pochodzenia, pracownik Ministerstwa Budowy Dróg i Mostów, aby droga z Kraśnika do Chodla omijała Rynek i biegła częściowo nowym torem. Wtedy jednak nie udało się tego zrealizować.

Za mojej pamięci droga była remontowana od strony Kraśnika, ale dociągnięto ją tylko do GS-u i na tym porzeczono. Było to dosyć widoczne, gdyż dalej w stronę Urzędowa droga była w o wiele gorszym stanie. Pozostało do Urzędowa ponad 1 kilometr, do którego podchodzono kilkakrotnie przy okazji wyborów samorządowych. Robiono za każdym razem po kilkaset metrów i finalnie nie dociągnięto do odcinka wcześniej wyremontowanego. Zabrakło kilkadziesiąt metrów.

W latach 90. powrócono do pomysłu realizacji tej inwestycji. Pani Elżbieta Kuśmiderska odwiedziła Stefana Rollę (mieszkał przy ul. Polnej w swoim domku letniskowym). Pan Rolla opowiedział wówczas z jakimi problemami się wtedy borykał i kto pokrzyżował plany budowy drogi omijającej Rynek. Powiedział, że można liczyć teraz na jego syna Marka, który pracuje w Ministerstwie Budowy Dróg i Mostów. Z inicjatywy Elżbiety Kuśmiderskiej doszło potem do spotkania w ogrodzie Mikołaja Lewandowskiego przy ul. Wodnej, w którym uczestniczyli: Marek Rolla, Marek Przywara – przewodniczący Rady Gminy Urzędów, Zbigniew Gawdzik – przedstawiciel Rady Powiatu Kraśnickiego, Krzysztof Witek – radny Gminy Urzędów, Urszula i Mikołaj Lewandowscy, Bogdan Koksa oraz Elżbieta Kuśmiderska. Problem budowy drogi był wówczas długo dyskutowany przez obecnych. Pan Marek Rolla obiecał pomoc w przygotowaniu pisma do Zarządu Dróg Wojewódzkich. Okazało się jednak, że Urząd Marszałkowski w Lublinie zaangażował się w budowę mostu na Wiśle w Kamieniu i panowie Marek Przywara i Zbigniew Gawdzik zrezygnowali na jakiś czas ze starań w tej sprawie. Ostatecznie Marek Przywara w 2015 r. sam zredagował pismo do Marszałka Województwa Lubelskiego Sławomira Sosnowskiego i już 15 czerwca 2015 r. otrzymał na nie odpowiedź od wicemarszałka Krzysztofa Grabczuka. Przynotuję treść pisma przewodniczącego Rady Gminny Urzędów Marka Przywary do marszałka Sławomira Sosnowskiego:

*Pan Sławomir Sosnowski*

*Marszałek Województwa Lubelskiego*

*W związku z realną potrzebą usprawnienia i poprawy bezpieczeństwa drogowego mieszkańców naszej gminy, zwracamy się do Pana Marszałka z prośbą o rozważenie możliwości przebudowy odcinka drogi wojewódzkiej nr 833 Kraśnik–Chodel w sposób umożliwiający wyłączenie z ruchu odcinka przebiegającego przez urzędowski Rynek.*

*Projektowany objazd winien przebiegać na wprost po przedłużeniu ulicy Partyzantów, do przecięcia z przedłużeniem ulicy Opolskiej w miejscowości Mikuszewskie, obok stadionu lub w inny sposób wskazany i opracowany przez specjalistów od budownictwa drogowego wspólnie z tutejszym samorządem. Objazd ten pozwoli wyeliminować dość ruchliwy odcinek drogi wojewódzkiej biegnącej w kierunku Chodla, Opola Lubelskiego i Puław przebiegający przez Rynek, będący pod ochroną Lubelskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Pozwoli to również wyeliminować z ruchu trzy niebezpieczne zakręty, w tym dwa pod kątem zbliżonym do 90 stopni.*

*Na tym odcinku dochodzi często do niebezpiecznych sytuacji drogowych, kolizji i wypadków, a powszechne jest najeżdżanie podczas skrętu przez długie pojazdy ciężarowe na chodnik, na którym przebywają piesi. Jest to bowiem główny trakt pieszy w kierunku dwóch dużych szkół przy ul. Wodnej, do których uczęszcza kilkuset uczniów.*

*Problem ten dostrzegały władze w historii naszej miejscowości jeszcze przed II wojną światową i w latach powojennych, kiedy budowana była szosa z Kraśnika do Chodla.*

*O takim, a nie innym wyborze przebiegu tego odcinka drogi zdecydowały: niewielki wówczas ruch pojazdów, który obecnie urósł do nieporównywalnych rozmiarów i trudne warunki geotechniczne – bagnisty teren. Przy obecnym poziomie wiedzy i techniki w inżynierii drogowej powyższe trudności nie będą stanowić większych przeszkód.*

*Zdając sobie sprawę ze stopnia trudności inwestycji i jej kosztów, prosimy Pana Marszałka o podjęcie stosownych działań i umieszczenie tej ważnej dla naszego urzędowskiego środowiska inwestycji w planach rozbudowy dróg wojewódzkich.*

*Z poważaniem*

*Przewodniczący Rady Gminy Marek Przywara*

W odpowiedzi Wicemarszałek Krzysztof Grabczuk napisał:

*Szanowny Panie Przewodniczący*

*Odpowiadając na pismo pana Przewodniczącego z dnia 20.05.2015 r. znak: RG.0004.23.2015 skierowane do Marszałka Województwa Lubelskiego w sprawie przebudowy odcinka drogi wojewódzkiej Nr 833 Kraśnik–Chodel w przebiegu przez miejscowość Urzędów, uprzejmie informuję co następuje:*

*Zarząd Województwa Lubelskiego mając na uwadze funkcję drogi wojewódzkiej Nr 833 w układzie komunikacyjnym województwa lubelskiego, umieścił rozbudowę tej drogi w projekcie zadań planowanych do realizacji*



w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Lubelskiego na lata 2014–2020.

W oparciu o ten program planowana jest rozbudowa tej drogi na całej długości jej przebiegu, poprzez m.in. podniesienie nośności jej nawierzchni do 115 kN/oś, przebudowę skrzyżowań wraz z budową oświetlenia, budowę chodników wraz ze ścieżką rowerową, budowę zjazdów oraz całego systemu odwodnienia tej drogi.

Informuję, że etap opracowania projektu technicznego rozbudowy drogi wojewódzkiej Nr 833 wymagać będzie szeroko zakrojonych opracowań środowiskowych, podczas których zostaną przedstawione sugestie Pana Przewodniczącego dotyczące zmiany jej przebiegu na terenie miejscowości Urzędów.

Niemniej jednak ostateczne priorytety oraz kierunki rozwoju sieci drogowej na terenie województwa lubelskiego zostaną określone w opracowywanym „Programie strategicznego rozwoju transportu województwa Lubelskiego”.

Z poważaniem

Krzysztof Grabczuk

Urząd Marszałkowski podjął wówczas działania mające na celu realizację tej inwestycji na całym odcinku od Kraśnika do Chodla. W 2016 r. burmistrz Urzędowa Jan Woźniak zwracał się do firmy Promost Consulting, która opracowywała koncepcję przebiegu tej drogi o spotkanie na terenie gminy. Celem spotkania miało być wysłuchanie uwag mieszkańców i samorządu Urzędowa. Spotkanie takie odbyło się i na nim mieszkańcy wyrazili wolę wyprowadzenia tej trasy z obrębu Rynku. Następnym krokiem był projekt robót geologicznych dotyczących opracowania dokumentacji dla realizacji tego zadania. W międzyczasie w 2018 r. zdecydowano o niepołączeniu ulicy Opolskiej z nowo projektowanym przebiegiem drogi nr 833. Decyzja ta zmieniła stary układ komunikacyjny łączący Urzędów z Mikuszewskim. Przed wyborami samorządowymi w 2018 r. pojawiła się informacja o decyzji Urzędu Marszałkowskiego o przełożeniu tej inwestycji drogowej na lata po 2023 r. Realizacja przebudowy tej drogi odsunęła się w czasie. W 2019 r. po zmianie władzy w Urzędzie Marszałkowskim, Zarząd i Marszałek Województwa Lubelskiego Jarosław Stawiarski zdecydowali o realizacji tej inwestycji. Na pierwszy rzut poszedł odcinek kraśnicki i chodelski tej drogi. W roku 2019 nowy burmistrz Urzędowa Paweł Dąbrowski wysłał pismo do Zarządu Dróg Wojewódzkich w Lublinie o doprojektowanie ścieżki rowerowej z Urzędowa do Chodla. Dodatkowo burmistrz wnioskował o wykonanie chodnika w miejscowości Wierzbica, zmianę wielkości zjazdów indywidualnych oraz doprojektowanie zjazdów na nowe drogi w Urzędowie, Mikuszewskim i Wierzbicy. Wnioski te zostały przyjęte. Natomiast wniosek o połączenie ulicy Opolskiej z nową trasą nie został uwzględniony.

Umowa na przebudowę odcinka drogi wojewódzkiej biegnącej przez Urzędów została podpisana pod koniec 2022 r. Przetarg zorganizowany przez Zarząd Dróg Wojewódzkich w Lublinie wygrała firma Strabag mająca duże doświadczenie w realizacji tego typu inwestycji. Można nawet powiedzieć, że jest to dla firmy Strabag średnia wielkość projektu do zrealizowania. Termin wykonania

określono na koniec 2024 r. Wartość inwestycji ma wynieść 65,7 mln zł i jest kwotą, jakiej nasza gmina nie widziała w historii. Można powiedzieć, że w ciągu drogi wojewódzkiej nr 833 wszystko będzie nowe: nawierzchnia asfaltowa, chodniki, ścieżka rowerowa, przystanki, mosty, nie będzie już przedwyborczego łatania po kilkaset metrów.

Duże pieniądze to i duże zmiany w istniejącej przestrzeni Urzędowa i Mikuszewskiego. W ramach przebudowy rozebrano pięć domów w rejonie skrzyżowania drogi wojewódzkiej (ul. Partyzantów) z drogą powiatową (ul. Wodna) oraz budynki na terenie gospodarstwa na Mikuszewskim. Zmienił się wygląd tego miejsca, do którego byli przyzwyczajeni mieszkańcy Urzędowa. To co było, przeszło do historii, dlatego postanowiłem napisać kilka słów o mieszkańcach domów, których już nie ma. Muszę przyznać, że pierwszych mieszkańców tych domów osobiście nie pamiętam. Zmarli lub się wyprowadzili zanim ja się pojawiłem na świecie. Z pomocą przyszli mi Sylwester i Maria Buda, którzy opowiedzieli o nich. Również opowiedziały mi panie: Krystyna Kaniowska z d. Mendykowska (ul. Wodna), Franciszka Kotowska z d. Gładkowska (ul. Wodna) oraz Stefan Rolla z Krosna Odrzańskiego (brat taty). Postanowiłem nie rozgraniczać poszczególnych opowieści, a zbudować z tego jedną historię dotyczącą poszczególnych domów i rodzin. Oto co udało mi się ustalić. Niektóre zwroty są takie jak opowiedzieli mi mieszkańcy, inne nieco zmieniłem. Zdaję sobie sprawę, że po tylu latach pamięć ludzka zawodzi i we wspomnieniach mogą pojawić się pewne nieścisłości. Niektóre wyłapałem i poprawiłem; czy będą inne – okaże się z czasem. Na III i IV stronie okładki zamieszczone są fotografie omawianych budynków.

**Dom Pomorskich ul. Wodna 2.** Dom ten pobudował młynarz Adolf Pomykalski. Powodem budowy tego domu było to, że po wyzwoleniu państwo przejmowało młyny i Pomykalski obawiał się, że jak zabiorą mu jego młyn, to wysiedlą go z jego mieszkania i ten dom postawił. Nigdy w nim nie zamieszkał, a byli w nim tylko lokatorzy. Dłuższy czas mieszkał w nim pan Tadeusz Pomorski i jego syn Stanisław. Najpierw mieszkał w murowanym „bliźniaku” razem z rodziną Gałkowskich, a później w tym drewnianym. Pomorski był dla Pomykalskiego szwagrem. Żona Pomorskiego Sabina była rodzoną siostrą Adolfa Pomykalskiego. Pomorski był krawcem, szyl w domu wszystko i dla wszystkich. Pomorscy mieli nieduże gospodarstwo rolne, żona nigdzie nie pracowała. Z kawałka pola utrzymywali krowę i kilka świń (niżej domu były chlewiki). Syn Stanisław uczył się, a później studiował i zamieszkał w Warszawie. Nie ożenił się. Kiedy umarła Sabina Pomorska, wdowiec Tadeusz ożenił się z Placydą Pomorską, mieszkali na Rankowskim obok kapliczki. Placyda chodziła na pielgrzymki do Częstochowy. Syn Stanisław wrócił z Warszawy będąc już na emeryturze. Mieszkał na Rankowskim, ale po śmierci ojca wrócił na ul. Wodną. W 1953 r. jak Józef i Sylwester Buda stawiali studnię, to nie mogli dostać cementu, natomiast w tym domu był cement Adolfa i on odsprzedał cement Józefowi Budzie. Gdy Adolf Pomykalski był już pewien, że mu młyna nie upaństwowią, już się tym domem tak

nie interesował. Dom był wynajmowany lokatorom, mieszkali tam m.in. państwo Teresa i Zenon Golińscy z dziećmi, pani Dzikowska z synami, państwo Barbara i Wiktor Sajdakowie z dziećmi. Dom został przejęty w drodze spadkowej przez spadkobierców Wiktorii Rogoży (siostra Tadeusza Pomorskiego). Ostatnimi właścicielami byli państwo Agnieszka i Piotr Wojtuszkiewiczowie z córkami, mieszkali tam aż do rozbiórki domu na cele przebudowy drogi.

**Dom Kisielów ul. Wodna 1.** Mieszkał w nim Stefan Kisiel z matką, która tam zmarła i on też. Kisiel był niepełnosprawny, chodził o kuli, był kawalerem. Dużo pomagał ludziom, miał maszynę do pisania i dlatego mógł pisać różne prośby i zażalenia. Po śmierci matki odpisał działkę wraz domem swojej kuzynce z rodziny jego ojca zamieszkałej w Katowicach. Wszystko to kupił pan Henryk Grzybek z żoną Wandą (wcześniej mieszkali przy ul. Partyzantów w połowie góry). Pani Wanda była siostrą Władysława i Kazimierza Steca. Grzybek pracował w zakładzie szewskim i krawieckim w Rynku, tam gdzie obecnie jest gabinet stomatologiczny. Pani Grzybkowa pracowała w GS w sklepie oraz w gospodzie. Grzybkowie mieli dwie córki: Teklę i Krystynę. Po Grzybku kupili dom państwo Kozakowscy, mieszkali tam wraz z dziećmi do 2023 r. Na tej samej działce w stodole od ul. Różnych mieszkał Brzeziński. Brzeziński był woźnym w szkole w Kraśniku Fabrycznym w gimnazjum. Mieli trzech synów: Jana, Eugeniusza oraz Pawła. Eugeniusz ożenił się u Pajdowskich, siostra pani Kasperskiej. W stodole pan Brzeziński zrobił sobie nawet dość duże mieszkanie, w drzwiach były szyby i było dość widno. Kolegowałem się z synem Brzezińskiego, a mój ojciec Józef był chrzestnym. Warunki życia były trochę prymitywne.

**Dom Mendykowskich ul. Partyzantów 2.** Mieszkał tutaj w małym domku ojciec Brzezińskiej z domu Marszałek. Jednoizbowy, malutki, tam mieszkała jego córka z mężem w stodole, a ojciec tutaj. Dom rozbudował dróżnik Jan Mendykowski i jego żona Waleria z d. Pączek. On go postawił z rodziną. Mendykowski pochodził z Olbęcina, a jego żona z Kowalina. W związku z pracą Jan dostał przydział na mieszkanie w Urzędowie i sprowadził się tutaj ze swoją rodziną. Dróżnik pod koniec swojego życia był niedowidzący i chory na nogi. Ze względu na schorzenie oczu nie chciał się już leczyć na nogi i to go doprowadziło do śmierci. Przed wybudowaniem nowego domu mieszkali w Rynku od północno-zachodniej strony. Dom drewniany był pani Boćkowskiej. Mendykowscy kupili działkę od Plichty z Dzierzkowic. Pobudowali dom murowany, który stawał pan Zapalski. W 1953 r. zamieszkali tam razem z córkami: Leokadią po mężu Kowalczyk, Krystyną po mężu Kaniowską i Danutą po mężu Tomczak. Krystyna po ślubie z Aleksandrem Kaniowskim mieszkała w tym domu jakiś czas, ale przeniosła się do swojego domu na ul. Wodną. Danuta wyszła za mąż i wyjechała do Warszawy. Leokadia sprzedała dom i wyprowadziła się do swojego nowego domu na ul. Wodną. Dom kupiła pani Majewska z dwiema córkami.

**Dom Przysuchów ul. Partyzantów 4.** Ojciec Józef i jego żona Weronika mieli dwóch synów – Aleksandra

oraz Witolda, siostra zmarła wcześniej. Józef pracował w lesie, mieli kawałek pola pod lasem oraz krowę, którą pasła żona Weronika. Według wspomnień Weronika to była bardzo dobra kobieta. Żona Witolda Jadwiga z d. Dąbek pochodziła z Bobów. Rodzina bezdzietna. Witold kupił od wspomnianego wcześniej Plichty ½ działki i pobudował dom. Wcześniej mieszkali w starym domku obok na swojej działce. Domek był drewniany, jak zawsze i wszędzie (inne domy). Pierwsza była sień, dosyć głęboka, trzeba było ostrożnie stawiać nogi wchodząc do środka. Później była mała kuchnia i pokoik. Aleksander wyjechał do Warszawy i tam założył rodzinę. Witold naprawiał rowery, maszyny do szycia, miał warsztat, natomiast żona Jadwiga pracowała w GS w sklepie z materiałami sukienicznymi. Sklep był w kamienicy Bijasiewiczów. W 1999 r. w domu Przysuchów powstał zakład fryzjerski. Zakład prowadziła pani Agnieszka Makoś-Solis, która w 2001 r. zakupiła od pani Jadwigi całą posiadłość. Pani Jadwiga mieszkała tam aż do swojej śmierci w 2007 r. Pani Agnieszka zamieszkała tam wraz z mężem i dwójką dzieci. Zakład funkcjonował do sierpnia 2023 r., kiedy to posiadłość została przejęta pod budowę drogi.

**Dom Pietroniów ul. Lubelska 2.** Dom przydowski, w którym mieszkała wcześniej Żydówka Itka, miała sklep: ciastka, lody, bułki, cukierki. Pod spodem była lodownia, głęboka piwnica, gdzie chłopcy zwozili lód. Państwo Pietroniowie Andrzej i Jadwiga (Chruścielewska) wprowadzili się po wojnie. Ona była siostrą Antoniego Chruścielewskiego (żona z d. Mital) i Alfreda. Pietroni był stolarzem, miał na działce warsztat stolarski oraz małe gospodarstwo, gdzie uprawiał maliny i porzeczki. Jadwiga prowadziła dom i pracowała w gospodarstwie. Andrzej zmarł w 1986 r., a Jadwiga w 1994 r. Mieli dwoje dzieci – Adama i Otylię, oraz pięcioro wnuków. Przez kilka lat w tym domu była filia kancelarii adwokackiej adwokata Pawła Basiakowskiego, wnuka Andrzeja Pietronia.

Dodatkowo Sylwester Buda powiedział mi kilka słów o drodze do Kraśnika, takiej jaką pamięta. Była to normalna gruntowa droga. W 1936 r. nawieziono piachu i kamieni (szutr), równali to wałem z grubej blachy z wodą, ubijali i zasypywali piaskiem. Asfalt położono dopiero po wojnie. Dopóki nie ruszyła budowa fabryki, to nie było do Kraśnika żadnej stałej komunikacji, chodziło się na piechotę lub jechało wozami konnymi i dużym samochodem. Dopiero przed samą wojną jeździł przywaciarz, bilet kosztował złotówkę. Po wojnie Krzysztoń z Kraśnika jeździł końmi z Urzędowa do punktu Kraśnik-Stacja.

Tyle informacji udało mi się zdobyć. Na pewno każdy ze starszych mieszkańców Urzędowa ma swoje wspomnienia. Każdy z nich zapamiętał to po swojemu. Dziś po gruntownej przebudowie pisze się nowa historia tego miejsca. Młodsze pokolenia, które będą chodzić do szkoły i przedszkola już od jesieni tego roku, zapamiętają inny, nowy widok, który dla nich będzie terazniejszym, znanym obrazem. Tylko my, którzy pamiętamy widoki sprzed przebudowy, przechowamy je w swoich myślach. Z czasem tych wspomnień będzie coraz mniej, w zamian za to będzie się pisać nowa historia tego miejsca, do której każdy wcześniej czy później się przyzwyczai.



## Tych domów w Urzędzie już nie ma



Dom Andrzeja i Jadwigi Pietroniów ul. Lubelska 2



Dom Walerii i Jana Mendykowskich ul. Partyzantów 2



Dom Józefa i Weroniki Przysuchów ul. Partyzantów 4

Fot. Andrzej Rolla „Miodek”



# Tych domów w Urzędzie już nie ma



Fot. Andrzej Rolla „Miodek”

Dom Tadeusza i Sabiny Pomorskich ul. Wodna 2



Fot. Grzegorz Jankowski

Na skrzyżowaniu ulic Lubelskiej, Partyzantów i Wodnej w miejscu zburzonych domów powstaje rondo



Fot. Andrzej Rolla „Miodek”

Dom Stefana Kisiela ul. Wodna 1